

Melinda Salisbury



Jej Wysokość Marionetka

ZIELONA
SOWA

Jej Wysokość Marionetka

Melinda Salisbury

Tłumaczenie: Karol Sijka



Zobacz także:

Córka zjadaczki
grzechów

Śpiący książę

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Wieża Honoru

CZĘŚĆ PIERWSZA. TWYLLA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Wieża Mądrości

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Wieża Prawdy

CZĘŚĆ DRUGA. ERRIN

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

CZĘŚĆ TRZECIA. TWYLLA

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Podziękowania

O Autorce

Tytuł oryginału: THE SCARECROW QUEEN

Tekst: MELINDA SALISBURY

Przekład: KAROL SIJKA

Redaktor prowadzący: AGNIESZKA NOWAK

Redakcja: TERESA ZIELIŃSKA

Korekta: ANNA KIJANIA, MONIKA PRUSKA

Projekt okładki: MARTA ŻURAWSKA-ZARĘBA

Skład: BERNARD PTASZYŃSKI

Text © Melinda Salisbury, 2017

Cover and chapter opener illustrations © Rekha Garton, 2017

Map illustrations © Maxime Plasse

This translation of The Scarecrow Queen is published by arrangement with Scholastic Ltd.

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o. Warszawa 2017

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki możliwe tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Wszystkie postaci w książce są fikcyjne. jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych czy umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

ISBN 978-83-8073-610-8

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 96, 00-807 Warszawa

tel. 22 576 25 50, fax 22 576 25 51

e-mail: wydawnictwo@zielonasowa.pl

www.zielonasowa.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Najlepszej przyjaciółce, Emily Lyons.

Bim, bam, bom.

Bóg nienawidzi szczęśliwych dzieci.



Wieża Honoru



Aptekarka siedzi na kolanach księcia. Jej dłonie muskają jego włosy, palce nieustrudzenie pracują, zaplatając jedwabiste pukle w szeregi warkoczyków. „Jakże pięknie byłoby przyczepić dzwoneczki do tych kosmyków – myśli. – Srebrne dzwoneczki pasujące do srebrnych splotów”. Włosy księcia przypominają wodę, przez dłonie aptekarki przelewa się jedwabisty, chłodny strumień. Powieki mężczyzny pozostają zamknięte podczas tych zabiegów. Białe rzęsy muskają policzki, na pełnych ustach majaczy salonowy uśmiech, oddech jest równy i głęboki. Kiedy palce dziewczyny dotykają karku księcia, z głębi jego gardła wydobywa się niski odgłos: stęknienie, może pomruk. Aptekarka przełyka ślinę.

Gdy książę otwiera oczy i wbija w nią wzrok, migocące światło łożówki nadaje jego źrenicom barwę topazu. Dziewczyna czuje poruszenie w żołądku: jakby mościł się w nim wąż, zwinięty i przyczajony.

Później następuje grzechot, ostrzeżenie. Książę unosi dłoń. Ona się wzdryga, ale mężczyzna ujmuje tylko jej podbródek i szerzej się uśmiecha.

– Przywodzi mi to na myśl bardzo stare wspomnienia, skarbie. W Tallith miałem od tego inne dziewczki – mówi. Jego głos jest melodyjny, kojący.

Aptekarka wytrwale zaplata warkocze.

– Kiedy zażywałem kąpieli, które uwielbiałem, te dziewczki splatały mi włosy, aby się nie zamoczyły. Całe dolne piętro Wieży Honoru było jedną wielką, wykutą w marmurze balią, która w najgłębszym punkcie była dwakroć mojego wzrostu. Czasami, gdy odwiedzali nas dostojni goście, organizowaliśmy w niej spotkania. Pompowano do niej wodę z podziemnych źródeł. Pachniała dziwnie, zalatywała siarką, ale nie była to nieprzyjemna woń. Niestety! Barwiła włosy moje i mojej siostry na żółto, gdy się w niej zanurzyły.

Milknie i pochyla się, przystawiając do ust szklanekę wina. Nie częstuje nim aptekarki, zamiast tego sączy ostatnie krople i niedbale upuszcza naczynie na posadzkę, po czym jego purpurowe wargi układają się w uśmiech.

– Słyszałem, że w tutejszych górach bije źródło z wodą o podobnych właściwościach. Być może zabiorę cię tam, gdy się ociepli. Pozwolę ci pozaplatać mi włosy i popływać ze mną. O ile będziesz grzeczna.

Aptekarka zwinnie przebiera palcami we włosach księcia; lata rwania listków i porcjowania proszków nadały jej ruchom pewność i precyzję. Ale w pokoju panuje chłód, kamienne mury są nagie, w palenisku tli się jedynie mały płomień. Kiedy dziewczyna wypuszcza powietrze, przed jej ustami wisi mgiełka oddechu, a kości atakuje tępy ból, który nigdy nie ustępuje. Księżę zdaje się nie odczuwać tego chłodu, lecz aptekarka owszem. W tej krainie jest zimniej niż w jej ojczyźnie. Dłonie kobiety drżą mocniej, gdy księżę przyciąga ją do siebie i przez cieką suknię muska jej plecy. Teraz przywiera do niego jeszcze mocniej, wydaje się jednak, że jego ciało nie wydziela żadnego ciepła.

– Były tam też prywatne łaźnie, na drugim piętrze – wspomina księżę dalej rozmarzonym głosem. – Dyskretniejsze, przeznaczone dla osób, które takowej dyskrecji pragnęły. Czy opowiadałem ci kiedyś o wieżach zamku Tallith? – Nie czeka na jej odpowiedź. – Łącznie jest ich siedem. Każdą nazwano na cześć innej cnoty. Ja zamieszkiwałem Wieżę Miłości. Być może powinienem zmienić nazwy tutejszych wież, żeby je odpowiednio uhonorować. Jak sądzisz? – Delikatnie pieści policzek dziewczyny, a ona zaciska szczęki. – Ach, Errin... – zaczyna.

Nie jest mu wszakże dane dokończyć zdania, bo nagle przerywa je pukanie do drzwi.

– Wejść! – woła.

Drzwi otwiera lokaj o szpakowatych włosach i z płaczliwym grymasem na twarzy. Jemu również, tak samo jak aptekarce, zdaje się być zimno, bo choć porusza się w obrębie zamkowych murów, nosi podbitą futrem pelerynę. Omiata dziewczynę obojętnym spojrzeniem błękitnych oczu, poświęcając jej mniej więcej tyle samo uwagi co meblom w komnacie, po czym kłania się księciu.

– Co znowu? – pyta księżę.

– Przynoszę wieści od Srebrnego Rycerza, panie – odpowiada służący i nie podnosząc głowy, sięga pod pelerynę, skąd wyjmuje zapieczętowany zwój pergaminu.

Gdy księżę wyciąga rękę, służący nieznacznie unosi głowę, postępuje krok do przodu i podaje mu zwój. Po odebraniu wiadomości księżę odprawia posłańca i przełamuje pieczęć.

Aptekarka ukradkiem zerka na list. Pragnie odczytać, co jej brat napisał do księcia. Ale ten zmienia pozycję ciała i zasłania pergamin.

Dziewczyna wciąż układa mu włosy, splatając ostatnie kosmyki, które można jeszcze chwycić. Choć palce ma skostniałe z zimna i zeszywniałe od subtelnych, powtarzalnych ruchów, nie przerywa pracy.

Księżę zrywa się z krzesła z radosnym okrzykiem, zrzucając aptekarkę na podłogę. Przechodzi nad nią, prześlizgując się po niej spojrzeniem.

– Twój brat to cudotwórca, skarbie. Istny cudotwórca! – rzuca, po czym zwraca się do służącego: – Każ osiodłać konie. Dla mnie i dla czterech rycerzy. Jedziemy do Lortune.

Wypowiedziawszy te słowa, energicznym krokiem wychodzi z pokoju. Służący pędzi za nim, zostawiając aptekarkę na ziemi – dziewczyna leży na boku, z policzkiem i uchem przyciśniętymi do chłodnej, kamiennej posadzki. Upadła wyjątkowo niefortunnie. Jedną rękę ma uwięzioną pod ciałem, kolano obciążone nogą krzesła. Palce, choć przygniecione ciężarem ciała, nie

przestają się poruszać – wciąż szukają niewidzialnych pukli księżycowych włosów, wciąż próbują przekładać jeden kosmyk nad drugim. Aptekarka uznaje, że gdyby jednak przyczepiła mu do włosów dzwoneczki, usłyszałyby, jak nadchodzi. Ostrzegłyby ją.

Nie żeby jej to szczególnie pomogło.

Mijają godziny, a książę nie wraca. Pęcherz aptekarki wypełnia się, zadając jej fizyczny ból. Nogi i ręce dziewczyny co rusz łapią skurcze. Czuje, że w wyniku upadku na całym jej ciele wykwitają siniaki i stłuczenia, kąciki ust i skóra pod paznokciami sinieją z zimna. Łzy, spływające z oczu niepowstrzymanym strumieniem, gromadzą się na podłodze pod uchem, a gdy niskie płomienie w kominku gasną, jej ciało zaczyna drżeć. Wraz z zapadającym zmierzchem w pomieszczeniu robi się coraz ciemniej.

Przez cały ten czas jej palce wciąż dzielą, przekładają i splatają niewidzialne włosy.

Wreszcie ciśnienie w jej pęcherzu staje się nie do wytrzymania, dziewczyna moczy siebie i posadzkę pod sobą. Początkowe ciepło przynosi chwilowe wytchnienie od nieustannego zimna, ale kałuża moczu szybko się ochładza i wsiąka w jej suknię. Aptekarka zadaje sobie pytanie, czy właśnie tutaj spotka ją śmierć.

Na szczęście książę wraca.

Uniósłszy brew, spogląda na leżącą dziewczynę. Przez chwilę sprawia wrażenie zaskoczonego, ale gdy uświadamia sobie, co się wydarzyło, rysy jego twarzy tracą ostrość. Przechodzi nad nią i staje obok krzesła, przy stole. Z blatu podnosi glinianą laleczkę. Jej głowę okalają sploty brązowych włosów, a na twarzyczce lśnią dwa zielone paciorki ze szkła imitujące oczy. Talię lalki okleja kawałek papieru, który książę odlepia teraz od gliny.

Dziewczyna wreszcie może się poruszyć. Czuje, jak magiczne pęta, które krępowały jej ciało, znikają, i przewraca się na plecy.

Na pięknej twarzy górującego nad nią mężczyzny widnieje grymas niesmaku.

– Posikałaś się? Ty bestyjko! Nie było mnie ledwie kilka godzin.

Kiedy aptekarka nie odpowiada, trąca jej ramię czubkiem buta.

– Mówię do ciebie. Odpowiadaj. – Nie reaguje, więc kopie ją ponownie, tym razem mocniej. – Jesteś odrażająca.

Przywołuje sługę, żeby ją podniósł. Do pokoju wchodzi mężczyzna, już nie ten sam co wcześniej. Ramiona ma przygarbione, ciemne oczy wbija w posadzkę. Cała jego postura każe go nie dostrzegać. Księżę rozkazuje, obrzucając go szybkim spojrzeniem, żeby zabrał mu aptekarkę sprzed oczu i zawołał kogoś, kto posprząta po niej bałagan. Sługa nic nie odpowiada i bez mrugnięcia okiem pomaga dziewczynie się podnieść. Gdy z kamienną, niewzruszoną twarzą wyprowadza zmoczoną i szlochającą aptekarkę z komnaty, do złudzenia przypomina gliniane figurki księcia.

Księżę, siadając na krześle, odprowadza ich wzrokiem. Patrzy na figurkę dziewczyny, którą wciąż trzyma w dłoniach. Jego rysy wykrzywia wściekłość. Rozgniata figurkę w dłoni i upuszcza ją na posadzkę. Jednak prawie natychmiast schyla się i ją podnosi. Spomiędzy rozkruszonej gliny wyciąga włosy i szklane paciorki, po czym odkłada je na bok. Teraz to jego palce poruszają się zwinnie, a modelowana glina powoli z powrotem przybiera postać dziewczyny. Przyczepia jej włosy do głowy, ponownie wlepia oczy w glinianą masę, wstaje i powolnym krokiem opuszcza komnatę.

Aptekarkę i sługę zastaje u podstawy wieży, którą dla niej wyznaczył. Właśnie wchodzi na pierwsze stopnie. Służący, usłyszawszy odgłos kroków swego pana, cofa się. Podobnie robi powłócząca nogami dziewczyna, która odwraca się dokładnie w chwili, gdy księżę wyciąga nóż i łapie ją za rękę. Przecina jej nadgarstek i czeka, aż wycieknie zeń krew, po czym przystawia figurkę do rany.

Aptekarka krzyczy i próbuje się wyrwać, ale jest za późno. Glina wchłania krew. Dziewczyna patrzy, jak księżę tym samym nożem nakłuwa własny palec, pozwalając, aby kropla jego krwi skapnęła na symulakrum. Gdy jego krew także wsiąka w glinę, księżę się uśmiecha. Głaszcze glinianą laleczkę, a następnie ostrożnie wkłada ją do kieszeni. Potem bez słowa odwraca się i odchodzi, zostawiając krwawiącą i zapłakaną dziewczynę. I służącego, który tylko odprowadza go spojrzeniem.

Część pierwsza
Twylla

Rozdział 1



Gdzieś po lewej stronie parawanu, za którym jestem ukryta, woda miarowo skapuje na podłogę. Nie licząc tych rytmicznych uderzeń, świątynia kości jest pogrążona w ciszy. Odliczam ponad trzy tysiące kropel, kiedy z korytarza dobiega jakiś odgłos. Zastygam, mięśnie napinają się do granicy bólu, usiłuję usłyszeć kolejne dźwięki: przytłumione kroki, ciche westchnienia czy szelest tkanin. Chwile wleką się w nieskończoność, kapanie nie ustaje, a ja wstrzymuję oddech tak długo, że aż palą mnie płuca.

Słyszę głucho łupnięcie, potem kolejne, a później odgłos przypominający szelest. Wreszcie wypuszczam powietrze i czuję zawroty głowy. Znam te dźwięki: z sufitu spada kolejna warstwa gruzu. Już samo to powinno zmusić mnie do ruszenia się z miejsca – świadomość tego, że gdy zawali się dach, zostanę pogrzebana żywcem. Echo kroków ucichło, a lampiony na ścianach świecą coraz słabiej. Muszę już iść.

Wracam do liczenia.

Kiedy dochodzę do czterech tysięcy, przerywam i zmieniam pozycję. Moją stopę przeszywa natychmiastowy skurcz, wyginam ją, mocno zaciskając z bólu powieki. Gdy je rozwieram, pomieszczenie sprawia wrażenie ciemniejszego,

wyglądam więc przez szczelinę w parawanie, który mnie zasłania. Próbuję ustalić, czy któraś z pochodni przypadkiem nie zgasła. Przez tę niewielką przerwę patrzyłam, jak Errin krzyczy na Śpiącego Księcia, widziałam, jak kłamię mu prosto w twarz, bez mrugnięcia okiem. Patrzyłam, jak on ją głaszcze, przystawia głowę do jej włosów i je *wącha*, grozi, że ją zamorduje. Mimo wszystko zachowała odwagę. Nawet gdy przed nim uklękła, uczyniła to z gracją osoby wyświadczającej przysługę, a nie z pokorą służki wykonującej rozkaz. Ciekawe, czy Errin w ogóle schowałaby się przed nim, gdybyśmy zamieniły się rolami. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak siedzi zaklinowana w szczelinie, z pięścią wepchniętą do ust i ze smakiem własnej krwi na języku.

Nie, uznaję. Moja przyjaciółka nie należy do osób, które się chowają. Nawet gdyby w pierwszej chwili postanowiła się skryć, po jakimś czasie opuściłaby bezpieczny azyl i podjęłaby walkę. Nie zgodziłaby się pozostać w ukryciu dłużej. A gdyby jednak postanowiła się dobrze schować, to tylko dlatego, że miałaby w głowie plan na przyszłość. Opuściłaby schronienie w odpowiednim momencie. Śledziłaby wrogów w korytarzach, podsłuchiwałaby, próbując zdobyć jak najwięcej informacji i ułożyć plan. Tak czy owak, nie tkwiłaby tutaj, licząc krople wody.

A myślałam, że tchórzostwo opuściło mnie w Lormere.

Wraz ze wszystkimi uczuciami do Lief'a. Teraz widzę jedynie zimne spojrzenie w jego oczach, gdy każe mi się schować. Powściągliwy sposób, w jaki oferuje mi schronienie, jakby próbował spłacić dług. I to, że nazwał łączące nas uczucie *przyjaźnią*...

Odpycham tę myśl daleko od siebie, zaciskam szczęki i składam dłonie w pięści. Doskonale wiem, jakim jest człowiekiem, wiem, jaką krzywdę wyrządził mi, Merkowi, Lormere. Co zrobił własnej siostrze. Wszystko widziałam na własne oczy. A mimo to pierwszą rzeczą, którą poczułam, gdy go zobaczyłam, była radość. Zapomniałam o wszystkim: o śmierci, o całym bólu, przypomniałam sobie tylko zapach jego szyi, do której zbliżałam twarz, mięśnie pleców napinające się pod skórą w odpowiedzi na mój dotyk. Włosy opadające na twarz. Smak jego ust. Jakby wszystkie te księżycy nie minęły, jakby nic się nie zmieniło.

Wystarczyłoby, gdyby wypowiedział moje imię, żebym znowu przed nim uklękła. Bogowie, z całego serca pragnę go nienawidzić. Albo nie – nawet nie w tym rzecz. Chcę o nim myśleć i nie czuć nic. Chcę, żeby był mi obcy.

„Wystarczy, Twyllo – powtarzam sobie, bo bardzo chcę wyrzucić go ze swojego serca. – Odejdź precz!”

Kiedy jedna z pochodni migocze po raz ostatni i gaśnie, a w komnacie pojawia się nowy pas cienia, uświadamiam sobie, że pozostałe głównie niebawem podzielą jej los. I to dlatego – na myśl, że pozostanę tu sama, głęboko pod ziemią, w ciemności, w otoczeniu śmierci – wreszcie rozluźniam mięśnie i poruszam drżącymi nogami. Nawet teraz nie przestaję wbijać wzroku w ciemność, wypatrywać oznak życia.

Kiedy stawiam pierwszy krok, ciszę rozdziera grzmot błyskawicy. Po świątyni przetacza się chrupot kości i skrzywienie drewna pod stopami, wokół mnie wiruje echo tych odgłosów. Słyszę, jak coś upada w ciemności. Włosy na karku stają mi dęba. A gdy kolejna pochodnia syczy i gaśnie, unoszę fałdy sukni i ruszam pędem przed siebie. Potykam się o kości udowe, żebra i połamane podpory. Czuję przerażenie na myśl, że zostałam uwięziona w tej ciemności na zawsze.

Przechodząc przez zasłonę oddzielającą tę przestrzeń od korytarza, potykam się o coś dużego i miękkiego i tracę równowagę. W ostatniej chwili unoszę ręce, by zamortyzować upadek. Po zderzeniu z kamienną podłogą niemiłosiernie pieką mnie dłonie, głośno bluzgam i szybko przeturlawszy się na bok, wstaję.

Zauważam postać leżącą z twarzą zwróconą ku posadzce i zakrwawionymi po jednej stronie blond włosami. Dopiero po podczołganiu się do ciała i przystawieniu palców do szyi odkrywam płeć ofiary – to *kobieta*. Od razu – po chłodzie, po oporze stawianym przez skórę – poznaję, że jest martwa. Kiedy ostrożnie przewracam ją na bok, jedyne obrażenie, jakie dostrzegam, to skaleczenie na lewej skroni. Jest mikroskopijne, wygląda jak zadrapanie, a nie śmiertelna rana. Ale umarła, jej złote oczy są martwe i puste, usta rozchyłone, kompletnie uleciało z niej życie. Przymykam powieki i usta kobiety, krzyżuję jej ramiona na piersiach.

Przez całe swoje życie widziałam wiele martwych osób i głęboko w duszy albo w trzewiach czuję, że przed upływem tej nocy ujrzę ich dużo więcej.

Dwie kolejne godziny są najbliższymi piekła chwilami, jakie przeżyłam. Korytarze Konklawe przypominają labirynt króliczych nor, nie ma tu żadnych oznaczeń ani drogowskazów, które mogłyby sygnalizować gdzie się znajduję lub gdzie powinnam pójść. Początkowo jestem ostrożna, moje ruchy wciąż odrobinę krępuje strach, który kazał mi tak długo siedzieć w świątyni kości, ale przy kolejnej ślepej uliczce, kolejnym złym zakręcie narasta we mnie panika. Boję się, że nigdy nie znajdę drogi wyjścia, że umrę tutaj. Kierowana tym uczuciem w pewnym momencie zaczynam biec, unikając przeszkód i przeskakując ponad roztrzaskanymi meblami.

Idę. Bez końca. Potykam się o kolejne ciała, moje łkanie odbija się od ścian, ścigając mnie przy każdym postawionym kroku. Podświadomość podpowiada, że to znak, iż jestem tutaj zupełnie sama. Robię wokół siebie hałas, który zdradza moją obecność, ale nie potrafię iść cicho jak myszka. Szlocham i wzdycham; po drodze natrafiam na same ciała: pogruchotane, połamane, powyginane. Leżą z zadartymi ubraniami, ale ci, którzy kiedyś w nich mieszkali, nie baczą na to, że ich piersi i pachwiny są odsłonięte. Kończyny są wygięte do tyłu, czasem w ogóle ich nie ma. Kat nie znał litości.

„Jestem w zbiorowej mogile” – myślę i wybucham śmiechem, który natychmiast usiłuję stłumić, zakrywając dłońmi usta. Ale wesołość mnie nie opuszcza. Pragnienie chichotu narasta we mnie nawet wtedy, gdy mówię sobie, że nie ma powodu do śmiechu. „Histeryzuję” – uświadamiam sobie, ale niczego to nie poprawia. Nieustannie krążę i krążę.

Po jakimś czasie przestaję biec, idę przez tunele i komnaty, jakbym była pogrążona we śnie. Snuję się po pomieszczeniach, w których funkcję dywanów pełnią zwęglone karty, kluczę pomiędzy roztrzaskanymi odłamkami szkła i ceramiki, mijam pieczary, w których powietrze pachnie ziołami i siarką, a ziemię zaśmieca szereg innych przedmiotów rozgniecionych obcasami buciorów. Materace leżą porwane, regały na książki przewrócone. Podobnie jak Tremayne na powierzchni, również Konklawe zostało spenetrowane,

splądrowane i obrócone w pył.

Mijam kolejne ciała: alchemików z ich lśniącymi włosami, zwykłych mężczyzn, kobiety, nawet dzieci. Przystaję przy ofiarach i sprawdzam, czy rzeczywiście są martwe. Opuszczam im powieki i zamykam otwarte usta, wyrównuję ich kończyny, jeśli są rozrzucone w sposób pozbawiony godności.

Taka śmierć to dla mnie nowość. Ciała, które widywałam dotychczas, zawsze były starannie ułożone. Wystrojone w najelegantsze ubrania zwłoki miały przyczesane włosy i twarze pokryte pudrem oraz pastą maskującymi śmierć. Leżały, spokojnie czekając na rozgrzeszenie. Tutaj śmierć wygląda inaczej.

Poprawiam ich ubrania. Odgarniam włosy z czoł. Nie znajduję ocalałych.

Czuję się jak zjawa, jak spacerująca po poboju walkiria rachująca umarłych. Większość z nich zadźgano albo poderżnięto im gardła; myślami uporczywie wracam do Liefy stojącego w pełnej srebrnej zbroi, z przytroczonym do boku mieczem, i nieustannie zastanawiam się, czy śmierć któregokolwiek z tych istnień obciąża jego sumienie.

Przerażające, ale w pewnym momencie to ciała zaczynają wskazywać mi drogę. Po jakimś czasie na podstawie tego, jak są ułożone, potrafię stwierdzić, gdzie już byłam, a którego trupa widzę po raz pierwszy. Gdy dostrzegam ułożone już ciało, odwracam się i idę w przeciwną stronę; jeśli nie jest oporzędzone, doglądam go, a potem ruszam dalej. Zwłoki służą mi za mapę.

I w ten sposób prowadzą mnie do mojej matki. We wszystkich miejscach, w których znajdują się nieżywi, zawsze w pewnym momencie pojawia się moja matka.

Zjadaczka grzechów z Lormere leży w samym środku Wielkiej Sali, otoczona trzema ciałami. Poczawszy dziwne odrętwienie, postanawiam ją na razie zignorować i zająć się pozostałymi. Siostry Nadziei tu nie ma, brakuje też Nii oraz Siostry Odwagi, co budzi we mnie promyk otuchy. Może przynajmniej im udało się uciec! Ale jedna z Sióstr zginęła na pewno, Siostra Pokój, przy której leży bezużyteczny miecz. Układam jej ciało, potem pozostałe dwa. Wszystkie umarły po to, żebyśmy z Errin mogły uciec. Martwych układam najschludniej, jak tylko potrafię, ścieram krew z ich

twarzy, wygładzam ubrania.

Dopiero później, na końcu, podchodzę do matki.

Podczas obrzędów Zjadania wszyscy mówili, że po śmierci ludzie wydają się mniejsi, niż byli w rzeczywistości, że wyglądają, jakby spali. Ale ja nic takiego nie zauważam, kiedy patrzę na moją matkę. Rosłam w tym ciele, wyszłam z niego. Ono dało mi życie. A teraz jest puste. Wyraźnie, niewątpliwie puste.

Leży na brzuchu. Gdy ją odwracam, czuję mdłości i słyszę głuchy odgłos przetaczanego mięsa. Na szczęście jej oczy są zamknięte i tak samo jak pierwsze ciało, które znalazłam, ma tylko małą ranę z boku głowy. Choć jej ciemne włosy są przetłuszczone, delikatnie je głaszczę. Nigdy nie potrafiłam dostrzec własnych rysów w twarzy matki i teraz też ich nie dostrzegam, nie widzę żadnego podobieństwa w jej orlim nosie, w ustach przypominających pąk róży. Skóra matki jest pozbawiona piegów, które ja mam, powieki są opuszczone. Zauważam pewne podobieństwo pomiędzy nią a moją siostrą Maryl: te same wygięte w łuk wargi, te same drobne dłonie. Ja natomiast wyglądam zupełnie inaczej niż ona. Równie dobrze mogłabym być podrzutkiem. Przez chwilę zastanawiam się, gdzie są moi bracia, gdzie mieszkają, czy martwią się panowaniem Śpiącego Księcia. Czy przejęliby się tym, że nasza matka nie żyje. Ale przecież ona zaniedbywała ich bardziej niż mnie. Ja byłam przynajmniej użyteczna. Mogłam posłużyć do osiągnięcia celu, jak się teraz okazuje.

Minął niecały dzień od chwili, gdy stałam w tym pomieszczeniu i przysięgałam walczyć ze Śpiącym Księciem. Jakże pewna siebie byłam z Errin i Silasem u boku, jakże słuszny był mój gniew. Wtedy wszystko wydawało się takie realne, takie proste. Silas szkolił do walki alchemików i ich pobratymców. Wszyscy mieliśmy pomaszerować na Lormere i pokonać Śpiącego Księcia. Myślałam, że przeobrazimy się w armię mścicieli jak z opowieści. Wyobrażałam sobie, że ludzie zbiegną się na nasze wezwanie, a ponieważ stoimy po stronie dobra, na pewno odniesiemy zwycięstwo.

Ale wtedy przybył Aurek z moim ukochanym u boku i udowodnił, że nie tylko nie przestałam być tchórzem, ale na dodatek wciąż jestem naiwną

głuptaską. I to ja mam uratować nas przed Śpiącym Księciem.

Uwalniam włosy matki spod opaski i układam je na ramionach. Składam jej ręce na klatce piersiowej i wygładzam suknię. Mam jednak nieodparte wrażenie, że czegoś brakuje, że zapomniałam coś zrobić. Spełnić życzenie. Spłacić dług.

Wtedy dostrzegam stół, chleb i dzban piwa, które w jakiś cudowny sposób przetrwały walkę, jakby czekały na nadejście tej właśnie chwili. Już wiem, co powinnam zrobić.

Biorę chleb i dzban ze stołu i kładę je obok matki, a następnie sięgam po leżący obok puchar i napełniam go piwem.

Obrzęd Zjadania czas zacząć.

Chleb jest biały i puszysty, nijak nie przypomina chleba, który jadałam w zamku Lormere. Przeżuwam małe nasionka o bogatym, przypominającym lukrecję smaku. Wciąż dostają mi się między zęby i muszę przerywać ucztę, żeby je wydłubać. Robiąc to, wyliczam grzechy matki.

Duma – to na pewno. Szczypta próżności. Lubieżność? Prawdopodobnie; nie licząc bliźniaków, wszyscy mamy różnych ojców. Trudno mi sobie jednak wyobrazić matkę szukającą mężczyzny – trudno mi sobie wyobrazić, że ma apetyt na coś innego niż własna pozycja. Zawsze zakładałam, że właśnie dlatego nas urodziła: z poczucia obowiązku. Teraz nigdy już nie zyskam pewności. Nigdy nie zapytam. Odpycham od siebie tę myśl i koncentruję się na grzechach. Czasami potrafiła być gniewna. I złośliwa.

Jednak nie mogę się skupić. Myślami wciąż wracam do rozmowy, którą odbyliśmy przed atakiem. Mówiła, że próbowała ocalić Maryl w jedyny znany jej sposób. Opowiadała o strachu, że królowa odmówi jej w mojej sprawie.

Mówiła, że kocha mnie najmocniej, jak potrafi.

Chleb staje mi w gardle i muszę łyknąć piwa, by przepchnęło uformowaną w przełyku kulę.

Nie przeprowadzam rytuału Zjadania dogmatycznie; nie ważę każdego grzechu i nie przejmuję go na siebie. Nie tak odprawia się Zjedanie.

Odstawiam kubek piwa i pochyliwszy się, całuję zimne czoło matki.

– Dobranoc – mówię cicho. – Ofiaruję ci ukojenie i odpoczynek, droga pani. Od tej pory nie będziesz spacerowała naszymi drogami ani wędrowała po naszych łąkach. A dla spokoju ducha twego... – Nie potrafię zmusić się, by to powiedzieć. Nie potrafię. Siadam na posadzce i przymykam powieki, głośno oddychając.

Jestem zmęczona przejmowaniem cudzych grzechów.

Jestem zmęczona uciekaniem przed wszystkimi.

Pragnę być jak Errin. Jak Nia. Jak Siostra Nadzieja. Chcę być dziewczyną, która walczyła z golemem; dziewczyną, która walnęła pięścią w stół i w komnacie pełnej potężnych kobiet oświadczyła, że zamierza walczyć, a one wszystkie niech idą do diabła.

Przeżyłam sąd w Lormere. Przetrwałam podróż do Scarron. Wysłałam cało z najazdu Śpiącego Księcia na Konklawe. Ocalałam.

Potem przemawiam, słowa wypływają z mojego wnętrza.

– Ofiaruję ci ukojenie i odpoczynek, droga pani. Od teraz nie będziesz spacerowała naszymi drogami ani wędrowała po naszych łąkach. A dla spokoju ducha twego znów sprowadzę sen na Aureka. Na dobre. To też uczynię dla twojej duszy. Uczynię to również dla własnej duszy.

Przy drzwiach rozlega się odgłos miarowego kłaśnięcia. Zrywam się na równe nogi, potracając piwo. W wejściu stoi Nia. Jest zakrwawiona, jej ciemną skórę pokrywają sińce, ale żyje. Rzucam się pędem przez komnatę i dopadłszy do niej, przytulam ją z całych sił. Ku mojemu zaskoczeniu ściska mnie równie mocno i kiedy tak stoimy objęte, przeszywa mnie prąd ulgi, który znika dopiero, gdy Nia się odsuwa.

– Myślałam, że tylko ja przeżyłam. Jesteś sama? – pytam, a ona kręci głową.

– Siostra Nadzieja żyje. Jest na powierzchni; ukrywają się poza murami miasta, w opuszczonej szopie.

– Ukrywają? Kto jej towarzyszy?

– Siostra Odwaga, ale ona jest ranna. Poza nimi uciekło jeszcze kilka osób.

– Silas? – pytam, a gdy Nia potrząsa głową, w moim brzuchu przelewa się fala strachu. Ja również muszę jej coś powiedzieć: – Zabrano też Errin.

Nia zaciska szczęki.

– Porwał wszystkich alchemików, których nie zdążył zabić. Musimy ich uratować. Nie możemy zostawić z nim Silasa ani Errin. Ani Katy. – Głos dziewczyny łamie się, kiedy wypowiada imię żony.

– Uratujemy – obiecuję. – Sprowadzimy ich z powrotem do domu. I powstrzymamy go. Powstrzymamy Śpiącego Księcia.

– Jak? – Patrzy na mnie rozszerzonymi, wypranymi z nadziei oczyma.

– Zaprowadź mnie do Siostry Nadziei. Wtedy wspólnie coś ustalimy.

Kiwa głową, odwraca się i daje znak, bym szła za nią. Chwilę się waham, po czym podchodzę do miejsca, w którym leży Siostra Pokój. Podnoszę leżący przy niej miecz i zacisnąwszy dłoń na rękojeści, spokojnie badam jego wagę i testuję pewność chwytu. Jest cięższy, niż mi się wydawało, dlatego do prawej ręki spoczywającej na głowicy dokładam lewą. Biorę niepewny zamach ostrzem i niemal się przewracam, przez co natychmiast czuję się głupio. Nie odkładam go jednak. Skoro Siostra nauczyła się go trzymać i nim fechtować, to mnie również się uda. Wkładam ostrze za pas i po raz ostatni obejmuję wzrokiem pokój.

Ruchem głowy żegnam mamę, jakby mogła mnie zobaczyć, i podążam za Nią, czując uderzający o biodra miecz. Lubię jego dotyk.

Rozdział 2



Szybkim krokiem przemierzamy kolejne korytarze. Nia idzie wpatrzona w horyzont. Nie zauważyłam, by choć raz spojrzała na któregokolwiek ze zmarłych, a przecież musiała znać wielu z nich. Przypomina mi tym Errin w Tremayne – ona również nie potrafiła patrzeć na nieboszczyków. Obie dziewczyny pochodzą ze świata, w którym zmarli nie towarzyszą żywym.

– Próbowałam podarować im odrobinę godności, ale czy nie powinniśmy jeszcze czegoś zrobić? – pytam, kiedy mijamy ciała.

– Oni już zostali pogrzebani – odpowiada bez emocji Nia. – Tutaj jest ich mogiła.

Dalej idziemy pogrążone w ciszy, mijając kałuże krwi i porzucony dobytek. W pewnym momencie czuję, że ziemia pod moimi stopami zaczyna opadać, i szybko dochodzimy do schodów wykutych w skale. Pamiętam je z mojej podróży tutaj. Przechodzimy przez kolejne drzwi, które Nia stanowczo za nami zamyka. Wreszcie dochodzimy do ostatnich wrót. Po wyjściu na zewnątrz Nia zatrząskuje je i zastyga z opartymi o nie dłońmi. Jest do mnie zwrócona plecami, głowę ma pochyloną.

– Już nigdy tu nie wrócimy. Żałuję tylko jednego – mówi niskim, ostrym tonem. – Że musiałyśmy zostawić naszych przyjaciół w jednej mogile z *jego* ludźmi. – Wyciągam ku niej rękę i delikatnie ściskam ją za ramię. Odwraca się do mnie i mówi:

– Rozumiesz mnie, prawda?

Ma rację. Kiedy doglądałam zmarłych, trzymałam się z dala od osób, które uważałam za naszych wrogów, zostawiając je tak, jak leżały. Osądziłam je, postanowiłam ich nie dotykać. Zjadaczka grzechów postąpiłaby inaczej. Zjadaczka grzechów wypełniłaby swój obowiązek.

Tyle tylko, że ja nie jestem zjadaczką grzechów.

– Rozumiem – odpowiadam Nii. – I mam nadzieję, że ich dusze, o ile takowe mają, nigdy nie zaznają spokoju za to, co uczyniły.

Kiedy wychodzimy na ulicę, ze zdziwieniem zauważam, że na zewnątrz jest widno. Słońce wisi nisko na niebie, a byłam przekonana, że panuje noc. Po tak długim czasie spędzonym w mrokach korytarzy światło dnia wszystko barwi na niebiesko. Przecieram oczy, przed którymi eksploduje feeria czarnych plamek, gdy mój wzrok powoli przyzwyczaja się do jasności.

– Jest bezpiecznie? – pytam, szybko mrugając. – Czy ludzie Aureka odeszli?

Nia wzrusza ramionami.

– Kiedy tędy przechodziłam, nie widziałam żywego ducha. Jeżeli ktoś tu jeszcze jest, najpewniej zaraz się tego dowiemy. – Chociaż mówi odważnym tonem, rozgląda się, przesuwając palce w stronę zatkniętych za pasem noży. – Zabrali Silasa i alchemików do zamku w Lormere. – Przerywa i pyta: – Gdzie się ukryłaś?

– W świątyni kości.

– Przecież na pewno ją przeszukali.

Kiwam głową.

– Errin powiedziała im, że uciekłam.

– I uwierzyli jej?

– Najwidoczniej. Ja... Miałam szczęście. – Dziwny głos z tyłu głowy

podpowiada mi, żeby nie wspominać o Liefie, który wskazał mi kryjówkę i pomógł się schować. Na razie zatrzymam tę informację dla siebie. Ale ona patrzy na mnie czujnie spod zmrużonych powiek i ogarnia mnie przeczucie, że wie, iż zatajam przed nią część opowieści.

– To głupota tak tu wystawać, chodź – mówię, by uprzedzić kolejne pytania, i wychodzę na ulicę, bacznie obserwując poruszające się cienie.

Wyrównuje ze mną krok i idziemy obok siebie, wzdrygając się pod wpływem najmniejszego odgłosu. Źródłem niepokoju bywa syk tynku opadającego ze ściany opuszczonego domu, szmer kamyków poruszonych przez przemykającego po drodze kota, łopot skrzydeł nad naszymi głowami. Oddycham płytko, bo moje płuca wypełnia zmieszany z powietrzem lęk. Idąca obok Nia milczy, niczym upiór o ponurej minie bezszelestnie przedziera się przez kurz i gruzy.

Jej słowa, kiedy wreszcie przemawia, zaskakują mnie.

– Śmiesznie mówisz.

– Ja... Co? – Mrugam. – Pochodzę z Lormere.

– Silas też jest z Lormere. A nie mówi tak jak ty.

– Dorastałam na dworze. Tam wykonuje się pewne czynności i mówi w charakterystyczny sposób, a ja trochę tego przejęłam. Urodziłam się plebejką. Nie mówiłam tak zawsze.

Po chwili kiwa głową.

– Mój brat zawsze powtarza, że po każdym ich powrocie mówię trochę inaczej. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam. Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one. Wszystko zależy od tego, z kim akurat przestajesz.

– Właśnie – odpowiadam. – Skoro już mowa o tym, gdzie akurat jesteśmy, to wciąż mi nie powiedziałaś, dokąd właściwie zmierzamy.

– Jakies trzy mile stąd znajduje się farma Prythewellów.

– Tak, znam ją. Mijaliśmy ją w drodze tutaj. Stała w ogniu.

– Jedna ze stodół jest w dość dobrym stanie. Siostra Nadzieja i inni czekają tam na nas.

– Ilu z nich udało się uciec? – pytam.

Przez jej twarz przebiega skurcz.

– Pięciu alchemików, trzech cywilów, w tym ja. Wszystkie Siostry, oprócz Siostry Pokój.

Jedenaście osób. Przypominam sobie ciała, którymi się zajęłam, i pamiętam, ile osób zgromadziło się w Wielkiej Sali, kiedy po raz pierwszy się tam udaliśmy. Uciec udało się niespełna jednej czwartej.

– Jutro, może pojutrze wyruszymy do Tressalyn – ciągnie Nia, kiedy mijamy kręte ulice. – Tam będziemy bezpieczne.

Nie przestaje się rozglądać po otaczających nas zgliszczach. Mury Tremayne nikogo nie ochroniły.

Odpowiada, jakby usłyszała moje myśli:

– W porównaniu do tego miejsca Tressalyn to forteca. Mury miejskie, a za nimi zamek o potężnych ścianach, otoczony fosą... Tam mieści się siedziba Rady i założę się, że stacjonuje tam także liczniejszy kontyngent żołnierzy, którzy na pewno zwiększą czujność, kiedy dowiedzą się o tym, co się tutaj wydarzyło. – Uśmiecha się gorzko.

Kiedy wychodzimy na rynek miejski, Nia wskazuje ruiny wysokiego budynku naprzeciwko. Nie odrywa wzroku od miejsca, do którego zmierzamy, nie ogląda się w lewo ani w prawo.

Ja się jednak rozglądam. Nie potrafię się powstrzymać. W świetle dnia wszystko wygląda znacznie gorzej, ziejące dziury w pierzei sklepów sprawiają wrażenie przerw pomiędzy wybitymi zębami. Dym unosi się, leniwie wirując wzdłuż dachów. Na resztkach golema, którego powaliłam, ląduje wrona, utkwivszy we mnie ciekawskie ślepia; inne ptaki rozdziobują ubrania, które zalegają wszędzie, jakby w pośpiechu zrzucał je z siebie korowód nowożeńców. Budynki skutecznie zrównano z ziemią, a destrukcji dokonano świadomie. To pewne. Śpiący Księżę postanowił zmieść Tremayne z powierzchni ziemi, gdy już się z nim rozprawił. Czy postąpił tak dlatego, że wiedział o Konklawe albo domyślał się jego istnienia? Czy to kara, która spotkała miasto za ukrywanie przed nim jego potomków, czy może raczej

obraca w ruinę wszystkie podbite miasta?

Lief posłusznie wypełnił jego rozkazy. To był jego dom. Tutaj dorastał. Dlaczego więc tu łupił i grasował, pozwalał gołomom i tak zwanym żołnierzom na ten rozbój?

Nia przystaje naprzeciwko bogato zdobionego budynku i czeka, aż ją dogonię. Patrzą w czarną paszczę prześwitu. Drzwi nigdzie nie widać, zawieszona powyżej rama na sztyld również jest pusta.

– Tu jest... *była*... apteka – mówi Nia. – Pozbieraj wszelkie sprzęty, które wpadną ci w ręce: garnki, chochle, noże, bandaże – przyda się wszystko. Weźmiemy też teksty alchemiczne. Potrzebujemy żywności i wody, zwłaszcza wody, i peleryn. Nie dotykaj tylko żadnych roślin, ziół czy proszków. To zostaw mnie.

Waham się, ale ona chwyta mnie za rękę.

– Siostra Odwaga jest poważnie ranna. Potrzebuje pomocy. A my nie mamy nic. Do Tressalyn długa droga, a jest strasznie zimno. – Po wypowiedzeniu tych słów znika we wnętrzu budynku.

Natychmiast wyczuwam zapach ciała. Tego smrodu nie można pomylić z niczym innym – jest metaliczny, skwaśniały i obezwładniający. Prawie wpadam na Nię, która zamarła i w coś się wpatruje. Kiedy podążam za wzrokiem dziewczyny, widzę leżącego u jej stóp nieboszczyka. W jego klatce piersiowej zionie czarna dziura.

– Mistrz Pendie – cicho mówi Nia. – Był mentorem Errin... – Odwraca się i wybiega z budynku. Po chwili słyszę odgłos wymiotowania. Daję jej chwilę, potem wychodzę za nią. Stoi z rękami opartymi o kolana, przymyka powieki, a na jej pobladłej twarzy lśnią kropelki potu.

– Przepraszam – mówi i choć gdy jej dotykam, otwiera oczy, natychmiast ucieka ode mnie wzrokiem. – Znałam go od urodzenia. Poznałam go przed alchemikami, jeszcze zanim to wszystko się wydarzyło. Dostarczaliśmy mu soli. Nie *Sal Salis*, lecz prawdziwej soli morskiej. Uczył mnie, jak spryskiwać nią karmelki. Wystarczała szczypta. Pomagała wydobyć ich smak.

Potrząsa głową, marszcząc czoło i przygryzając wargę.

Wysiłek, jaki wkłada w zapanowanie nad sobą, łamie mi serce, kładę więc dłoń na jej ramieniu. Sztywnieje, bierze głęboki oddech i rozluźnia ciało.

– Widziałam dziś zwłoki tylu znajomych i przyjaciół – wykrztusza, chowając twarz w dłoniach. – Znajomych z powierzchni i podziemi. Żyłam w obu tych światach. Nigdy nie sądziłam, że spotkają się w taki sposób. Moja rodzina pomagała w Konklawe od pokoleń, od kiedy powstało. Ponieważ piwnice naszego domu stykały się z Konklawe, mogli albo wyjawić nam sekret i pozwolić sobie pomóc, albo nas wysiedlić. Jadaliśmy z nimi, śmialiśmy się z nimi. Wiele czasu spędzali pod ziemią dla własnego bezpieczeństwa. Kata tego nienawidziła. Wolała czuć słońce na twarzy. Kiedy mój ojciec wyjeżdżał w interesach, wychodziła na powierzchnię i przesiadywałyśmy w ogrodzie. Nie chcę... – Jej głos się łamie. – Nie chcę stracić i jej. Nie chcę o niej myśleć w ten sposób, z uczuciem...

– Och, Nia... – Przysuwam się. Pragnę ją objąć, ale ona potrząsa głową.

– Nic mi nie jest. Nie mogę... – Bierze głęboki oddech i prostuje się. – Żadne łzy mi jej nie przywrócą. Nikomu nie pomogą. Chodź. Sprawdźmy, co znajdziemy gdzie indziej.

– Poczekaj – mówię, próbując wziąć się w garść. – Czego potrzebujemy?

– Nie musisz... – Zawiesza głos i kiwa głową. – Bandaży. Wszystkiego, co uda ci się znaleźć w laboratorium. Trucizny trzymał pod kluczem, więc nie obawiaj się, że przypadkiem jakąś weźmiesz.

W sumie to nie byłoby takie złe.

– Zaraz wracam – mówię. I rzeczywiście jestem z powrotem bardzo szybko. Wszystkie nienaruszone buteleczki i słoiki wrzucam do worka, który znajduję za kontuarem. Nie zatrzymuję się, żeby odczytać bazgroły na etykietach. Zabieram same użyteczne przedmioty: bandaże, pęsety, kilka ceramicznych mis, zestaw łyżek, wszystko zapakowane. Dłużej zajmuje mi znalezienie worka, którym zakrywam ciała, ale i tak po trzech minutach wracam na zewnątrz.

Nia patrzy na mnie, potem na worek. Znowu mocno pociera twarz, jej oczy są zaczerwienione, ale widać w nich determinację. Kiedy wyciąga rękę, oddaję jej worek i ruszam za nią. Kierujemy się w stronę uliczki prowadzącej

poza plac.

Nie przestajemy szabrować. W jednej z chat znajdujemy kilka bukłaków, które napełniamy wodą z beczułki ustawionej na wąskim podwórzu. W innej natrafiamy na bochen chleba owiniętego szmatką i koszyk jabłek. Nia otwiera szafę w dzielnicy krawców i znajduje nam peleryny, a do tego duży worek na nasz dobytek. W kolejnym domostwie opróżniam szufladę ze wszystkich noży – nie troszcząc się o to, czy są ostre – i wrzucam je do drugiego worka.

Teraz zaglądamy do rzeźnika. Nia idzie na górne piętro, a ja przeszukuję pomieszczenia na parterze. Zerkam przez drzwi, kiedy ostre sapnięcie zza moich pleców zmusza mnie do odwrócenia się.

Przy wejściu stoi mężczyzna.

Gdy tylko nieznajomy przekracza próg, dobywam miecza i wyciągam go przed siebie. Ciemne oczy śledzą każdy mój ruch. Spod odsłoniętego kaptura pospolitego płaszcza wyłaniają się rysy przystojnego, dumnego młodzieńca o karnacji ciemniejszej nawet niż u Nii. Twarz obcego pokrywa ledwie widoczny zarost. Musi być w moim wieku albo najwyżej kilka wiosen starszy. Zaciśnięta szczęka sygnalizuje determinację. I furję. Wyciąga własny oręż i wymierza go we mnie. Mój miecz wyraźnie się trzęsie. Jego ani drgnie.

– Kim jesteś? – pyta z tregellańskim akcentem. Sufit nad naszymi głowami skrzypi, chłopak podnosi wzrok. – Z kim tu przyszłaś?

Zamieram. Nie odrywam wzroku od jego miecza. Obmyślam możliwe reakcje, na wypadek gdyby się na mnie rzucił. Słyszę Nię na schodach, z każdym krokiem jest coraz bliżej, a mężczyzna wpatruje się w przestrzeń pomiędzy mną a drzwiami za moimi plecami.

– Twyllo, czy... – mówi Nia, ale urywa i wydawszy pisk zaskoczenia, przemyka obok mnie, po czym ląduje w objęciach mężczyzny, który uśmiecha się teraz promiennie.

– Nia! – szepcze, odsunawszy ją na długość ramienia tylko po to, żeby znowu przyciągnąć ją do siebie. – Byłem przekonany, że wszyscy zginęli!

– Prawie wszyscy – odpowiada Nia, nie odrywając twarzy od ramienia przyjaciela, i pomimo całej determinacji znów wybucha płaczem.

Młodzieniec gładzi jej włosy, aż łkanie ustaje.

– Czy twoja rodzina...? – pyta.

– Nie. Są na wybrzeżu, z moim bratem. Jego żona właśnie urodziła dziecko. Byłam tu z... Byłam tu. Ukryłam się.

Zapada dłuższe milczenie. Zauważam, że mężczyzna nic nie mówi o Kacie i alchemikach. Płynie stąd wniosek, że kimkolwiek jest, nie należy do Konklawe.

– A co z Lirys? – pyta młodzieniec. – Słyszałaś coś? Widziałaś cokolwiek? Poszedłem do mleczarni, ale wszystko tam zniszczono, a oni zniknęli... – Milknie, z nadzieją wpatrując się w Nię.

– Nic nie wiem – odpowiada dziewczyna. – Przykro mi.

Mężczyzna kiwa głową, a potem przenosi wzrok na mnie.

– Czy teraz powiesz mi, kim jesteś?

– Twyllo, poznaj Kirina. Kirinie, oto Twylla. Jest przyjaciółką Errin – informuje go Nia, uprzedzając moją odpowiedź.

Na wzmiankę o Errin mężczyzna natychmiast przenosi uwagę z powrotem na Nię.

– Czy Errin tu jest?

– Była. – Nia patrzy na mnie bezradnie, a mężczyzna podąża za jej wzrokiem.

– Co? – pyta. – Co się dzieje?

Nia niepewnie nabiera powietrza w płuca.

– Słuchaj, może pójdziesz z nami? Po drodze porozmawiamy.

– Po drodze dokąd? – dopytuje Kirin.

– Przekonasz się, gdy tam dojdziemy, czyli już niedługo. Słońce zachodzi.

Ponownie na mnie spogląda, podejrzliwie mrużąc oczy.

– Wolisz pójść gdzieś indziej? – pytam.

Kręci przecząco głową.

– Zbierajmy się w takim razie.

Kiedy wychodzi ze sklepu, zauważam, że kuleje: lewą nogę stawia znacznie

pewniej niż prawą.

– Ufasz mu? – pytam cicho, gdy Nia za nim podąża.

– Tak. Znam Kirina od dziecka. Przyjaźnił się z moimi braćmi. On... Bardzo mnie lubił, był taki moment. Miał wtedy około trzynaście lat. – Uśmiecha się.

– Był ode mnie trzy lata młodszy, ale i tak za mną łąził, on i... – Jej uśmiech blaknie i czekam, aż dokończy wypowiedź. – Oj, to stare dzieje!

Wymyka się ze sklepu i dołącza do czekającego przed budynkiem Kirina. Podążam za nimi, trzymam się kilka kroków z tyłu, zaciskając palce na rękojeści miecza i nie przestając czujnie wypatrywać zagrożenia. Mówią cicho, zbyt cicho, żebym mogła wychwycić nawet pojedyncze słowa, ale po jakimś czasie Kirin zostaje w tyle i zrównuje ze mną tempo.

– A wiec jesteś Lormerianką? – pyta, a ja potakuję. – Czy w Almwyk spotkałaś Errin?

– Nie. Przybyłam do Tregellanu, zanim to wszystko się wydarzyło.

– Mieszkasz w Tremayne?

– W Scarron.

Cichutko pogwizduje.

– Dlaczego Scarron? Tam nic nie ma.

– To duża zaleta.

Tremayne opuszczamy przez Bramę Wodną. Zmierzamy w przeciwną stronę trasy, którą Errin i ja weszliśmy do miasta. Trzymamy się pobocza drogi. Na czele kroczy Nia, potem ja, pochód zamyka Kirin. Wiejski pejzaż jest upiornie cichy, trakt błotnisty od deszczu, a powietrze pozbawione zapachów. Idę milę po mili w zupełnej ciszy i wciąż muszę walczyć z zalewającymi mnie falami zmęczenia. Kiedy nadciąga noc, a temperatura spada, zaczynam drżeć. Zaplatam ręce pod płaszczem, gdzie zdobyte noże cichutko pobrzękują przy każdym moim kroku.

Wreszcie po lewej widzę wyłaniające się z cienia kształty i czuję gryzącą woń dymu. Rozpoznaję budynki gospodarcze, które Errin i ja minęliśmy w drodze do Tremayne. Farma Prythewellów.

Nia schodzi z traktu na pola i zmierza w kierunku stodoł i obór. Zanurzwszy stopy w wysokiej trawie, która muska moją suknię, podążam za nią. Mijamy najbardziej zniszczone budowle. Przypominają szkielety. Wyszczerbione belki wystają z konstrukcji jak połamane żebra, ściany są spopielone, w powietrzu czuć jeszcze dym. Nia prowadzi nas dalej między zabudowania, aż dochodzimy do stodoły, która jest w zdecydowanie lepszym stanie niż otaczające ją ruiny. Połowa budynku jest osmolona, dach doszczętnie spłonął, ale druga część wygląda znacznie solidniej.

Nia otwiera małe drzwiczki i szybko wprowadza nas do środka. Natychmiast dostrzegam Siostrę Nadzieję – siedzi po przeciwległej stronie pomieszczenia, zgarbiona niczym wrona nad małym ogniskiem. Kiedy do niej podchodzimy, wstaje. Wygląda, jakby od dnia naszego ostatniego spotkania postarzała się tysiącrotnie. Błada jak wosk twarz i naprężona na kościach skóra – chyba nigdy bardziej niż teraz nie przypominała jastrzębia. Patrzy to na mnie, to na Nię, aż wreszcie skupia uwagę na Kirinie i coś w jej spojrzeniu się zmienia.

– Czy to wszyscy?

– Tak. – Głos Nii brzmi łagodnie, ale Siostra Nadzieja wzdryga się, jakby ktoś wymierzył jej policzek. – Przykro mi.

Siostra Nadzieja potrząsa głową, nie przyjmując kondolencji.

– Znalazłaś Twyllę.

– Gdzie pozostali? – pyta po chwili Nia.

– Terę, Głina i alchemików wysłałam do Tressalyn, wraz z Siostrami Honor i Mądrość. Nie było sensu, żeby tu czekali, poza tym podróż w mniejszej grupie budzi mniejsze podejrzenia. Kto to jest? – Patrzy na Kirina.

– To Kirin Doglass. Z Tremayne. Czeladnik kowala.

Siostra Nadzieja obrzuca wzrokiem Kirina i przenosi spojrzenie na Nię.

– Uratowałyście coś z Konklawe?

– Wszystko zniszczone. Zabrałyśmy to, co się dało, z powierzchni – ciągnie Nia. – Czyli niewiele. – Klęka przy ognisku i kolejno wyjmuje z worka fanty: chleb, jabłka, brudnawe bandaże i prawie pełną butelkę brandy. Siostra

Nadzieja klęka przy niej i urywa kawałek chleba, który wkłada do miski wygrzebanej z worka.

Siadam obok.

– Dziękuję, że na nas zaczekałaś, Siostró – mówię, żeby powiedzieć cokolwiek.

Nie odpowiada, zamiast tego wylewa kapkę brandy na okruchy chleba, moczy je, po czym się odsuwa. Dopiero teraz dostrzegam kształt postaci, która leży na odsuniętej od ognia słomie z twarzą skierowaną w dół. To Siostra Odwaga.

– Jak ona się czuje? – pytam cicho.

Siostra Nadzieja wciąż nie odpowiada, potrząsa jedynie głową.

Nia bierze chleb, odkrawa kromkę i podaje mi resztę bochna. Odrywam sobie kawałek i przekazuję pieczywo Kirinowi, a następnie przysuwam się do ognia, wdzięczna za bijące od niego ciepło. Kirin siada obok mnie, podczas gdy Nia rzuca nam po jabłku i sięga po brandy. Kiedy przychodzi kolej na mnie, odmawiam, bo mój umysł zasnuwa zmęczenie, ale Kirin bierze butelkę i wielkimi haustami połyka alkohol. Siedzimy w ciszy, wsłuchując się w odgłos przeżuwanego jabłka, chlupot alkoholu w butelce oraz szept Siostry Nadziei, która mówi coś do Siostry Odwagi. Kiedy wraca do paleniska, misa wciąż jest pełna chleba.

– Śpi – mówi szeptem. – Nie sądzę, żeby się dzisiaj obudziła. – Pozwalamy, żeby słowa zawisły w powietrzu. Ich waga, ciężar wszystkiego, co dzisiaj widziałyśmy, bardzo nas przytłacza. – Kiedy dobrze wypocznie, wyruszymy do Tressalyn.

– A co z Katą? Co z Silasem i Errin? – od razu pyta Nia.

Przez twarz Siostry Nadziei przebiega cień.

– Odnajdziemy ich – mówi. – Najpierw pora na Tressalyn.

– Ale Kata...

– Pojmali też mojego syna, mojego jedynego syna – wybucha Siostra Nadzieja, ale szybko się opanowuje. – Gdybym miała choć cień wiary w to, że ot tak go odzyskam... że odzyskamy ich wszystkich... już byśmy byli w drodze

do Lormere. Ale to niemożliwe. Twylla jest naszą jedyną nadzieją na ostateczne pokonanie Aureka. Musimy pomóc jej dotrzeć do Tressalyn, to obecnie priorytet. Zrobimy to dla dobra nas wszystkich. Pora ułożyć strategię, potrzebujemy planu. – Przerywa. – Silas i Kata powiedzieliby ci dokładnie to samo.

Czuję lekką irytację, bo mówi o mnie tak, jakbym była nieobecna.

Zanim udaje mi się spytać, co zamierza zrobić, gdy już dotrzemy do Tressalyn, odzywa się Kirin.

– Nic nie rozumiem. Kim wy jesteście? Gdzie jest Errin?

Siostra Nadzieja patrzy na nas porozumiewawczo, by po dłuższej chwili skupić uwagę na Kirinie, a ja czuję, jak kolejne ukłucie złości rozrywa moją klatkę piersiową.

– Jesteś z Tremayne. Byłeś tam podczas ataku? – pyta.

– Nie, pani. Wcielono mnie do armii, stacjonowałem w Almwyk, ale uciekłem po ataku Śpiącego Księcia i wróciłem do domu, do Tremayne. Moja naręczona i jej rodzina też tu mieszkają. A raczej... mieszkali. Nie wiem, czy zdołali uciec...

Siostra Nadzieja nie zwraca uwagi na płaczliwy ton jego głosu i kontynuuje:

– Znasz Errin Vastel?

– Owszem, pani. Dorastałem z Errin i jej bratem. Lief był moim najlepszym przyjacielem.

Odwracam się do niego, z zaskoczenia aż otwierając usta i chwilowo zapominając o gniewie. Więc to dlatego Nia nie mówiła wcześniej o Liefie.

Kirin marszczy brwi.

– O co chodzi? – pyta. – Dlaczego tak na mnie patrzycie?

Kręcę przecząco głową, podczas gdy Siostra Nadzieja i Nia krzyżują spojrzenia.

– Zatem Almwyk zostało zdobyte? – pyta Siostra Nadzieja, zwracając się bezpośrednio do niego.

– Tak, pani – mówi Kirin. – Przed czterema nocami. Miasto splądrował

Srebrny Rycerz wraz ze swoją armią. Na szczęście wcześniej ewakuowano resztę cywilów, pozostali tylko żołnierze i sędzia miejski. Zaszlachtowali go, a ja... Ja uciekłem. – Patrzy prowokująco. – Gdybym tego nie zrobił, zginąłbym na miejscu.

– A co z innymi miastami? Tyrwhitt? Newtown? – pyta Siostra Nadzieja.

– Nie wiem. Unikałem ich, tak na wszelki wypadek. Trzymałem się pól i skrótów. Zmierzałem prosto tutaj, szedłem tak szybko, jak to możliwe. Pragnąłem wrócić do Lirys, mojej narzeczonej, i zostawić Srebrnego Rycerza daleko w tyle.

Milczymy. Żadna z nas nie chce być tą, która mu wszystko wyjaśni.

– Co? – ponownie pyta Kirin. – Dlaczego wszystkie tak na mnie patrzycie?

Nerwowo oblizuję usta i przełykam ślinę.

– Twierdzisz, że to Srebrny Rycerz stał na czele inwazji?

Kirin kiwa głową.

– Tak. Walczyłem z nim. Niewiele brakowało, żeby mnie zabił.

Następuje pauza.

– Srebrny Rycerz to Lief – mówię wreszcie.

Wpatruje się we mnie spod zmarszczonych brwi, powoli mrugając oczami.

– Niemożliwe. – Potrząsa głową i bierze kolejny łyk brandy. – Nie. Niemożliwe, właśnie wam powiedziałem, że z nim walczyłem. On prawie... Prawie mnie zabił. Lief nigdy by ze mną nie walczył. Jesteśmy jak bracia. – Odstawia butelkę i kolejno się w nas wpatruje. – Nie zrobiliby tego. Nie chciałby mieć nic wspólnego ze Śpiącym Księciem, nie Lief. Mylicie się. W ogóle go nie znacie.

– Ja też z nim walczyłam. Kiedy stał przy boku Śpiącego Księcia. W moim domu. – Nia sięga po butelkę. – Ja też znam go od dziecka, pamiętaj o tym.

Kirin patrzy na nią z rozdziawionymi ustami, po czym wstaje i lekko się zachwiawszy, łapie równowagę. Odwraca się i wychodzi ze stodoły.

Nia wstaje, żeby za nim pójść, ale Siostra Nadzieja potrząsa głową.

– Zostaw go.

Wtedy coś sobie przypominam.

– Czyli kiedy Silas wyleczył Errin, wiedziałaś, że ona jest siostrą Liefą? – pytam Nię, a ona w odpowiedzi kiwa głową. – A jednak byłaś zła, że chciał pomóc. Dlaczego, skoro ją znałaś?

Za naszymi plecami rozlega się jęk Siostry Odwagi. Siostra Nadzieja szybko do niej podchodzi.

– Po prostu nie byliśmy do niej przekonani... – Nia ponownie upija trochę alkoholu. – Zналиśmy prawdę. Wiedzieliśmy, że Lief jest Srebrnym Rycerzem. Silas obserwował ją po części właśnie dlatego.

– Po części?

– Głównym powodem byłaś ty. Lief był twoim jedynym tregellańskim łącznikiem. Myśleliśmy, że prędzej czy później będziesz próbowała nawiązać z nim kontakt. – Nic nie odpowiadam, więc Nia kontynuuje: – Nie byliśmy pewni, czy Errin trzyma z nimi, czy też nie.

– Do tej pory nie mamy pewności. – Siostra Nadzieja dołącza do nas.

– Do tej pory? – zaczynam, ale Siostra unosi dłoń.

– Atak na Konklawe nastąpił raptem kilka godzin po jej przybyciu...

– Towarzyszyłam jej. Zanim dotarliśmy do Tremayne, miasto było już spustoszone. Nie miałyśmy pojęcia, w co się pakujemy. Nie zapominajcie, że jeden z jego golemów pogruchotał jej kręgosłup.

– A jeśli to była część planu, żeby wywabić filtromantę?

– Myślisz, że planowała złamać sobie kręgosłup? – Prycham. – To się nazywa ryzyko!

– Nie mniejsze niż szukanie pracy w zamku w Lormere i służba na dworze szalonej królowej Helewys...

Czuję nieprzyjemne mrowienie na karku na wspomnienie Liefą i jego pierwszej zdrady. Errin szukała mnie, choć tego nie wiedziała. Czy to z jego powodu? Czy ocaliło mnie ujawnienie mojej tożsamości, kiedy byliśmy już w Konklawe?

– Nie – mówię głosem ostrym jak trzaśnięcie bicia. – Przecież mogła mnie zdradzić w ossuarium. Mogła im powiedzieć, gdzie się schowałam. – Znowu

coś powstrzymuje mnie od wyjawienia, że to był pomysł Liefy, że oboje Vastelowie pragnęli ukryć mnie przed Śpiącym Księciem. – Tam wszystko się mogło zakończyć. Mogła wyjawić, gdzie jestem, a on mógł mnie zabić i zapewnić sobie bezpieczeństwo. Ale dzięki Errin to się nie wydarzyło.

Siostra Nadzieja wpatruje się w ogień.

– Cóż, obyś się nie myliła – odpowiada wreszcie. Potem i ona wstaje, żeby wyjść za Kirinem w mrok nocy.

Rozdział 3



Wpatruję się w ogień, czekając na powrót Siostry Nadziei lub Kirina, ale żadne z nich nie przychodzi, a ja siedzę w poczuciu osamotnienia, w towarzystwie mrukliwej Nii i umierającej Siostry. Czekamy na nadejście nocy. Spod wpełprzymkniętych powiek Nia wpatruje się w ziemię pod stopami. Butelka brandy, którą luźno trzyma palcami, jest prawie pusta; wygląda na to, że dziewczyna za chwilę odpłynie. Odwracam się do Siostry Odwagi i ku swojemu zaskoczeniu zauważam, że przewróciła się na bok. Jej oczy są jasne i mnie przewiercają. Przysuwam się do niej ostrożnie.

– Pomóc? – pytam. – Mogę coś dla Siostry zrobić?

Przez chwilę nic nie mówi.

– Nie, dziecko. Nie możesz.

– Przykro mi – odpowiadam.

– Mnie również. Nie jestem gotowa, jeśli mam być szczerą. Oczekiwałam dużo więcej.

Ponura, smętna szczerłość jej słów sprawia, że przyglądam jej się uważniej. Od razu dostrzegam, że wcale nie jest stara; jest młodsza od mojej matki czy

od Siostry Nadziei. Bardzo niewygodnie musi się czuć w tym trójgraniastym kapturze, który wciąż okrywa jej głowę.

– Zdjąć Siostrze kaptur?

– Czemu nie? – odpowiada, wykrzywając usta.

Ostrożnie dotykam materiału i zsuwam z jej głowy kaptur, spod którego wyzierają włosy rude jak moje, choć trochę krótsze i ciemniejsze w tych miejscach, w których pot przykleił je do głowy.

– Bogowie, o niebo lepiej – mówi, przechylając podbródek tak, by owiało go powietrze. – Dziękuję. – Na chwilę milknie. – Wszyscy jesteście tacy młodzi – mruży, po czym zaczyna dusić się od mokrego kaszlu, tak gwałtownego, że spazmy aż podrywają jej ciało. Próbuje się odwrócić, ale na jej ustach dostrzegam czerwień, barwiącą też zęby. Pochyla się, delikatnie unosząc głowę, żeby nie zadławić się krwią. Kiedy kaszel ustaje, przecieram jej usta rękawem.

– Wody – chrypi.

Przed moją twarzą materializuje się dłoń trzymająca puchar. Odwracam się i widzę stojącą nade mną Siostrę Nadzieję.

Biorę od niej czarę i przystawiam do ust Siostry Odwagi. Wypija płyn i kiedy wreszcie potrząsa głową na znak, że już wystarczy, układam ją z powrotem na pokrytym słomą klepisku. Ponownie się uśmiecha i mrugnawszy oczami, zamyka je. Ostrożnie wysuwam dłoń spod jej karku. Trwamy w bezruchu, Siostra Nadzieja i ja – obserwujemy, jak Siostra Odwaga zasypia, oddychając płytko i rzęząc. Przenoszę wzrok na Nię, która zasnęła zwinięta w kłębek przy palenisku, nie wypuściwszy z dłoni butelki brandy.

– Musimy porozmawiać, zjadaczko grzechów – mówi Siostra Nadzieja.

– Nie jestem zjadaczką grzechów.

– Amara nie żyje, a ty jesteś jej najstarszą i jedyną żyjącą córką. *Jesteś* zjadaczką grzechów. Podejrzewam, że jesteś ostatnią zjadaczką grzechów.

Dźwięk tych słów elektryzuje wszystkie włosy na moim ciele.

– Dlatego musimy się rozmówić – ciągnie Siostra Nadzieja. – Muszę poznać twoje zamiary. Ponownie uciekniesz? Czy też wypełnisz swój obowiązek?

„Obowiązek”. Czuję, jak przygniata mnie ciężar wiecznych oczekiwań: znów przenoszę się do chaty matki, do komnaty Rulfa. Zawieram pakt z królem Terrynem. Przebywam w ossuarium, czuję, jak nici mojego życia zszywają się niczym sploty gobelinów, które tkąłem w wieży w Lormere. Zjadaczka grzechów. Daunen Wcielona. Trucicielka.

Zawsze nią byłem i zawsze nią będę.

– Powstrzymam go, jeśli o to Siostra pyta – odpowiadam wreszcie, patrząc jej prosto w oczy. Ona pierwsza mruga.

– Jak?

– Za pomocą trucizny. To moja specjalność. Potrzebuję alchemika i Errin. Errin potrafi wyodrębnić składniki mikstury, Opus Magnum, i z pomocą mojej krwi połączyć je ponownie, by stworzyć jedyną truciznę zdolną zabić Śpiącego Księcia. Jeśli do mikstury dodamy moją krew, uzyskamy replikę oryginalnego Elikśiru, którego użyto przeciwko niemu. Otrujemy go ponownie.

– Wiesz jednak, że przyjmuje już Elikśir? Do tego jest mu potrzebny mój syn. Dopóki wypija małe ilości, jest nieśmiertelny. Nie można go zranić, zniszczyć ani zabić. Czy nawet skutecznie otruć, jak sądzę.

– Ostatnim razem Elikśir uchronił go co prawda przed śmiercią, ale sprowadził nań sen. Jakiś składnik mojej krwi jest potężny na tyle, by go obezwładnić.

Siostra Nadzieja wygląda na zamyśloną.

– Poza tym nie ma już Nosiciela, który zbierałby serca i potrafiłby go obudzić. Wykorzystał wszystkie koła ratunkowe.

– Racja – potwierdzam grobowym tonem. – Ale to bez znaczenia. Zabiję go podczas snu. Ścięcia głowy nikt nie przeżyje. Nie pomoże wypicie wielu dawek mikstury ani żadna magiczna krew – mówię odważniej, niż się czuję. – Odrąbiemy mu głowę i wyślemy daleko od jego ciała. Zamurujemy ją gdzieś albo zakopamy w górach. Wrzucimy do morza. Zrobimy wszystko, co będzie konieczne.

Siostra Nadzieja wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nie możesz tego zrobić.

– Owszem, mogę. A wy powinnyście to były zrobić lata temu. Dziewczeta, którym od wieków odbierał serca i życie, Merek, mieszkańcy Lormere, Almwyk, Tremayne. Członkowie Konklawe. Śmierć tych wszystkich osób ciąży na waszym sumieniu. Moi przodkowie rzucili na niego pierwotną klątwę, prawda, ale to wasi ludzie ją utrwalili: ukrywając go w Tallith, chroniąc go, chociaż pożerał serca niewinnych dziewcząt.

Już otwiera usta, ale nie dopuszczam jej do słowa.

– To się skończy. Teraz. Tak musi być. Czy cokolwiek innego powstrzyma go przed powrotem?

– A Lief Vastel? – Siostra Nadzieja spluwa. – Co z nim?

Odwracam od niej wzrok i wpatruję się w płomienie.

– On też za to zapłaci – mówię wreszcie. Myślę o obejmujących mnie ramionach Lief'a, o jego roześmianych oczach, dźwięcznej melodii głosu, kiedy szeptał mi do ucha.

– Byłabyś zdolna przystawić mu ostrze miecza do karku? – pyta.

Odpowiadam bez wahania:

– Tak.

Po raz pierwszy Siostra Nadzieja patrzy na mnie z aprobatą.

Kiedy Siostra Nadzieja wraca do Siostry Odwagi, sprawdzam, co u Nii, która śpi jak zabita. Wyjmuję butelkę z jej dłoni i okrywam dziewczynę płaszczem. Nie zazdroszczę jej porannego bólu głowy, bo na pewno ją dopadnie. Przesuwam butelkę, żeby jej przypadkiem nie przewróciła. Czuję zapach brandy. Niespodziewanie przywołuje wspomnienia z Lormere. Przypominam sobie, jak Merek przystawiał kielich do moich ust, a stojący za nim Lief przypatrywał się temu z zazdrością. Ten obraz na chwilę pozbawia mnie tchu, jego moc jest obezwładniająca. Odsuwam butelkę, siadam i utkwivszy wzrok w ciemności, powracam myślami do Lormere, Mereka i wszystkich triumfów, na które liczył po ostatecznym zdobyciu tronu.

Z zamyślenia wyrywa mnie Kirin. Właśnie wrócił. Naburmuszona mina chłopaka skutecznie zniechęca do konwersacji. Podnosi butelkę, po czym mija

mnie i siada w ciemnym kącie stodoły. Chcąc nie chcąc, siadam naprzeciwko Siostry Nadziei przy Siostrze Odwadze; wsłuchujemy się w jej zmęczone oddechy, liczymy upływające pomiędzy nimi sekundy. Już kilka razy zdążyłam pomyśleć, że umarła, ale ona kurczowo trzyma się życia i co jakiś czas z trudem oddycha. Po raz kolejny uderza mnie jej młody wiek. Czy nie jest zbyt młoda, by zamknąć się w zakonie? Nie, Siostry Naeht nie tworzą w istocie zakonu religijnego.

– Czy mogę o coś spytać? – rzucam cichym szeptem, gdy ogień dogasa na tyle, by ukryć w ciemności nasze twarze.

Siostra Nadzieja potakuje.

– Żadna z Sióstr nie jest alchemiczką, prawda?

– Nie. Gdybyśmy były alchemiczkami, nie mogłybyśmy pełnić publicznej posługi jako zgromadzenie duchownych.

– Nie jesteście zgromadzeniem duchownych, prawda? Chyba nie takim prawdziwym? – pytam. Kręci głową, więc ciągnę: – Ale siostry pełnią publiczną posługę, jak mówisz. Na pewno istnieje spora grupa chętnych, którzy pragną do was dołączyć. Jak sobie z tym radziłyście w miejscu takim jak Lormere, bez pozostawiania w całkowitym ukryciu, jak Konklawe?

Kiwa głową z uznaniem.

– Ukrywałyśmy się w świetle dnia. Najciemniej jest pod latarnią. Helewys nie miała powodu się nami interesować. Byłyśmy zakonnicami, cichymi i pobożnymi. Nikim ponadto. Nie stanowiłyśmy dla niej źródła zagrożenia ani niepokoju. Kiedy z rzadka pojawiały się potencjalne nowicjuszki, wymawiałyśmy się chorobą albo oznajmiałyśmy, że brak wolnych miejsc. Poza tym mieszkaliśmy w Górach Wschodnich, w miejscu, do którego trudno trafić i które trudno znaleźć.

Otwieram usta, przypomniawszy sobie coś, co wiele księżyków temu powiedział mi Merek. „U stóp Gór Wschodnich działa zamknięty klasztor dla kobiet, gdzie będzie mogła spędzić resztę swego życia z dala od nas...”. Helewys byłaby zachwycona, bo gdyby znalazła się w otoczeniu tych wszystkich alchemików, wróciłaby na tron w ciągu kilku dni, a cały misterny plan Mereka spaliłby na panewce. Przez chwilę zastanawiam się, gdzie teraz

przebywa Helewys, po czym przenoszę uwagę z powrotem na Siostrę Nadzieję.

– Czy mogę spytać, jak dołączyłaś do Sióstr?

Przez dłuższą chwilę nie odpowiada.

– Przez mojego męża, ojca Silasa. Był oczywiście alchemikiem. Postanowiłam poświęcić swe życie wspólnocie, jemu. Śluby przyjąłam już po jego śmierci. Dopisało mi szczęście, akurat zrobiło się miejsce.

– Miejsce?

– Może być tylko siedem Sióstr Naeht jednocześnie: Odwaga, Mądrość, Pokój, Miłość, Prawda, Honor i Nadzieja. Każda z nas została nazwana na cześć jednej z siedmiu wież zamku Tallith.

– W takim razie ile już żyło Sióstr Nadziei? – pytam zaciekawiona jej słowami.

– W naszych kronikach zapisano, że jestem dwudziesta dziewiąta. Kiedy umrę, tytuł przejdzie na inną Siostrę. O ile oczywiście zakon to przetrwa. Pamiętaj, że zgromadzenie Sióstr jest... było... dużo mniejsze niż Konklawe. Żyły u nas tylko dwadzieścia dwie osoby, łącznie z Siostrami, z czego tylko dziewięcioro alchemików. Konklawe liczyło siedemdziesiąt dusz, jednak alchemikami była mniej niż połowa. Są gatunkiem na wymarcie.

Czyli na całym świecie pozostało mniej niż pięćdziesięcioro alchemików.

– Nia mówiła, że uciekło tylko pięcioro. Czy to prawda?

Siostra Nadzieja opuszcza głowę.

– Stąd potrzeba, by zabrać ich do Tressalyn tak szybko, jak to możliwe.

Wciąż nie jestem przekonana, czy Tressalyn jest miejscem bezpieczniejszym niż Tremayne. Mina najwyraźniej zdradza moje myśli, bo Siostra Nadzieja, uniósłszy brwi, mówi twardo:

– Tregellańscy alchemicy dobrze płacą za swoją prywatność i zachowanie dyskrecji. Wiele tregellańskich skrzyń aż pęka od złota alchemików. Rada będzie chciała chronić swoją inwestycję, zwłaszcza w kontekście toczącej się na tych ziemiach wojny. Będą tam bezpieczni. Ty również.

Marszczę brew.

– Co ma Siostra na myśli?

– Tylko tyle, że do czasu, aż zrobi się bezpiecznie, pozostaniesz pod opieką najlepszych strażników, jakich zdołamy zebrać.

– Nie – zaprzeczam trochę zbyt głośno, bo Nia odpowiada nieartykułowanym mruknięciem i przewraca się na bok. – To niemożliwe. Nie zamierzam się chować.

– Zjadaczko... Twyllo, jesteś naszą najcenniejszą bronią przeciwko Aurekowi. Jediną nadzieją na to, by go powstrzymać.

Po raz trzeci myślę o Lormere. O mojej wieży. O więzieniu.

– Powiedziałam, że to niemożliwe: nie dam się zamknąć. Jeśli chcesz zapewnić mi bezpieczeństwo, Siostro, naucz mnie, jak się bronić. Naucz, jak walczyć. Nie będę siedzieć w komnacie, grzecznie upuszczając dla was krew do miski, kiedy już będziemy mieli miksturę, i pokornie czekając, aż wszystko dobiegnie końca. Drugi raz się to nie zdarzy. Już nigdy się to nie zdarzy!

Posyła mi długie spojrzenie.

– Chodź, powinniśmy odpocząć. – Przenosi wzrok na Siostrę Odwagę, która wciąż walczy ze śmiercią.

– Proszę, nie rób tego. Nie zmieniamy tematu. Chcę, żebyś dała mi słowo – mówię. – Że mnie nie zamkniesz. Bywałam już adresatką manifestów o „wyższym dobru”, które nie zaprowadziły mnie donikąd. Przysięgnij na swojego syna, że mnie nie uwięzisz w Tressalyn.

Jej jastrzębie oczy intensywnie mnie przewiercają, widoczna w bladym świetle twarz nabiera ostrych rysów. Chwila się przeciąga, aż wreszcie kobieta odwraca wzrok.

– Przysięgam na życie Silasa, że cię nie uwięzimy. – Przesuwa się, by usiąść obok swojej przyjaciółki, a ja zwijam się w kłębek z plecami odwróconymi do ściany stodoły i twarzą skierowaną ku palenisku i nieruchomej postaci Nii. Po prawej stronie, w ciemności, słyszę jak Kirin się porusza. Ziemia pode mną jest twarda i sprawia, że czuję wszystkie kości, nawet te, których istnienia nie podejrzewałam. Zanim ogarnia mnie sen, upływa dużo czasu, a twarz Liefa majaczy pod moimi powiekami jeszcze po

zaśnięciu.

Kiedy budzi nas zimne światło poranka, zauważamy, że Siostra Odwaga nie żyje.

Wszyscy rozbudzamy się w tym samym momencie, jakby na wezwanie alarmu. Nia wydaje jęk i podnosi głowę, a Kirin, z czujnym wyrazem twarzy, wyłania się z kąta, w którym się zaszył. Siostra Nadzieja musiała zmienić nocą kwef Siostry Odwagi, w przeciwnym razie nie wyglądałaby ona teraz tak spokojnie, z przymkniętymi powiekami i złożonymi na piersi ramionami.

Siostra Nadzieja staje nad ciałem z mocno zaciśniętymi dłońmi o zbielełych knykciach. Kiedy krzyżujemy spojrzenia, dostrzegam w jej oczach coś nowego. Pewną dzikość, nieokiełznanie. Ale potem mruga i wrażenie znika – znów jest tą samą pragmatyczną przywódczynią Sióstr.

– Niech spoczywa w pokoju – mówi Siostra Nadzieja. – Gdy się posilicie i uporządzicie, ruszymy w drogę. Nia, będziesz czyniła honory.

Czuję suchość w ustach, obrzydliwy posmak na języku. Schylam się i gmeram w worku z żywnością. Wyciągam jedno z jabłek i wbijam w nie zęby, smakując kwaśny sok. Zestaw noży, które zabrałam z Tremayne, jest w drugim worku. Wybieram dwa koziki, wyglądające na najostrzejsze, i wsuwam je za pasek, po czym wychodzę na zewnątrz za Siostrą Nadzieją.

Staję jak wryta na widok Siostry bez kwefu. Jej włosy, szare jak żelazo, otaczają głowę, kiedy odwraca się na dźwięk mojego sapnięcia. Kładzie chusty u swoich stóp, a ja podchodzę i zatrzymuję się przy niej. Bez kwefu sprawia wrażenie dużo niższej, w jej rysach twarzy dostrzegam łagodność i subtelne ślady zmarszczek. Zdjęła też ornat, teraz nosi prostą czarną koszulę i jedną z peleryn, którymi Nia okrywała ramiona. Posyłam jej delikatny uśmiech, ale ona odpowiada mi beznamiętnym spojrzeniem i szybko się odwraca.

Otoczone szarym, zimowym światłem czekamy w milczeniu, aż dołączą do nas Kirin i Nia. Odchodzimy może ćwierć mili, kiedy się odwracam i widzę słup dymu, niebieski na tle pochmurnego nieba. Stodoła znowu płonie. Patrzę na Nię, ale ona tylko wzrusza ramionami. „Płomienie – myślę. – Lormeriański

rytuał pogrzebowy”.

Idziemy przez jałowe wiejskie okolice. Nawet najśłabsze dźwięki i poruszenia sprawiają, że moje serce gwałtownie uderza o żebra. Kiedy niespodziewanie tuż przed naszymi oczami przebiega bażant, wściekle łopocząc skrzydłami, Nia i ja jednocześnie zaczynamy krzyczeć. Nawet Kirin chwytą się za koszulę na wysokości serca. Jedynie Siostra Nadzieja zachowuje spokój i czujność. Wędrujemy wolno, dostosowując tempo do kulejącego Kirina, obserwując wędrujące po nieboskłonie słońce, białą dziurę, która słabowicie promienieje na stalowym niebie. Raz zatrzymujemy się, by napełnić bukłaki, z których kolejno popijamy mętną wodę rzeczną, oraz by rozprostować ramiona i rozmasować łydki. Kiedy dochodzimy do szerszej drogi – Traktu Królewskiego, jak beznamiętnie informuje nas Kirin – widzimy koleiny wyryte w błocie przez wozy, a obok nich zdecydowanie płytsze odciski kopyt i buciorów.

– Wyglądają na świeże – oznajmia Kirin, schyliwszy się, by dobrze się im przyjrzeć.

– Nasi ludzie nie mieli koni – mówi Siostra Nadzieja, po czym klęka przy śladach i wkłada w nie palce.

Czuję mrowienie na karku.

– Być może to ludzie uciekający z Tremayne – mówi Nia z nadzieją, po czym nabiera w płuca sporą ilość powietrza. – Zaraz. Co to jest? – Wskazuje jakiś kształt w oddali i wszyscy podnosimy wzrok.

Przed nami, na horyzoncie, majaczy niewyraźna masa, rosnąca z każdą chwilą do momentu, kiedy udaje nam się ją rozpoznać. Mężczyźni na koniach. Jadą prosto na nas.

Kirin i Siostra Nadzieja natychmiast się prostują i dobywają oręża – Kirin wysuwa miecz z zawieszanej u pasa pochwy, Siostra wyciąga swoje ostrze spod płaszcza. Nia trzyma już w dłoniach noże, wysuwam więc z pochwy i mój miecz, chwytając rękojeść obiema dłońmi. Chociaż jest ciężki i nie mam pojęcia, jak się nim posługiwać, nastrój poprawia mi sam fakt, że mam w dłoniach żelazo.

– Twyllo, uciekaj – ostro rozkazuje Siostra Nadzieja. – Nia, idź z nią. Ukrycie się, aż będziemy mieli pewność, że tu jest bezpiecznie.

– Gdzie mamy się ukryć? – z paniką w głosie pyta Nia.

Nic tu nie ma, stoimy na środku drogi, na otwartej wiejskiej przestrzeni. Kształty przed nami robią się wyraźniejsze. Jest ich trzech. Dwóm jeźdźcom odzianym w czerń przewodzi postać w srebrnej zbroi.

Srebrny Rycerz.

Lief.

Rozdział 4



Co robić? – pytam, biorąc głęboki wdech.

– *Zatrzymamy ich* – mówi Siostra Nadzieja, patrząc na Kirina, który odpowiada chmurnym skinieniem głowy. – Ty i Nia musicie uciekać.

– To się nie może udać. – Rozglądam się niespokojnie. Otaczają nas puste pola, nie widać żadnych drzew ani rowów. Nie ma gdzie się schować.

– Twyllo. – Głos Nii drży, ale jej spojrzenie jest pewne. – Nie mamy wyboru.

Biegnę. Początkowo Nia jest za moimi plecami, potem zrównuje się ze mną, a nasze nogi i ramiona napinają się z wysiłku, gdy tak gnamy przed siebie. Szybko zaczynają mnie palić płuca, po biodrach rozlewa się ból. Potem słyszę metal uderzający o metal i popełniam błąd: odwracam się w biegu, by spojrzeć za siebie.

Siostra Nadzieja zwała jednego z mężczyzn z konia i właśnie zanurza miecz w jego ciele. Kirin walczy z drugim jeźdźcem, który wciąż trzyma się w siodle, jego koń wycofuje się zadem i parska, niezdarnie uskakując przed pchnięciami chłopaka.

A Lief jedzie prosto na nas.

Nie ma na sobie hełmu, za to jego usta i nos zasłania czarna chusta. Włosy są spięte i nie zakrywają twarzy. Zmniejsza dzielący nas dystans, nie odrywając ode mnie swych zielonych oczu, błyszczących z koncentracji.

Przyspieszam, odgłos uderzających w ziemię kopyt jest coraz wyraźniejszy. Zerkam na Nię i dostrzegam wyraz paniki w jej oczach i otwarte w bezgłośnym okrzyku usta.

Odwracam się raz jeszcze, akurat gdy Lief wznosi rękę i zamachuje się mieczem. Odpycham Nię. Obie lądujemy na ziemi.

Przeskakuje nad nami, nie zdoławszy w porę zatrzymać konia. Wykorzystuję szansę i podrywam się na nogi, po czym na oślep rzucam się pędem przez pole, krzycząc do Nii, by szła za moim przykładem.

Postanawiam zaryzykować, podejrzewając, że jestem bardziej łakomym kąskiem i Lief zostawi Nię w spokoju. Mam rację. Zawraca konia i rusza w moją stronę.

Ale niech go diabeł porwie, jeśli myśli, że dopadnie mnie tak łatwo.

Nie przestaję biec, wciąż ściskając miecz. Odgłos kopyt ponownie informuje mnie o tym, że Lief się zbliża. Odwracam się. Prawie mnie dopadł – już wyciąga rękę, jego palce prostują się w moim kierunku. Szaleńczo macham mieczem, ale nie trafiam ani w niego, ani w konia. Nagle czuję ostry ból w karku. Tracę grunt pod nogami. Jego pięść zaciska się na kapturze mojej peleryny. Upuszczam miecz i nieporadnie unoszę ręce do szyi, próbując nabrać powietrza, gdy tak ciągnie mnie za sobą.

Ktoś wydaje okrzyk i wszystko przed moimi oczami się rozmywa. Dotykam kłamry peleryny, próbując ją rozpiąć, ale nie puszcza i zamiast tego czuję, że materiał jeszcze mocniej napina się na mojej szyi. Uświadamiam sobie, że jeśli jej nie rozepnę, to umrę, tu i teraz.

Moje nogi bezwładnie uderzają o ziemię, a Lief jedzie przed siebie, nie wiedząc albo nie troszcząc się o to, że się duszę, i nic, zupełnie nic nie mogę zrobić, aby się uratować. Ogarnia mnie wściekłość z powodu własnej bezsilności i czuję ostatnie, głośnie uderzenie serca w moim ciele. Zaczyna

otaczać mnie ciemność. Gwałtownie wyciągam szyję, klatka piersiowa pali, płuca błagają o dopływ powietrza. „Nie. Nie w ten sposób”.

Nagle słyszę ciche trzaśnięcie, prawie jak westchnienie. Klamra wreszcie puszcza i jestem wolna. Upadam, łapiąc hausty powietrza. Padam na ziemię i turlam się kilka metrów. Moje plecy rozrywa ból, ale nie powstrzymuje mnie to. Nie przestając kaszleć, podnoszę się na kolana, potem wstaję. Ignoruję przy tym rwący ból, od którego mam ochotę zwymiotować. Przez moje gardło przebiega czerwona pręga, a płuca płoną żywym ogniem przy każdym oddechu.

Kiedy zerkam przez ramię, widzę, jak Lief rzuca pelerynę na ziemię i spina konia, żeby się wraz z nim obrócić. Jego oczy miotają pioruny złości. Odwracam się, by uciec, i widzę Siostrę Nadzieję, która jedzie prosto na mnie. Zwalniam krok. Patrzę to na nią, to na Lief, pomiędzy którymi utknęłam.

Siostra Nadzieja dojeżdża do mnie pierwsza. Trzyma wyciągniętą rękę. Chwytam jej dłoń i szybko włożywszy stopę w ostrogę, wskakuję na szeroki grzbiet konia. Niezgrabnie ląduję tuż za nią. Nie zdążam dobrze się usadowić, bo Siostra już zawraca konia, zerkam tylko za plecy i widzę, że Lief pędzi raptem piętnaście stóp od nas. Jego chusta opadła, a rysy twarzy wykrzywia gniew: grymas ust, obnażone zęby. Odruchowo sięgam po zatknięty za pas nóż, który jakby sam znajduje się w moim ręku, i ciskam nim rozpaczliwie.

Unosi ręce zbyt późno, żeby się zasłonić. O dziwo, sztylet trafia w cel, wrzynając się w twarz i zrzucając jeźdźca na ziemię. Lief pozostaje tam bez ruchu.

Siostra Nadzieja popędza konia, uderzając boki zwierzęcia ostrogami. Wracamy do miejsca, w którym Kirin pomaga Nii wsiąść na drugiego wierzchowca. Dwa leżące w błocie trupy to siepacze Lief.

– Vastel?! – krzyczy Kirin, wskakując na grzbiet zwierzęcia za Nią.

– Po prostu jedź! – odkrzykuje Siostra Nadzieja.

Gdy ruszamy, zerkam za siebie raz jeszcze, by dostrzec, jak Lief wstaje, zataczając się na nogach i przykładając ręce do głowy. Opuszcza je, jakby poczuł na sobie mój wzrok.

W miejscu, w którym powinna być jego twarz, widzę czerwoną plamę.

Przy pierwszej sposobności zjeżdżamy z drogi. Galopujemy przez jałowe pola i mały zagajnik, aż docieramy do rzeki Penaluny i kierujemy się wzdłuż niej na południe. Początkowo pędzimy, żeby zostawić Liefę jak najdalej w tyle, zwalniając tylko wtedy, kiedy konie nie wytrzymują tempa. Potem zmieniamy kierunek, wybieramy boczne dróżki, okrężne szlaki, próbując zamaskować ślady, które za sobą zostawiamy. Po upływie zaledwie kilku godzin cienie na trawie wydłużają się i natrafiamy na niewielki młodniak przy rzece. Siostra Nadzieja ponuro kiwa głową i spina lejce, po czym woła do Kirina i Nii, że tu się zatrzymamy. Zsuwam się z konia cała obolała, gdyż od miesiąca nie siedziałam w siodle, i od razu ruszam w stronę brzegu rzeki. Wpatruję się w szary nurt z nadzieją, że wymyje obraz zakrwawionej twarzy Liefy z mojego umysłu.

Jestem zaskoczona, gdy przysiada się do mnie Kirin. Dlatego nic nie mówię – po części jestem pogrążona we własnych myślach, po części czekam, aż on przemówi. Upływa dużo czasu, zanim w końcu się odzywa.

– Jak szyja? – pyta.

Ręką dotykam przetartej skóry na gardle. Mam szczęście, że uniknęłam zmiążdżenia tchawicy.

– Boli. Jednak głowa wciąż się na niej kręci, więc mogło być gorzej.

Nie uśmiecha się.

– Czy wszystko w porządku? – pytam po chwili.

– Wiesz... Dorastałem z nim. Sądziłem, że... – Urywa i potrząsa głową. – Nia wszystko mi opowiedziała, kiedy tu jechaliśmy. O tobie. O nim. I o Errin. A także o tym, co zrobił w Lormere i Tremayne. – Wpatruje się ponad lustro wody. – Był dla mnie jak brat. Lief, którego znałem, nie zrobiłby tego. Ach, wiem – mówi szybko, kiedy otwieram usta, żeby zaprzeczyć – ludzie się zmieniają. Widziałem, co zrobił. Ale ten Lief nijak nie pasuje do Liefy, którego znałem, rozumiesz?

– Oczywiście, rozumiem – odpowiadam tak cicho, że wcale nie jestem pewna, czy mnie słyszy. Rozumiem to lepiej, niż mu się wydaje.

Milczymy, lecz pomimo panującej ciszy nie słyszę, kiedy podchodzi do nas Siostra Nadzieja.

– Jedno mnie martwi. – Oboje wzdrygamy się na dźwięk jej głosu. – Vastel przyjechał od strony Traktu Królewskiego. A przecież tym właśnie szlakiem Siostry i alchemicy podążyliby do Tressalyn...

Kirin marszczy brwi.

– Nie mieli ze sobą żadnych jeńców.

Siostra Nadzieja zaciska usta w wąską linię.

– Nie, ale to nie oznacza, że ich nie znaleźli.

– Pojadę się rozejrzeć – proponuje mężczyzna.

Siostra waha się, bije się z myślami, ale po jakimś czasie potrząsa przecząco głową.

– Nie. Nie powinniśmy się rozdzielać. Poza tym – wznosi wzrok ku niebu – za niecałą godzinę się ściemni. Najlepiej rozbić obóz tutaj i wstać o brzasku.

– Mamy tu spać? – Dołącza do nas Nia, zachwycona tą perspektywą mniej więcej tak samo jak ja.

– Miejsce jest osłonięte, położone blisko wody i z dala od szlaku. Na nic lepszego nie trafimy.

Szeroko otwarte oczy Nii szukają we mnie wsparcia, jakby spodziewała się, że złożę *veto*. Bardzo bym tego chciała, ale czy mam wybór? Wzruszam ramionami.

Jak sędzę po ułożeniu zaciśniętych warg, Nia nigdy nie spała na świeżym powietrzu. Tak samo jak ja. W drodze do Scarron ja i eskorta, którą zapewnił mi Merak, wynajmowaliśmy pokoje w gospodach leżących na wytyczonej przez niego mapie. Zawierała szczegółowe informacje na temat miejsc, ludzi, a nawet tregellańskich smakołyków, które najlepiej zamawiać na kolację. Podzielił się z nami całą swoją wiedzą, którą zdobył podczas podróży. Jak na uciekinierkę czułam się komfortowo. Ale ostatnią noc spędziłam na klepisku w stodole. Być może obozowanie na świeżym powietrzu nie będzie tak złe, jak mi się wydawało.

Prawdopodobnie jest gorsze, niż mi się wydawało. Zaczyna zmierzchać i szybko zapada noc. Zjadamy ostatnie okruszki chleba i dzielimy się wodą. Kiedy układamy się do snu, owinięci pelerynami, próbując znaleźć najbardziej miękką kawałek ziemi, ledwo już dostrzegam moich towarzyszy. Stodoła była ciepła i dawała schronienie. Miała ściany. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że ściany są tak ważne.

Oddechy kompanów – szybkie, nierówne – i stałe przewracanie się z boku na bok zdradzają, że żadne z nas nie śpi. Nikt jednak nic nie mówi. Szum rwącej rzeki jest zbyt głośny, żeby go zignorować. Czasem słyszę plusk ryb, choć wyobraźnia podpowiada mi, że to odgłosy ścigającej nas pogoni. Nagie gałęzie nad nami rozczapierzają się jak ramiona, oświetlane przez niebo zbyt gęsto usiane gwiazdami, by uznać je za dodające otuchy. Po pewnym czasie przysuwamy się do siebie, aż wreszcie leżymy ciało przy ciele; podobnie spałam z moimi braćmi i Maryl, kiedy byliśmy dziećmi. Czuję, że leżąca obok Nia drży, ale nie wiem, czy powodem jest dotkliwie zimno, czy płacz. Siostra Nadzieja jest dla odmiany niewzruszona jak kamień. Nikt nie śpi. Nikt nic nie mówi.

Noc ciągnie się w nieskończoność, a kiedy wreszcie nadchodzi brzask, jestem odrętwiała z zimna. W ciele mi strzyka i wściekam się w milczeniu, sama nie wiem na co. Nie jestem jedyna. Nia warczy na Kirina, kiedy ten dopija wodę, choć sama już ugasiła pragnienie. Siostra Nadzieja strofuje ich oboje. Nic nie mówię, tylko podchodzę do koni, opieram się o nie, wdycham krzepiący zapach siana, który od nich bije. Cieszę się ich ciepłem. Wyglądają na wypoczęte, dobrze zniosły noc.

Ruszamy już niespełna pół godziny po świcie i dzięki kompasowi Kirina szybko odnajdujemy Trakt Królewski. Wciąż jestem śpiąca. Ukołyszana stępem konia, opieram się o Siostrę Nadzieję, lecz zwiększam czujność, gdy zauważam szeroki trakt. Siostra też prostuje się w siodle. Nie widać innych podróżnych. Moglibyśmy udawać, że to z powodu nadchodzącej zimy, ale chyba żadne z nas w to nie wierzy. Na polach wokół nie widać bydła. Nie słychać ćwierkających wróbli. Panuje atmosfera zbliżającej się apokalipsy.

Czuję, jak przez ciało Siostry Nadziei przebiega dreszcz i jak sekundę

później kopie w podbrzusze konia. Zwierzę zrywa się do natychmiastowego galopu, a ja, chcąc nie chcąc, pochylam głowę i wtulam się w Siostrę, żeby pozostać w siodle. Słyszę, jak jadący za nami Kirin miota przekleństwa, mocniej zaciskam ręce wokół talii Siostry Nadziei, bo cwałujemy przez pola na złamanie karku. Pragnę spojrzeć za siebie, zobaczyć, co nas goni. Chcę wiedzieć, czy to on. Kiedy Siostra niespodziewanie szarpie za lejce, jestem nie lada zaskoczona. Kładę dłoń na nożu przy pasie, gotowa, żeby się bronić.

Wtedy ich zauważam.

Siostra Nadzieja osuwa się w moich ramionach jak kukiełka, której poprzecinano sznurki. Gdybym jej nie trzymała, spadłaby z konia. Wyłuskuję lejce spomiędzy jej palców. Kirin mówi Nii, żeby nie patrzyła.

Ja patrzę.

Przed nami, ponad ramieniem Siostry Nadziei, widzę dwie odziane w czerń postaci. Stoją przy drzewach po obu stronach drogi. Ponieważ słowa Kirina zbijają mnie z tropu, nie od razu pojmuję, co się wydarzyło. Lecz po chwili wszystko do mnie dociera, przyprawiając mnie o mdłości.

Pomiędzy skrajem charakterystycznych szat a ziemią rozpościera się długi na trzy stopy pień. Ofiary nie stoją oparte o drzewa. Są do nich przybite.

Kirin zręcznie zeskakuje z konia, sobie tylko znanym sposobem ściągając przy okazji Nię. Postawiona na ziemi dziewczyna od razu pada na kolana, odwracając się plecami do sceny za nami. Kirin wyciąga ręce do Siostry Nadziei, a ta osuwa się w nie, zapominając o prostej postawie. Podprowadza zakonnice do Nii. Obie kobiety się obejmują. Z otwartych ust Siostry Nadziei wypływa bezgłośny krzyk. Nia bierze ją w ramiona i zaczyna głośno płakać.

Kirin i ja bez słowa podchodzimy kilka kroków.

Do drzew po obu stronach drogi zostały przybite Siostry Honor i Mądrość.

Oczy mają zamknięte, ręce ułożone nad głowami – tak wysoko, że nie potrafiłby ich dosięgnąć żaden człowiek. Zastanawiam się, jak to możliwe, i przypominam sobie golemy.

Słyszając, że Kirin znów miota przekleństwa, odwracam się i dostrzegam kolejne dwa ciała porzucone w przydrożnym rowie. Kobiety i mężczyzny.

Żadne z nich nie ma białych włosów, które są cechą charakterystyczną alchemików. To cywile, o których wspominała Nia. Terra i Glin, tak nazwała ich Siostra Nadzieja.

– A reszta? – szeptem pytam Kirina. – Pięciu alchemików. Siostry prowadziły ich do bezpiecznego Tressalyn. – Podnoszę wzrok na Mądrość i Honor. Przypominam sobie ich surowe, chłodne oblicza w Konklawe. Przenoszę wzrok na Nadzieję i Nię, które wciąż klęczą we wzajemnym uścisku.

– Lief nie mógł tego zrobić – wskazuję spętane Siostry i ciągnę półgłosem: – Nie sam. Wątpię, że zrobił to jakikolwiek człowiek.

– Golemy – mówi Kirin, a ja od razu potakuję. Któż inny potrafiłby to uczynić? – On podróżował tam, gdzie my – ciągnie Kirin. – Jechał stąd w stronę Tremayne. Po co miałyby zawracać?

Zakrywam dłonią usta, gdy nagle dociera do mnie prawda. Wracał po nas – a przynajmniej po Siostrę Nadzieję i Nię. Ktoś musiał je wydać.

Nie mieści mi się w głowie, żeby któraś z Sióstr zdradziła tajemnicę, nawet gdyby poddano je torturom. Znam je na tyle, by wiedzieć, że to mało prawdopodobne. Ale alchemicy mogliby to uczynić. Albo cywile. Jeśli pomyśleli, że dzięki temu uratują swoich przyjaciół...

Spojrzenie Kirina wskazuje, że doszedł do takich samych wniosków.

– Gdzie są teraz golemy? – rzucam wreszcie i odwróciwszy się, obejmuję wzrokiem pola. Boję się, że znów wyjdą nam na spotkanie.

Kirin robi długi wydech.

– Śladów, które znaleźliśmy przed spotkaniem Lief... było bardzo dużo. Zostawił je nie tylko on i dwaj mężczyźni, którzy mu towarzyszyli. Zgaduję, że cała banda ludzi Śpiącego Księcia, w tym Lief, wyruszyła na południe, a kiedy spotkała tych ludzi... – Zawiesza głos, a ja niechętnie patrzę na Siostry. – Później musieli pójść dalej, a Lief z dwoma żołnierzami zawrócili. A to oznacza, że Tressalyn jest zagrożone. Nie będziemy tam bezpieczni.

– Nie. – Odwracam wzrok od ciał. Są ułożone w tak nienaturalny sposób, że nie wyglądają na prawdziwe.

– Penaluna jest blisko – mówi Kirin. – To w górach. Mam tam rodzinę. Ukryją nas do czasu, aż zdecydujemy, co robić. Możemy zaszyć się tam i...

– A co później? – Coś płonie we mnie niczym kwas albo ogień i podnoszę podbródek, zaciskając szczęki. – Z tego, co wiemy, Śpiący Książę porwał wszystkich alchemików, których udało mu się znaleźć, i pozabijał innych ludzi. On wygrywa, Kirinie.

– Właśnie dlatego musimy się przegrupować...

– Nie. – Gwałtowność, z jaką zaprzeczam, zaskakuje nawet mnie samą. – Skończyłam już z uciekaniem.

– Gdzie zatem pójdziemy?

– Do Lormere – mówię. – Jedźmy do Lormere.

Kirin się śmieje.

– Chyba całkiem postradałaś zmysły! Mówisz o Lormere, które najechał z dwoma golemami i zdobył w ciągu jednej nocy? O Lormere, które całkowicie sobie podporządkował w niecałe trzy księżyce? Twyllo, Lormere to centrum jego władzy.

– Otóż to! Założę się, że to właśnie do Lormere zabrał Errin i Silasa. Oraz pozostałych alchemików. Musimy ich uratować, jeśli chcemy mieć szansę na to, by go zniszczyć. – Przypominam sobie to, co Siostra Nadzieja mówiła o ukrywaniu się przed Helewys w świetle latarni. – Poza tym to ostatnie miejsce, w którym się mnie spodziewa.

– Nie możemy ot tak najechać zamku, Twyllo – mówi Kirin. – Jest nas tylko czworo. Powinniśmy zgromadzić siły, zdobyć przyjaciół...

Przerywam mu.

– Tak też zrobimy.

– W jaki sposób?

– Czy Nia zdradziła ci, kim byłam? – pytam, a gdy potrząsa głową, wyjaśniam: – Daunen Wcieloną. *Nadzieją*. W oczach mieszkańców Lormere *jestem* ucieleśnieniem zwycięstwa nad przeciwnościami losu.

Kirin sceptycznie unosi brew.

– Ach, wiem. – Daję mu delikatnego kuksańca w ramię, kiedy próbuje mi przerwać. – Wiem, że to wszystko banialuki. *Wiem*. Uświadomił mi to Lief Vastel. – Szeroko otwiera oczy, ale ja ciągnę dalej. – Tyle że to nie ma znaczenia, dopóki ludzie w to wierzą. Dopóki uważają, że przybycie Daunen Wcielonej jest znakiem. Zwiastunem końca wojny.

– To szaleństwo, Twyllo. – Przygląda mi się niespokojnie. – Gdy usłyszysz, że żyjesz i spiskujesz przeciwko niemu, od razu kogoś na ciebie naśle.

– I tak prędzej czy później to zrobi, bez względu na to, czy będę się ukrywała, czy z nim walczyła. Dlatego *decyduję się* na to drugie. Pojedziemy do Lormere. Bocznymi drogami i lasami. Po drodze zbierzemy tylu popleczników, ilu się da. To jest nasz plan. Chodź. – Chwytam Kirina za nadgarstek i ciągnę go z powrotem w stronę Nadziei i Nii.

– Przykro mi – mówię, kiedy podnoszą na mnie wzrok. – Tak bardzo mi przykro. Zapłaci za to. Przysięgam. *Zmuszę* go do odpokutowania za to, co zrobił. W stodole mówiłam poważnie. Nadchodzi początek końca.

Nia i Nadzieja podnoszą na mnie wzrok, który nie wyraża niczego. Wyglądają, jakby ktoś wydrążył je od środka. Ale Kirin wyswobadza nadgarstek z uścisku i szybko ściska moją dłoń. Patrzę, jak kiwa głową. Kiedy odwracam się do Siostry Nadziei oraz Nii, widzę w ich oczach błysk i nieme pytanie.

– Jedziemy do Lormere – mówię.

Następuje pauza. A później...

– Zgoda – odpowiada Siostra Nadzieja. Rzuca to ostrym tonem, przesuwał dłoń w dół, na rękojeść miecza. – Zgoda.

Wieża Mądrości



Aptekarka zajmuje miejsce przy końcu długiego drewnianego stołu. Przebywa w komnacie pełnej ksiąg. Gra w grę. Po przeciwnej stronie stołu pracuje książę. Na porysowanym blacie leży rozłożona mapa. Każdy z jej rogów jest przytrzymywany przez miniaturowego golema. Gdy mężczyzna przesuwając nieożywioną atrapę po mapie – w stronę wrogiej armii zbudowanej z surowszych, źle uformowanych figurek – jeden z ustawionych w rogu golemów unosi rękę i prostuje łokieć. Książę podnosi wzrok spod strategicznej rozgrywki i spogląda na glinianą postać. Uformowana bryłka przestaje drapać swędzące miejsce i wraca do przytrzymywania mapy. Wszystko w tym pokoju sprawia wrażenie nieruchomego, z wyjątkiem aptekarki, która nie przerywa gry. Z miejsca, w którym siedzi, dobiegają rytmiczne uderzenia.

Kiedy golem znów się porusza, wyraźnie przesuwając ciężar ciała, książę wgniata go w stół, aż zostaje po nim tylko plama gliny.

Podnosi wzrok na aptekarkę.

– Źle się dzieje, gdy zaczynają mieć własne zdanie.

Aptekarka, zafrapowana grą, ignoruje wywód księcia. Gra już długo, od czasu gdy on zaczął planować swoją bitwę. Nazywa się to grą w nóż. Wystarczy szeroko rozłożyć dłoń na stole, a potem uderzać ostrzem w przerwy pomiędzy palcami. Raz za razem. Doszła już w tym do dużej szybkości i wielkiej wprawy.

Książę lubi dźwięk noża przebijającego drewno. Aptekarka zręcznie je szatkuje: słysząc cudowny rytm, rodzaj perkusyjnego taktu, podobnego do bicia serca. Podoba mu się też strach, który odbija się w jej oczach podczas zabawy. Dłonie są jej skarbem, perspektywa utraty palca albo przecięcia ścięgna budzi w niej strach. Gdyby tak się stało, mógłby jej podarować Elik sir. Ale ona nie może mieć pewności, że książę rzeczywiście to zrobi. Przecież z jego punktu widzenia nie musi mieć dłoni. Właśnie dlatego książę się przy tym tak dobrze bawi. On sam też nie wie, co by zrobił, gdyby nie trafiła. Spodziewa się, że prędzej czy później oboje się tego dowiedzą.

Kiedy przyspiesza, on robi to samo, przesuwając po mapie figurki toczące wojnę, na którą zawsze się szykuje.

Folguje w ten sposób swym pragnieniom. Nie wierzy, że kiedykolwiek stoczy wojnę, której pragnie. Jego wrogowie są tchórzami. Przyczaili się pod ziemią, gdzie knują przeciwko niemu, i nie spodziewa się, że rzucą mu uczciwe wyzwanie z uchyloną przyłbicą. O, jak bardzo chciałby ich spotkać w bitwie, on i jego Srebrny Rycerz, dowodzący armiami ludzi i golemów. Teraz byłby na to idealny czas; jest niepokonany, niezwyciężony. Nie wierzy jednak, że to się kiedykolwiek stanie. Wierzy, że koniec przyjdzie nagle, gorączkowo – jedna strzała, jeden błąd. Nie jego oczywiście. Jej. Zjadaczki grzechów. Heretyczki. Prawie wszyscy jej sprzymierzeńcy nie żyją albo zostali spacyfikowani. Poza tym postarał się o to, by nie znalazła sobie żadnych nowych sojuszników. Stanowi dla niego jedyne zagrożenie. Gdy zniknie – a to nastąpi niebawem – wszystko dobiegnie końca.

Ale jemu tak bardzo podoba się planowanie wojny.

Przerywa i obserwuje aptekarkę, która bawi się nożem. Ostrze błyska. Czując na sobie jego wzrok, marszczy brwi i próbuje się skoncentrować. Rytm jest wolniejszy, gdy dziewczyna się skupia, a potem szybszy, kiedy odzyskuje

nad sobą panowanie. Irytuje go ta jej pewność siebie. Sięga do kieszeni, w której trzyma jej symulakrum. Dziewczyna zauważa znany jej już gest i w tym samym momencie nóż się obsuwa, a z jej ust wyrывa się krzyk. Książę czuje zapach jej krwi, zanim ją dostrzega – żelazo i sól – i odruchowo oblizuje wargę.

Nóż z brzękiem opada na stół. Aptekarka sięga po niego i choć krwawi, nie potrafi przeciwstawić się jego rozkazowi – ma kontynuować grę, nie przerywać zabawy. Książę wyjmuje jej symulakrum spomiędzy fałdów koszuli i odrywa kawałek papieru z talii kukielki.

Ręka dziewczyny zamiera. Rozkaz traci moc i aptekarka odzyskuje władzę nad ciałem.

Spogląda na nóż, potem na księcia i nagle wydaje się jej, że ściany się poruszyły, zwężyły, jakby się ze sobą zetknęły, choć w dalszym ciągu są od siebie oddalone.

– Zrób to. – Jego słowa są uwodzicielskie, przypominają szept kochanka w ciemności. – Śmiało, Errin. Zrób to.

Krew skapuje na stół, rozlega się głucho echo uderzenia noża.

– Nikogo poza nami tu nie ma. – Gestem wskazuje pokój. – Żadnych strażników. Żadnych sług. Jesteśmy sami. Tylko ty i ja. – Spogląda na kukielkę i ją podnosi, po czym rzuca na stół tak, żeby znalazła się w zasięgu jej ręki. – Proszę. Teraz jestem bezsilny.

Pierś aptekarki ciężko się unosi. Jej palce drżą, a książę się uśmiecha.

Potem powoli odwraca się do niej plecami. Zagarnia pukiel swych włosów, które opadają na jego klatkę piersiową.

– Tutaj, w plecy, Errin. Dźgnij mnie tutaj, zgoda? – mówi śpiewnie, a jego głos roznosi się po komnacie dyskretnym echem.

Obserwuje go z wahaniem. Podnosi nóż i wpatruje się weń, w subtelny odcień czerwieni lśniący na koniuszku, który przebił jej skórę.

Niespodziewanie książę staje obok niej i delikatnie wyjmuje nóż z jej ręki. Oblizuje kropelkę krwi z czubka ostrza, po czym odkłada je i ujmuje ją za dłoń. Wkłada jej ranny palec do swoich ust i ssie, nie odrywając przy tym

złotych oczu od jej zielonego spojrzenia.

Przesuwa językiem po rance, po czym ją uwalnia. Kiedy dziewczyna spogląda na skaleczenie, okazuje się, że krwawienie ustało.

– Jak sądzę, nie chcesz żadnego Elik siru – mówi księżę chrapliwym głosem, który przypomina aptekarce kogoś innego.

Kręci głową, nie potrafiąc oderwać od niego wzroku.

Później ją uderza. Na tyle mocno, że dziewczyna upuszcza nóż, który instynktownie podniosła.

– Źle się dzieje, gdy zaczynają mieć własne zdanie – powtarza księżę. – Zejdź mi z oczu.

Aptekarka odwraca się i biegnie.

Nagle zatrzymuje się, słysząc stuknięcie po lewej stronie. Dostrzega nóż wbity we framugę kilka cali od jej głowy. Ostrze drży, a ona czuje, że jej nogi także zaczynają dygotać. Ucieka, nie oglądając się na księcia.

Rozdział 5



Ponieważ nie znam Tregellanu wystarczająco dobrze, by odnaleźć drogę z powrotem do Lormere, to Kirin przejmuje prowadzenie i kieruje nas w stronę Almwyk. Teraz jedziemy razem, siedzę przed nim na grzbiecie jabłkowitego konia, ocierając się udami o siodło zaprojektowane dla jednego jeźdźca.

Obok nas jadą Nia z Siostrą Nadzieją, zamknięte w swej prywatnej bańce szoku i żalu. Od kiedy postanowiliśmy pojechać do Lormere, żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Ale czasami kątem oka dostrzegam nieznaczne ruchy Siostry Nadziei, która przesuwa palce po rękojeści miecza. W takich chwilach przez jej oblicze przebiega cień brzydkiego grymasu. Oczyma wyobraźni widzę Liefa z zakrwawioną po moim ciosie nożem twarzą, który ponownie spada z konia, a potem przypominam sobie kobiety przybite do drzew niczym zabawki. Za każdym razem czuję ten sam przypływ narastającego gniewu i mimowolnie zaciskam szczęki, walcząc z nieodpartym pragnieniem popełnienia jakiegoś brutalnego czynu.

Wcześniej udało nam się zdjąć ciała. Kirin z ponurą miną opierał się o drzewo i podtrzymywał moje nogi, a ja po kolei wyciągałam grube żelazne

gwoździe, którymi przybito kobiety. Siostra Nadzieja i Nia czekały na ziemi i chwyciły ciała. Były sztywne i zimne, lecz Siostra Nadzieja każde z nich z osobna obejmowała, całując ich marmurowe policzki. Nie mieliśmy łopat, żeby zapewnić im godny pochówek. Położyliśmy je w rowie obok Terry i Glina, okrywając opadłymi liśćmi i gałęziami – wszystkim, czym się dało, by ochronić je przed padlinożernymi zwierzętami, które na pewno niedługo nadejdą.

– Słońce musimy mieć za plecami – mówi Kirin, już trzeci raz odkąd kierujemy się na zachód, i czuję, jak odwraca się za siebie przez ramię. Ja też zerkam, próbując dostrzec ten słabo błyszczący dysk za kocem chmur.

– Niebawem zapadnie zmierzch. Zatrzymamy się kilka mil przed Newtown i rozbijemy tam obóz. A jutro dotrzemy do Almwyk i szybko znajdziemy się w lasach.

– Byłoby lepiej, gdybyśmy podróżowali nocą – podpowiada Nia z wysokości drugiego konia. – W ciągu dnia jesteśmy zbyt widoczni.

– Tylko słońce wskaże mi drogę do Lormere.

– Kieruj się gwiazdami.

– Nie potrafię. – W głosie Kirina słychać napięcie.

– Bezpieczniej podróżuje się za dnia. – Siostra Nadzieja ucisza ich oboje. – W ciągu dnia możemy przynajmniej dostrzec wszystkich, którzy ku nam zmierzają. Albo za nami jadą. Noc sprowadza ślepotę.

Jej słowa potwierdzają się mniej więcej godzinę później. Na horyzoncie dostrzegamy czarne kropki, które szybko okazują się jeźdźcami na końskich grzbietach. Czuję, jak ciało Kirina sztywnieje, a mój żołądek ściska się ze strachu.

Wstrzymujemy konie. Wyciągam zatknięty za pasem nóż.

Gdy zbliżają się do nas dwie postacie opatulone grubymi pelerynami, moje dłonie stają się śliskie i wilgotne. Nie sposób stwierdzić, czy to mężczyźni czy kobiety, Tregellanie czy Lormerianie. Nóż luźno zwisa w mojej dłoni. Zaciskam rękojeść i swobodnie oddycham, gotowa zadać nagły cios, jeśli zaatakują. Ale obie postacie jadą dalej przed siebie. Kiedy mijają nas

z zasłoniętymi twarzami, czuję mdłości, ponieważ zalewająca mnie adrenalina nie może znaleźć ujścia. Kirin nachyla się nade mną i szeptem pyta, czy dobrze się czuję. Spoglądam na drżący w dłoni nóż i wkładam go z powrotem za pas.

Obozowisko rozbijamy w pobliżu małego strumienia dwie mile za Newtown. Siostra Nadzieja, po krótkiej wymianie zdań z walczącym o dominację Kirinem, sama pieszo udaje się po zapasy do miasta, zostawiając nam konie. Mój żołądek wydaje się mały jak orzeszek. Modłę się, by w przyszłości nigdy nie zabrakło mi jedzenia, nie pamiętam, kiedy po raz ostatni udało mi się tak długo wytrzymać bez posiłku. Bez przekonania rozglądam się wokół w poszukiwaniu czarnych jagód albo korzonków, ale jest już prawie środek zimy, a ja nie jestem ekspertką w zdobywaniu pożywienia i sztuce przetrwania w dziczy. „Errin, gdyby tu była, wiedziałaby, co robić” – myślę, a mój żołądek znów fika koziółka. „Niech nic się jej nie stanie” – wznoszę modły do Bóstw, bo a nuż istnieją, i idę w stronę miejsca, w którym usiedli pogrążeni w ciszy Nia i Kirin. Siostra Nadzieja wraca przed upływem godziny.

– Newtown upadło – mówi, siadając obok nas i przeczesując dłonią włosy.
– Wybudowano w nim bramy. Liche, drewniane żerdzie z rozciągniętym między nimi drutem, ale pilnują ich patrole żandarmów z opaskami Solaris. W pobliżu nie widziałam nikogo, najprawdopodobniej nocami panuje zakaz wychodzenia.

– A golemy? – pytam.

– Żadnego nie widziałam. Ale spodziewałam się tego.

– Nie znalazła Siostra jedzenia, prawda? – pyta Nia.

Siostra Nadzieja potrząsa przecząco głową.

– Przykro mi.

Spędzamy kolejną ciężką noc na gołej ziemi. Sytuację pogarsza lodowata mżawka, która zaczyna siąpić godzinę po tym, jak ułożyliśmy się do snu, i przenika nas do kości. Dzisiejszej nocy nie udajemy nawet dobrego wychowania i spowici deszczem wtulamy się w siebie jak małe, drżące lisiątka. Gdy moje ciało wreszcie sztywnieje na tyle, bym zmusiła się do jakiegoś rodzaju snu, niebo zaczyna szarzeć, a Siostra Nadzieja podnosi się,

burząc nasze legowisko i zmuszając nas do powstania na równe nogi. Wygląda na to, że żadne z nas nie przywykło do głodu, czego dowodem są głośnie burknięcia rozlegające się, gdy próbujemy wypełnić żołądki wodą ze strumienia. Siodłamy konie, a później wyjeżdżamy na drogę i omijamy Newtown, zanim wzejdzie słońce.

Jestem zbyt zmęczona, by mówić – moje ubrania są wilgotne i zaczynają cuchnąć. Kiszki w brzuchu grają nieustannie marsza, mam wrażenie, że szamocze się zamknięty w nim wściekły zwierz, który nie przestaje mnie nękać. Nia garbi się z rękami skrzyżowanymi na brzuchu, twarz Siostry Nadziei wygląda na wynędzniałą. Musimy znaleźć pożywienie, i to szybko.

Tuż po południu dostrzegamy w oddali kolejną grupkę ludzi i całun pochurności, który zdążył nas oblec, nagle znika bez śladu. Pobudzeni niebezpieczeństwem zwiększamy czujność. Gdy ponownie obnażamy broń i przyjmujemy wyczekującą postawę, moje serce zaczyna walić znanym już nerwowym rytmem.

Zauważamy, że podróżują pieszo, we dwoje. Są odziani w brązowe wełniane tuniki, nie w zbroje. Ulga, którą czuję, odbija się również na twarzy kobiety, która tuli do piersi małe zawiniątko. Kiedy spinamy konie i zatrzymujemy się przy wędrowcach, zawiniątko w jej ramionach podskakuje i spomiędzy fałd materiału ukazuje się nie dziecko, czego oczekiwałam, lecz mała czarno-biała psina. Liże jej twarz, a ja mimowolnie się uśmiecham.

Mężczyzna zwraca się do Kirina ze śpiewnym tregellańskim akcentem.

– Jeśli zmierzasz ku Tyrwhitt, to na próżno. Chyba że jesteś poplecznikiem Śpiącego Księcia.

– Newtown spotkał ten sam los. Tremayne również. – Głos Kirina jest szorstki. – Oba miasta upadły.

Obcy mężczyzna przeklina.

– A wiesz, co z Tressalyn?

– Nie. Ale na Trakcie Królewskim widzieliśmy znaki, że po zdobyciu Tremayne armia pomaszerowała na południe, więc...

Mężczyzna smutno kiwa głową. Przypominam sobie, że już wcześniej

usłyszałam nazwę Tyrwhitt.

– Za miastem był obóz, prawda? – pytam. – Dla Iormeriańskich uchodźców. Co się z nim stało?

– Przepadł – mówi. – Zaatakowali go na początku. Złapali tych biednych ludzi w pułapkę niczym szczury. Otoczyli ich płotami. Próbowali się ratować, ale nie mieli najmniejszych szans. Tylko to nas ocaliło: usłyszeliśmy krzyki z Tyrwhitt...

Nie przestaje mówić. Widzę, jak porusza ustami, ale nie słyszę jego słów. Ci biedni ludzie. Moi ludzie. Zostali uwięzieni w obozie setki mil od swoich domów. Dysponowali tylko takim dobytkiem, jaki mogli unieść. I nie potrafili ocalić siebie ani swoich bliskich.

Nie istnieje dobry sposób na życie. Tak samo nie istnieje dobry sposób na śmierć.

Ponownie wzbiera we mnie wściekłość, wypełnia mnie ogień i nieodparta chęć, by ruszyć przed siebie, coś zrobić. Walczyć, mścić się, naprawiać świat.

– ...szliśmy do Tressalyn, ale teraz... – Mężczyzna nie przerywa wypowiedzi. Ponownie skupiam uwagę akurat, gdy pyta: – A wy dokąd zmierzacie?

– Do lasu – odpowiada szybko Kirin. – Póki sytuacja się nie uspokoi.

Mężczyzna znów kiwa głową.

– Wiem, że inni również się tam udali.

Wszyscy milkniemy i widzę, że mężczyzna patrzy na konie, a w wyrazie jego twarzy pojawia się coś przebiegłego. Z wystudiowaną nonszalancją patrzy na mnie i Kirina, a później na Siostrę Nadzieję i Nię, które dotychczas nie odezwały się słowem. Złe przeczucie zamienia się w duszność rozrywającą klatkę piersiową. Próbuje nawiązać kontakt wzrokowy z Nią, ale ona przewierca wzrokiem tobolek niesiony przez mężczyznę, a na jej twarzy odmalowuje się taka sama żądza jak na obliczu nieznanego. Wtedy powietrze zaczyna gęstnieć.

– Powinniśmy jechać dalej – mówię, spinając konia piętami, by rozładować narastające napięcie, które chyba tylko ja wyczułam. To dlatego wszyscy

spoglądają na mnie z zaskoczeniem w oczach.

– Niech wam Bóstwa sprzyjają – pozdrawiam mężczyznę i jego żonę, jednocześnie unosząc rękę, by zauważyli nóż przy mojej talii.

– Wam również – odpowiada z lekką nutką zawodu w głosie.

Sięgam po lejce i trzaskam nimi, zmuszając konia do przejścia w kłus. Pragnę jak najszybciej się od nich oddalić.

– Co się stało? – pyta Kirin, kiedy zwalniam do stępa.

– Nie podobało mi się, jak patrzył na nasze konie. Ani to, jak Nia patrzyła na jego torbę – mówię cichutko. – Nie tylko ludzie Aureka stanowią dla nas zagrożenie. – Widzę, że knykcie Kirina bieleją, zaciskając lejce. – Musimy być ostrożni – mówię. – Konie są bardzo cenne.

– Ty najwidoczniej też – odpowiada Kirin. – Słuchaj, może lepiej...

– Już to ustaliliśmy – wchodzę mu w słowo. – Jedziemy do Lormere.

– Chciałem powiedzieć, że nie powinniśmy im mówić, że zmierzamy w stronę lasu. Zamiast tego powinniśmy byli powiedzieć o wybrzeżu. Lief wie, kim wszyscy jesteśmy i w ile osób podróżujemy. Bardzo łatwo nas wytropić.

– Słusznie. Musimy unikać spotkań z innymi ludźmi na tyle, na ile to możliwe. Koniec z przydrożnymi pogawędkami.

Kirin tylko potakująco kiwa głową, bo akurat podjeżdża do nas Siostra Nadzieja.

– Słusznie rozumujecie – mówi. W tonie jej głosu słychać szacunek, niemal ciepło. Nijak nie zdoła to wypełnić mojego pustego żołądka, ale w dziwny sposób mi pomaga.

Kiedy docieramy na przedmieścia Almwyk, chmura wreszcie się rozpierzcha i słońce oświetla nas słabym, acz krzepiącym światłem. Kirin wiedzie nas przez teren starego obozu tregellańskiej armii – wszystkie namioty, sklepy i stajnie, które według niego tu stały, zdążyły już zniknąć. Pozostało jedynie kilka tkwiących w rozmięklej ziemi rzeczy, spośród których zabieramy wszystko, co może nam się przydać: kolejne noże, buzdygan bez trzonka, mały

miecz, strzaskaną tarczę, wyszczerbiony hełm. Pomyślnym zrządzeniem losu natrafiamy na niezniszczoną rację żywnościową w postaci sucharów, suszonego mięsa i owoców, w połowie zatopioną w błocie przed miejscem, na którym według Kirina stał niegdyś namiot kapitana. Rzucamy się na to jak wygłodniałe wilki. Choć suchary są twarde jak kamień i powinnam martwić się o swoje zęby, nie potrafię przestać wpychać ich do ust. Podobnie jak pozostali. To chyba najlepszy posiłek, jaki kiedykolwiek jadłam. Wyjadamy rację do ostatniego okruszka, zapijając ucztę wodą ze studni w wiosce. Kirin pokazuje mi splądrowaną starą chatkę Errin, w której rabusie nie zostawili nawet znoszonego płaszczka. Znajduję jedynie egzemplarz starych tregellańskich opowieści: leżące pod odwróconą do góry dnem skrzynią tomiszczce oprawione w poślaczaną skórę.

Już mam je spakować, żeby jej oddać, kiedy pojawia się nowe wspomnienie: Liefa leżącego na moim łóżku w Lormere i opowiadającego mi o tym, jak jego matka czytała mu te opowieści. Ciekawość bierze nade mną górę i otwieram księgę, ale ze stronic wyziera twarz Aureka. Wrzucam tom do paleniska, jakby parzył mi dłonie. Pod wpływem uderzenia ruszt przesuwa się, ukazując ukryte pod spodem aptekarskie utensylia. Na ich widok Nia wydaje okrzyk i zaczyna ostrożnie zbierać aparaturę. Nawet Siostra Nadzieja się uśmiecha. Pakujemy wszystko w nabożnym skupieniu. W ostatniej chwili decyduję się jednak dołożyć do naszego zawiniątka księgę. Errin sama zdecydowała, czy zechce ją zatrzymać.

Nie pozostało nam nic innego, jak tylko wjechać do Lasu Zachodniego.

*

Jest to las koszmarów z dzieciństwa. Miejsce, do którego, jak wierzyłam, na wieczne potępienie trafiają duchy tych, których grzechy nie zostały Zjedzone. Przed wyjazdem do Scarron widziałam to miejsce tylko z daleka, podczas wizyt mojej matki. Lecz kiedy wreszcie byłam zmuszona przezeń przejechać, mile zaskoczył mnie widok bujnej zieleni, ciepła i rojnego życia. Nawet teraz sprawia wrażenie mniej chłodnego niż pola poza linią drzew, poza tym jego roślinność wciąż imponuje świeżością. Zsiadamy z koni i gęsiego prowadzimy

je przez las: najpierw idzie Kirin, potem ja, Nia, a pochód zamyka Siostra Nadzieja.

Atak nadchodzi ze wszystkich stron. Najpierw wokół świergoczą ptaki, później następuje cisza i właśnie w tej ciszy się pojawiają. Jest ich czterech, twarze zakrywają im chusty, w dłoniach trzymają groźne zakrzywione kordelasy. Nie noszą żadnych barw, żadnych opasek. Nie są to ludzie Śpiącego Księcia. Gdy uznają, że największym zagrożeniem jest jadący na czele Kirin oraz zamykająca kawalkadę Siostra Nadzieja, powalają ich z bezlitosną skutecznością. Cios z boku w gardło, kolejne uderzenie w brzuch i w ciągu kilku sekund oboje są rozbrojeni. Klęczą, nie łudząc się nawet, że uda im się odpłacić pięknym za nadobne. Wszystko rozgrywa się tak szybko, że ani Nia, ani ja nie mamy czasu, żeby wyciągnąć noże. Nia podaje mi dłoń, którą chwytam i mocno ściskam.

Jeden z mężczyzn, błękitnooki dryblas, podchodzi i zatrzymuje się przed nami.

– Zabierzcie konie – mówię. – Zabierajcie, co chcecie. Tylko pozwólcie nam wszystkim odejść.

– Dokąd chcecie odejść? – Zakrywająca twarz chusta tłumi głos, ale bez trudu można rozpoznać, że należy do mężczyzny, który ku mojemu zaskoczeniu ma lormeriański akcent.

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Ale zapewniam, że nie jesteśmy waszymi wrogami.

Mężczyzna przekrzywia głowę, analizując moje słowa.

– Ten płaszcz musi być bardzo ciepły – mówi, wyciągając rękę.

Ale zanim udaje mu się dosięgnąć materiału, jego dłoń odpycha inna postać.

– Nie dotykaj jej! – prawie krzyczy.

Potem odwraca się do mnie i ściąga szalik. Natychmiast go rozpoznaję.

– Stuan? – pytam, na co odpowiada przełknięciem śliny i potaknięciem.

– A więc to ty? – pyta Stuan. – Tak podejrzewałem, ale twoje włosy...

– Ufarbowałam je, żeby wydostać się z Lormere.

Mężczyzna, którego dłoń odepchnął Stuan, zsuwa swój szalik, ukazując

szczupłą, opaloną twarz.

– Kim ona jest? – pyta.

– To lady Twylla – odpowiada Stuan. – Daunen Wcielona.

Strzelam oczami w stronę Kirina. Teraz zrozumie, dlaczego Lormere było najlepszym pomysłem.

– Zgadza się – mówię, próbując opanować drżenie głosu. – Wiem, że wyglądam trochę inaczej, ale jestem Twylla Morven, Daunen Wcielona, córka zjadaczki grzechów z Lormere i dawna oblubienica księcia Mereka.

Na nikiem nie robi to wrażenia i uświadamiam sobie, jak mało przekonujące muszą się im wydawać moje roszczenia. Ubłocone i cuchnące kasztanowe włosy oraz stary płaszcz na poplamionej krwi sukience. Żadnych klejnotów, czerwonej sukni ani straży. Brak lśniącej broszy nadziei z legend.

– Jakim cudem ona cię dotyka? – pyta ten drugi mężczyzna, ruchem głowy wskazując moją dłoń, którą ściska Nia. – Daunen była trucicielką.

– Nie, ja... – Próbuję dobrać słowa, które najlepiej wyjaśnią uczynek królowej. – Nigdy nie byłam trucicielką. To była sztuczka, kłamstwo królowej.

– Daunen była katem – mówi mężczyzna. – Ty byłaś katem, jeśli, jak twierdzisz, jesteś Daunen. Zabijałaś ludzi. Widziałem to na własne oczy. Służyłem w zamku. Wszyscy wiedzieliśmy, że zabijasz ludzi. Widziałem ciała.

– To była sztuczka – powtarzam. W moim głosie słychać nutę desperacji, którą staram się zamaskować. – Królowa podawała wcześniej truciznę, dodawała ją do posiłków ofiar. Wszystko było zaplanowane co do sekundy, żeby wyglądało tak, jakbym to ja ich zabiła.

Następuje cisza, po której odzywa się Stuan:

– Czyli teraz jesteś zwykłą dziewczką?

– Nie. Nie jestem zwykłą dziewczką. – Nawet gdy mówię, czuję, jak po mojej klatce piersiowej i szyi rozlewa się fala gorąca, barwiąc skórę na czerwono, ale mimo to kontynuuję. – Przybyłam tutaj, by poprowadzić was przeciwko Śpiącemu Księciu. Planuję go pokonać i odzyskać Lormere.

Mężczyźni patrzą po sobie.

– Jest was tylko czworo?

Kiedy tak na nas spoglądają, czuję, że moje policzki znowu płoną, i przechodzi mnie kolejny dreszcz. Moje nowo odnalezione poczucie sensu zdaje się słabnąć, chyba nie było oparte na solidnych fundamentach. Zerkam na Kirina; obserwuje mnie ze smutkiem, jakby się tego spodziewał i bardzo chciał mi tego zaoszczędzić. Nia i Siostra Nadzieja też milczą z kamiennymi obliczami. Zastanawiam się, jak rozegrałaby to Errin – najpewniej już by kogoś uderzyła. Później mimowolnie myślę o Helewys i o tym, jak potrafiła snuć opowieść, sprawiając, że nawet najstraszniejsze rzeczy brzmiały racjonalnie. Wiarygodnie. Przekonująco.

– Owszem. Choć kiedy pokonałam jego golema w Tremayne, było nas tylko dwoje.

Przez twarz Stuana przebiega cień zdziwienia. Przygląda mi się badawczo, a ja wyprostowuję się, próbując przybrać władcą pozę. Teraz albo nigdy.

– Słuchajcie, musimy wracać do obozu – odzywa się wreszcie Stuan. – Zapada zmrok. Możecie... – Urywa i patrzy na przyjaciół, którzy powściągliwie kiwają głowami. – Jeśli chcecie, możecie jechać z nami. Tam się rozmówimy.

Czuję, że wszyscy mnie obserwują.

– Prowadź – zarządzam.

Odwraca się do mnie plecami, a za jego przykładem postępują inni. Po chwili rusza za nimi Nia, a Siostra Nadzieja ujmuje lejce konia i do niej dołącza. Czuję, że Kirin próbuje nawiązać ze mną kontakt wzrokowy, ale tym razem go ignoruję i nie odrywam wzroku od Siostry Nadziei, do której próbuję się zbliżyć. Suchary ciążą mi teraz w brzuchu jak ołów. Strasznie żałuję, że je w ogóle zjadłam.

Rozdział 6



Prowadzą nas w stronę obozu, schowanego między drzewami i oddalonego o około osiem mil od miejsca, w którym nas znaleźli. Od morza obozowisko dzieli raptem kilka mil. Po drodze przez Las Zachodni trochę rozmawiamy i okazuje się, że wszyscy mężczyźni służyli w zamku: jeden był stajennym, drugi ogrodnikiem, a drab, który zaatakował Siostrę Nadzieję, strażnikiem – jak Stuan – chociaż nigdy nie pilnował akurat mnie. Mężczyźni prowadzą z nami życzliwą pogawędkę, wesoło zagadują zwłaszcza Kirina, pytając go o Tregellan i działania Aureka. Ze mną nikt nie rozmawia, nikt też na mnie nie patrzy. Pomimo moich wcześniejszych zapewnień wszyscy zachowują bezpieczny dystans. Tylko Nia, gdy ścieżka jest wystarczająco szeroka, idzie przy moim boku, pomagając mi przejść pomiędzy drzewami, chociaż w zasadzie nie potrzebuję pomocy. Za każdym razem podejrzliwie zerka na towarzyszących nam mężczyzn.

Prawie trzy godziny zajmuje nam dotarcie do ich obozu, gdzie jednocześnie odwraca się ku nam jakieś pięćdziesiąt par zaciekawionych oczu.

W samym środku tej gromady, ponad olbrzymim kotłem, stoi władczą kobieta o klasycznej lormeriańskiej urodzie – wyrazistych rysach

i podejrzliwym spojrzeniu.

– Kogoście znowu przyprowadzili?

Już mam się odezwać, powtórzyć swoją przemowę, kiedy Siostra Nadzieja występuje naprzód, powstrzymując mnie delikatnym dotknięciem.

– Jestem Nadzieja, Nadzieja Kolby. To jest Nia, a to Kirin – przedstawia nas reszcie. – Mniemam, że Twyllę Morven znacie wszyscy, chociaż lepiej kojarzycie ją zapewne jako Daunen Wcieloną.

Ponad tłumem unosi się zbiorowe westchnienie, ale Siostra Nadzieja – obecnie Nadzieja Kolby – nie przerywa monologu, tylko zagłusza szmer.

– Nia i Kirin są Tregellanami, ale ja pochodzę z Lormere, jak Twylla. Urodziłam się w Monkham. Niezmiernie się cieszymy z tego spotkania.

Wszyscy się we mnie wpatrują, a ja trzymam się prosto i wysoko unoszę głowę.

– Dobrze – kontynuuje Nadzieja. Mówi mocnym, acz życzliwym głosem. – Jestem przekonana, że słyszeliście o Twylli wiele wyspanych z palca opowieści: że jest trucicielką i może was zabić. Nie może. Przynajmniej nie przez skórę. – Wypowiedziawszy te słowa, Nadzieja obejmuje mnie matczynym gestem, wywołując kolejne westchnienie tłumu. Jedna z kobiet chwyta rękę stojącego obok olbrzymiego mężczyzny. Z jakiegoś powodu przyglądam się jej uważniej.

– Lady Shasta? – pytam.

Kiwa głową, która chwieje się na długiej szyi niczym kłos kukurydzy.

– Zdołałaś zbiec?

Kolejne skinienie głową.

– Jak?

Twarz kobiety wykrzywia grymas bólu.

– Kiedy nadeszły wieści o napaści Śpiącego Księcia, przebywaliśmy na zamku Chargate. Mnie odesłano, ale mój mąż postanowił walczyć. Zginął. – Spuszcza głowę, jej olbrzymi towarzysz powtarza ten gest. Pomimo straty szybko znalazła pocieszenie.

– Przykro mi – mówię. Potem ktoś z tłumu krzyczy:

– Ona żyje!

Odwracam się w kierunku tej postaci – kobiety, która wymierza palec w obejmującą mnie Nadzieję.

– Powinna być martwa. Dotknęła ją Daunen. Czemu nie padła trupem?

– Oczywiście, że żyję – odpowiada Nadzieja, zanim zdolałam się odezwać. – Helewys łągała, okłamywała was wszystkich. Włącznie ze stojącą tutaj Twyllą. Jestem pewna, że cisną się wam na usta kolejne pytania, i wiem, że Twylla chętnie na nie wszystkie odpowie oraz przedstawi swoje plany. Ale podróżujemy od bardzo dawna. Pragniemy odpocząć. I chcielibyśmy skosztować odrobinę tego pokarmu, jeśli coś zostało.

Tłum patrzy na nią, na mnie, a potem na kobietę zarządzającą kotłem i mam nieodparte wrażenie, że czekamy na jakiś wyrok.

– My jesteśmy z Monkham – odzywa się ktoś z naszej lewej strony. – Prowadziliśmy sklepik przy Starej Alei.

Napięta atmosfera znika ot tak, a kobieta przy ogniu podnosi misę pełną owoców, po czym podaje ją Nadziei. Siostra postępuje krok przed siebie, mruknąwszy pod nosem: „Bądź cierpliwa. Niech do ciebie przywykną”. Następnie odbiera ofiarowaną strawę i siada obok kobiety, która przed chwilą zabrała głos. Dwie niewiasty szybko pogrążają się w rozmowie. Kirin wzrusza ramionami i robi to samo. Niebawem wszyscy siedzimy wokół ognia, wbijając zęby w wiewiórcze, jak mi powiedziano, mięso ugotowane przez kobietę, która prawie rzuciła we mnie miską. Od czasu do czasu czuję na sobie czyjś wzrok, ludzie posyłają mi ukradkowe spojrzenia, próbując dostrzec w mojej twarzy pierwiastek potomkini Bóstw. Nikt nie chce przy mnie usiąść. Nikt do mnie nie mówi, nikt nie pyta o to, gdzie przebywałam, ani o nic innego. Radują się, że mogą porozmawiać z Nadzieją, Kirinem i Nią. Mnie natomiast ignorują.

Domyślałam się, jak mnie postrzegają: faworytka Helewys, trucicielka, córka Bóstw. Zdystansowana. Niedotykańska, niedostępna i odosobniona w każdym sensie. Naprawdę wierzyłam, że ludzie będą zadowoleni, wręcz podekscytowani moim widokiem i planem pokonania Aureka. Sądziłam, że

czekają na wybawcę, który ich poprowadzi. Zamiast tego niepewnie przebąkują o włączeniu nas w harmonogram obowiązków: gotowania, szorowania, polowania. Jakbyśmy planowali zostać w tym lesie na zawsze. Nikt nie wspomina o odwecie. O rewolucji. Jakby woleli pozostać tam, gdzie rzucił ich zły los.

Czuję w sobie ziejącą pustkę. Znam to uczucie, natychmiast je rozpoznaję. Uczucie bezsensowności, słabości, współludziału. „Istnieją sprawy zbyt wielkie, by z nimi walczyć” – w mojej głowie odzywa się głos – kobiecy, lormeriański, charyzmatyczny. „Pozostań dobrą dziewczynką”.

– Nie, kłamiesz! – Z myśli wyrywa mnie krzyk Nii. Miska leżąca na kolanach bladej jak trup dziewczyny z brzękiem spada na ziemię. Mężczyzna, z którym rozmawiała, od razu się naburmusza, wzrusza ramionami i wraca do pałaszowania posiłku.

Kirin wstaje i odprowadza Nię, a zaraz potem towarzystwo zaczyna się rozchodzić. Wszyscy niespiesznie kierują się w stronę rozwieszonych pomiędzy gałęziami płócien imitujących domy.

– Co się stało? – Pochyliam się w stronę Nadziei, której twarz skrywa cień przyćmionego blasku ognia.

– Aurek sprzedaje porwanych alchemików – oznajmia bez ogródek. – Ofiaruje ich szlachcicom i baronom miejskim. Moźni dostaną też kopalnię złota z prawem wiecznego użytkowania. Wystarczy, że przysięgną mu lojalność. Jeżeli wspomogą Śpiącego Księcia swoimi ludźmi i potęgą, jeśli utrzymają swe okręgi miejskie w ryzach i będą tłamsić wszelkie próby rebelii, wtedy zatrzymają całe złoto wyprodukowane przez alchemików – bez zbędnych pytań, bez podatków. Podobno dwóch alchemików odebrało już sobie życie, żeby nie trafić do niewoli.

– *Sprzedaje ich?*

– Wystawia na aukcji, mówiąc precyzyjniej.

Teraz rozumiem, co tak przeraziło Nię.

– A co z Katą? – pytam, ale Siostra Nadzieja potrząsa głową.

– Nie wiemy. Ale szybko musimy do nich dotrzeć.

– Niemożliwe, żeby wszyscy byli skorumpowani – mówię. – Na pewno ktoś mu się przeciwstawia.

Siostra Nadzieja posyła mi pozbawione wyrazu spojrzenie.

– Oferuje im też Elik sir. Kiedy już „się sprawdzą”, cokolwiek miałyby to oznaczać, wszyscy jego sprzymierzeńcy otrzymają życie wieczne.

Ogarnia mnie absolutna furia. Przez moment nie jestem w stanie się poruszyć. Jak śmie! Ciałami alchemików płaci za utrzymanie mieszczan w ryzach. Czuję piekący ból. Moje dłonie same się zaciskają, paznokcie wrzynają się w gładką skórę. Rozwieram je i układam płasko na kolanach, po czym biorę głęboki oddech.

– Co robimy?

– To zależy od ciebie – mówi siostra Nadzieja. – Pokazałam tym ludziom, że nie stanowisz dla nich zagrożenia, ale nie przekonam ich, by za tobą podążyli. Sama musisz to zrobić. I to szybko. Za twoją głowę wyznaczono nagrodę, Twyllo. A zima zapowiada się sroga. Pamiętaj, że musisz go przelicytować, zaoferować coś lepszego.

Ma rację. Oczywiście, że ma rację. Ale jak to zrobić?

Wydają nam koce. Stuan pomaga Kirinowi zbić dla nas coś w rodzaju namiotu w niewielkiej odległości od miejsca, w którym obozują pozostali. Zakładam, że to z mojego powodu. Ogień wygasł. Strażnicy z pierwszej warty zajmują swoje pozycje. Kirin dołącza do nich na ochotnika. Zwijam się w kłębek za Nią, delikatnie masując jej ramię. Czuję, że głaszcze moją dłoń, ale nic nie mówi. Nadzieja leży za moimi plecami. Wsłuchuję się w obozowe chrapnięcia i poświstywanie. Muszę sprawić, by za mną podążyli, zyskać ich szacunek. Ale nie chcę tego czynić na modłę Helewys, budząc w nich strach. Jestem kimś innym i nie zamierzam się do niej upodobnić ani nawet jej udawać. A jeżeli nie chcę, żeby mnie wydali, muszę zapracować na ich lojalność. Muszę sprawić, by mnie polubili.

Postanawiam spróbować. Następnego dnia niespiesznie spożywam śniadanie, obserwując, jak funkcjonuje obóz, i usiłując odgadnąć, kto tu rządzi. Przypomina mi to odrobinę pobyt w zamku i próby rozszyfrowania hierarchii

władzy. Mężczyźni, których spotkaliśmy wczoraj, w tym Stuan, szybko jedzą posiłek i znikają w lasach, podobnie jak inna grupka – trzy kobiety i mężczyzna – uzbrojona w łuki. Wszystko wskazuje na to, że pełnią ważną funkcję. Są myśliwymi i obrońcami obozu. Dwaj mężczyźni przy ognisku ostrzą miecze i noże, gawędząc z hagańskim akcentem. Kiedy pozostali, w tym lady Shasta, zaczynają zbierać ubrania do przepierki, dostrzegam szansę.

– Pomogę wam – oferuję. – Skoro już tu jestem, to niech się na coś przydam.

Patrzę po sobie, po czym się obracają. Kiedy robię to samo, zauważam, że bacznie przygląda mi się kucharka. To ona jest przywódczynią. To ją muszę do siebie przekonać.

– Dość już mamy ludzi do prania – mówi.

– W takim razie może pomogę wam z jedzeniem? – Nadal nie rezygnuję.

– Nie potrzebuję twojej pomocy, dziewczyno.

– Chcę się jakoś przysłużyć.

– Trzeba opróżnić nocniki – mówi jedna ze stojących za mną kobiet. Odwracam się, ale nie jestem w stanie stwierdzić, która z nich to zaproponowała.

Przenoszę wzrok na przywódczynię, która wzrusza ramionami w taki sposób, jakby właśnie rzuciła mi wyzwanie. Jest pewna, że odmówię. Chce, żebym odmówiła.

– Świetnie. Gdzie stoją?

Wpatruje się we mnie, po czym jeszcze raz wzrusza ramionami.

– Przy tamtym rządku drzew. Ich zawartość trzeba wylać do dołu w lesie. Będziesz musiała wykopać nowy. Nie za blisko rzeki i nie za blisko obozowiska. Potem nocniki należy wyczyścić i odnieść z powrotem.

– Tak też zrobię.

Opróżnianie własnego nocnika nie jest niczym przyjemnym, ale prawdziwy wstręt budzi opróżnianie trzech wspólnych urynałów używanych przez cztery tuziny ludzi. Smród jest niemiłosierny, ale wykonuję zadanie, przenosząc je po dwa naraz na odległość półgodzinnego spaceru od obozu. Gdy tak je noszę,

maksymalnie wyciągnawszy przed siebie ręce, mózg nieustannie podpowiada mi taki oto scenariusz: potykam się, wpadam w jeden z urynałów, a zawartość drugiego wylewa mi się na głowę. Wykopuję przekłety dół i wlewam do niego zawartość nocników, wzdrygając się przy rozbryzgu. Potem przynoszę wodę z rzeki i przepłukuję je, raz za razem, aż wreszcie znika z nich ostatni ślad brudu. Następnie zanoszę je z powrotem. Myśliwi zdążyli już wrócić do obozu i jedzenie się gotuje. Nikt się do mnie nie odzywa. Bez słowa odbieram miskę zupy i podchodzę do Nii, choć prawdę mówiąc, nigdy nie byłam mniej głodna. Gdybym robiła to podczas naszej wędrówki, raczej nie narzekałabym na brak żywności.

Nia jest blada i zmartwiona, ale gdy przy niej siadam, marszczy nos i nieznacznie się odsuwa.

– Bez obrazy, ale cuchniesz.

Nie czuję się obrażona. Ma rację. Rozumiem, gdy wieczorem przenosi się na drugą stronę namiotu. Ale muszę robić swoje. Muszę zyskać ich przychyłność.

Następnego dnia znowu czyszczę nocniki. Kolejnego dnia również. I kolejnego. Wciąż nikt się do mnie nie odzywa i mam wrażenie, że cofnęłam się w czasie. Sytuacja się powtarza: rzekomo jestem ważna, ale pozostaję na marginesie wszystkiego. „Niech do ciebie przywykną”.

Piątego dnia opróżniam nocniki bardzo sprawnie i szybko. Po powrocie słyszę, że jeśli dokładnie wyszoruję dłonie, mogę pomóc w przygotowywaniu jedzenia. Już zaczynam myśleć, że poczyniłam jakiś postęp, ale wtedy dostaję zwłoki trzech zajęcy.

– Trzeba je oskórować i wypatroszyć. – To jedyne instrukcje, jakie otrzymuję.

Nie robiłam tego od bardzo dawna, ale wszystko pamiętam. Odruchowo zanurzam paznokcie w bebeczach zwierzęcia, po czym wyciągam jelita i wrzucam je do ognia. Ema, przywódczyni i kucharka, od razu odbiera ode mnie oporządzone zwierzaki – nie potrzebuje już mojej pomocy. Podejrzewam, że niektórzy odmówią posiłku, gdy się dowiedzą, że dotykałam mięsa, ale, o dziwo, nikt nie grymasi.

Mnie apetyt nie dopisuje. Ruszam do namiotu, w którym tylko ja zasypiam jeszcze przed zachodem słońca. Jutro znowu wstanę i opróżnię nocniki. Pojutrze zrobię to samo. Popojutrze najpewniej również. I wciąż nie będą mnie za to lubili. Powtarza się Lormere. Marnuję czas – stopniowe postępy Aureka narażają nas wszystkich na coraz większe niebezpieczeństwo. Nie wiem jednak, co innego moglibyśmy zrobić. Nie wiem, jak sprawić, by ludzie mnie lubili. Nigdy nie wiedziałam. Nie jestem jak Errin czy Nia, nie mam ani ich charyzmy, ani zapalczywości. Nie jestem tak zdolną aktorką, jak Lief. Nie jestem nawet podobna do Siostry Nadziei, która jest dyplomatką i zawsze wie, co powiedzieć. Ja jestem zbyt dziwna, zbyt cicha, zbyt poważna. Trudno mnie lubić.

Leżę zawinięta w koce, oddychając przez usta z powodu otaczającego mnie fetoru, kiedy nagle wyczuwam kogoś obok. Przewracam się i w poświacie księżycy dostrzegam sylwetkę Nadziei.

– Co robisz? – pyta.

– Śpię.

Zgrzyta zębami.

– Nie o tym mówię, Twyllo. Chodzi mi o to całe męczennictwo polegające na myciu nocników i oporządzaniu zajęcy. Co ty próbujesz osiągnąć?

– Robię to, co zasugerowałaś. Pozwalam im się do siebie przyzwyczaić i próbuję wzbudzić ich sympatię.

– Nigdy ci nie kazałam wzbudzać ich sympatii. Masz ich tylko skłonić do podążenia za tobą.

– Co za różnica?

– Przywództwo – mówi. – Prawdziwe przywództwo opiera się na szacunku. Zaufaniu. Żaden człowiek nie będzie słuchał rozkazów osoby, która opróżnia jego nocnik i cuchnie jak latryna.

– Nie wiem, jak sprawić, by mnie słuchali. – Słyszę jękliwy ton w swoim głosie i nienawidzę się za to. – Myślałam.. Myślałam, że będzie jak w Konklawe. Myślałam, że mnie posłuchają.

– Dlaczego?

Jej pytanie zbija mnie z tropu.

– Bo... Wy wszyscy mnie posłuchaliście. Również Errin w Scarron. W Konklawe też obiecali walkę u mojego boku.

– Wiedzieliśmy, że rokujesz największe nadzieje na to, by go pokonać. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z tego, czym jesteś i do czego jesteś zdolna. Oni tego nie wiedzą. Dla nich jesteś zwykłą chłopką, wychowaną na trucicielkę, która w dodatku utraciła dar.

– Co mam zatem robić? – Frustracja czyni mnie bezsilną. – Kim mam się stać, żeby zyskać ich szacunek?

– Na to pytanie musisz odpowiedzieć sobie sama. I to szybko. Jak już mówiłaś, czas ucieka. Ale, na litość boską, wykąp się, zanim coś postanowisz.

– Rzuca mi czymś w twarz. Kiedy to zdejmuję, Nadziei już nie ma, a ja ściskam w ręku czystą wełnianą suknię o rudobrunatnej barwie oraz dosychające prześcieradło.

Słyszę dobiegający z obozu śmiech i chociaż wiem, że nie ma nic wspólnego ze mną, dotyka mnie w jakiś sposób.

Ma rację. Nikt nie podąży za mną tylko dlatego, że jestem, jaka jestem. Z Errin przy boku wszystko wydawało się o niebo łatwiejsze. Och, gdyby mogła tu ze mną być!

„Ale jej tu nie ma – karcę się w myślach, ogarnięta wściekłością. – Przestańże już! Nie chodzi o Errin. Ani o Mereka. Ani o Maryl. Chodzi o ciebie. Choć raz w swoim żalonym życiu przestań żyć dla innych ludzi. Żyj dla siebie”.

Czuję potrzebę ruchu, który pozwoli mi uciec od złości. Chwytam kawałek szorstkiego mydła i ruszam w stronę strumienia, zrzucając z siebie po drodze kolejne warstwy ubrania. Zanurzam się w lodowatym nurcie, który wysysa z moich płuc powietrze i dogłębnie mnie oczyszcza. Kiedy wkładam głowę pod lustro wody, by umyć włosy, ciało przeszywa skurcz. Mam wrażenie, że staję w płomieniach, ale jest to zimny, czysty ogień. Pełen celowości i obietnicy. Ogień, przez który można przejść i z którego można powstać. Szoruję się i szoruję do momentu, aż dostrzegam czerwień we włosach. Kiedy wreszcie wychodzę z wody, która nie jest już zimna, i zakładam przez głowę

suknię, czuję się jak nowo narodzona. I jestem głodna.

Wróciwszy do obozu, zauważam, że większość ludzi poszła już spać, dobieram się więc do resztek pozostałych w garnku i pałaszuję je przy blasku tłącego się drewna. Podnoszę wzrok na niebo, na którym czerwienieje zachodzące słońce. Jutro pogoda znowu będzie ładna. „Czerwone niebo nocą napęlnia Daunen radości mocą”, jak mówi przysłowie.

Daunen śpiewem budziła swego ojca, by ten odebrał niebo Bogini Naeht.

Niespodziewanie jak grom z jasnego nieba dociera do mnie, co powinnam zrobić. Co powinnam była zrobić na samym początku. Nic się oczywiście nie zmieniło. *Ja* muszę to zmienić. Właśnie to przez cały ten czas było moim problemem. Jeżeli mają zobaczyć we mnie przywódczynię, to muszę przewodzić.

Następnego ranka, tuż przed świtem, budzę Nię, Nadzieję i Kirina. Potrząsam ich ramionami, aż zaczynają gderać. Potem wybudzam resztę obozowiska, z całych sił waląc w kocioł drewnianą łyżką. W ciągu minuty na polanę wylega tłum rozzłoszczonych Lormerian.

– Chodźcie za mną. – Przybieram władczy ton, próbując brzmieć jak dumna Twylla. – Wszyscy. Teraz.

Odwracam się i idę, jakbym oczekiwała, że za mną podążą. I chociaż trwa to krótką chwilę, po odgłosach poznaję, że większość z nich rzeczywiście rusza z miejsca. Za plecami słyszę liczne kroki. Stopy szurają po liściach, skrawki płaszczy prześlizgują się po leżących na ziemi gałęziach.

Raźnie mierzam w kierunku, w którym według Stuana leży wybrzeże, nie zapominając o jaśniejącym nad naszymi głowami niebie. Przez niespełną godzinę idę naprzód, nie odwracając się za siebie. Nie wiem, ile osób za mną podąża. Wreszcie wychodzę poza granicę lasu i spoglądam w dół, na rzekę Aurmere – szeroką szarą wstęgę wijącą się w stronę morza Tallithi.

Słyszę, jak idący za mną ludzie powłóczą nogami i gderają niechętnie. Patrę w prawo, gdzie ponad wierzchołkami drzew prześwituje pasmo Gór Wschodnich. Kiedy nad szczytami przelewa się słońce, oprószając ziemię i wodę barwą złota, zaczynam śpiewać.

Wyszłam z wprawy, mój głos jest surowy, lecz wciąż jest to mój głos, który niesie pieśń w stronę świtu. Śpiewam *Jasność i dal*, *Caraca i Cedanę* oraz *Błękitną łanię*. Przypominam sobie wszystkie pieśni, które śpiewałam na dworze, i przyśpiewki, których za młodu nauczyłam się w chacie matki. Śpiewam długo, aż do momentu, w którym moje struny głosowe zaczynają wydawać się przetarte. W trakcie koncertu słońce wschodzi coraz wyżej, a nad Lormere jaśnieje brzask.

Gdy brakuje mi już piosenek, odwracam się i zauważam, że patrzą na mnie wszyscy mieszkańcy obozu. Niektórzy obserwują mnie czujnie, inni gapią się z rozdziawionymi ustami, a jeszcze innym po policzkach spływają łzy. Kilka osób trzyma dłonie na sercach, tuli swoich bliskich. Lady Shasta wręcz łka, Ema kiwa głową – jakby w takt uderzanego bębna, którego nikt inny nie słyszy. I nie obchodzi mnie, czy przyszli tu kierowani wiarą, czy ciekawością. Teraz mnie widzą. Teraz mnie znają. To moja jedyna szansa.

– Był czas, gdy utożsamialiście mnie ze śmiercią – mówię. – Wiele się od tamtej pory zmieniło. Dla nas wszystkich. Miejsce jednego tyrana zajął inny tyran. Helewys była suką – spluwam. – Nienawidziłam jej tak samo jak wy. Ale Aureka, Śpiącego Księcia, nienawidzę jeszcze bardziej. Przy jego żądzy krwi Helewys jest niewinna jak aniołek. A on wcale nie zamierza przestać. Nie musi; ma potwory i możliwości, o których Helewys mogła tylko pomarzyć. Jeżeli go nie powstrzymamy, wszystko sobie przywłaszczycy, wszystko zniszczy i wszystko zniewoli. A ja mogę go powstrzymać. – Przerywam i przypatruję się im. Patrzą prosto w oczy każdemu z osobna, na sam koniec zostawiając sobie Stuana.

– Wyznałam ci, że nie jestem trucicielką, i taka jest prawda. Ale dla Śpiącego Księcia każdy cal mojego ciała jest trujący. Jestem dla niego katem, za którego mnie uważaliście. W każdej baśni tkwi ziarenko prawdy, a w wypadku tej baśni prawda jest właśnie taka: jestem jego trucizną, jego śmiercią. I wywiążę się ze swej roli.

Czuję wsparcie stojącej z tyłu Siostry Nadziei. Nie uśmiecha się, nie okazuje emocji, ale promienieje dumą, która mnie wypełnia i dodaje mi sił.

– Jeżeli chcecie żyć w lesie jak zwierzęta, to zostańcie w nim sobie.

Popadnijcie tu w zapomnienie i poczekajcie, aż uratuję wasze królestwo i przywrócę w nim prawa. Ale jeśli są wśród was ludzie odważni, niech zwiną obozowisko – mówię. – Ja już nie będę kryła się po lasach. Wyruszymy w stronę Gór Wschodnich. W południe. Znajdziemy tam azyl dla wszystkich. Postaramy się tam dojść w ciągu tygodnia. I przygotujemy się do walki. Już czas pokazać Śpiącemu Księciu, że świt wstanie. Bo świt zawsze wstaje.

Nie czekam na żadną reakcję i szybko precyzyjnie się przez ciżbę, wracam do obozu.

Wiem, że za mną pójdą.

Rozdział 7



Przed upływem doby udaje nam się zwinąć obozowisko i spakować niewielki dobytek. Kiedy nastaje zmrok, jesteśmy już trzy mile głębiej w lesie, spożywając racje, które Ema, kucharka, przygotowywała przez cały dzień. W nocy leżymy pod morzem płótna, ściśnięci jak sardynki drzemiemy aż do brzasku. Z nastaniem świtu wstajemy i kontynuujemy marsz.

Idziemy powoli, uważnie, zabierając po drodze napotkanych przybłądów i uchodźców i krok za krokiem zbliżając się do Lormere. Podczas podróży przez las droga do Scarron zabrała mi cały dzień, ale wtedy jechałam na koniu, i to po głównym trakcie. Teraz musimy kryć się i przekradać, wysłać zwiadowców – Kirina, Stuana i kilku innych – by sprawdzali drogę i informowali nas o tym, co przed nami. Muszę uzbroić się w cierpliwość. Wciąż przypominam sobie, że musimy być ostrożni, że to dopiero początek podróży.

Gdy znajdujemy się jakieś dwie mile poza granicą lasu, dochodzą nas głosy dzieci. Na początku nie jestem pewna, czy to nie omamy słuchowe. Akustyka w lesie bywa zdradliwa. Nie bez powodu Lormerianie uważają to miejsce za nawiedzone. Odwracam się jednak w kierunku, z którego dobiegają odgłosy,

i widzę, że pozostali też marszczą brwi. Dopiero gdy ostry, piskliwy krzyk urywa się tak szybko, jak zabrzmiał, podniesioną ręką daję znak, by nikt się nie ruszał, i próbuję zlokalizować źródło dźwięku. Gdzieś z tyłu dobiega kilka chrząknięć, ale odwracam się i potrząsam głową. Odgłosy ucichają. Dołączają do mnie Nadzieja i Kirin.

– Co to było? – półszepcem pyta Nadzieja.

– Nie jestem pewna. Brzmiało jak niemowlę albo małe dziecko. Może się zgubiło? Zgubiło się rodzicom. – Nadzieja posyła mi zmartwione spojrzenie, na które odpowiadam podobnym.

– Pójdę zobaczyć – mówi Kirin.

– Co z twoją nogą?

– Nic mi nie jest. Dobrze się czuję. Dam radę.

Kiedy znika pomiędzy rachitycznymi drzewkami, odwracam się do pozostałych. Szepczę do Nii, że musimy coś sprawdzić, i proszę, aby przekazała tę wiadomość dalej: niech wszyscy trzymają się blisko i nic nie mówią. Wiadomość krąży z ust do ust, ludzie zaczynają odkładać torby i dobytek, przysiadać na pieńkach i gnijących kłodach, wyjmować z tobołków żywność i wodę, a niektórzy z nich odchodzą między drzewa, żeby załatwić potrzeby fizjologiczne.

Piętnaście minut przeradza się w pół godziny, a potem w godzinę, co można stwierdzić po sunącym w stronę horyzontu słońcu. Ludzie zaczynają się niepokoić. Jesteśmy blisko granicy lasu i powinniśmy, według obliczeń Nadziei, wyłonić się z niego trzy mile na północ od Chargate. Później mamy się nie wychylać, zachować czujność, obejść Monkham i jezioro Baha, a następnie podążyć rzeką na wybrzeże i ruszyć wzdłuż jego linii w góry. Znosi się na długi i niebezpieczny marsz, a opóźnienie nikogo z nas nie uspokoi.

Właśnie zamierzam poprosić Nadzieję, by poprowadziła wszystkich przodem, podczas gdy ja poczekam na Kirina, kiedy wyłania się on spomiędzy drzew z obliczem, na którym walczą ze sobą wściekłość i przerażenie.

– W lesie są żołnierze – szepcze, kierując się w moją stronę. Żałuję, że nie

począł, aż do mnie podejdzie.

Z ust wyrywają się sapnięcia i krzyki, ludzie padają sobie w objęcia i sięgają po broń.

– Cisza! – uspokajam ich syknięciem. – Skoro ja ich stąd usłyszałam, to oni nas też mogą usłyszeć! – Natychmiast zapada cisza. – Powiedz nam, co widziałeś – proszę Kirina, próbując zachować opanowany i stanowczy ton głosu.

Kirin sięga po bukłak Nii, która oddaje mu go bez słowa skargi. Bierze wielki łyk, przepłukuje usta i spluwa na ziemię. Dopiero wtedy krzyżuje ze mną spojrzenia.

– Rozbili obóz trzy mile na zachód stąd. Widziałem w lesie polanę z pięcioma namiotami tregellańskiej armii. Są wśród nich ludzie i dwa golemy.

– Obóz? – pytam. – Rozbili obozowisko w lesie. Czy to jakaś baza? Przyczółek do marszu na Tregellan? – myślę głośno.

Kirin potrząsa głową.

– To nie jest zwykły obóz. Nie przesłyszalaś się, to rzeczywiście był krzyk dziecka. – Przełyka ślinę. – To obóz jeniecki dla dzieci.

W grupie wybucha seria niespokojnych rozmów. Nawet ja jestem tak zaskoczona, że pozwalam, by ten harmider trwał dłużej niż powinien. W końcu ich uspokajam.

– Cicho! Chcecie, by nas wszystkich złapali?

Posyłają mi kilka wrogich spojrzeń, ale uciszają się, a ja ruchem głowy daję Kirinowi znak, by kontynuował.

Z grobową miną opowiada dalej.

– Widziałem je. Są w różnym wieku, chłopcy i dziewczynki. Wyprowadzali je z namiotów w dziesięcioosobowych grupkach i wysyłali do innego namiotu na obrzeżach obozu. To chyba były latryny – przebywały tam tylko kilka minut. Potem zabierano je z powrotem do ich namiotów i wyprowadzano kolejną grupkę. Oddzielali chłopców od dziewczynek. Wszystkich dzieci pilnowało kilkunastu mężczyzn i dwa golemy. Nie było innych dorosłych. Wokół obozu stoi płot – gałęzie z naostrzonymi końcówkami wbite w ziemię jak włócznie.

– Ile ich według ciebie tam jest? – pytam.

– Naliczyłem sto dziesięcioro.

– Skąd pochodzą?

– Chargate – mówi Nadzieja. – To miasto położone najbliżej lasu. Jestem przekonana, że to dzieci z Chargate.

– Dlaczego zabrali dzieci? – pyta Breena, córka wytwórcy łuków z okolic Hagi. – Do czego im są potrzebne?

– Do kontroli – błyskawicznie odpowiada Nadzieja. – Wystarczy zabrać dzieci, żeby wymusić posłuszeństwo. Bo czegoż nie zrobią rodzice dla bezpieczeństwa swoich dzieci?

– Bogowie... – Wzdycham. Cóż za spryt. Cóż za nikczemność. Arystokratom płaci za lojalność, a pospólstwo trzyma pod butem, porywając dzieci. – Sądysz, że robi to wszędzie, we wszystkich większych miastach? – pytam, a ona potakująco kiwa głową. – Ach, biedni ludzie!

– Musimy coś z tym zrobić – odzywa się Kirin. – Powinniśmy uwolnić te dzieci. Jest tam tylko około trzynastu mężczyzn. I dwa golemy. Nas jest więcej. Zdołamy ich pokonać.

Odwracam się, by spojrzeć na naszą bandę uchodźców. Mamy przewagę liczebną. A ludzie tacy jak Stuan, Ulrin, Hobb i Tally to wyszkoleni rycerze. Wiele kobiet też potrafi się bronić. Ale w bezpośrednim pojedynku z żołnierzami i golemami, bez ognia do walki z glinianymi potworami... Widzę, że on też to sobie uświadamia, ale odpycha od siebie racjonalne przesłanki. Potrzeba działania jest silniejsza niż rozum.

– Uda się nam! – nalega. – Naszą przewagę stanowi czynnik zaskoczenia.

– A później? – pytam łagodnie. – Założmy, że zdołamy ich pokonać. Co zrobimy z dziećmi?

– Zabierzemy je ze sobą.

– Przeprowadzimy grupę dzieci przez Lormere w góry? Kiedy się o tym dowie, każe pozabijać ich rodziny...

– Przecież musimy coś zrobić! – Ema, utkwivszy we mnie wzrok, powtarza słowa Kirina. Również pozostali patrzą na mnie w oczekiwaniu na jakąś

reakcję.

– Zrobimy. Obiecuję. Ale zrobimy coś sensownego.

Odchodzę od tłumy, wierząc, że Nadzieja skłoni ich do zachowania spokoju przy zadawaniu Kirinowi kolejnych pytań. Idę w stronę drzew. Muszę pozbierać myśli. Coś rzeczywiście musimy zrobić. Nie były to puste słowa.

Ale jakiego rodzaju działanie nie ściągnie na głowy ich matek i ojców niebezpieczeństwa?

Wyobrażam sobie tych wszystkich przerażonych rodziców. Wyobrażam sobie, jak się buntują i stają po mojej stronie. Śpiący Książę jest potężny, ale jeżeli uda mi się zgromadzić ludzi – Lormerian... Jeżeli wszyscy powstaną w tym samym czasie... Jeżeli zdołam ich zjednoczyć...

Głowa zaczyna mi pękać, kołacze się w niej zbyt wiele myśli. Dostrzegam pień drzewa i siadam na nim, delikatnie strząsając pajaka, który jakimś sposobem zaplątał się w moją sukienkę. Przywiera do mojego palca. Patrząc, jak umyka po mojej dłoni, odwracam ją i chwytam żyjątko drugą ręką, żeby nie wpełzło mi pod rękaw. W końcu wyciągam dłoń, zachęcając robaka, by wszedł na rosnące obok drzewko.

Podczas gdy się wspina, ja patrzę w dal.

Musimy wysłać sygnał. Na tyle jasny, by dawał nadzieję, a jednocześnie nie na tyle prowokacyjny, by Aurek uderzył na Lormerian. Coś, co odwróci jego uwagę od mieszczan, ale nie skieruje jej bezpośrednio na nas. Przynajmniej nie całkowicie. Jeszcze za wcześnie, by się o nas dowiedział.

W mojej głowie rodzi się pomysł. Wstaję i powoli wracam do swoich.

– Kirin, Nia! – wołam przyjaciół, a oni szybko podchodzą. Kiedy spoglądam na ich twarze, pomysł nabiera kształtów i krystalizuje się w moim mózgu. Wtedy, ku ich zaskoczeniu, uśmiecham się.

– Co myślicie o tym, by zostawić dziś wieczorem w Chargate wiadomość?

Nadzieję odsyłam razem z innymi. Ponuro marudzi coś na temat głupoty przedsięwzięcia.

– Jesteś naszym jedynym atutem, którego nie możemy utracić! – mówi

oskarżycielskim tonem, gdy się rozstajemy. – Czyś ty kompletnie oszalała?

– Coś zrobić musimy.

– To nie musisz być ty.

Sęk w tym, że to muszę być ja. To ja muszę ich poprowadzić. Ja powinnam poświęcić swoje życie na szali, jeżeli chcę pozostać przywódczynią i zaskarbić sobie lojalność. Muszę pokazać ludziom, że będę z nimi walczyła w pierwszym szeregu. Że ja również jestem w stanie wziąć na siebie ryzyko, o podjęcie którego ich proszę. Zadamy pierwsze uderzenie od czasu, gdy im obiecałam, że pokonam Aureka.

Widziałam przerażenie w ich oczach, kiedy Kirin powiedział nam o dzieciach. Prosili, żebym coś z tym zrobiła. Zdali się na mnie. Dlatego muszę pozostać w centrum wydarzeń, a wszelkie niebezpieczeństwo, na jakie się narażam, to kwestia drugoplanowa. Muszę pozostać przywódczynią i wziąć udział w powstaniu.

Mówię Nadziei to wszystko, a ona w reakcji wyrzuca ręce w powietrze.

– Jeśli cię stracimy, utracimy naszą jedyną szansę na pokonanie księcia.

– A jeśli ja stracę ich – wskazuję drzewa, które zasłaniają przede mną moją armię – to nastąpi mój koniec. To wszystko dotyczy również ich rodzin. Przecież muszą mieć krewnych na tych terenach. Siostrzenice, bratanków, braci i siostry, a może i własne dzieci. Czy nie skorzystaliby na oddaniu mnie Aurekowi? Czy oni sami i ich rodziny nie otrzymaliby za to nagrody? Muszę dać im powód, by tego nie robili. Muszę być lepsza, godniejsza. Muszą we mnie zobaczyć jedyne wyjście.

– Stawiasz wszystko na jedną kartę, Twyllo. I możesz przegrać.

– Przegram na pewno, jeżeli nie zaryzykuję. I owszem, stawiam wszystko na jedną kartę. A tą kartą będą dziecięce bazgroły na murze. Na murze strzeżonym przez jego ludzi, otaczającym miasto, które podbił i zbezczeszczył. Zostawimy znak. Niech wiedzą, że wciąż pamiętamy o ludziach przebywających wewnątrz. Niech wiedzą, że nie wszystkich pokonał. Napisem na tym murze damy im nadzieję. Złożymy obietnicę, że nie zostawimy ich samych. A ludzie przebywający poza murem – moi ludzie – na własne oczy przekonają się, że

ich przywódczyni sama nadstawia kark, próbując urzeczywistnić złożoną obietnicę.

Wreszcie ustępuje – niechętnie, z wściekłością, ale ustępuje. Później ona i większa część grupy wyruszają w góry drogą, którą uzgodniliśmy. Nia, Kirin, Stuan – któremu pozwoliliśmy zostać, gdy udowodnił, że potrafi znośnie imitować tregellańską mowę – i ja zostajemy w lesie.

Plan jest prosty: Stuan w zbroi i Nia w lekkiej pożyczonej kolczudze odwrócą uwagę żołnierzy, wykrzykując coś z tregellańskim akcentem, który rozbrzmi echem w lesie. To odciągnie strażników od murów miejskich, dzięki czemu ja z Kirinem zyskamy sposobność, żeby zostawić na nim naszą wiadomość. Gorąco dyskutowaliśmy nad tym, co i gdzie napisać, aż wreszcie podjęliśmy decyzję.

Dziś wieczorem Wstanie Świt.

Uznaliśmy, że najlepiej zostawić wiadomość na murze zewnętrznym. Dzięki temu Aurek nie będzie mógł zrzucić winy na nikogo z miasta i skrzywdzić dzieci, żeby ukarać mieszkańców. Tak oto wyślemy potrzebną wiadomość w najmniej ryzykowny sposób. Taką mamy nadzieję. W myślach nieustannie analizuję plan, próbując znaleźć przyczynę, dla której może się nie powieść, i choć nie znajduję żadnej, pozostaję niespokojna.

Przypadkiem okazuje się, że jeden z lormeriańskich uciekinierów, Trey, jest garbarzem. Zadaniem Treya było garbowanie i wyprawianie skór na siodła. Uciekając z domu, zabrał ze sobą trochę skór i cennych barwników, żeby wykupić się nimi od niebezpieczeństw. Teraz prosimy go o czerwoną marzannę barwierską, do której dodajemy sok buraczany i mąkę z zapasów Emy. Uzyskujemy gęstą, lepką czerwoną farbę, która nie powinna się zmyć bardzo długo, o ile nie zostanie zauważona. Do wymieszania farby w tregellańskim hełmie, który zabraliśmy z Almwyk, używamy znalezionych na ziemi patyków. Obrywamy też zielone gałęzie, które posłużą nam za pędzle.

Przesuwamy się na skraj lasu, około ćwierć mili od Chargate, i rozbijamy prymitywny obóz. Żujemy suszoną sarninę, którą dostaliśmy na drogę, i mieszamy farbę, dolewając do niej buraczany sok, kiedy zaczyna wysychać. Później po prostu czekamy. Śledzimy przesuwające się po horyzoncie słońce.

W miarę jak zaczyna opadać, spoglądamy na siebie coraz częściej. Powietrze robi się chłodniejsze.

– To szaleństwo – mówi Nia, mieszając kijem farbę. – Nikt wewnątrz nawet tego nie zauważy.

– Nie, ale strażę zobaczą. Ktoś będzie musiał zamazać nasz symbol. I wszyscy zaczną o nim mówić. Wieść rozniesie się po mieście. O to nam chodzi! Nie wysyłamy wiadomości światu, lecz ludziom przebywającym w obrębie murów. Dzięki temu będą wiedzieli, że nie są sami. Że ktoś o nich walczy. Chcemy też, by dowiedział się o tym Aurek. Przekona się, że jego przeciwnicy nie złożyli broni.

– Jeśli nas złapią...

– Nie złapią. To bułka z masłem. Musisz tylko dużo gadać.

– W tym akurat jest dobra – dopowiada Kirin. Stuan i ja mimowolnie się uśmiechamy, a ja mówię dalej.

– Będziecie mieli na sobie zbroje i osłonę w postaci drzew. Musicie tylko zrobić taki raban, żeby nie byli pewni liczby hałasujących. – Patrzę na Kirina, żeby potwierdził plan. Gdy potakuje, ciągnę: – Wtedy przyjdą przeszukać przestrzeń za murami i wezwą pobliskie posiłki.

– I właśnie w tym momencie Twylla i ja odegramy naszą rolę – mówi Kirin.

– Dokładnie. Podczas gdy wy odwrócicie ich uwagę od strony miasta, my zakradniemy się pod mur południowy, zostawimy naszą wiadomość i odejdziemy. Spotkamy się w małym zagajniku dwie mile na północ od miasta.

– Czy na pewno wiesz, gdzie to jest? – Nia odwraca się do Stuana.

Mężczyzna wzdycha.

– Tak. Wiem. Powiem ci to po raz dziewiąty. Dwie mile na północ stąd, rośnie tam kilka drzew.

Wznoszę wzrok ku niebu.

– Powinniśmy już iść. Później spotkamy się w zagajniku.

Nia marszczy brwi.

– Jak długo na was czekać w tym lesie?

Spoglądam na Kirina.

– Jeżeli nie wrócimy przed wschodem słońca, uznajcie nas za zagubionych. Dołączcie do Nadziei i idźcie w góry – oznajmia.

– Ale na pewno wrócimy. I w dalszą drogę udamy się razem – uspokajam.

Wstaję, zbierając nasze prowizoryczne pędzle. Kirin ostrożnie podnosi wypełniony farbą hełm.

– Pamiętajcie: nie dłużej niż pięć minut, później uciekajcie. Bez oglądania się za siebie. No i zmieńcie głosy. Stuan, pamiętaj o akcencie.

– Wstanie Świt! – mówi z prawie nieskazitelnym tregellańskim akcentem. Potem powtarza to samo niższym głosem i choć akcent nie jest już tak wyraźny, wciąż naśladuje go dość sprawnie.

– Idealnie. Tak trzymaj. – Spoglądam na Kirina, a on odpowiada kiwnięciem głowy. – Idziemy.

Gdy przemykamy wzdłuż linii drzew, zaczynam odczuwać niepokój. Ze zdenerwowania bulgocze mi w brzuchu. W ciągu kilku minut jesteśmy na tyle blisko murów, że na flankach widzę ludzi, których blask pochodni zamienia w cienie. Liczę ich: trzy, cztery, pięć postaci po stronie północnej, żadnych golemów. Ze swojej pozycji nie jestem w stanie dostrzec strony południowej, ale zakładam, że strzeże jej taka sama liczba ludzi. Na zachodzie, tam gdzie naprzeciwko bramy głównej rośnie las, przebywa najprawdopodobniej więcej straży.

– Gotowi? – pytam.

Stuan kiwa głową, ale Nia wygląda na sparaliżowaną. Jej twarz stężała, oczy zrobiły się szerokie jak spodki. Bardzo mi jej żal. Przez ostatnie kilka dni widziała tyle złych rzeczy... O dziwo, jej strach dodaje mi odwagi. Chwytam ją za ramiona i odciągam od chłopców.

– Nie musisz iść – mówię jej szeptem – jeżeli nie chcesz albo czujesz się przerażona.

– Niczego się nie boję – odpowiada syknięciem.

– W takim razie jesteś stuknięta, bo ja jestem przerażona.

Patrząc mi prosto w oczy, bierze głęboki, urywany oddech.

– Pięć minut – mówię jej. – Tyle wystarczy. Tylko pamiętaj, co powiedziałam.

– Idę zrobić raban. Zmieniam głos. Trzymam się z dala od murów. Uciekam do zagajnika.

– Właśnie tak. Gotowa? – Kiwa głową w odpowiedzi. – Wy jesteście gotowi? – pytam Stuaną i Kiriną.

– Zróbmy to.

– Policz do tysiąca – poleca Nii Kirin.

Po tych słowach odchodzimy, bezszelestnie krocząc w ciemność.

W chwili, gdy wydostajemy się poza osłonę drzew, zaczynam się pocić. Słuchem łowię dźwięk wypuszczanych strzał. Przekradamy się przez otwarty teren, licząc na to, że chroni nas mrok bezksiężycowej nocy i nasz własny spryt. Mur zachodni dzieli od skraju lasu około tysiąca stóp, ale mam wrażenie, że pokonanie każdej z nich zajmuje rok. Poruszamy się powoli. Kirin wyjaśnił, że szybkie ruchy przyciągają wzrok bardziej niż wolne, dlatego skradamy się, pozostając nisko przy ziemi. Nie zmieniamy pozycji nawet wtedy, gdy moje ciało wprost krzyczy, żebyśmy biegli.

Gdy docieramy do muru, zatrzymuję się i opieram o niego. Całe moje ciało drży, ale Kirin chwyta mój nadgarstek i potrząsa głową. Ponagla mnie, bym szła wzdłuż zachodniego muru. Jesteśmy boleśnie świadomi faktu, że trzydzieści stóp nad ziemią na czatach stoi nasz wróg.

Wreszcie dochodzimy do muru południowego i słyszę szepczące głosy. Śmiech i odpowiedź przyjaciela. Na nocnej zmianie zostało tylko dwóch ludzi. Normalność tej sytuacji wywołuje u mnie dreszcze. Nie zatrzymujemy się jednak ani na chwilę, idziemy dalej, obchodząc granicę ostatniego miasta pomiędzy nami a Tregellanem.

– Czy to wystarczy? – szybko pyta mnie Kirin i oboje się zatrzymujemy.

Odwracam się, choć nie potrafię dostrzec krawędzi murów.

Przez moją głowę przebiega korowód czarnych scenariuszy.

Stuan i Nia mogli zostać złapani. A co, jeśli ludzie z obozu przejdą przez las

i ich odnajdą?

Co, jeśli jedno z nich zostanie zabite?

Co, jeśli... Nie dokańczam myśli, ponieważ ciszę nocy przecina krzyk. Rozlega się nad naszymi głowami.

– Południowy mur! Intruzi u bram! – słyszę czyjś ryk i odgłosy uderzających o bruk buciorów.

– Teraz – mówi Kirin. Wyciąga farbę i wręcza mi pędzel.

Przytrzymuje hełm z farbą, podczas gdy zamaczam pędzelek i maluję po murze zamaszystymi ruchami, sięgając jak najwyżej i rozciągając ręce jak najszerzej. Wymalowuję na murze odezwę „Wstanie Świt”, starając się rysować wystarczająco duże i wyraźne litery. Kirin przesuwa się wraz ze mną. Czuję, jak farba skapuje na moją twarz i dłonie, ale nie przestaję malować. Moje ruchy są szybkie.

Po niecałej minucie kończę i zamieram.

– Idziemy – ponagła Kirin.

Czegoś jednak brakuje.

– Czekaj – mówię i ponownie zanurzam pędzel w hełmie. Maluję linię, poziomą, długą na co najmniej osiem stóp. Nie widzę na tyle dobrze, by zlokalizować środek, dlatego cofam się i zatrzymuję w pół drogi do Kirina, palcami dotykam farby, po czym ponad linią domalowuję półokrąg. Moje oczy z czasem przyzwyczajają się do zmroku i wreszcie wszystko widzę wyraźnie. Dorysowuję kolejne linie – odchodzące od półokręgu promienie.

Nie wszyscy w Lormere potrafią czytać, ale wszyscy wiedzą, jak wygląda słońce. Teraz widzę je jak na dłoni...

Choć wcale nie powinnam go widzieć.

Nieśmiało podnoszę głowę. Obserwuje nas stojący bezpośrednio nad nami strażnik, trzymający wystającą poza obrys muru pochodnię. Jego twarz nie wyraża żadnych emocji.

Kirin, który obserwuje nas z lasu, odwraca się i widzę, jak otwierają się jego usta.

– Biegnij – szepcze.

Coś mnie jednak powstrzymuje. Ta osobliwa mina strażnika. Błagalny i rozpaczliwy wyraz twarzy. Postanawiam zaryzykować.

– Dzieci są bezpieczne! – krzyczę w górę muru, na tyle głośno, na ile starcza mi odwagi. – Przebywają dwie mile stąd. W lesie.

Mężczyzna milczy. Nie odrywa ode mnie wzroku. Po chwili rzuca:

– Przysięgnij.

– Przysięgam.

– Zapewnisz im bezpieczeństwo? – szepcze, a ja w odpowiedzi kiwam głową. – Idź! – syczy, odrzucając głowę do tyłu, skąd dochodzi kolejny głos.

Kirin upuszcza hełm, który zostanie znaleziony jutro rano, i ile sił w nogach biegniemy ku ścianie lasu.

– Tam! Widzę poruszenie!

Dźwięk dobiegającego z góry głosu ścina mi krew w żyłach. Tym razem nie muszę nadstawiać uszu, by usłyszeć odgłos strzał przesywających powietrze sekundę później.

Biegnę z prędkością, o jaką nigdy bym się nie podejrzewała. Jakimś cudem, ścigana przez strzały trafiające w drzewa z głuchym odgłosem, docieram do lasu. Kirin chwytą mnie za nadgarstek i wciąga głębiej, aż dźwięki pogoni cichną w oddali.

Zmieniamy kierunek, skręcamy w prawo i udajemy się na północ, próbując iść równoległe do linii drzew. Truchtamy, biegniemy i potykamy się. I choć bolą mnie nogi, płuca pali gorące powietrze, a tułów piecze jak przesyty ostrzem, idę dalej, ciężko rżąc i sapiąc.

W pewnym momencie Kirin znowu zmienia kierunek i wreszcie wychodzimy z lasu. Przed nami wyrasta mały zagajnik. Teraz mogę odetchnąć.

Kiedy docieramy do lasku, Stuan i Nia siedzą już pod drzewem. Dostrzegają nas i podrywają się na równe nogi.

– Cała jesteś w farbie. – Nia łka, śmieje się i mocno mnie przytula. – Ściśle tajna misja okazała się nietajna.

Stuan i Kirin witają się uściskiem przedramion, po czym i oni po męsku się obejmują. Stuan patrzy na mnie z wahaniem w oczach. Mimowolnie się

uśmiecham i znacząco unoszę brwi. Ku mojemu zadowoleniu mężczyzna rumieni się, po czym wyciąga rękę i szorstko klepie mnie po ramieniu, zmuszając do śmiechu.

– I jak poszło? – pyta Kirin.

– Tak jak przewidywałeś – odpowiada Stuan.

– Był genialny – odpowiada Nia. – Naśladował mnóstwo głosów.

Stuan czerwienieje jeszcze bardziej.

– Namalowałaś napis?

Kiwam głową.

– „Wstanie Świt”. Domalowałam też słońce – dla wszystkich, którzy nie potrafią czytać.

– Widzieli, jak uciekamy – mówi Kirin. – Od razu go zobaczą. Ale będzie tak, jak mówiłaś: zaczną o tym rozpowiadać.

– O tak – potwierdzam. – Będą o tym plotkować i zgłoszą incydent Aurekowi. Wieść się rozniesie. Ludzie zaczną zadawać pytania. Musimy przygotować dla nich odpowiedzi. Wprowadzić naszych ludzi do miast. Dowiedzieć się, czy każdy jest tak lojalny, jak twierdzi.

– Jak mężczyzna na murze?

Myślę o strażniku, który przymknął na nas oko.

– Jak mężczyzna na murze.

– Co? – pyta Nia. – Jaki mężczyzna?

– Chodźcie – mówię. – Góry są daleko stąd. Opowiem wam po drodze.

Wieża Prawdy



Aptekarka śpi na szczycie wieży w łożu, które pomieściłoby cztery takie jak ona. Umościła się jak dziewczynka z baśni, na piramidce jedwabnych poduszek, które w jej opinii wciąż odrobinę pachną inną dziewczyną. Poza tym miejscami pożarły je mole, ale wcale nie to najbardziej burzy spokój aptekarki. Jej krótkie włosy, rozsypane na poduszkach półkuliście niczym aureola, zdają się w blasku księżyca kruczoczarne. Różane usta są lekko rozchylone, przymknięte powieki drgają.

Jej umysłem znów zawładnął książę.

We śnie przebywają w innej wieży. Nigdy jej nie odwiedziła, ale pamięta ją z jego opisów: są w Tallith. Stoją wewnątrz jednej z siedmiu wież okalających centralny donżon. Z okna, przy którym stoi, widzi kładki łączące wieże z donżonem i ze sobą nawzajem. Ten labirynt mostków wybudowano po to, by możnowładcy z Tallith nigdy nie byli zmuszeni stąpać po ziemi, jeśli nie będą mieli na to ochoty.

Wie, że to sen. Wcześniej słyszała raporty, według których wszystkie wieże popadły w ruinę – pięć lat zaniedbań i mało spektakularna erozja wywołana działaniem morskiego powietrza i słonych wiatrów zamieniły je w kikuty,

wyglądem przypominające uzębienie poturbowanego pijaka. Teraz prezentują się jednak tak, jak w przeszłości – są piękne i złote.

Wie, że śni, ponieważ jest w stanie leżeć skierowana plecami do księcia. Panuje nad swoim ciałem.

Księżę przesuwa się za jej plecy, ale jej nie dotyka. Stoi bliźniutko, jego oddech łaskocze jej włosy na karku. Dziewczyna czuje ciepło, które bije od ciała mężczyzny. Jest tak blisko, że mógłby jej dotknąć – tak bardzo jest w tej chwili wyczuwalny. Na jawie jego skóra jest zimna, martwa niczym glina, którą ceni wyżej niż swoich strażników. Jednak zawsze kiedy przychodzi do niej we śnie, jest ciepły. Wolałaby całkowicie usunąć go z głowy, ale ulotny sen jest dla niego jak otwarte drzwi, przez które może wejść i do woli spacerować korytarzami jej sennych marzeń. I choć na jawie może napisać rozkaz i zmusić jej ciało do posłuszeństwa, w snach traci tę moc.

Aptekarka często się zastanawia, czy księżę nie woli przypadkiem snów, ponieważ stanowią one wyzwanie. Być może wysiłek, który musi włożyć w przekonanie jej do swoich zachcianek, stanowi dla niego źródło przyjemności.

– Lubisz to? – pyta mężczyzna.

Aptekarka słyszy szelest szaty towarzyszący jego ruchom. Księżę pochyla się naprzód, aby maksymalnie zbliżyć twarz do jej oblicza, i odzywa się ponownie:

– Zadałem ci pytanie, skarbie.

– Nie nazywaj mnie tak.

Ton jego głosu wskazuje na to, że się uśmiecha.

– Moja pani przemówiła – odpowiada, wyraźnie zachwycony tym, że sprowokował ją do odpowiedzi. – Czy te cudowne usteczka obdarują mnie jeszcze jakimś słówkiem?

Kiedy aptekarka mocniej zaciska wargi, uśmiech księcia robi się jeszcze szerszy. Odwróciwszy się, szepcze wprost do różowego płatka jej ucha.

– Wieża, w której стоимy, to Wieża Odwagi. Tutaj przez krótki czas przebywała prapraprababka twojej przyjaciółki, zanim spróbowała mnie

zabić. – Milknie, przesuwa głowę do tyłu delikatnie jak kocur, tak by jego podbródek otarł się o koniuszek jej ucha. – Tam – pochyła głowę – jest Wieża Mądrości. W niej znajdowały się komnaty, w których mieszkały kolejne prababcie twojego Silasa. Do mnie, jak wiesz, należała Wieża Miłości.

Tym razem czuje na swojej skórze jego rozciągające się w uśmiechu usta.

– Która z tych wież powinna należeć do ciebie? Może Mądrości. Nie... Nie. Masz wiele zalet, Errin Vastel, lecz mądrość nie jest jedną z nich. Ani pokojowa natura. Może Prawda? Widzę w tobie pewną stałość. Niezmienną odmowę przeżycia ze mną szczęśliwych chwil. Myślisz, że oni tam są, Errin? Że knują, jak tu przyjść i cię uratować?

Kiedy chwyta palcem jej podbródek, ona odpycha jego dłoń.

– Nie – mówi. – Tutaj nie muszę tańczyć tak, jak mi zagrasz. – Zimna bryza, jakby wywołana wybuchem jej gniewu, owiewa ją od tyłu i pozostawia na ramionach gęsią skórkę.

Księżę, mierzy ją przebiegłym spojrzeniem, przechyliwszy głowę.

– Ja również uważam, że twoi przyjaciele się tutaj zjawiają, skarbie. Nie przyjdą tu jednak z twojego powodu. Przyjdą po filtromantę, ponieważ to rzadki i wyjątkowy okaz. Interesują ich też inni. Złotnicy na przykład. Ale ty... Ty nie masz w sobie nic wyjątkowego.

– To po co mnie tu trzymasz?

Księżę wybucha śmiechem.

– Odmawiam ci wyjątkowości, a nie użyteczności. Silas wykrwawi się na śmierć, jeśli uwierzy, że uchroni cię to przed złem. Próbował odebrać sobie życie, wytłumaczyłem mu jednak, że spotkałaby cię za to kara. Twój brat natomiast zrobi dla mnie wszystko, o co go poproszę, dopóki będzie mnie uważał za twojego obrońcę. Ułatwiasz mi życie, Errin. Co jest dość osobliwe, zważywszy na fakt, że jak dotąd byłaś raczej źródłem kłopotów dla każdego, kto przewinął się przez twoje życie. Zdradziłaś swojego ojca, pozwalając mu umrzeć. Matkę, pozwalając jej oszaleć. Brata. Przyjaciół. Moich krewnych. Nigdy nie znalazłbym Konklawe, gdybyś mi nie powiedziała, że jesteś w Tremayne ze zjadaczką grzechów.

Za plecami aptekarki zrywa się wiatr. Kiedy odwraca się w stronę okna, chłoszczą ją lodowaty deszcz.

Stojący za nią książę kontynuuje:

– Jestem jedyną osobą na świecie, której nie zdradziłaś. – Czuje, jak ręka mężczyzny przesuwa się po jej kręgosłupie, jak jego kciuk dotyka kolejnych kręgów, podkreślając wybrane słowa mocniejszym uściskiem. – I to wcale nie dlatego, że nie miałabyś na to ochoty. Więc może rzeczywiście powinienem zadać sobie pytanie, po co cię tu trzymam.

Gwałtownie wybudza się ze snu. Tallith znika, a jej oczy próbują przeniknąć głęboką ciemność komnaty. Serce dziewczyny łomocze w tempie przyprawiającym o mdłości, całe ciało zdaje się pulsować do taktu. Pochyliła się, podciąga kolana pod klatkę piersiową i objawszy je rękoma, opiera na nich głowę.

Potem się porusza. Wstaje, prawie potykając się o pościel. Uświadamia sobie, że książę przejął nad nią kontrolę. Próbuje się powstrzymać, chwytając za słupek podtrzymujący baldachim i obejmuje go ramionami. Nogi każą jej jednak iść – są tak uparte, że dziewczyna przesuwa ciężką ramę łoża o cal. Dopiero wtedy zwalnia uchwyt.

Nogi zabierają ją do parapetu. Wspina się nań i staje z twarzą skierowaną na zewnątrz.

W jej śnie w oknie brakowało szyby, ale na jawie jest na swoim miejscu.

Dusi w sobie szloch, otwierając okno na oścież.

Podobnie jak we śnie pogoda jest burzowa: deszcz smaga jej twarz igielkami wilgoci, wiatr podrywa koszulę nocną i chłoszczą po udach. Aptekarka chce okiełznać tkaninę, ale nie może się poruszyć.

– Mógłbym zmusić cię do skoku – mówi cicho książę, który tymczasem pojawił się za jej plecami. – Gdybym napisał tu taki komunikat – unosi kawałek papieru – mógłbym cię zmusić do rzucenia się z wieży. Tutaj bez trudu skłoniłbym cię do postawienia kolejnego kroku.

W aptekarce narasta strach, żółć w jej żołądku przelewa się tak gwałtownie, że dziewczyna zaczyna się zataczać, mimo że książę nie wydał jeszcze żadnego

rozkazu. Wyciąga ręce i opiera się o mur.

Mężczyzna wyciąga pióro spomiędzy fałd tuniki i pisze coś na papierze. Aptekarka czuje, jak do jej gardła podchodzi kwas żołądkowy. Nagle dostaje zawrotów głowy.

Księżę wkłada papier do symulakrum i dziewczyna mimowolnie się obraca.
– Nie – kwili.

Zwraca twarz ku ciemności. Porywisty wiatr i uporczywy deszcz obmywają jej oblicze. Pod stopami nie widzi ziemi. Nic nie widzi.

Słyszy drapnięcie stalówki o papier.

Ugina kolana.

– Proszę – próbuje powiedzieć, lecz słowa nie wybrzmiewają.

Skacze.

Łąduje bez tchu na plecach przy stopach księcia. Przez moment jej płuca pozostają puste i ma wrażenie, że zaraz wyzionie ducha. Księżę patrzy na nią z góry; ten jeden raz w jego oczach nie lśni przebiegłość, ten jeden raz wydaje się niespecjalnie rozbawiony swoimi błazeństwami. Jego głos, gdy przemawia, jest pozbawiony emocji, niezgłębiony.

– Zamierzałem uczynić z nas prawdziwą rodzinę, chciałem poświęcić na to trochę czasu. Posłałem twego brata po matkę, choć potrzebowałem go w innym miejscu, a wszystko po to, by podarować ci odrobinę szczęścia. Nie mam jednak czasu dłużej się z tobą bawić. Nie tylko twoi przyjaciele rozumieją, że da się cię zastąpić. Żyjesz tylko dlatego, że ja wyraziłem na to zgodę. Niestety, moja cierpliwość względem ciebie jest już na wyczerpaniu. Dlatego jutro wieczorem, po zmierzchu, zaprezentujesz się w Wielkiej Sali. Ubierzesz się w jakiś ładny fatałaszek i przywołasz na twarzy najpiękniejszy uśmiech. Wspólnie spożyjemy posiłek w przyjaznej atmosferze. Nie będziesz próbowała pchnąć mnie nożem. Nie spluniesz na mnie ani mnie nie uderzysz. Zachowasz się stosownie do sytuacji. Mówiąc w skrócie, skarbie: specjalnie dla mnie zamienisz się w kogoś *wyjatkowego*, w przeciwnym razie usunę cię z mojej szachownicy. Potrzebuję twojego brata, potrzebuję filtromanty. Ciebie jednak nie potrzebuję. Zapamiętaj to sobie.

Odwraca się w stronę drzwi, po czym przystaje.

– Wieża Skruchy – mówi. – Pod tą nazwą będzie znana. Jako miejsce, gdzie łamie się charakter kłaczy, które puściły się samopas. Ponieważ albo się ugniesz, Errin, albo zginiesz.

Znów zostawia ją na podłodze, zbyt przerażoną, by była w stanie płakać.

Część druga
Errin

Rozdział 8



Czuję, jak obserwuje mnie z przeciwległej strony porysowanego drewnianego stołu. Jego świdrujący wzrok jest ciężki i oleisty jak warstwa brudu. Sprawia, że mam ochotę wskoczyć do balii, szorować się i szorować, aż zmyję z siebie wszystko, po czym mógłby mnie rozpoznać. Gdy jego uporczywe spojrzenie zachęca mnie do nawiązania kontaktu wzrokowego, swędzi mnie skóra. Prawie słyszę, jak mi rozkazuje. Nie chcę tego słuchać. Wolę skupić wzrok na jedzeniu na stole. Mój żołądek się kurczy, chociaż nie z głodu. Trzy miesiące temu odrąbałabym sobie rękę i bez chwili wahania oddałabym ją za zaproszenie na taką ucztę. Mięso lśni soczyście, warzywa pokrywa maślana glazura, chleb paruje przez szczelinę w skórce. Marchewka, groszek, kukurydza. Wszystko wygląda kolorowo i kusząco. Ale on patrzy na mnie w sposób przyprawiający o dreszcze.

– Nie zimno ci, skarbie? – pyta, a ja w odpowiedzi kręcę przecząco głową.

Dwa spędzone tu księżyce pozwalają mi lepiej tolerować chłód, ale to nie od mrozu drzę tak mocno, jakby ktoś przechodził po moim grobie.

– Spójrz na mnie.

Jestem mu posłuszna, bo gdybym próbowała się buntować, ujarzmiłby mnie za pomocą symulakrum. Albo by mnie zabił. Mam bolesną świadomość, że przy drzwiach za moimi plecami stoją dwa golemy przypominające posągi, w które zresztą powinny się zamienić. Wystarczy jednak, że szepnie słówko, a ich potężne gliniane łapska zmiażdżą mi czaszkę. Podnoszę głowę i wytrzymuję spojrzenie a jego złotych oczu z całym spokojem, na jaki mnie stać. Gdy to robię, od razu kiwa głową z triumfem i traci zainteresowanie moją osobą. Wraca do posiłku.

Teraz to ja patrzę, jak on oskubuje mięso z cienkiej kości, upuszczając je na talerz, jego smukłe, lepkie od tłuszczu palce lśnią w blasku świec. Gdy z cicha pogwizduje, jeden z psów wychodzi spod stołu, co przyprawia mnie o dreszczyk strachu.

– Siad! – rozkazuje Aurek, a pies wykazuje się natychmiastowym posłuszeństwem. Księżę wybiera kawałek mięsa i podaje go zwierzęciu, nie drgnąwszy nawet, gdy zębiska kundla zaciskają się na kąsku i wrywają go z jego uścisku. Obserwują się nawzajem, pies i jego nowy pan, po chwili jednak Aurek macha ręką i zwierzę daje nura z powrotem pod stół. Czuję, że żołądek podchodzi mi do gardła, gdy szorstka sierść ociera się o moją suknię.

Aurek unosi kość i dokładnie się jej przyjrząwszy, wysysa szpik. Następnie spokojnie czyści nią zęby – wodzi po siekaczach, nie spuszczając ze mnie złotych, beznamiętnych oczu. Kiedy kończy, rzuca kość na ziemię i słyszę, jak jedna z bestii pod stołem gwałtownie się przesuwa. Potem dobiega do mnie już tylko odgłos chrupania.

– Niewiele zjadłaś, Errin – mówi. – Czyżby jedzenie ci nie smakowało?

– Ależ skąd. Było bardzo smaczne – odpowiadam, dźgając posiłek łyżką. Prawo do posługiwania się nożem straciłam dwa tygodnie temu. Kiedy ponownie przenoszę na niego wzrok, wciąż na mnie patrzy. Z kamienną twarzą.

– Jeśli nie będziesz jeść, zostaniesz nakarmiona.

– Będę – odpowiadam, przysuwając do siebie talerz. Sięgam po udko, kurze, kacze, sama nie wiem, ale nie mogę go podnieść. Dłoń mi drży. Nie mogę. Nie potrafię tego zrobić.

– Otwórz usta. Szeroko. – Aurek się uśmiecha.

Robię, co każe. Wkładam kawałek mięsa w wyschnięte usta i przeżuwam, przeżuwam, przeżuwam. Aurek uważnie patrzy, jak moja szczęka porusza się w górę i w dół, piekąc od powtarzanego ruchu. Kiedy jedzenie wreszcie zmienia się w miąższ smarowidła, zmuszam się do przełknięcia, czując mdłości gdzieś pomiędzy krtanią a sercem.

– Proszę – mówi Aurek, sięgając po swoją czarę i upijając z niej głęboki łyk. Odstawia ją z brzękiem satysfakcji. Wypływająca łukiem z kącika ust strużka wina podkreśla majaczący na jego twarzy uśmiech. – Jesz jak dobra dziewczynka. Chłopcze, przynieś jej jeszcze trochę mięsa. Wybierz drobne kawałeczki. Nie mam ochoty patrzeć, jak miele żuchwą niczym krowa przeżuwająca trawę.

Z wnętrza w komnacie wyłania się służący i pokornie wykonuje polecenie, sięgając po plaster mięsa i rwąc go na małe, dające się łatwo pogryźć kawałki. Ramiona ma zaokrąglone, zapadłe, jakby próbował być niewidoczny, głowę trzyma tak nisko, że jego podbródek dotyka klatki piersiowej. Do oczu napływają mi łzy złości i poniżenia, które pewnie zaraz pojawią się na policzkach.

– Podaj jej to – rozkazuje mu Aurek. Służący dyga i podchodzi do mnie z nowym talerzem, który opiera na nieznacznie drżących palcach.

Moja ręka niespodziewanie podskakuje i wytrąca talerz z jego dłoni. Oboje w przerażeniu patrzymy, jak wszystko, jedzenie i talerz, łukiem przelatuje przez komnatę, a potem półmisek uderza w kamienną posadzkę z głośnym brzękiem, któremu towarzyszą warknięcia wybiegających spod stołu psów. Zatrzymują się, prosząc wzrokiem Śpiącego Księcia o pozwolenie na pożarcie leżącego na podłodze jedzenia. Sługa i ja też odwracamy się do Aureka w oczekiwaniu na to, co zrobi.

A on śmieje się bezgłośnie, z twarzą wykrzywioną wesołością i z mocno zaciśniętymi powiekami. Bierze głęboki oddech i uderzywszy pięścią w stół, wybucha rechotem, któremu wtóruje brzęk pucharów i migotanie świec. Zauważam, że w drugiej dłoni trzyma luźno zwisającą figurkę.

– Ale macie miny... – wykrztusza, a potem ogarnia go kolejny spazm śmiechu. – Ależ mi się to udało! – Przeciera załamane oczy, jego ramiona

wciąż trzęsą się spazmatycznie, a my wpatrujemy się w niego. Wreszcie nasze przerażenie chyba go otrzeźwia, a na twarz wypełza mu grymas złości. Odchyła się na krześle i krzyżuje ramiona.

– Dobra. Posprzątaj to. – Sługa ponownie się schyla, by zebrać jedzenie. – Nie. Nie podnoś. Zjedz.

Wbijam wzrok w Aureka.

– Ogłuchłeś do reszty? Żryj. Padnij na kolana jak zwierzę, którym jesteś, i żryj to.

Prawowity król Lormere bez słowa skargi pada na kolana i pochyła kark. Na czworaka przybliża twarz do podłogi i zjada mięso. Psy wściekle na niego warczą, ale nie wykonują żadnego ruchu w jego stronę. Kiedyś spytałam go, dlaczego go nie pamiętają. Odpowiedział, że zapewne pamiętają, ale zawsze były posłuszne tylko jednemu panu, a on nigdy nie rozkazywał ich watasze.

Aurek obserwuje to w milczeniu, na jego twarzy nie widać śladu rozbawienia. Ja w ogóle nie chcę tego oglądać. Spuszczam tylko wzrok na kolana i miętoszę w palcach szew sukni, przypadkiem robiąc w niej dziurkę. Według Mereka to jedna z sukien należących do Twylli; jest dla mnie zbyt wąska i przyciasna, moją talię i klatkę piersiową uwierają szwy. Zastanawiam się, gdzie Twylla teraz przebywa. Oby tylko była bezpieczna! Staram się wierzyć, że nie straciła ochoty do walki, po tym jak zobaczyła efekty rzezi, którą Śpiący Książę urządził w katakumbach.

Przeprowadził mnie przez usłany ciałami korytarz. Widziałam trupy mężczyzn, kobiet i dzieci, pozostawione w miejscu kaźni. Znad otworów drzwiowych zerwano kotary i podarto je, krew zrosiła kamienne mury. Odwracałam od tego wszystkiego wzrok, kiedy oprowadzał mnie po Konklawe. Gdy weszliśmy do Wielkiej Sali i minęliśmy ciała jednej z Sióstr oraz zjadaczki grzechów, krzyknęłam. Śpiący Książę uśmiechnął się wtedy i objął mnie ramieniem, zupełnie jakbyśmy byli przyjaciółmi. Uczucie triumfu było namacalne, emanowała z niego radość zwycięstwa. Kątem oka dostrzegłam Silasa. Najwyraźniej był nieprzytomny, skrywał go kaptur, był spętany i siedział w ciągniętym przez golema powozie wraz z półtuzinem innych strażników. Nie widziałam go od tamtej pory.

To było dziesięć tygodni temu, a ja wciąż nie wiem, czy Twylli udało się wydostać. Mam taką nadzieję. Mam też nadzieję, że wciąż nie straciła chęci do walki. Muszę jednak przyznać, że nie miałabym pretensji, gdyby podkuliła ogon i uciekła gdzie pieprz rośnie.

Gdy Merek kończy, unosi głowę, lecz nie wstaje z kolan.

– Dobry piesek – chwali go Aurek, a prawdziwy ogar skomli u jego stóp. – To może teraz...

Przed słowami księcia ratuje nas pukanie do drzwi. Atmosfera w komnacie natychmiast się zmienia, napięcie rośnie do granic możliwości. Głos Aureka przywołujący intruza jest ostry jak smagnięcie batem. Sługa, odziany w czarną liberię z wyhaftowanym na klatce piersiowej znakiem Solaris, też to wyczuwa. Składa Aurekowi głęboki ukłon, a na jego bladej twarzy maluje się czyste przerażenie. Patrząc na zwój, który trzyma w drżącej dłoni, i czuję, jak przez mój strach przenika płomyk nadziei.

– Wiadomość, Wasza Łaskawość – oznajmia bez potrzeby mężczyzna, posyłając spojrzenia w kierunku stojących po obu stronach drzwi golemów.

Aurek gestem daje znak Merekowi, żeby wstał i odebrał zwój pergaminu, po czym odsyła sługę, który znika tak szybko, jakby rozpułynał się w powietrzu zaraz po włożeniu zwoju w dłoń Mereka.

Nie czekając, aż Aurek wyda rozkaz, Merek zanosz księciu pismo i zamknąwszy oczy, łamie pieczęć listu, po czym rozwija go na oczach Aureka. Księżę mocno chwyta go za rękę i pociąga w dół, żeby odczytać zapisane na pergaminie słowa. Rzęsy Mereka drgają, bo rozwiera powieki, żeby samemu także przeczytać wiadomość.

– Zostawcie mnie! – wybucha Aurek. – Wynocha stąd, oboje!

Odsuwam się od stołu, żeby natychmiast uciec z komnaty. Merek, którego popędzają wymachujące maczugami golemi, idzie za mną. We wnętrzu Wielkiej Sali słychać łupnięcie, psy zaczynają ujadać, a ja, podwinąwszy spódnicę, biegnę, chcąc jak najszybciej zwiększyć dystans dzielący mnie od Śpiącego Księcia. Nie mam śmiałości przemówić do Mereka. Po odgłosie kroków poznaję, że oddala się ode mnie i zatrzymuje za gobelinem, który zasłania drzwi do kuchni. Nie odwracam się ani nie przystaję.

Biegnę przez nieoświetlone, lodowate korytarze, w których nie ma żywej duszy. Prowadzi mnie blask księżyca, rzucający na podłogę cienie, które przywodzą na myśl więzienne pręty. Wbiegam do biblioteki i zatrzasnąwszy za sobą drzwi, opieram się o nie, pragnąc spowolnić walące w piersi serce. Minuty mijają, a ja wreszcie uspokajam oddech. Nogi przestają mi drżeć. Podchodzę do kominka, w którym zostawiłam płonące szczapy. Wracam w samą porę, bo ogień zaczyna dogasać. Sięgam po książki, które odłożyłam na podpałkę.

Otwierają się drzwi. Kiedy obracam się na pięcie, widzę stojącego w wejściu Mereka z pucharem w dłoniach. Patrzy na mnie, po czym przynosi wzrok na książki, a potem na ogień. Bez słowa podchodzi do jednego ze stolików, kładzie na nim wino i chwytą stojące naprzeciwko krzesło.

– Nie rób... – ostrzegam, ale już za późno. Trzyma mebel wysoko nad głową, a po chwili błyskawicznie uderza nim o posadzkę i rozbija go w drzazgi. Odruchowo zasłaniam twarz dłońmi, bo szczątki unoszą się wszędzie wokół.

Kiedy opuszczam dłonie, Merek dokłada drewna do ognia, używając nogi krzesła jako pogrzebacza.

– Lepiej już, żebyśmy spalili meble niż kolejne książki – mówi znacząco, a ja pomimo zimna oblewam się rumieńcem.

– Przepraszam – odpowiadam. Nie po raz pierwszy przyłapał mnie na dorzucaniu książek do paleniska, żeby się ogrzać. – Mówiłeś, że te się nadadzą.

– Jeśli nie będziesz miała wyboru. Tak powiedziałem. W awaryjnej sytuacji. – Na jego ustach widzę cień smutnego uśmiechu.

Podążam za jego wzrokiem i patrzę na półki pełne luk po książkach, których użyliśmy – których ja użyłam – jako rozpałki. W normalnej sytuacji też bym się przed tym wzbraniała, ale Aurek każe dostarczać drewno na opał głównie do swoich pokojów. Komnata, w której mnie ulokował, też ma mały przydział, ale zdążyłam już zużyć wszystkie zapasy na ten księżyc. Zresztą zbyt częste spotkania w komnacie z Merekiem nie byłyby zbyt mądre. Tutaj wydaje się to dość rozsądne: zawsze coś przynosi, a jeśli przyjdzie Aurek lub ktokolwiek

inny, możemy powiedzieć, że kazałam mu dostarczyć jedzenie lub wino na czas lektury. Z tego powodu siadam przy stole i przyciągnąwszy do siebie księgę o uprawach rolnych, otwieram ją na przypadkowej stronie. Merek, który odpalił kilka świec od trzeszczącego teraz ognia, odwraca się, zaskoczony tym odgłosem.

– Co to było? – pyta, a ja unoszę księgę do góry, tak by mógł zobaczyć okładkę.

Zmrużywszy oczy, odczytuje tytuł.

– Boże, ależ to stare. – Przesuwa się z powrotem do stołu z kielichem w rękę i patrzy na książkę.

– Nic ci nie jest? – pytam łagodnie.

Potrząsa głową, jakby odpędzał muchę.

– Wszystko dobrze.

– Merek...

– Nie chcę o tym mówić. Nigdy. Wolałbym to wszystko wyrzucić z pamięci. A ty? Dobrze się czujesz?

– Doskonale. Powiedz... Co tam było napisane? – pytam. – W wiadomości.

Z jego twarzy znikają wszystkie ślady niezręczności, a w ich miejsce pojawia się pogodna, triumfalna mina.

– Uderzyli ponownie. Wstanie Świt. Zeszłej nocy. Tutaj, w Lortune. – Dla spotęgowania efektu zawiesza głos, a ja gapię się na niego z otwartymi ustami.

– Na drzwiach domu dowódcy namalowali napis „Wstanie Świt” i dorysowali pół tarczy słońca. A potem przez okno wpuścili kilkanaście szczurów. Dowódcę obudziły piski żony. – Prawie się uśmiecha. – Autor listu błagał o wybaczenie. Mówił, że patrol przechodzi co dziesięć minut i że nie widzieli ani nie słyszeli nic, dopóki nie rozbrzmiały krzyki. Nie ma żadnych podejrzeń co do tego, jak udało im się przedrzeć, żaden strażnik nie opuścił posterunku. Nikt nic nie widział.

– Wreszcie się tu pojawili – mówię. – Bałam się już, że zapomnieli o Lortune.

Merek parska z rozbawieniem.

– Zastanawiam się tylko... – Zmarszczywszy brwi, podchodzi do okna. Przesuwa palec w dół okiennicy, wodząc nim po sękach drewna. – W jaki sposób oni działają.

– Co masz na myśli?

– Pomyśl, Errin. Przez ostatnie dwa miesiące w całej krainie pojawiały się napisy o Wstającym Świcie. Najpierw w Chargate, później w Hadze, Monkham i wreszcie tutaj. – Kiedy odwraca się do mnie, w jego oczach odbija się światło kominka, a policzki pąsowieją. – Te same słowa. Ten sam symbol. Osiem tygodni po zostawieniu pierwszej wiadomości w Chargate, po przejściu przez cały kraj, atakują... z braku lepszego słowa... tutaj – w dodatku, jak mówiłaś, wreszcie. Wreszcie uderzają w samo serce jego władzy. To niemożliwe, by za atakiem stali mieszczenie. Aurek dokłada wszelkich starań, żeby spacyfikować akty sabotażu, których dopuszcza się Świt. Nikomu nie wolno o tym mówić – wszyscy mamy trzymać języki za zębami, inaczej je utracimy. I nikt z wyjątkiem najbardziej zaufanych ludzi Aureka nie ma prawa podróżować między miastami. Więc albo to jego ludzie organizują bunt lub pomagają rebeliantom – co jest mało prawdopodobne – albo agenci Świtu jakimś sposobem infiltrują miasta. A jeśli tak, to może zakładają w obrębie murów komórki, jedną po drugiej. Nie przedostają się do miast na jednorazową akcję, lecz przenikają do nich, przyczajają się i dopiero w odpowiednim momencie ujawniają swoją obecność...

– Mereku...

– Organizują wsparcie. – Mererek wraca do stołu i podnosi do ust kielich. – Rozsyłają wiadomość. Przygotowują ludzi do odwetu. Dlatego tyle czasu zajęło im dotarcie tutaj. O to chodzi.

– Wyciągasz pochopne wnioski. – Odkładam książkę i krzyżuję ramiona. – Mieszczenie pierwsi wydaliby rebeliantów, gdyby się tu ukrywali – ich dzieci są zakładnikami. Nie mogą tolerować obcych w swoim gronie. On na to liczy, na tym opiera się jego władza. Nie istnieje żaden dowód, że działalność Świtu wykracza poza odwiedzanie kolejnych grodów i pozostawianie znaków, które podtrzymują płomień nadziei. Nie krytykuję ich! – wyjaśniam, kiedy wyraz jego twarzy robi się ponury. – Cieszę się, że podchodzą do tego ze sprytem.

Gdyby odrobinę przeciągnęli strunę, Aurek poszukałby zemsty na niewinnych.

Marszczy brwi i bierze kolejny łyk wina.

– Być może.

– Bez wątpienia. A ja wiem, że wcale tego nie chcesz.

– Oczywiście, że nie – odcina się. – To moi poddani, Errin. Tylko dla nich tu zostałem.

Wypuszczam z płuc długie westchnienie.

– Należysz mi tego trochę? – pytam, a on od razu podaje mi kielich. Piję i oddaję mu go, a o dominację walczą we mnie sprzeczne odczucia. Z jednej strony, potrzebna mi jest jasna iskierka nadziei, którą odczuwam na wieść o organizacji Wstanie Świt, ponieważ dowodzi ona, że ktoś – może nawet Twylla – nie ustaje w walce. A to oznacza, że Merek i ja nie zostaliśmy sami.

Ale jest też druga strona medalu. Każdej akcji Świtu towarzyszy strach wywołany myślą o dzieciach. Odkąd dowiedziałam się, że golemi pod osłoną nocy przeczesują miasto z nakazem porywania wszystkich dzieci z łóżeczek, jestem rozdarta między sympatią dla buntowników a obawą, że ich działania skłonią Aureka do prowadzenia jeszcze brutalniejszej polityki.

Ludziom obiecano, że dzieci pozostaną bezpieczne i wrócą do rodziców, kiedy Aurek odzyska zaufanie do mieszkańców. Jeśli jednak popełnią jakiś gwałtowny lub buntowniczy czyn... Resztę groźby pozostawił niedopowiedzianą, ponieważ wiedział, że nie musi wypowiadać jej na głos. Jeżeli ktokolwiek spróbuje mu się przeciwstawić, to ucierpią dzieci. Bo Aurek nie rozumie znaczenia słowa litość – kazał przecież wyrywać niemowlęta z rąk matek.

Najbardziej jednak przeraża mnie myśl, że to być może ja sama podsunęłam mu ten pomysł, kiedy wszelkimi sposobami starałam się uratować Liefę i mamę. Dla *rodziny* człowiek jest skłonny poświęcić wszystko.

– Założmy, że masz rację – rozważam. – Założmy, że znajdują się w Lortune. Co w takim razie zrobimy?

– Odnajdziemy ich, a potem do nich dołączymy – mówi bez zastanowienia, jakby tylko na to czekał. Koniec końców zawsze wracamy do punktu wyjścia.

– Nie mogę odejść – przypominam mu. – Wiesz, że nie mogę. Przynajmniej dopóki Silas tu jest i dopóki Aurek ma tę... Tę rzecz, dzięki której mną steruje.

– Zabije cię, jeśli zostaniesz. Wiesz o tym, prawda?

– Jeśli będę mu posłuszna, nie zabije.

Merek unosi brew.

– Oj, cicho! – uprzedzam go. – Staram się, jak mogę.

– To błędne koło – mówi Merek, podając mi resztkę wina. – Czekamy. Na coś. – Mocno zaciska usta.

– Na Silasa. – Próbuję podnieść go na duchu. – Prędzej czy później Aurek popełni błąd i dowiemy się, gdzie więzi Silasa, a wtedy wszyscy uciekniemy.

– Sama myśl o tym człowieku jest jak cios w żołądek. Otulam się ramionami, walcząc z kolejnymi falami paniki. – Może powinniśmy mnie związać, żebym nie mogła wypełniać *jego* rozkazów? Jestem pewna, że we trójkę dalibyśmy radę uciec.

– Gdyby udało nam się znaleźć innego alchemika...

– Nawet o tym nie myśl. – Sплюwam i Merek milknie.

Drapie się po głowie.

– Obiecałem poddanym bezpieczeństwo. W dniu koronacji poprzysiągłem, że podaruję tej ziemi bogactwo i wolność. Obiecałem postęp. Z każdym mijającym dniem rozczarowuję ich coraz bardziej. Coś zrobić muszę, *cokolwiek*.

– Ucieknij zatem. – Głos mi się łamie. – Ucieknij i znajdź ją. Ona cię potrzebuje.

– Mam cię tu zostawić?

– Tak. Nie chcę, żebyś sprawiał zawód swoim poddanym z mojego powodu. Uciekaj.

Bierze głęboki oddech i wyciąga rękę po kielich.

– Jest pusty – mówię.

Delikatnie cmoka, po czym wzdycha, a następnie znowu przesuwając rękę po ogolonej głowie.

– Może to i lepiej. Słuchaj, przepraszam, Errin. Nie powinienem cię tym wszystkim obarczać. Ale myślę... że to ja powinienem przewodzić rebelii. To ja powinienem być przywódcą. Cięży na mnie ten obowiązek. Jestem zły na siebie, nie na ciebie.

– Nic się nie stało. Ale powinieneś odejść. – Próbuję przywołać uśmiech. – Skoro wybuchło powstanie, powinieneś brać w nim udział.

– Czy naprawdę uważasz, że Twylla mi wybaczy, jeśli cię tu zostawię? – Bierze głęboki oddech i przeciąga się. – Jeśli odejdę, to tylko z tobą. *Kiedy* już odejdę, to z tobą. Z tobą i Silasem.

– Zgoda – odpowiadam z uśmiechem.

Merek wzdycha.

– Na mnie już chyba pora. Niektórzy z nas o świcie muszą czyścić nocniki.

– Ekscytujący żywot króla *incognito* – odpowiadam. – Widzimy się jutro?

– Jest bezpiecznie. Przyjdę po południu.

Wyciąga rękę, chwyta mnie za ramię i delikatnie je ściska. Potem podnosi czarę i odchodzi. Z hukiem zamykam księgę. W powietrze wzbija się wywołujący kaszel kurz. Już chcę wsunąć ją z powrotem na półkę, kiedy zmieniam zdanie i zamiast tego dorzucam ją na rozpałkę do paleniska. Merek powiedział, że jest przestarzała.

Przesuwam kciukiem po pozostałych tytułach w nadziei na znalezienie jakiejś alchemicznej książki, którą wcześniej przegapiłam. Najwyraźniej matka Mereka kolekcjonowała wszystko na ten temat, jednak nic tutaj nie ma. Albo trzymają je gdzie indziej, albo Aurek dawno temu je stąd zabrał. Wyciągam tom o botanice i zaczynam go kartkować. Upuszczam go jednak, gdy drzwi do biblioteki nagle się otwierają i staje w nich Merek z szeroko otwartymi oczami.

„Aurek mnie szuka – myślę. – Pewnie za bardzo go sprowokowałam. Na pewno w tym rzecz”.

Jestem w błędzie.

– Wrócił Lief – wykrztusza wreszcie.

Rozdział 9



Kiedy wchodzę do Wielkiej Sali, na krześle, z którego zeszedłem godzinę wcześniej, siedzi mój brat. Właśnie nalewa sobie wino do kielicha. Siedzi zwrócony do mnie plecami. Pierwszą rzeczą, którą zauważam, są jego włosy – nigdy wcześniej nie nosił aż tak krótkich. Nie są szczególnie równe. Pewnie sam je obcinał. Najwyraźniej skierował kroki prosto tutaj, zamiast pójść się oporządzić. Buty ma zabłocone, z bryczesów wciąż sterczy końskie włosie, bije od niego chłód, jakby wniósł ze sobą do komnaty panującą na dworze zimę.

Odwraca się nieznacznie, słysząc stuknięcie w otwarte już drzwi. Wtedy wyraźniej dostrzegam jego profil, rysy znane mi tak dobrze, jak moje własne. Potem Lief przenosi wzrok z powrotem na Aureka, który obserwuje mnie z rozbawionym wyrazem twarzy.

– Errin – mówi. – A to ci niespodzianka! Zazwyczaj muszę po ciebie posyłać. Czyżby brakowało ci mojego towarzystwa? Pewnie okrutnie się za mną stęskniłaś?

– Ja... – Patrzę na nieruchome plecy Lief.

– A może jakimś sposobem wyczułaś, że twój brat powrócił? Ledwo tu usiadł, a ty już jesteś. Sam jestem bliźniakiem i doskonale rozumiem, czym jest więź między rodzeństwem. Znam jej tajemną moc. – Uśmiecha się. – Na pewno w tym rzecz. W przeciwnym razie jedyna słuszna konkluzja byłaby taka, że szpiegujesz. – Gdy wypowiada ostatnie słowa, z jego twarzy znika uśmiech. Zastępuje go obojętność.

Szybko potrząsam głową.

– Byłam w bibliotece. Jego przybycie widział służący. Postanowił mi o tym powiedzieć.

Aurek długo mierzy mnie wzrokiem, a jego usta znów wykrzywia uśmiech.

– Dobrze. Chyba możesz do nas dołączyć. Wszystko zostanie w rodzinie! Chodź, usiądź. Naciesz się dobrą nowiną.

Przez cały ten czas Lief nie odzywa się ani słowem. Siedzi tylko bez ruchu. Jedyne wolne krzesło znajduje się po drugiej stronie stołu, naprzeciwko niego. Kiedy obchodzę stół, Aurek wodzi za mną wzrokiem z nieodgadnioną miną.

Gdy zauważam twarz brata, natychmiast się orientuję, dlaczego Aurek uśmiecha się, jakby oczekiwał na puentę.

Na prawym oku Lief nosi opaskę.

Wzdycham.

– Co się stało? – Zapominam o Aureku i o tym, że nienawidzę swojego brata. Spod opaski prześwituje purpurowa blizna, przywodząca na myśl błyskawicę. Przecina jego policzek aż do wysokości warg. Źle się zagoiła, mocno naprężając skórę, dlatego na prawej stronie twarzy rysuje się cień wzdorliwego uśmieszku. Zdrowe oko zdaje się jaśniejsze, ale nie jak u człowieka. Widać w nim... dzikość.

– Ach. – Aurek unosi dłoń. – Dojdziemy i do tego. Najpierw zajmijmy się interesami, dobrze?

– Zadanie wykonane, Wasza Wysokość – mówi Lief. Rana sprawia, że syczy i lekko sepleni. Z kieszeni wyciąga małe zawiniątko w zielonym aksamicie. Wstaje, podaje przedmiot Aurekowi, po czym wraca na swoje miejsce. Nie potrafię oderwać od niego wzroku, a on rumieni się pod moim spojrzeniem.

Aurek rozwija paczuszkę, którą wręczył mu Lief, i uśmiecha się, po czym kładzie ją na stole, żebym mogła się przyjrzeć. Wyciągam szyję i zaglądam do wewnątrz. Od razu poznaję ten przedmiot, chociaż nigdy wcześniej go nie widziałam. Sam symbol pokazywano mi za to raz czy dwa razy w życiu.

Na szmatce spoczywa wypolerowany, kasztanowoczerwony i gładki drewniany uchwyt z dużym, grubym złotym dyskiem na końcu. Wiem, że na dysku znajduje się wyryte w metalu rozłożyste drzewo z wieloma gałęziami, którego korzenie rozchodzą się w gruncie na taką samą szerokość jak jego korona na niebie.

To pieczęć Tregellanu wykonana ze stopionych koron dawnej rodziny królewskiej, z wykutymi datami egzekucji jej członków, oznaczającymi początek republiki. Historia zatoczyła pełne koło, z powrotem do władzy królów. Wszystkie prawa, edykty, uchwały i zarządzenia z ostatnich stu lat były opatrzone tą pieczęcią, która świadczyła o demokratycznym charakterze decyzji podjętych przez Radę. Taka sama pieczęć widniała nawet na moim dyplomie aptekarskim, który odesłano Mistrzowi Pendie. Moja licencja czeladnicza również nosiła ten znak. Wisiała w aptece i wszyscy mogli zobaczyć, że wykonywałam swoją pracę za pozwoleniem Rady, co oficjalnie potwierdziła pieczęć.

Podczas gdy ja gapiłam się na nią, mój brat i Aurek kontynuowali rozmowę.

– ...Tressalyn jest już twój, reszta Tregellanu wkrótce się dostosuje. Warunki okazały się jak najbardziej do zaakceptowania dla Rady, a tych nielicznych, którzy mieli odmienne zdanie... zdjęto z urzędu – wyjaśnia Lief.

– A alchemików macie? – pyta Aurek.

– Wszystkich pięciu. Czekają na przyjemność obcowania z tobą, Wasza Wysokość. Eskorty się pozbyliśmy. Dwóch Sióstr.

– A zjadaczka grzechów?

Wstrzymuję oddech, mam nadzieję, że nic nie wie. Modłę się, by tak było.

– Raporty są sprzeczne. Przebywa albo nad Penaluną, albo w Scarron, Wasza Wysokość. – Bębni palcami w stół. – Gdybym miał jednak decydować... uznałbym, że pojechała do Scarron. To istota, którą kierują

nawyki i tchórzliwość. Wybierze miejsce, które wyda jej się bezpieczne i które uzna za azyl. Tutaj, gdy sprawy toczyły się nie po jej myśli, ukrywała się w swojej świątyni. Później uciekła do Scarron. Jest przywiązana do znanych sobie miejsc.

Aurek kiwa głową.

– Czyli wysłałeś tam już ludzi?

Lief milknie na dłuższą chwilę.

– Nie, Wasza Wysokość. Pozwoliłem sobie wysłać drużynę do Penaluny i zaznaczyć swoją obecność na szlaku.

– Dlaczego? – Aurek piorunuje go wzrokiem.

– Bo gdy do jej uszu dotrą plotki o naszych poszukiwaniach, a jestem przekonany, że tak będzie, z dużo większą łatwością schwytemy ją w Scarron. Planuję wyjechać za kilka dni, za twoim pozwoleniem, panie. Jeśli tam jest, powrócę z nią w ciągu dwóch tygodni, licząc od dzisiaj. Ręczę za to słowem.

Aurek, odrzuciwszy głowę do tyłu, wybucha śmiechem.

– Masz moją zgodę, oczywiście. Pysnie. Doprawdy, wspaniała robota. Spodziewasz się, że będzie sama?

Lief kiwa głową.

– To niemal pewne. Cena wyznaczona za jej głowę skusiłaby do zdrady najświętszego ze świętych. Poza tym nie jest specjalnie biegła w zaskarbianiu sobie sympatii.

Aurek zagryza wargę.

– Hmm. A jednak zyskała pewne poparcie. Na pewno słyszałeś o tej grupie... Wstanie Świt. Tak się zwa.

Nie drga mi nawet opuszek palca, lecz coś w wyrazie mojej twarzy musi mnie zdradzać, ponieważ Aurek patrzy na mnie uważniej.

– Chcesz coś dodać, Errin? – pyta, ale nie odzywam się ani słowem.

– Ja chcę – mówi Lief, kiedy Aurek się do niego odwraca. – Kiedy doszło do pierwszych incydentów, moi ludzie w Chargate i Monkham listownie prosili mnie o instrukcje. Wydałem rozkaz, by zwiększyć liczebność patroli

i chwytać wicherzycieli, ale ich nie zabijać.

– *Nie zabijać?*

– Od martwych nie wydobędę żadnych informacji, Wasza Wysokość.

Aurek ponownie się uśmiecha, ewidentnie zachwycony swoim strategiem. Nawet w świątyni kości Lief brzmiał mniej obco niż tu i teraz.

– Zeszłej nocy wydarzył się incydent – kontynuuje Aurek. – Na domu dowódcy wymalowano napis „Wstanie Świt”. Ich symbol znowu pojawił się na murach. Do tego te szczury. Żywe. Wpuścili je do domu dowódcy.

Zauważam, że kącik zdrowego oka Lief drgnął.

– Tutaj? W Lortune?

– Tutaj. Muszę dowiedzieć się, kto to zrobił. I jak. Martwi mnie jednak... – Aurek milknie, marszcząc brwi. – Martwi mnie, że najwyraźniej mało skutecznie kontrolujesz swoich podwładnych. Jeżeli ona przebywa w Scarron, oznacza to, że ma tu agentów. Ludzi strzegących bram, murów i tak dalej...

Lief sięga po kielich z winem.

– Wasza Wysokość, mogę zapewnić...

– Twoje zapewnienia nie są mi do niczego potrzebne, Lief – mówi Aurek. – Chcę wiedzieć, kto w twoich szeregach wspiera tę sukę, zjadaczkę grzechów. Zatknę urwane głowy tych zdrajców nad swoimi bramami. Nie obwiniam cię o tę sytuację. Ale lepiej mnie nie zawieź, bracie.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – odpowiada mój brat, pochylając głowę.

Trochę się odprężam. Jeżeli Aurek uważa, że rebelianci rekrutują się spośród jego własnych ludzi, to prawdopodobnie nie skrzywdzi dzieci. Tylko swoim poplecznikom nie odebrał nikogo z rodziny.

– Świetnie. Dobrze się spisałeś, przyjacielu. A teraz porozmawiajmy o tej bliźnie. Nie chcesz jej posmarować Elixirem? Każę ci zaraz trochę przynieść.

– Aurek posyła mi przebiegłe spojrzenie. Mój brzuch wykonuje znajome salto, gdy kieruję myśli ku Silasowi. Nie wydaję żadnego dźwięku, nie zdradza mnie nawet najmniejsze drgnięcie mięśnia.

– Właściwie to wolałbym ją zachować. Będzie mi przypominała, żeby nigdy nie bagatelizować perfidii kobiet.

– Ach, czyli to *kobieta* pokonała cię w walce.

Lief uśmiecha się lewą stroną twarzy.

– Siostra, Wasza Wysokość. Dwie Siostry, mówiąc dokładniej. Spotkałem je na Trakcie Królewskim, kiedy łapałem alchemików. Podstarzałe, brzydkie kobieciny, ale walczą doskonale.

– Zakładam, że teraz walczą w jakimś lepszym świecie?

– To, co z nich zostało, Wasza Wysokość. – Lief się uśmiecha. Nie potrafię powstrzymać groźnego spojrzenia.

– Jestem naprawdę szczęśliwa, że ojciec tego nie dożył – mówię szeptem, choć powinnam ugryźć się w język. Ponieważ boję się spojrzeć na Aureka, skupiam wzrok na bracie. Nie odwdzięcza mi się tym samym. Rzuca w moją stronę tylko szybkie spojrzenie i upija łyk wina. Jego afront jest jak uderzenie w policzek.

– Ach! – Aurek klaszcze w dłonie. Ten dźwięk mnie płoszy. – To mi o czymś przypomina: czy znalazłeś swoją matkę?

– Co? – Wbijam wzrok w Lief, ponownie zaskoczona, choć tym razem nie dbam o to, co Aurek zrobi lub pomyśli. Teraz jest mi to obojętne. – Lief? – Ponownie podnosi kielich, ignorując mnie, a ja podrywam się z krzesła i wyciągnąwszy rękę na drugą stronę stołu, wytrącam mu puchar z ręki. – Znalazłeś mamę? Przywiozłeś ją *tutaj*?

Nie potrafię uwierzyć, że sprowadził ją do tego miejsca – by tak jak ja znalazła się w potrzasku. *Z nim*. Aurek zanosi się śmiechem i uderza w stół. Lief odwraca się, powolnym, wystudiowanym ruchem, i patrzy na wirujący na podłodze puchar. Wzrusza ramionami i spogląda na Aureka, cały czas unikając mojego wzroku. Następnie wskazuje stojącą na stole butelkę.

– Ależ proszę bardzo – mówi Aurek, a Lief sięga po butelkę, by się z niej napić. – Sam widzisz, co musiałem znosić pod twoją nieobecność.

– Przepraszam za moją siostrę, Wasza Wysokość.

– Nie waż się! – strofuję go opryskliwie. – Nie waż się tak do mnie odzywać, jeśli boisz się na mnie spojrzeć. Gdzie ona jest?

Lief odstawia butelkę.

– Czy mogę pójść się odświeżyć, Wasza Wysokość? – rzuca, znów ignorując moje pytanie.

– Oczywiście. Dopilnuj, by zaopiekowano się twoją matką, zajmij się sobą, a później widzimy się w Sali Reprezentacyjnej. Mamy sporo do obgadania. I najwyraźniej także do uczczenia.

– Lief! – Mój głos przechodzi w krzyk. – Spójrz na mnie.

Lief wstaje i się kłania.

– Wasza Łaskawość jest bardzo miły. – Obraca się na pięcie i wychodzi, jakby w ogóle nie było mnie w komnacie.

– Lief! – krzyczę, on jednak zamyka za sobą drzwi. Nie trzaska nimi, ale robi to z rozmysłem. Odprowadzam go wzrokiem, z łomoczącym w piersi sercem.

– Czy chciałabyś zobaczyć matkę, Errin? – pyta łagodnie Aurek.

Zwracam się w jego stronę, a każdy cal obrotu sporo mnie kosztuje.

– Wiesz, że bym chciała.

– Poproś więc, skarbie. Tylko tyle musisz zrobić. Wystarczy poprosić.

To pułapka. Na pewno. Milczę uparcie.

– Nie? Nie chcesz jej zobaczyć? Nie znizysz się przede mną do prośby?

Nie zamierzam ryzykować, że być może choć raz w życiu mówi prawdę.

– Proszę. – Słyszę swój głos. – Proszę, czy mogę zobaczyć matkę...? Wasza Wysokość? – dodaję.

Wstaje i przechodzi obok stołu przez całą jego długość, a następnie zatrzymuje się naprzeciwko mnie.

– Czyli potrafisz być miła, jeśli chcesz. – Unosi bladą dłoń i głaszcze mnie po włosach, a ja czekam, aż jego palce zacisną się na nich. Zagryzam zęby, szykując się na szarpnięcie, które na pewno za chwilę poczuję. Nic się jednak nie dzieje. Ujmuje dłonią mój podbródek i patrzy mi prosto w oczy.

– Oby tak dalej, wtedy zobaczymy. Musisz się jednak nauczyć dobrych manier, skarbie. W mojej stajni nie ma miejsca dla opornych kłaczy. Jutro poproś mnie raz jeszcze. Poproś tak samo grzecznie. – Nachyla się i całuje

mnie w czoło. Chociaż mój żołądek aż podskakuje z obrzydzenia, staram się trzymać prosto.

Odsuwa się, pstrykając palcami na psy, i pozostawia mnie samą w Wielkiej Sali. Na stole wciąż leży pieczęć Tregellanu. Podchodzę i ją podnoszę. Jest lżejsza, niż mi się wydawało. Przymykam powieki.

Leżę w łóżku, lecz sen nie nadchodzi. Drzwi zablokowałam krzesłem; robię tak, odkąd dręczy mnie myśl, że planuje mnie zmusić do wyskoczenia przez okno. Wcale się nie łudzę, że powstrzyma go to przed wejściem, gdy tak sobie postanowi, ale przynajmniej mnie to ostrzeże. Od tamtej pory nie odwiedzał mnie jednak we śnie.

Przewracam się na brzuch. Zastanawiam się, gdzie jest teraz Lief – śpi czy wciąż śmieje się w towarzystwie Aureka? Ta myśl budzi we mnie wściekłość, dlatego uderzam pięścią w poduszkę i obracam się z powrotem na plecy. Jestem zirytowana, że przywiózł tu mamę. Aurek powiedział, że już po nią posłał. Uważam, że w Tressalyn była wystarczająco bezpieczna, bezpieczniejsza niż gdziekolwiek indziej. A teraz jest tutaj. Ze mną i Silasem. W pułapce.

Nie wiem, co u Silasa. Wiem jedynie, że wciąż żyje. Aurek ostatnio promienieje, a jego uroda i witalność wydają się obsceniczne w porównaniu z zamkiem i ludźmi z jego otoczenia.

Przewracam się na bok i zasłaniam uszy pościelą, obserwując przesuwające się po komnacie nocne cienie. Gdy nastaje świt, wciąż nie śpię, tylko leżę z oczami utkwionymi w pustce. Siadam, bo słyszę, jak ktoś próbuje wejść do komnaty. Słyszę stłamszone przekleństwo. Merek. Nareszcie! Niezdarnie wychodzę z łóżka i odsunąwszy krzesło, otwieram drzwi.

Staję twarzą w twarz z bratem.

Czeka w drzwiach z tacą pełną jedzenia w dłoni. Od stóp do głowy jest ubrany na czarno. Jego blizna wygląda w porannym świetle tak samo strasznie jak zeszłej nocy. Gdy przyglądam mu się uważniej – liniom na czole, kilkudniowemu zarostowi na szczęcie – on rewanżuje mi się tym samym: jego jedyne oko ocenia najpierw mnie, a potem komnatę, omiatając wzrokiem

łóżko, sekretarzyk i okno. Po tych oględzinach odwraca się, a jego szczęka podskakuje pod wpływem nerwowego tik.

– Trochę się w tej komnacie musiało zmienić od czasu, kiedy ją ostatnio widziałeś – mówię, a jego zielone oko błyska i znowu się we mnie wpatruje. Merek powiedział mi to, czego nie powiedziała Twylla. Prawdę o tym, co mój brat zrobił jej i jemu.

– A ty się musisz głowić, dlaczego masz tu takie ciężkie życie – mówi cicho Lief.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie opowiedzieć mu o tym, co zrobił mi Aurek, gdy on wyjechał odwalać dla władcy brudną robotę. Chcę mu powiedzieć, że jego ukochany król trzyma w kieszeni lalkę zrobioną z gliny zmieszanej z moimi włosami i krwią, za pomocą której zmusza mnie do jedzenia, tańca i robienia wszystkiego, czego zapragnie. Że pewnego razu obudziłam się na szczycie schodów, niepewnie balansując na jednej nodze. Innym razem ocknęłam się pod łóżkiem z twarzą wciśniętą w kurz. Tak, mam ciężkie życie ze świadomością, że gdzieś w zamku Aurek akurat nie śpi i zaraz dla zabawy zacznie się nade mną znęcać.

Może opowiem bratu, jak księżę zmusza mnie czasem, bym siadała mu na kolanach, dawała sobie głaskać włosy i słuchała jego opowieści o dawnych czasach w Tallith. O siedmiu wieżach zamku i łączących je kładkach, o jego życiu, siostrze i ojcu. Może wyznam mu, że czasem w głosie księcia słyszę taką tęsknotę i samotność, że na moment, uspiona miękkim głosem i dłonią we włosach, zapominam o jego potwornej naturze. Później odwraca moją twarz do swojej i widzę go naprawdę, przypominam sobie, kim jest, a jemu moje spojrzenie przypomina, że może kontrolować moje ciało, ale nigdy nie będzie panem mojej duszy. Potem zrzuca mnie na ziemię i zostawia tak na kilka godzin, a ja nie jestem w stanie się podnieść, dopóki mi na to nie pozwoli. Mogłabym opowiedzieć mu o sytuacjach, w których prawowity król Lormere musiał zanosić mnie do moich komnat i myć, tak jak kiedyś ja myłam moją matkę, ponieważ przez zaniedbanie albo złość Aureka defekowałam na własne ciało.

Nie mówię mu jednak żadnej z tych rzeczy, bo bardzo się boję, że już o tym

wie i nic go to nie obchodzi. Wkrótce po tym, jak Aurek zrobił moje symulakrum, miałam wielką nadzieję, że Lief czyni to, co czyni, bo i on jest sterowany. Łudziłam się, że nie zdradził ani mnie, ani Tregellanu. Myślałam, że on również jest marionetką. Ale nie. Lief sam podejmował decyzje.

Zanosi tacę na sekretarzyk i kładzie ją na blacie, po czym podchodzi do okna i otwiera okiennice.

– Zamknij, nie czujesz, jak tu zimno?

– Śmierdzi stęchlizną – odpowiada łagodnie. – Trzeba tu przewietrzyć. Poproszę, żeby zwiększyli twój przydział drewna. Podczas mojej nieobecności mogłabyś zużywać mój.

– Przydział? Drewno jest racjonowane? Tak ci powiedział?

– Jest racjonowane, Errin. Dopóki nie ustabilizujemy sytuacji, będziemy odczuwać deficyty.

Potrząsam głową.

– Codziennie na stole ma mięso. I świeże warzywa.

Lief wzdycha i drapie się po czubku nosa.

– Jak się czujesz? – pyta tym swoim irytująco delikatnym głosem.

– Żartujesz sobie? – odpowiadam ze złością.

Otwiera usta, ale chyba w ostatniej chwili gryzie się w język i nie mówi tego, co chciał powiedzieć.

– Ucieszy cię na pewno wiadomość, że Lirys żyje. Carys też. Przeniesiono je do Tressalyn i tam zakwaterowano. W charakterze moich osobistych gości.

Wpatruję się w niego, a on we mnie, i mam wrażenie, że oczekuje podziękowań. Nie doczekawszy się jednak żadnej reakcji, mruga i bez słowa ruchem głowy wskazuje tacę.

– Tu masz chleb z masłem, owsiankę i jajko.

– Nie dręczy cię to? – rzucam wreszcie.

– Co ma mnie dręczyć? – odpowiada z wyczuwalnym w głosie napięciem.

– To wszystko. Fakt, że tu przebywam. I że noszę te ubrania. Wiesz, do kogo należała ta sukienka, prawda? – Milczy. – Jestem twoją siostrą. Zapomniałeś

o powiedzeniu „rodzina jest najważniejsza”?

W tym momencie obraca się gwałtownie z zimnym wyrazem twarzy.

– A myślisz, że skąd właśnie przyjechałem, Errin?

– *Wiem*, skąd właśnie przyjechałeś. Z królestwa, gdzie z *jego* rozkazu zamordowałeś kilku naszych rodaków.

– Przyjechałem tu z przytułku. I przywiozłem z niego naszą matkę, którą postanowiłem się zaopiekować – odpowiada.

– Czy naprawdę mnie o to obwiniasz? To ty zostawiłeś nas, pamiętasz? Na trzy miesiące! Jeśli już koniecznie musisz kogoś obwiniać o to, w jakim jest stanie, to tylko siebie. – Nie odpowiada. Cisza między nami gęstnieje, zastyga jak tłuszcz. – Jak... Jak ona się czuje? – pytam, gdy sytuacja robi się nie do zniesienia. Wzdryga się, ale nic nie odpowiada. Wsłuchuję się w bicie mojego serca, które przeradza się w donośny, pełen lęku łomot rozsadzający moją pierś. – Lief?

Obraca się o dziewięćdziesiąt stopni, tak że jego twarz profilem odcina się od stanowiącego tło zimowego światła.

– Nie wiem. Nic nie je. Ani nie śpi. Tylko patrzy. Nie jest w stanie... Nie chce o siebie zadbać. W ogóle. – Potem odwraca się do mnie. – Czy taka była wcześniej, czy to dlatego znalazła się w tym miejscu? Bo jest szalona?

– Nie jest szalona. – Pochyliłam się, chwytając pościel między palce. – *On* jej to robi.

– Co robi?

– Spytaj go. Zapytaj o symulakrum. O to, co zrobił z nimi, z nią. Ze mną. O to, jak zamienił nas w marionetki. Jak nocami przychodził do nas we śnie i zmuszał ją, żeby mnie atakowała, jak składał wizytę zawsze przy pełni księżyca. Jak nazywał to swoim „małym żartem”. Jak powtarzał to przez trzy księżyce. I jak wciąż powtarza. Na pewno to robi. Nie dostrzegasz tego? *On* jest potworem. Służysz potworowi.

– Nie mogę... – mówi Lief i rusza przez pokój, kierując się z powrotem do drzwi.

Podchodzę do niego z uniesioną ręką. Mocno chwytam mnie za nadgarstek.

Uklucie przeszywającego bólu sprawia, że zaczynam krzyczeć.

Puszczam go natychmiast, jego twarz blednie.

– Wybacz – mówi, wyciągając do mnie rękę, ale ja cofam się o krok.

– Posłuchaj mnie – syczę do niego. – Przez trzy księżycy sącył jej do mózgu truciznę. Była już pogrążona w żałobie z powodu taty, później zniknął ty, jakbyś rozplynał się w powietrzu. A podczas gdy ty na jego rozkaz mordowałeś ludzi w całym Lormere, on wlał jej do głowy i zamienił ją w bestię.

Lief potrząsa głową, a ja unoszę wargę i pokazuję ułamany ząb.

– To jego sprawa. Wybił mi go jej rękami. Zaatakowała mnie i powaliła na podłogę. Nasza mama, Lief. Czy uważasz, że to do niej podobne? Spytaj Silasa. On ci opowie. Był przy tym. Gdy ty odjechałeś, on z nami został i wszystko widział.

Spuszcza wzrok na podłogę i w tym momencie wydaje mi się, że moje słowa wreszcie do niego trafiają. Potem podnosi głowę i wbija wzrok w drzwi za moimi plecami.

– Później przyjdę zabrać cię na kolację – mówi cicho. – Załóż dziś coś, w czym będzie ci do twarzy.

– To wszystko, co mam! – Zeskakuję z łóżka i otwieram drzwi szafy. – Jej letnie stroje, nic więcej.

– Mogłaś poprosić o coś cieplejszego – mówi Lief. – Każę im coś podesłać. – Po tych słowach odwraca się i odchodzi.

Ze schodów dobiega odgłos jego kroków, spokojnych, niespiesznych. Wołam za nim:

– Dlaczego nic cię nie obchodzi?!

Kiedy drzwi się zamykają, rzucam się na łóżko i krzyczę prosto w zatęchłą poduszkę, aż moje gardło wysycha z wysiłku, a ja drżę z zimna lub przerażenia – sama nie wiem, z czego bardziej. Przewracam się na plecy i wbijam wzrok w sufit. Drżenie ciała nie ustaje. Otulam się pościelą najszczelniej, jak potrafię, ale nie udaje mi się rozgrzać.

Trzyma w szachu mamę i mnie, Lief i Silasa. Silasowi upuści całą krew na

Eliksir. Mnie zabije, kiedy już się mną znudzi. Liefa prawdopodobnie też. Ach, jak mu to uzmysłować!

Wtedy uświadamiam sobie, że żadne z nas nie wyjdzie z tego żywe. Ani ja, ani Silas, ani mama.

Rozdział 10



Lief dotrzymuje słowa w obu kwestiach. Kiedy wracam po bezowocnym popołudniu w bibliotece – nie spotkawszy Mereka – znajduję leżące na łóżku zawiniątko: suknię. Otwarto też okno i uzupełniono zapas drewna. Podejrzewam, że sam je tu przyniósł.

Suknia jest zmięta i zatęchła, na pewno wyjęto ją ze skrzyni. Kiedy ją unoszę, dostrzegam czarne plamki pleśni na koronkowym kołnierzyku i mankietach oraz warstwę motków kurzu, które budzą we mnie obrzydzenie. Jest jednak dłuższa niż suknie Twylli, a gruby błękitny aksamit niesie obietnicę ciepła. Kiedy ją przymierzam, okazuje się, że jest za duża, ale i tak odnotowuję postęp. Poza tym zapach stęchlizny pozwoli mi trzymać Aureka na dystans.

Kiedy Lief po mnie przychodzi, nie wspomina o niczym nawet słowem. Znowu jest ubrany na czarno. Na tle zacienionych korytarzy jego twarz wygląda srogo, a opaska jeszcze potęguje ten efekt. Porusza się pewnie, utrata jednego oka nie nastrecza mu najwyraźniej żadnych trudności.

– Czyja to była suknia? – pytam, kiedy staje się jasne, że nie zamierza się odzywać. – Królowej?

Przez dłuższą chwilę milczy, po czym odpowiada:

– Nie wiem.

– Gdzie ją znalazłeś?

– W skrzyni.

– Jak się czuje mama?

– Odpoczywa. Miała męczącą podróż.

– Kiedy ją zobaczę? – Gdy nie odpowiada, pytam ponownie. – Lief, chcę ją zobaczyć. Kiedy?

– Kiedy Jego Wysokość na to pozwoli.

Przed moją odpowiedzią ratuje go fakt, że właśnie skręcamy za róg, w stronę Wielkiej Sali. Prowadzące do niej drzwi otwierają przed nami golemy, które pełnią funkcję straży przybocznej Aureka.

Gdy przekraczamy próg, Lief wykonuje unізony ukłón; po chwili robię to samo, opornie zginając kolano przed Aurekiem. Gdy unoszę głowę, zauważam jednak, że nie patrzy ani na mnie, ani na Liefa. Pochyliła się tylko nad dokumentami, ignorując leżące na stole jedzenie.

Lief się waha i dopiero po jakimś czasie Aurek mruczy do nas: „Siadać”, a my podchodzimy na paluszkach do stołu niczym posłuszne dzieci. Lief zajmuje miejsce po prawej stronie Aureka, ja o dwa krzesła dalej.

Aurek wciąż nie podnosi wzroku. Zamiast tego podsuwa kawałek papieru Liefowi, a ten zaczyna czytać. Wyciągam szyję i też próbuję zerknąć, ale Lief mierzy mnie spojrzeniem, zasłania treść dłonią i czyta dalej.

Podnosi wzrok z ostrym błyskiem w oku.

– Czy zdarzało się to już wcześniej, Wasza Wysokość?

Aurek potakuje. Jego srebrne włosy omiatają przy tym stół, bo księżę nie odrywa wzroku od listu, który tak ogromnie go absorbuje.

– Chargate. Żołnierze sobie z tym poradzili. Czterech poległo.

– Czy jest... Czy wiadomo dlaczego? – pyta Lief.

– To nie ma znaczenia – mówi Aurek, szeleszcząc kartkami. – Tak było zawsze: im dłużej istnieją, tym trudniej je kontrolować. Od dziś poza murami

zamku i wszędzie tam, gdzie akurat nie przebywam, musimy zdawać się na żołnierzy.

– Dopilnuję tego. I każę wymienić ludzi.

Aurek jeszcze raz kiwa głową i podnosi wzrok. Mruży oczy, jego spojrzenie łąduje na mnie; najwyraźniej dopiero teraz sobie uświadomił, że też tu jestem.

– Co ty tu robisz?

– Ja... Przyszłam na kolację.

– Czy ja cię wzywałem? – pyta, choć wcale nie brzmi to jak pytanie.

– Ja ją przyprowadziłem, Wasza Wysokość. – Ku mojemu zaskoczeniu wstawia się za mną Lief. – Wybacz mi.

– Następnym razem poproś o pozwolenie – chłodno odpowiada Aurek. – Chętniej będę akceptował twoją miłość do siostry, gdy ona raczy odnaleźć w sobie jakiegokolwiek pokłady miłości do mnie.

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

– Możesz odejść – mówi do mnie Aurek. – Każemy ci posłać posiłek.

Gdy przestaje mówić, stojące przy drzwiach golemi otwierają wrota, ociężale wyciągając ramiona. Odsuwam się od stołu, wstaję i dygnawszy na pożegnanie, wychodzę z pokoju, bojaźliwie przechodząc obok strażników. W mojej głowie kotłują się miliony myśli. O czym oni rozmawiali? Z czym poradzili sobie żołnierze? Co zawsze stanowiło problem? Z pewnością nie Wstanie Świt. Ale cóż innego mogłoby to być?

Chciałabym porozmawiać z Merekiem, ale niestety kolację podaje inny służący. A ja nie mogę posłać po niego bez wzbudzania podejrzeń. „Jutro – podnoszę się na duchu. – Jutro go odnajdę”.

Kilka godzin później jest mi ciepło na tyle, by ułożyć się do snu. Wtedy niespodziewanie otwierają się drzwi, których skrzydła z grzmotem uderzają o ścianę. Do pokoju wpada Aurek.

Udaje mi się tylko usiąść i krzyknąć, zanim łapie mnie za nadgarstek i nacina lewy przegub. Następnie zwalnia chwyt i wyciąga z kieszeni symulakrum. Gdy się odsuwam, w milczeniu ostrzegawczo mierzy we mnie

czubkiem noża. Natychmiast zamieram. Nie odrywając ode mnie wzroku, przyciska laleczkę do skaleczenia.

– Przytrzymaj – żąda, mocno zaciskając na niej moje palce. Kaleczy koniuszek własnego kciuka i oboje obserwujemy, jak paciorek krwi, czerwonej jak moja, zwiększa objętość. Po chwili Aurek odbiera ode mnie symulakrum i wsmarowuje w glinę krew, która miesza się z moją. Patrzymy, jak nasza krew się wchłania. Kukielka pozostaje jednak czysta, jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

Potem wychodzi bez słowa, zamykając za sobą drzwi. Z trudem wstaję z łóżka i odrywam kawałek materiału od sukienki Twylli. Bandażuję nim dłoń. Oddycham swobodnie, by uspokoić galopujące serce. Spuszczam wzrok na rękę i owijam ją kolejnym kawałkiem tkaniny, a potem obserwuję, jak przesiąka przez niego krew. Nienawidzę, gdy to robi.

Nagle uderza mnie nowa myśl: w jakim celu on to robi?

Po co mu jeszcze więcej krwi? Palcem przesuвам po bandażu i próbuję przypomnieć sobie wszystkie przypadki, kiedy mnie nacinał i przystawiał glinę do ran. Często się to zdarza. Zazwyczaj po tym, jak go szczególnie zirytuję. Myślałam, że jest po prostu okrutny i lubi mi przypominać o tym, że jestem jego własnością. Ale być może kryje się za tym coś więcej?

Pamiętam, jak kiedyś w sali wojennej, na początku mojego pobytu, jeden z miniaturowych golemów poruszył się bez rozkazu. Zniszczył go, mówiąc, że „źle się dzieje, gdy zaczynają mieć własne zdanie”. Wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale... Ale oznacza to, że po pewnym czasie golemi zaczynają działać samodzielnie.

Czy dziś wieczorem też mówił o swoich golemach? W Chargate i innych miejscach? Czy te, które wysłał do Lormere, wymknęły się spod kontroli? Odtwarzam w pamięci jego rozmowę z Liefem i im więcej o tym myślę, tym większą zyskuję pewność. Im dłużej żyją, tym częściej zaczynają działać niezależnie, zwłaszcza kiedy on nie wydaje im rozkazów. Mogłabym się założyć o własne życie.

A to oznacza, że jeśli nie będzie dodawał świeżej krwi do mojego symulakrum, prędzej czy później straci zdolność sterowania mną.

Opieram się o poduszkę z bolesną świadomością, że nie zaznam dziś ani odrobiny snu. W mojej głowie aż roi się od myśli.

Następnego ranka, jeszcze zanim się ubiorę, otrzymuję wiadomość od Aureka. Informuje, że moja obecność na dzisiejszej kolacji nie jest wymagana. Na jutrzejszej również. Takie właśnie słowa na niej widnieją: „nie jest wymagana”. Jakbym była jedną z pozycji w harmonogramie, którą można dowolnie przełożyć. Obawiam się, że dla Aureka tym właśnie jestem. Treść liściku jest zdawkowa, ma świadczyć o tym, że jest czymś zbyt zaabsorbowany i zajęty, żeby mnie dręczyć.

Mimo to każę poczekać słudze, który przyniósł wiadomość, i odpisuję z wyszukaną grzecznością, prosząc o widzenie z matką. Mijają trzy godziny. Czekając na odpowiedź, mam wrażenie, że ściany zasklepiają się cał po calu. Nie mogę znieść tej bezczynności. Chwytam płaszcz i wychodzę z komnaty z zamiarem odnalezienia Mereka. U dołu schodów czeka na mnie niespodzianka: przed drzwiami wieży stoi dwóch mężczyzn, którzy zachowują się jak strażnicy.

Patrzymy na siebie; najwyraźniej oni też się nie spodziewali, że mnie tu zobaczą.

– Czy jestem aresztowana? – pytam.

Strażnicy wymieniają spojrzenia.

– Nie – odpowiada po chwili jeden z nich, chociaż nie brzmi zbyt pewnie.

– Co tu w takim razie robicie?

– Kapitan Vastel poprosił nas, byśmy dobrze się tobą zaopiekowali, pani – znów odpowiada ten sam strażnik.

– Czyżby?

Obaj kiwają głowami.

– Jakie otrzymaliście rozkazy?

– Mamy ci towarzyszyć podczas spacerów po zamku i chronić cię przed niebezpieczeństwem.

Wpatruję się w mężczyzn, ale ich słowa nie sugerują, żeby żartowali.

Głupcy.

– Czy kapitan Vastel wspomniał, które miejsce jest... szczególnie niebezpieczne? – pytam.

– Kazano nam nie dopuszczać cię w pobliże wieży północnej... to znaczy Wieży Zwycięstwa... i Wieży Odwagi. Do wszystkich innych miejsc masz prawo wstępu, dopóki przebywasz w naszym towarzystwie.

Wieża Zwycięstwa – stara wieża północna, której, jak zdradził mi Merek, pierwotnie używano podczas uroczystości Zwierzeń i w czasie pogrzebów – to miejsce, w którym znajdują się komnaty Aureka. W wieży południowej – Wieży Odwagi – mieszkała lormeriańska rodzina królewska. Choć nie mam pewności, mogłabym się założyć, że to tam ma swoje kwatery Lief. I najprawdopodobniej tam przebywa także moja matka.

– Dlaczego nie wolno mi wejść do Wieży Odwagi? – prowokuję ich. – A jeśli zechcę zobaczyć brata?

Drugi strażnik, który dotychczas milczał, wreszcie odpowiada stanowczym tonem.

– Jeśli chcesz go zobaczyć, możesz poprosić nas o przekazanie wiadomości.

Czyli obaj nie są głupcami. Ten wie, że nie chodzi tutaj o moje bezpieczeństwo.

– Oczywiście. Zdradzicie mi swoje imiona, skoro musicie mi wszędzie towarzyszyć?

Mężczyźni ponownie naradzają się szeptem. Po chwili ten rozmowniejszy wzrusza ramionami.

– Na imię mi Crayne – odpowiada. – A to jest Thurn.

– Miło mi, Craynie i Thurnie – mówię. – Muszę teraz pójść do biblioteki.

Nie odzywam się już, tylko obracam na pięcie i z godnością podążam w dół korytarza. W chłodnym powietrzu mój oddech zamienia się w widoczną białą parę. Mam na sobie inną suknię Twylli, tym razem zieloną, z ciężkiej bawełny. Jest mniej obcisła niż czerwona i odrobinę grubsza, ale odsłania moje kostki, które wciąż owiewa lodowate powietrze, które uniemożliwia mi wzięcie głębszego oddechu. Gdy skręcam za róg biblioteki, coś upada na ziemię

centymetry ode mnie. Spoglądam na posadzkę i zauważam lód. Z niezapalonych kandelabrow zwisają sopte. Zerkam na obu mężczyzn, by sprawdzić, czy stanowi to dla nich zaskoczenie, ale ich oblicza nie wyrażają żadnych emocji. Kiedy spoglądam uważniej, widzę, że noszą peleryny obszyte futrem. W końcu docieramy do biblioteki. Wchodzę do środka i z przerażeniem stwierdzam, że tuż za mną próbuje wejść Thurn, wpychając stopę między drzwi, w chwili gdy je zamykam.

– Wolałabym zostać sama – mówię.

– Z rozkazu kapitana, gdy przebywasz poza wieżą, pani, jeden z nas zawsze musi ci towarzyszyć.

– Ależ jestem tu całkowicie bezpieczna. – Szeroko otwieram drzwi i wskazuję pustą komnatę.

Thurn bez słowa przechodzi obok mnie i zajmuje pozycję przy drzwiach. Gdy rzucam mu gniewne spojrzenie, odpowiada podobnym i unosi brew.

Odwracam się i podchodzę do półek, lecz w środku aż kipię z wściekłości. Stoję odwrócona do niego plecami i kciukiem wodzę po grzbietach książek, jakbym szukała jakiejś konkretnej pozycji. Muszę powiedzieć Merekowi, czego się dowiedziałam zeszłej nocy podczas kolacji i co dziś rano powiedział Lief, ale przy podsłuchującym strażniku jest to niemożliwe. Szczególnie przy takim, który sprawia wrażenie mniej tępego od poprzednich. Merek jest przekonany, że nikt tutaj nie wie, kim naprawdę jest. Jego zmieniony wygląd oraz fakt, że przebywał w zamku tylko przez miesiąc, zanim pojawił się Aurek, każą mu wierzyć w absolutną anonimowość. Ja go jednak rozpoznałam i wolałabym, żeby nie ryzykował z nikim innym. Zwłaszcza odkąd pojawił się Lief. Merek musi trzymać się z dala od mojego brata.

Zdejmuję z półki wybrany tom i odchodzę z nim do stołu. Udaję, że czegoś szukam, próbując skupić myśli. Muszę zobaczyć się z Merekiem. Przy moich nowych milusich strażnikach jedynym miejscem, w którym będę sama, jest moja komnata. Ciekawe tylko, czy się nie uprą, żeby wejść do niej razem ze sługą. Powinnam znaleźć powód, dla którego mógłby zostać ze mną dłużej niż na czas przyniesienia i zabrania tacy. Ściągam następny tom i dodaję go do pierwszego. Powtarzam tę czynność, udając, że wybieram książki, których

potrzebuję, ale cały czas głowię się nad tym, jak sprowadzić Mereka do komnaty i zatrzymać go w niej przez pięć do dziesięciu minut. Tyle wystarczy, żeby opowiedzieć mu o moich podejrzeniach co do golemów i symulakrum. Więcej nie trzeba.

Thurn kaszle znacząco. Rzucam mu ostre spojrzenie, które odwzajemnia, nie okazując emocji. Dodaję więc do stosiku kolejną książkę i przysuwam stołek do półek w rogu. Staję na nim i oglądam zakurzone grzbiety. Wyciągam tom, który przykuwa moją uwagę. Okładka wygląda jednocześnie znajomo i obco. Jest mniej porwana i zaplamiona niż książka, którą czytałam, jakby bardziej pasowała do królewskiej biblioteki.

Śpiący Księżę i inne historie.

Być może znajdę w niej coś pożytecznego. Ponoć w każdej baśni tkwi ziarenko prawdy.

Kładę ją na szczycie sterty i wszystko podnoszę, po czym podchodzę do zdumionego Thurna.

– Proszę. – Mocno opieram książki o jego pierś, zmuszając go, by instynktownie zareagował i je chwycił. – Zanieś je do mojego pokoju. – Otwieram drzwi i wychodzę, przygryzając wargę, by nie przywołać na twarzy uśmiechu, który dawno na niej nie gościł.

Wracam do wieży. Siadam przy sekretarzyku i czekam, kartkując jedną z ksiąg, lecz nie odczytując słów. Wstaję i podnoszę nową książkę, żeby ją przeczytać, ale nie potrafię się skoncentrować. Nie mogę też przestać się wiercić. Merek powiedział, że Twylla spędzała tu całe dnie, wychodząc tylko do świątyni, i nie mam pojęcia, jak jej się to udawało. Co ona tu robiła? Jak uchroniła się przed szaleństwem? Nic dziwnego, że tak szybko zadurzyła się w Liefie. Musiał być najbardziej ekscytującą przygodą od wielu lat.

Dokładam do paleniska i siadam naprzeciwko ognia. Czekam. Prędzej czy później ktoś przyniesie tutaj posiłek. Mam nadzieję, że tym razem będzie to Merek. Obym tylko przez tę krótką chwilę jego obecności zdołała opowiedzieć mu wszystko, co wiem, bez wzbudzania podejrzeń strażników.

Ale kiedy Merek rzeczywiście przychodzi z tacą pełną jedzenia i kielichem

napoju, od razu nieznacznie kręci głową. Wysyła mi w ten sposób trwające ułamek sekundy ostrzeżenie. Chwilę później w drzwiach za nim pojawia się Thurn. Patrę na niego z ciężkim sercem, po czym przenoszę wzrok na Mereka.

– Dziękuję – mówię. Wyciągam rękę, by odebrać tacę, ale nie podaje mi jej. Zamiast tego podnosi z niej misę i czarę, które kładzie na sekretarzyku obok stosu książek. Gdybym go nie obserwowała, nie zauważyłabym skrawka papieru, który wypadł z jego rękawa do misy. Kładzie obok niej łyżkę i składa ukłon.

– Za pół godziny wrócę zabrać puste naczynia, pani.

– Nie musisz się fatygować. Ja się tym zajmę – odpowiada Thurn. Podchodzi do nas i podniósłszy kielich, zawiesza nad nim nos. – Pięknie pachnie – oznajmia i odstawia go z powrotem, przyglądając mu się badawczo.

Kiedy przenosi uwagę na misę, ogarnia mnie zimne uczucie strachu. Już sięga po łyżkę, pod którą leży ukryta wiadomość...

– W takim razie możesz mi przy okazji przynieść posset. I powiedz w kuchni, żeby dodali do niego lawendę. Nie śpię ostatnio zbyt dobrze. Przyda się też patelnia, jako podgrzewacz do łóżka.

Puszcza łyżkę i uśmiecha się ironicznie.

– Oczywiście, pani. Czego sobie tylko pani życzy. – Odwraca się do Mereka. – Zapamiętałeś wszystko? Mleko i patelnia-podgrzewacz. Przynieś natychmiast.

Merek kiwa głową i zostawia mnie, a ja siadam przy sekretarzyku i podnoszę kielich. Thurn wciąż mnie obserwuje. Pod wpływem narastającego gniewu rażą go wzrokiem.

– Coś jeszcze? – pytam.

Uśmiecha się złośliwie.

– Zechciej nas poinformować, gdy skończysz, pani – mówi i zbiera się do wyjścia.

Gdy odwraca się do mnie plecami, wyciągam liścik i chowam go pod obrzeżem miski. Kiedy zatrzymuje się w przejściu i ogląda się do tyłu, opuszczam łyżkę i poruszam językiem. Siadam i jem, udając, że czytam, aż

słyszę, jak odchodzi. Brzękam łyżką o metalową miskę, by zmylić podsłuchujących, a lewą ręką rozwijam zamoczony w sosie liścik. Atrament zaczął puszczać, na karteluszkę widnieje tylko kilka słów.

„Wróć. Odgrywaj swoją rolę”.

Mam odgrywać swoją rolę? No i kiedy wróci?

Kończę posiłek z poczuciem potrzeby działania. Dlatego pomimo wczesnej godziny naciągam na suknię jedną z cienkich peleryn Twylli i zabieram ze sobą do łóżka księgę baśni. Gdy słyszę kroki na schodach, przybieram groźną minę, spodziewając się jednego lub kilku strażników. Mam rację w pięćdziesięciu procentach: to Thurn, za którym wchodzi Merek z patelnią w jednej i kubkiem w drugiej dłoni. Służący obchodzi łóżko i podaje mi kubek.

– Twój posset, pani. Obawiam się, że lawendy zabrakło.

– Cóż, trudno – odpowiadam. – Miewam straszne zachcianki.

Ignoruje mnie.

– A tutaj jest patelnia – mówi. Potem upuszcza kubek, głośno wzdycha i wymachuje patelnią wysoko nad swoją głową.

Thurn krzyczy i skacze ku niemu, ja piszczę, a Merek rzuca patelnię na podłogę przy łóżku. Otwiera się gwałtownie, po czym wylatują z niej rozżarzone węgielki, które rozsypują się po komnacie.

– Szczur! – wykrzykuje Merek, pokazując naczynie.

Rzeczywiście, pod patelnią leży truchło szczura.

Następuje chwila ciszy, w której wszyscy zamieramy bez ruchu. Merek wskazuje na szczura, Thurn jest wściekły, a Crayne właśnie wpada do pokoju i patrzy na nas wszystkich, próbując zrozumieć, co się wydarzyło. Czuję swąd płonących na dywanie węgielków i patrzę na mrugającego Mereka. Nie wiem, co oznacza to mrugnięcie, ale wyczuwam potrzebę improwizacji i mdleję jak na zawołanie.

Bardzo ostrożnie układają mnie na łóżku. Leżę nieruchomo, podczas gdy oni kłócą się o to, co robić. Merek spaceruje wokół pokoju, gasząc węgielki – słyszę syk gaszenia ich. Przez cały czas nalega, by ktoś poszedł do Aureka

i ostrzegł go, że organizacja Wstanie Świt podjęła próbę infiltracji zamku. Crayne zgadza się z nim, lecz Thurn trzeźwo zauważa, że to tylko jeden szczur, a zamek jest stary.

– Od dwóch lat tu pracuję i nigdy nie widziałem w tym zamku szczura – upiera się Merek. – W stajniach trochę by się ich znalazło, ale zapach psów każe im trzymać się z dala od komnat.

– Jest zima, nic dziwnego, że ciągną do murów – odpowiada Thurn. – A psy tu nie zagładają.

– Prawda – mówi Crayne i nie wiadomo, z kim właściwie się zgadza. Thurn posyła mu nieprzyjemne spojrzenie.

– Z całym szacunkiem, uważam, że Jego Wysokość wolałby o tym wiedzieć – mówi Merek. – Na pewno słyszeliście o incydencie w Lortune... W domu dowódcy...

Thurn po raz pierwszy wygląda na niepewnego.

– Słuchajcie, sam do niego pójde, jeśli wy się boicie – ofiaruje się Merek. – Zostańcie tu z panienką i dopilnujcie, by nic się jej nie stało, kobiety często... hmm... chorują po zasłabnięciu. Ja tymczasem zawiadomię go, że widziałem szczura i go zabiłem. Jasno mu powiem, że informuję go z własnej inicjatywy. Nikt was o nic nie oskarży, przekażę mu, że nie braliście w tym udziału.

Nie muszę rozchyłać powiek, by wiedzieć, że Thurn słucha Mereka z nieprzyjemnym wyrazem twarzy.

– Nigdzie nie pójdziesz. – Słyszę ostrą nutę w jego głosie. Na chwilę zapada cisza, a potem dodaje: – Ja pójde do Jego Wysokości *ze szkodnikiem* i powiem mu, że został zabity. – Zauważam, że nie wspomina o tym, kto uśmiercił szczura. – Crayne, zostań przy drzwiach. Ona nie ma prawa wyjść, nawet jeśli szczury rozplenią się po całym pokoju. A ty – starając się trzymać mocno zaciśnięte oczy, zakładam, że zwraca się do Mereka – lepiej tu posprzątaj i miej ją na oku. – Następuje przerwa, a potem padają słowa: – Masz z tym problem?

– Nie – odpowiada Merek, przybierając odpowiednio nadąsany ton. Ależ

on jest bystry!

Słyszę, jak Thurn odchodzi, i zastanawiam się, jak Merek planuje pozbyć się Crayne'a.

Okazuje się jednak, że wcale nie musi tego robić.

– Poczekam na zewnątrz – mówi Crayne. – Nie lubię chorób.

Jak na zawołanie podnoszę się i zaczynam głośno wymiotować. Pochyliłam się nad łóżkiem i słyszę zamykane za kimś drzwi.

– To było ohydne. Mów, szybko – ponagła Merek.

– To było genialne – chwalebę go szeptem. – Skąd wzięłeś szczura?

– Znalazłem w stajni nieżywe truchło. Bałem się, że wypadnie mi po drodze na schodach. Musiałem stawiać stopę bokiem.

– Genialne – powtarzam. – Słuchaj, Lief myśli, że Twylla jest w Scarron. Jedzie tam po nią osobiście.

Merek potrząsa głową.

– Myli się. Ona nie może koordynować stamtąd działań Wstającego Świtu.

– Poza tym Aurek podejrzewa, że jego poplecznicy zdradzili go na rzecz Twylli.

– Czyżby?

Kiwam głową.

– Wierzy, że w przeciwnym razie Świt nie byłby tak dobrze zorganizowany. Merek, ona *może* przebywać w Scarron. To jest prawdopodobne. Znają ją tam, mieszkańcy by ją ochronili, jestem tego pewna. Wybór tego miasta byłby uzasadniony. – Biorę głęboki oddech. – Ale jest coś jeszcze. Podczas kolacji Aurek wydawał się zmartwiony, wspomniał coś o pewnym zdarzeniu, a nawet dwóch. Jedno miało miejsce w Chargate, drugie gdzie indziej. Zginęli ludzie i powiedział, że „będzie coś musiał odsunąć”. – Merek wygląda na zmieszanego. – Miał chyba na myśli golem. Przestały słuchać jego rozkazów. Wcześniej wspomniał o czymś podobnym, ale nie zwróciłam na to uwagi. Myślę, że golem z Chargate się zbuntowały i musi je unieszkodliwić. Sądzę, że im dłużej żyją, tym bardziej są niezależne. W pewnym momencie straci zdolność kontrolowania ich i będzie musiał je zniszczyć.

Merek marszczy brwi i nieruchomo wpatruje się w jakiś punkt w oddali.

– To by wiele wyjaśniało. To dlatego nie stworzył całej armii golemów. To dlatego rekrutuje zwykłych ludzi... – Odwraca się do mnie. – Poczekaj. Czy to możliwe, że symulakra działają na tej samej zasadzie?

Pochyliam się.

– Jestem pewna, że tak. Zeszłej nocy, niedługo po wysłuchaniu nowin, wparował tutaj i upuścił mi kolejną porcję krwi. Potrzebuje świeżej krwi, by utrzymać nade mną kontrolę.

– Doskonale! Nie rozumiesz? To znaczy, że możesz uciec. Możemy uciec i odszukać Wstanie Świt.

– Jeżeli uzupełnił zapas, więź jest bardzo silna. Muszę odczekać, aż zacnie słabnąć, dopiero wtedy będę mogła uciec, a nawet w takim wypadku...

– Ile czasu to zajmie? – przerywa mi.

– Nie wiem.

– Dłużej nie możemy czekać, Errin. Nie pozwolę, by przytrafiło ci się coś złego. Obiecuję, że nie narażę cię na ryzyko.

– Nie było cię w Tremayne – mówię. – To moja wina. Nie doceniłam go, a on wykorzystał to przeciwko mnie i setkom ludzi, którzy przez to zginęli. Poza tym – dokańczam to, co próbowałam powiedzieć – nie mogę zostawić Silasa.

– Chyba nie sądzisz, że on chce cię tu zatrzymać?

– I... tutaj jest moja matka. Lief ją ze sobą przywiózł. Myślę, że mieszka w Wieży Odwagi.

Merek klnie.

Ale nim znów zdąży się odezwać, do naszych uszu dobiegają męskie głosy, których echo niesie się w górę schodów wieży.

Gdy strażnicy wracają, Merek odsuwa się od łóżka. Ku mojemu zdumieniu towarzyszy im mój brat.

Merek natychmiast pochyła głowę, składając niski ukłon, i staje się niewidzialny, jakby naprawdę był sługą, którego udaje. Lief nawet na niego nie

patrzy, tylko skupia spojrzenie na mnie.

– Czy kiedykolwiek widziałaś tu szczura? – pyta.

– Nie – odpowiadam cicho, starając się, by mój głos brzmiał słabo.

Lief rozgląda się po komnacie, przeszukując wzrokiem każdy zakamarek. Gdy na dłużej zatrzymuje spojrzenie na Mereku, który wciąż ulegle się pochyła, zamiera mi serce. Lief podchodzi do sekretarzyka i kolejno otwiera szuflady.

– Co robisz?

– Szukam odchodów – mówi, przetrząsając jakieś stare papiery. Nim zatrząskuje szufladę, udaje mu się dostrzec rysunki kwiatków. Zagląda wszędzie: za zasłony, pod łóżko, do szafki. Strażnicy i ja bez słowa go obserwujemy.

Wreszcie się do mnie odwraca.

– Zemdliałaś?

– Tak. Na krótką chwilę.

– Bo zobaczyłaś szczura?

– Byłam w szoku.

– Nie wątpię. Dama ma pełne prawo omdleć na widok szczura.

Merek stoi nieruchomo jak posąg.

– Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej – dodaje Lief i odwraca się do Mereka: – Posprzątaj ten bałagan.

Sługa potakuje z wciąż opuszczoną głową, a Lief marszczy brwi. Ale nic już nie mówi. Bez słowa wychodzi z pokoju, a za nim ruszają posłuszni jak psy strażnicy.

Patrzę na Mereka, który z lekko otwartymi ustami odprowadza Lief'a wzrokiem.

– Co się stało? – pytam najciszej, jak mogę.

– Ależ z nas głupcy – odpowiada niskim, wypranym z emocji głosem.

– Bo?

– Gdzie dorastałaś?

Gdy spływa na mnie nagłe olśnienie, moje serce zaczyna gnać jak szalone.
Przecież dorastałem z bratem na farmie.

A w gospodarstwach nie brakuje szczurów.

Merek nic nie odpowiada. Zamiast tego schyla się i zbiera zimne już węgielki, rozrzucone po podłodze.

– Ależ było blisko – mówię, gdy dorzuca je do kominka. – Gdyby przyjrzał ci się uważniej...

Pochylony, bez słowa patrzy na swoje osmolone dłonie.

– Musisz stąd odejść. Natychmiast – proszę go.

Podnosi na mnie nieszczęśliwy wzrok.

– Wiem.

Rozdział 11



Merek, poblady i ponury, wychodzi, a ja nie mogę pozbyć się wrażenia, że popełniliśmy poważny błąd. Coś ciężkiego zalega w moim żołądku, kłębi się i podskakuje, jakbym spadała. Głupia, głupia idiotka. Dlaczego ja nigdy nie myślę? Kiedyś codziennie widywaliśmy szczury – żyliśmy na farmie, na litość boską! Kiedy miałam pięć lat, próbowałam kilka z nich oswoić. Lief o tym wie, przecież naśmiewał się ze mnie. A myślałam, że jestem taka bystra; niewykluczone, że wszystko zrujnowałam. Zawsze to samo!

Próbuję zasnąć, ale ten ciężar w żołądku wciąż mnie budzi. Wyobraźnia każdy odgłos zamienia w kroki ludzi, którzy zaraz mnie aresztują, albo w rozkaz Aureka każącego mi wyskoczyć przez okno. Martwię się o Mereka, boję się, że wyciągnęli go z pokoju i zabrali na przesłuchanie, podczas którego będzie bity i torturowany. I zginie. Zginie jako sługa w zamku, który przed wiekami wybudowała jego rodzina. Opieram krzesło o drzwi, ale to nie pomaga. Wiercę się w tę i we w tę, nogami kopię prześcieradło, pocę się pomimo zimna. Co zrobi Lief?

Musiałam zasnąć, ponieważ budzi mnie łomot do drzwi i krzyki. Siadam i natychmiast otwieram oczy, mrugając z powodu mgiełki unoszącej się

w komnacie. Niespodziewanie moje usta wysychają na wiór. To koniec!

– Otwórz te przekłete drzwi! – krzyczy jeden ze strażników, być może Thurn. – Otwieraj drzwi, głupia krowo, jeśli nie chcesz spłonąć żywcem.

Wtedy uświadamiam sobie, że mgiełka w komnacie to nie majaki senne, lecz dym, ale i wówczas coś mi nie pasuje. Spoglądam na kominek, spodziewając się zobaczyć płomień albo migocące świece. Patrzę nawet na podłogę, by sprawdzić, czy nie palą się deski. Jeśli Merek nie dostrzegł rozżarzonego węgielka, mogły się zająć ogniem. Ale nie... To było godziny temu...

Drzwi podskakują w zawiasach. Ktoś po drugiej stronie próbuje je otworzyć. Wyskakuję z łóżka, odsuwam krzesło spod drzwi, a te natychmiast się uchylają i pozwalają wpaść do środka dwóm napierającym na nie strażnikom. Spoglądam na nich. Zza ich pleców wlatuje dym, który szybko wypełnia przestrzeń.

– Pospiesz się – mówi Thurn, a ja natychmiast rzucam się do ucieczki, stawiając bose stopy na pogrążonych w ciemnościach schodach i chwytając sznurową poręcz tak szybko, że zostaje na niej moja zdarta skóra. Za plecami słyszę tupot innych kroków. Sekundę po mnie na korytarz wybiega tłum ludzi i tylko cudem unikam stratowania.

– Pali się! – Zewsząd dobiega ostrzegawczy krzyk; dym jest tutaj gęstszy, dławiący. Kolejnym objawem paniki jest łomoczące w mojej piersi serce. Thurn mocno chwyta moją dłoń i zaczyna biec, ciągnąc mnie za sobą. Kamienie są ostre i zimne, a ja próbuję wstrzymać oddech, choć wiem, że to niemożliwe. Oczy mnie pieką i nie wiedzieć czemu przypominam sobie pożar, który wywołałam w domu Chansé'a Unwina. Przebiegamy przez drzwi, a ja prawie upadam, kiedy z ziemi niespodziewanie wyrastają schody. Ratuje mnie tylko mocny uścisk strażnika. Wdycham wciąż zaprawione dymem, chłodne nocne powietrze, które wypełnia moje płuca. Natychmiast zaczynam drżeć. Thurn uparcie kieruje mnie w stronę tłumy, w którym stoją słudzy i strażnicy. Gdy okrążamy mur, dostrzegam źródło ognia: wieża północna, Wieża Zwycięstwa, którą Aurek zarezerwował na własny użytek.

Z okien buchają rozświetlające scenę jężory ognia. Wzlatujące w górę

pióropusze dymu wydają się czarne na tle nocnego nieba w kolorze indygo. Od kamiennych murów odbija się echo, słychać odgłos tłuczonego szkła, skrzypienie wykrzywającego się i pękającego pod wpływem wysokiej temperatury drewna. Cienie u podstawy wieży poruszają się jak mrówki, lgną ku niej, wylewają wiadra wody, która w większości nawet nie sięga płomieni. Odrobina płynu docierająca wystarczająco wysoko błyskawicznie wyparowuje.

Na moich ramionach ląduje peleryna, podszyta futrem i pachnąca potem i winem. Rozglądam się, by podziękować osobie, która mnie okryła, i uświadamiam sobie, że otacza mnie kilka tuzinów ludzi – pozostały personel zamkowy. Wszyscy w milczeniu patrzą na wieżę. Przyglądam się ich twarzom. Poznaje tylko stojącego obok Thurna; Crayne zniknął. Wśród ciżby nie widzę Aureka, mojego brata, matki ani Mereka.

Merek. Czy to on za tym stoi? Czy w ten sposób chciał odwrócić uwagę od swojej ucieczki?

Zwracam się do strażnika.

– Co się stało?

Nie odpowiada, tylko patrzy na zamek, więc ja też znów na niego spoglądam. Pożar się rozprzestrzenia: jęzory ognia liżą kolejne okna, przenoszą się z wieży na korytarze.

– Kto może, niech pomaga! – wykrzykuje ktoś z oddali. Kilka zgromadzonych osób patrzy po sobie, ale zamiast rzucić się do pomocy, wszyscy szybko wracają do oglądania sięgających nieba płomieni.

– Pomocy! – W polu widzenia pojawia się właściciel głosu: przysadzisty, krzepki mężczyzna o przekrwionych oczach i wysmarowanych czarną sadzą policzkach. Jego dłoń oplata złota opaska.

– Ty! – Wskazuje kogoś w tłumie. – I ty. Wszyscy. Do studni. Łapcie za łańcuchy. – Ludzie, których wskazał, ruszają z miejsc, ale widać, że im niespieszno i robią to z oporem. – Wy dwaj. – Mężczyzna wskazuje na mojego strażnika. – Na co czekacie? Biercie się do roboty.

– Kapitan gwardii kazał nam pilnować swej siostry – odpowiada Thurn.

– Kapitan gwardii właśnie wydał rozkaz, żeby każdy zdrowy mężczyzna wziął się za gaszenie pożaru – odszczekuje mężczyzna. – Bez wyjątków!

– Poczekam, aż sam mi o tym powie.

– Och, czyżby? Podaj mi swoje nazwisko! – wrzeszczy dalej mężczyzna.

Thurn milczy, więc odpowiadam za niego.

– Nazywa się Thurn! – wykrzykuję, a strażnik ściska mnie za rękę.

– Panie Thurn, albo zaraz złapiesz za łańcuch i pomożesz w gaszeniu pożaru, przez który może spłonąć cały zamek, albo powiem królowi, że odmówiłeś pomocy. Wyjaśnię mu, że wolałeś zostać z kobietą i beczynnie patrzeć, jak jego dom ogarniają płomienie. Przekonamy się, co myśli o takiej postawie.

Powietrze między nimi gęstnieje od wściekłości, aż wreszcie Thurn puszcza moją rękę.

– Zapłacisz za to, mała zdiro – syczy mi do ucha na odchodnym. – Crayne! – krzykiem przywołuje do siebie kolegę. – Kobieto! – zwraca się do zakapturzonej postaci wpatrzony w ogień. – Miej na nią baczenie.

Kobieta gestem wyraża zgodę. W chwili, gdy Thurn i Crayne znikają, ona odwraca się ode mnie. Rozglądam się wokół, szukając w tłumie Mereka.

Wtedy coś dostrzegam. Nie jest to Merok. To coś jeszcze lepszego. Kiedy dociera do mnie, na co patrzę, moje nogi robią się miękkie jak z waty.

Biała aureola podskakuje w powietrzu, aż w końcu znika za rogami.

Silas.

Silas Kolby, od stóp do głów spowity w czerń. Z zamku odprowadza go postać ubrana podobnie jak on. Przez krótką chwilę mam wrażenie, że jest z nią Merok. Zalewa mnie fala entuzjazmu, a ciało samo zrywa się do biegu. Potem odwracam się w lewo i widzę chmurę ludzi, również w czarnych szatach, odprowadzanych przez jeszcze większą eskortę w przeciwnym kierunku. Z zamku ewakuowani są wszyscy alchemicy porwani przez Aureka.

Oczywiście. Aurek bez wątplenia uważa, że za pożarem stoi Wstanie Świt. Chce mieć pewność, że nie zdołają odebrać mu alchemików.

Nie waham się. Czekam, aż grupa alchemików zniknie w nieprzeniknionych

ciemnościach, rzucam szybkie spojrzenie na kobietę, która miała mnie pilnować, i ruszam za Silasem. Cichutko, na paluszkach idę za postaciami w stronę stajni i obserwuję, jak wchodzi do jednej z nich. Zakradam się i obchodzę boczną ścianę budynku, w którym przebywają, a potem czekam, uważnie nasłuchując. Ze środka nie dobiega jednak żaden dźwięk, nie odzywa się ani Silas, ani jego dozorca więzienny. Słyszę jedynie odległe krzyki dochodzące z zamku. Już mam się ruszyć, gdy do moich uszu dobiega skrzypnięcie zawiasów. Zamieram. Słyszając zgrzyt wsuwanego do zamka metalu, wstrzymuję oddech. Potem słychać kroki, szybkie, podobne do truchtu. Stopniowo cichną i oddalają się.

Gdy wreszcie zdobywam się na odwagę i przesuвам z powrotem w stronę wejścia, nikogo już nie widzę. Towarzyszy mi jedynie lśniący zarys wieży podświetlanej przez płomienie.

Biorę głęboki oddech, odsuwam rygiel w stojących drzwiach i wpełzam do środka.

Silasa odnajduję w trzecim boksie. Jest przywiązany do haka na ścianie. Osoba, która go tu przyprowadziła, zostawiła pochodnię w uchwycie. Zaskakuje mnie ta życzliwość, troska, by nie pozostawić go w ciemności. Kaptur opadł lub został zrzucony z jego głowy. Urosły mu włosy. Teraz porastają go jak meszek mlecza. Jest odwrócony plecami w moją stronę, ale nawet od tyłu dostrzegam rękawice na jego dłoniach. Wzdycham, a on gwałtownie się odwraca. Nad kneblem w ustach lśni jego oczy, które szeroko otwierają się na mój widok.

Przez jedno uderzenie serca nie potrafię się poruszyć. Nie wierzę, że tu jest, że stoi, że wciąż zachował siły na tyle, by mieć nienawiść w oczach. Nienawiść, która znika, kiedy mnie dostrzeżę.

Wtedy się na niego rzucam. Obejmuję go rękami i nogami. Zatacza się i upadamy na stertę słodko pachnącego gnijącego siana.

– Przepraszam, Silasie, przepraszam. – Schodzę z niego i wyciągam mu knebel z ust.

Pojękuje, ale jednocześnie nie może powstrzymać śmiechu.

– Rozwiążesz mnie?

Tembr jego głosu na sekundę mnie paraliżuje. Jest chrapliwy i głęboki jak nigdy. Wyobrażałam go sobie raz za razem, lecz moje wspomnienia nawet się nie umywają do rzeczywistego brzmienia jego słów. Sięgam do krępujących jego nadgarstki więzów i rozplątuje je, aż wreszcie sznur opada. Uwolnione ręce mężczyzny chwytają mnie i przyciągają do szczupłego ciała. Obejmuję jego kark i wtulam się w niego ze wszystkich sił. Całuję czubek mojej głowy, potem zalewa deszczem pocałunków moje włosy.

– Nie byłem pewien, czy tu jesteś – mówi, przesuwając palce na moją twarz. On głaszcze mnie, a ja jego, odgarniając jednocześnie niesforne włosy opadające mu na oczy. – Codziennie o ciebie pytałem, ale nic nie chcieli mi powiedzieć. Wolałbym, żeby cię tutaj nie było.

– Teraz to nie ma znaczenia. Czy możesz biec? Jesteś ranny?

Kręci głową, ale nie patrzy mi w oczy. Siadam, ujmuję go za rękę i ściągam rękawiczki.

Wyglądają jednocześnie lepiej i gorzej, niż się spodziewałam. Aurek kazał mi wierzyć, że Nigredo rozwinęło się do tak zaawansowanego stadium, że Silas leży przykuty do łóżka, choć w rzeczywistości chore są tylko jego ręce. Wszystkie palce łącznie z kciukami oraz wewnętrzna i zewnętrzna część dłoni są czarne. Podwijam mankiety koszuli. Infekcja przeszła na rękę, sięgając wysokości kilku cali pod wewnętrznym zagłębieniem łokcia. Rękawice nosił po to, by ukryć skaleczenia. Nachylam się i całuję skórę w miejscu, w którym czerń dotyka bladości, na obu ramionach. Gdy podnoszę wzrok, zauważam, że obserwuje mnie z przechyloną głową. Serce mi wali.

– Myślałam, że jesteś w gorszym stanie – mówię, przełykając gulę zalegającą mi w gardle pod wpływem wzruszenia.

Potrząsa głową, ujmując moje ręce. Przekłęta skóra jest chłodna, uspokaja.

– Nie może posunąć się za daleko. Muszę być zdrowy. A co z tobą? Jak się czujesz?

– Doskonale. Aurek mnie ignoruje – kłamię. – Chodź, musisz uciekać.

– Zaraz. *Ja* muszę uciekać? A co z tobą?

Kręcę głową.

– Nie mogę. Przetrzymuje moją matkę. Lief ją tutaj przyprowadził.

– Przecież Lief nie pozwoli, żeby coś jej się stało.

– Obawiam się, że Aurek wyładuje na niej swą złość.

– Dlaczego miałyby to robić? Właśnie powiedziałaś, że się tobą nie przejmuję... – Urywa i przygląda mi się uważnie. – Kłamałaś? Coś mi się zdaje, że *wcale* cię nie ignoruje.

– Silasie, nie mamy na to czasu...

– Ucieknę tylko z tobą. Bez ciebie nigdzie się nie wybieram. To proste. Gdy ostatnim razem spuściłem cię z oka, dałaś się złapać.

– Ty też dałeś się złapać – protestuję.

– A potem jeszcze połamiałaś sobie kręgosłup – ciągnie. – Dostałem nauczkę, Errin Vastel. Akurat! Wybij sobie z głowy, że odejdę i zostawię cię tutaj! – Odsuwa się, krzyżując ramiona. – Wybieraj. Uciekamy *razem*. – Dobitnie podkreśla liczbę mnogą. – Albo zostajemy *razem*.

Wpatruję się w niego, w tę cudowną twarz, na której maluje się stanowczość. Lief nie pozwoliłby, żeby coś się stało mamie. Bardzo się zmienił, ale nie aż tak.

– Dobrze. Uciekamy.

Łapie mnie za rękę i pociąga, bym wstała razem z nim.

Nie jestem specjalnie zaskoczona, gdy drzwi ostrzegawczo zgrzytają w zawiasach, po czym uderzają o ścianę stajni i nas rozdzielają.

W drzwiach staje Aurek z wyszczerzonymi zębami i żądzą mordy w oczach.

– Ach... O mały włos, a by ci się udało, skarbie.

Rozdział 12



Rzucam się na Aureka. Wpadam na niego jak kula armatnia, powalając go ze sobą na ziemię. Choć przyjmuje siłę uderzenia, stęknąwszy z bólu, gdy moje ramiona wbijają się w jego klatkę piersiową, udaje mu się chwycić mnie za nadgarstki i się przeturlać. Teraz to ja jestem pod nim. Kopię, uderzam i pluję, szamocząc się pod ciężarem jego ciała. Gdy jego ręka ląduje na wysokości moich zębów, wgryzam się w nią, a on wydaje z siebie wściekły ryk i wali mnie w bok głowy pięścią. Natychmiast tracę zdolność widzenia. Czuję ucisk na klatce piersiowej, a kiedy mój wzrok się wyostrza, okazuje się, że Aurek klęczy na mnie z pochyloną głową i szuka czegoś przy swoim pasie. Nad jego ramieniem wyrasta Silas z widłami w dłoniach.

– Uciekaj! – krzyczę do niego i grzmocę czołem w głowę Aureka z taką siłą, że czuję jego zęby na swojej skórze. – Uciekaj!

Wtedy na moim gardle ląduje coś chłodnego. Silas zamiera. Upuszcza widły, jeszcze zanim Aurek rozkaże:

– Odłóż to, chłopcze.

Brzdęk rzuconych w kąt wideł głośno rozlega się w drewnianym budynku,

a ja czuję wilgoć spływającą po karku. Potem przychodzi ostry i przeszywający ból. Nóż, który trzyma Aurek, wrzyna się w moją skórę, a gdy przełykam ślinę, zanurza się jeszcze głębiej.

– Na czworaka! – rzuca Aurek, gdy schodzi ze mnie, nie odrywając noża od mojego gardła.

Silas natychmiast robi, co każe mu książę, nawet na sekundę nie spuszczając mnie z oka.

– Nie krzywdź jej, proszę.

Aurek podnosi mnie i staje za mną, cały czas trzymając nóż przy mojej tętnicy. Zza kołnierza koszuli nocnej spływa mi strużka krwi.

– Zabiję ją – mówi półgłosem, muskając ustami moje włosy. – Nawet nie myśl, że twoja uległość ją ocali. Nic z tego. Najwyżej trochę opóźni jej śmierć.

Paraliżuje mnie lodowaty strach, a skóra pierzchnie pod wpływem przerażenia, które zalewa mnie w reakcji na jego słowa i dotyk.

– Błagam – prosi Silas.

Aurek śmieje się i liże moje ucho.

– Nie!

Za plecami słyszymy hałas – kroki wielu par stóp; to ludzie z mieczami i pochodniami. Zatrzymują się w miejscu, którego wyraźnie nie dostrzegam. Widzę natomiast ich długie, kładące się na ziemi cienie.

– Zwiążcie mojego siostrzeńca i zabierzcie go w bezpieczne miejsce. Tylko żeby tym razem rzeczywiście było bezpieczne. – Aurek się odwraca. – Gdzie Lief?

– Nie wiem, Wasza Wysokość – odpowiada męski głos.

– Naprawdę? – Aurek rusza, obracając mnie w miejscu jak szmacianą lalkę. Kątem oka dostrzegam Silasa. Choć pęta go trzech mężczyzn, którzy właśnie wykręcają mu ręce za plecy, ani na sekundę nie odrywa ode mnie wzroku.

– Podsumujmy – ciągnie Aurek. – Ktoś podpala mój zamek. Później mój najbardziej zaufany oficer zabiera filtromantę do wyjątkowo bezpiecznego miejsca, jakim jest stajnia. Tutaj, niby przypadkiem, odnajduje go siostra

oficera. Śmierdzi mi to szczurem, Errin, i to wcale nie tym z twoich komnat. Taki był plan, jak mniemam? Wpędzić mnie w paranoję?

– Jesteś wynaturzonym...

Nie jest mi dane dokończyć, bo księżę uderza mnie w bok głowy ręką noża. Silas krzyczy, próbując wyrwać się dwóm mężczyznom, którzy go przytrzymują.

– Wiesz, co myślę? – pyta Aurek, gdy Silas mija mnie, wywlekany ze stajni przez strażników. Odprowadzam go wzrokiem, aż zupełnie znika mi z oczu. Wtedy zaczynam czuć palec Aureka wwiercający się w moją szczękę i zmuszający mnie do odwrócenia wzroku.

– Myślę, że Wstanie Świt to *ty*. Oraz banda szubrawców, których przekonałaś, by ci pomogli. Bardzo możliwe, że zalicza się do niej również twój brat. Przecież potrzebujesz kogoś na zewnątrz. Ale ja się tego wszystkiego dowiem. Już ci powiedziałem, wtedy, w tej heretyckiej świątyni kości, że jedynym sposobem powstrzymania plagi jest zniszczenie gniazda.

Nie mówi nic ponadto. Obraca mnie i krępuje moje ręce za plecami.

– Przynieście mi sznur – rzuca do jednego ze swoich ludzi i kilka chwil później moje ciało jest związane tak mocno, że w palcach czuję kłujące igiełki bólu.

Potem wplata dłoń w moje włosy i idzie. Ciągnie mnie za sobą z powrotem do zamku; moja skóra głowy okrutnie piecze, kiedy potykając się, podchodzimy do ciżby ludzi wpatrzonych teraz w stojącą w płomieniach drugą wieżę.

Aurek popycha mnie na ziemię z taką siłą, że aż przygryzam wargę i moje usta zalewa krew.

– Zgromadźcie tu wszystkich – rozkazuje ludziom. – Pożar ugaszą moje golemi.

Bez chwili wahania odbiegają w stronę ognia. Aurek wyciąga z kieszeni symulakrum. Do chwili, gdy wypowiada rozkaz bezpośrednio do gliny, mam wrażenie, że to moja kukiełka. W trakcie oczekiwania podnosi wzrok – wygląda na zadowolonego. Wtedy z ciemności wynurzają się cztery golemi.

Tłum podchodzi nerwowo. Aurek wyciąga skrawek papieru z nieodłącznego pliku i coś na nim pisze, po czym rozrywa go na cztery części. Golemy gwałtownie skaczą w przód, a on wciska im w łapska po jednym karteluszk. Nagle ich ruchy stają się skoordynowane, gdy rozbiegają się, formując wokół nas luźny okrąg.

Strażnicy, których odesłał, wracają ze śmierzdzącymi dymem mieszkańcami. Większość z nich kaszle, wszyscy mają przekrwione oczy i dyszą. Dołączają do tłumu. Niektórzy podchodzą do znajomych, inni bojaźliwie patrzą na Aureka i golem. Zapach niebezpieczeństwa miesza się ze swądem dymu.

– Niech nikt nie odchodzi. Golemy otrzymały rozkaz, by zabić każdego, kto spróbuje.

Przez tłum przebiega pomruk oburzenia, tłuszcza faluje, przysuwając się do sąsiadów lub odsuwając się od nich. Strażnicy zaczynają protestować.

– Wy też – rozkazuje Aurek tonem sugerującym, że wcale nie żartuje. – Mamy problem. – Podnosi głos, który rozbrzmiewa ponad rykiem ognia. – Problemem jest zaufanie. Zaufałem wam. Wszystkim. Pomyliłem się jednak i zaufałem także jej. – Trąca mnie stopą. – Uważam, że mnie zdradziła. Dlatego potrzebne mi są informacje. Proszę, by wszyscy, którzy służyli jej przez ostatnie dwa tygodnie, wystąpili krok do przodu. Jeżeli praliście jej ubrania, przyrządzaliście posiłki, wyjdźcie przed szereg. Jeśli jej strześliście, zróbcie krok w przód. Pragnę się dowiedzieć, jak głęboko wniknął jad jej zdrady. W tym celu potrzebuję waszej pomocy. I uczciwości. – Gdy nikt nie rusza się z miejsca, Aurek wzdycha. – Wiedźcie, że widok mego płonącego domu psuje mi humor. Błagam was, nie kaźcie mi prosić po raz drugi.

Thurn i Crayne wymieniają szybkie spojrzenia, po czym Crayne wychodzi naprzód, a Thurn ułamek sekundy po nim robi to samo. Posyłam im wściekłe spojrzenie, spluwając na ziemię krwią. Thurn odpowiada niemiłym uśmiechem.

Przed szereg wychodzą kolejni ludzie. Nikogo z nich nie rozpoznaję: kilku mężczyzn, dwie kobiety w wieku mojej matki, chłopak wyglądający na dziewięć, dziesięć lat. W grupce stojących przed Aurekiem ludzi nie dostrzegam twarzy Mereka. Czuję isierkę nadziei. Czyżby rzeczywiście udało

mu się zbiec?

Nie. Ktoś stojący z tyłu wypycha go przed szereg.

– On jej zanosí posiłki – kracze jakieś wredne kobiecisko. Moje serce wali jak oszalałe, ale Merek nawet na mnie nie spogląda. Skupiwszy całą uwagę na Aureku, wchodzi pomiędzy jedną z kobiet a małego chłopca.

– Czy któreś z was pomagało dziewczynie w przemycaniu wiadomości poza mury zamku?

Wszyscy kręcą głowami, a Thurn głośno odpowiada: – Nie.

– Czy kiedykolwiek was o to prosiła?

Thurn ponownie jako jedyny odpowiada werbalnie; reszta zaprzecza w milczeniu.

Aurek przechyla głowę, bacznie się im przyglądając, po czym spogląda na mnie.

– Errin, czy kiedykolwiek prosiłaś, zmuszałaś, przekupowałaś tych biednych, prostych chłopów, żeby zostali twoimi stronnikami? A może im groziłaś?

– Dobrze wiesz, że nie – wystękuje grubym głosem z powodu puchnących warg.

Wzrusza ramionami. Niespodziewanie ręka, w której wciąż trzyma nóż, wykonuje nagły ruch. Gardło Thurna przecina ostrze.

Na szyi strażnika tworzy się czerwona kreska, po czym rana się rozwiera i chlusta z niej krew. Zaskoczony Thurn spogląda na Aureka z szeroko rozdziawionymi ustami. Potem upada. Wyciekające zeń życie wsiąka w martwą trawę.

– Spytał ponownie. – Aurek posyła mi uśmiech. – Kto ci pomógł? On? – Nożem wskazuje Crayne'a.

– Wasza Wysokość... – zaczyna Crayne i szybko okazuje się, że są to ostatnie wypowiedziane przez niego słowa, bo nóż błyska ponownie. Crayne umiera, rżąc i przyciskając ręce do gardła, jakby mógł z powrotem włóczyć krew i zatkać ranę. Umiera długo. Aurek niewzruszenie przygląda się konającemu.

Kobieta, która stoi obok zwłok Crayne'a, wykrzykuje:

– Powiedz mi, że to nie byłam ja – prosi mnie. – Błagam. Powiedz mi.

– To nie była ona – potwierdzam, nie mogąc znieść tej masakry. – To nie była żadna z tych osób.

– A więc kto? – Aurek piorunuje mnie wzrokiem i wskazuje tłum nożem. – Czy ktoś z tych ludzi należy do organizacji Wstanie Świt?

– Tak – kłamię. – Tak, Wstanie Świt to ja. Ja! To wszystko moja robota. Miałam pomocników, ale nie był to żaden z nich. Żadna ze zgromadzonych tu osób.

– Podaj ich tożsamość. Imiona, nazwiska.

– Ja... Nigdy nie poznałam ich nazwisk – zapewniam. – To by było zbyt niebezpieczne.

Aurek wzrusza ramionami.

– Ani trochę ci nie wierzę! – Zanurza nóż w piersi kobiety, która natychmiast bezwładnie opada na ziemię. – I tak zamierzam ich wszystkich zabić.

– Nie! – krzyczę przez zaciśnięte gardło, gdy wyciąga ostrze z ciała kobiety i podchodzi do Mereka.

Słyszę kroki za plecami.

– Lief – wita go Aurek przyjemnym głosem. – Jak miło z twojej strony, że zechciałeś do nas dołączyć. Gdzieś ty się podziewał?

– Poszedłem odzyskać... coś cennego – odpowiada, marszcząc brwi. – Ale wszystko przepadło. – Patrzy na mnie i przez moment wydaje mi się, że dostrzegam w jego spojrzeniu ulgę. To wrażenie szybko jednak znika, a Lief przenosi uwagę z powrotem na Aureka.

– Czyżby? – pyta Aurek. – Widzisz, wydaje mi się dość osobliwe, że pożar wybuchł w tej właśnie wieży... *mojej* wieży... kilka godzin po odnalezieniu szczura w komnatach Errin.

Lief przenosi wzrok z Aureka na mnie, a potem znów spogląda na swego pana.

– Wasza Wysokość nie mówi jasno.

– Mam szczerą nadzieję, że się przejęczyłeś. – Aurek wolno cedzi słowa. Lief głośno przełyka ślinę.

– Miałem tylko na myśli, że nie rozumiem związku, Wasza Wysokość. Książę mruga.

– Grupa Wstanie Świt kazała wypuścić szczury do domu szeryfa z Lortune. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że potrafią zaatakować w tak różnych lokalizacjach. Mówiłem ci, że podejrzewam działanie jakiegoś kreta. Pamiętasz? Podzieliłem się obawą, że za tym wszystkim stoją moi ludzie.

Lief stoi nieporuszony. Patrzy na Aureka jak na żmiję.

– Uważam, że twoja ukochana siostra to dusza organizacji Wstanie Świt – oznajmia książę łagodnie. – Albo agentka lokalnej komórki. Uważam ponadto, że ktoś z mojego zamku jej pomaga. Obawiam się, że tą osobą jesteś ty.

Lief unosi brew. Napięcie gęstnieje do tego stopnia, że nawet noc zdaje się zastygać.

– Przykro mi to słyszeć, Wasza Wysokość – odpira.

Teraz to Aurek marszczy brew.

– Tyle masz do powiedzenia? Ja cię oskarżam o zdradę, a ty mi odpowiadasz, że przykro ci to słyszeć?

Lief składa przed nim ukłon.

– Ty jesteś królem, panie. Nie wypada mi się kłócić z Waszą Wysokością. Nie jestem godzien.

Zmrużywszy oczy, Aurek przekrzywia głowę.

– Tylko tyle masz do powiedzenia na swoją obronę?

Lief podnosi na niego wzrok. Kiedy przemawia, jego głos jest zrezygnowany.

– Doskonale wiesz, panie, że zdarzyło mi się zdradzić ludzi, których kochałem. Zakładając, że leży to w mojej naturze, wykazujesz się ostrożnością. Taka *jest* moja natura.

Ośmielam się rzucić okiem na Mereka, który opuścił głowę, by utrzymać

twarz w cieniu. Kiedy spoglądam z powrotem na Aureka, ten patrzy na Liefę w osłupieniu.

– Czy kochasz swoją siostrę bardziej niż króla? – pyta.

– Kocham swoją siostrę. I matkę. Ale to tobie winien jestem lojalność i posłuszeństwo, panie.

Aurek obserwuje go jeszcze chwilę, po czym odstepuje na krok i macha mi ręką, gestykulując w stronę tłumu.

Nakazuje Liefowi kontynuować przesłuchanie. Zalewa mnie kolejna fala nienawiści do brata, gdy odwraca się do mnie z gładkim i spokojnym obliczem.

– Czy to ty podłożyłaś ogień, Errin?

– Nie. Byłam w moich komnatach. Oni – poruszam głową w kierunku zwłok Thurna i Crayne’a – stali przy moich drzwiach. Teraz ci tego raczej nie potwierdzą.

– Czy poprosiłaś kogoś o podłożenie ognia?

– Nie. O pożarze dowiedziałam się, kiedy wyciągnięto mnie na dwór w koszuli nocnej.

Lief patrzy na mnie badawczo.

– Szczur w twojej komnacie. Czy ty go tam podłożyłaś?

– Nie.

Mruży oczy.

– Łżesz.

Aurek, przekrzywiwszy głowę, patrzy to na mnie, to na niego.

– Ona coś wie na temat szczura. Kto był w pokoju, kiedy zobaczyłaś szczura? Twoi strażnicy? Te trupy tutaj? I kim był ten człowiek, sługa przebywający z tobą w komnacie, gdy do was wszedłem? – zasypuje mnie pytaniami Lief.

– Nie wiem, nie było go tam, kiedy zobaczyłam szczura – mówię szybko z sercem bijącym tak mocno, że prawie rozrywającym żebra.

Na twarzy Liefy pojawia się grymas, który znam od dziecka. Krzywił się tak

zawsze, gdy zjadałam ostatni kawałek miodownika, a później twierdziłam, że to wcale nie ja. Gdy niszczyłam jedną z drewnianych krów, na punkcie których miał bzika. Gdy z jego pożyczonym łukiem znikiałam w lesie. To matowe, wściekłe spojrzenie mojego starszego brata.

Ku mojemu zaskoczeniu ciszę, która pomiędzy nami zapada, przerywa Aurek. Przeciągając samogłoski, mówi:

– W interesie uczciwości, do której najwyraźniej tylko ja jestem zdolny, oświadczam, iż ten oto strażnik – trąca Thurna butem – powiedział mi, że to on widział szczura i że to on rozkwasił go patelnią.

Zapiera mi dech w piersiach. Nie mogę uwierzyć, że arogancja Thurna właśnie ocaliła Mereka.

– Ponadto, gwoli prawdy, przyznam się, że nie nadążam za biegiem twoich myśli. – Aurek mówi do Lief z coraz większą nutą szyderstwa.

– Zgadzam się z tobą, panie, że organizacja Świt, z braku lepszego słowa, ma tu swoich agentów – odpowiada Lief, składając lekki ukłon. – Chcę się tylko dowiedzieć, czy należy do niej moja siostra, zanim ją ukarzę.

Lief przenosi wzrok ze mnie na szereg pozostałych sług. Wszyscy mają skulone ramiona, stoją z wbitymi w ziemię oczami i próbują stać się niewidzialni, jakby mogło ich to ocalić przed gniewem Aureka. Jego spojrzenie omiata wszystkich, szybko przesuwa się po kobietach i dzieciach, ale zatrzymuje się na Mereku. Oblicze mojego brata przecina kolejny grymas.

Patrzę, jak napięcie na jego twarzy ustępuje, a spojrzenie odpływa w bok, jakby coś sobie przypomniał. Potem się uśmiecha. Jest to powolny, pozbawiony wesołości uśmiech, na widok którego wali się mój świat.

– To ty byłeś służącym, prawda? – mówi do Mereka. – Ty przyniosłeś napitek?

Merek podnosi wzrok, w którym płonie opór.

I on, i ja wiemy, że Lief go rozpoznał.

– Chociaż... czy aby na pewno? Może się mylę. Być może wcale nie widziałeś tych teatralnych popisów – mówi w zadumie Lief, a oczy Mereka się rozszerzają.

Lief odwraca się do Aureka.

– Nie wiem, jak było z tym szczurem, Wasza Wysokość. Mogę przed tobą przysiąc na życie mojej matki, swoje własne oraz życie mojej siostry – o ile jest cokolwiek warte – że nie należę do Świtu. Za niewinność Errin ręczyć jednak nie mogę.

Teraz to Aurek wygląda na zaskoczonego.

– A jeśli ją zabiję?

– Mojej matce będzie jej brakowało – odpowiada Lief. Potem się rozgląda, a obojętność na jego obliczu ustępuje miejsca zdezorientowaniu. Wykonuje obrót, najwyraźniej zapominając o Aureku, o mnie i Wstającym Świcie.

– O co chodzi? – Aurek wpatruje się w ciemność.

– Wybacz mi, panie, ja... Gdzie jest moja matka?

– Co?

– Poszedłem do Wieży Odwagi, lecz jej już tam nie było, a jednak nie widzę...

Aurek gniewnie marszczy brwi.

– To dlatego nie było cię tam, gdzie ci kazałem być.

Lief i ja patrzymy na niego.

– Wasza Wysokość? – pyta.

– Po incydencie ze szczurem kazałem ją przenieść do Wieży Zwycięstwa. Pomyślałem, że w razie ataku Świtu tam będzie bezpieczniejsza.

Lief patrzy na mnie tak, jakbym miała gotową odpowiedź. Nie wiem, czy odgrywa spektakl. Nie potrafię go rozgryźć. Odwraca się i patrzy na Wieżę Zwycięstwa. Ogień bucha z każdego okna, a w komnatach za nimi płonie jasność.

– Nie – mówi przyciszonym głosem, a później rusza biegiem w stronę zamku.

Kiedy dociera do mnie, skąd ten pośpiech, ruszam za nim.

Golemy zamierzają się na niego, gdy przemyka obok; jeden zaczyna za nim człapać, ale szybko zamiera w miejscu i powoli odwraca się w stronę tłumu.

Gdzieś z tyłu mojej głowy błyska myśl, że Aurek rozkazał mi, by nas nie krzywdził.

Gnam za moim bratem i patrzę, jak znika w zadymionym przejściu. Kiedy dobiegam do wejścia, on wytacza się na zewnątrz, zasłaniając ręką twarz i gwałtownie kaszląc. – Zbyt gorąco. – Krztusząc się, chwytam mnie za rękę i zapominamy o wszystkim, co zaszło kilka chwil wcześniej. Przywieramy do siebie i biegniemy wokół wieży, szukając innej drogi wejścia.

Drzwi płoną, ku niebu wzlatuje dym, a Lief odwraca się, ciągnąc mnie w stronę wejścia, przez które wbiegliśmy na początku. Teraz jęzory ognia są jeszcze dłuższe i muszę przytrzymać Liefą obiema rękami, zapierając się piętami o ziemię, by powstrzymać go przed wbiegnięciem do środka.

– Umrzesz – krzyczę, gdy wyswobadza się z uścisku moich zaciśniętych palców.

– Matka tam jest – rzuca, odpychając mnie.

Następnie mijam nas postać: wysoka, szara, która ciężko stąpa w kierunku płomieni. Z otwartymi ustami patrzę, jak przez nie przechodzi, najwyraźniej odporna na ogień. Kiedy odwracam się do Liefy, dostrzegam, że dołączył do nas Aurek. Nie patrzy na żadne z nas, wpatruje się w płomienie. Odbijające się w jego oczach światło sprawia, że i one się żarzą.

Zapomniawszy o całym konflikcie, zgodnie stoimy we trójkę ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. Próbujemy wyłapać najmniejszy znak poruszenia. Kiedy zerkam na brata, widzę, że płacze. Z jego zdrowego oka po twarzy spływa łza. Mnie żołądek podchodzi do gardła.

Golem niesie na rękach coś czarno-czerwonego, coś, co dymi. Lief krzyczy i opada na kolana.

Skóra golema wygląda na bledszą, poznaczoną pęknięciami. Podchodzi do nas, osmolony niczym garnek w płomieniach, i niespodziewanie rozpada się w pył. Zawiniątko, które trzymał w rękach, upada na ziemię.

Odwracam się do Aureka. Sama nie wiem po co. Księżę patrzy na mnie swoimi bezlitosnymi złotymi oczyma.

– Ja nigdy nie poznałem mojej matki – mówi.

Rozdział 13



Już nic nie dodaje. Odchodzi, zostawiając w kompletnym szoku mnie i mojego brata, który kołysze się na kolanach jak porażony chorobą sierocą. Odprowadzam księcia wzrokiem i przenoszę wzrok na ziemię. „Moja matka” – mówię sobie... i nic nie czuję. Nie wygląda jak osoba. Ani nic innego.

– Tak bardzo mi przykro – łka Lief, zanurzając paznokcie w ziemi. – Mamo, przepraszam. – Nie mówił tak do niej od ósmego roku życia. Pamiętam, gdy po raz pierwszy podczas kolacji zwrócił się do niej per „matko”. „Podaj mi masło, matko” – powiedział wtedy, na co zareagowała takim zaskoczeniem, że upuściła łyżkę i zachlapała obrus zupą.

Moja matka jest martwa. Nie żyje. Już nigdy nie rozleje zupy. Już nigdy się nie uśmiechnie. Nigdy więcej nie zaplecie mi na głowie warkoczy w koronę. Nigdy już nie posmakuję jej chleba ani masła. Nigdy nie przystawi chłodnej dłoni do mojego czoła, gdy zachoruję.

– To twoja wina – mówi czyjś głos. Lief podnosi wzrok na mnie. – To przez ciebie – powtarza ten sam głos, a ja jestem ledwie świadoma, że skądś ten tembr znam, że to mój własny głos. Moje słowa. – Ty ją tu sprowadziłeś.

– Nie. Chciałem tylko zapewnić jej bezpieczeństwo – wykrztusza Lief.

– Z nim? Naprawdę myślałeś, że będzie z nim bezpieczna?

– Ktoś spoza murów miasta mógłby ją wykorzystać przeciwko mnie. – Lief wbija palce w ziemię. – Nie wiedziałem. Nie pomyślałem...

– Nigdy nie myślisz! – krzyczę na niego. – Zawsze chodzi o to, czego ty potrzebujesz, czego ty chcesz, co ty uważasz za najlepsze. A teraz ona nie żyje. Zabijałeś ją od miesiący, aż wreszcie ci się to udało.

Za plecami słyszę odgłos kroków. To pewnie Aurek albo jacyś strażnicy, którzy zaraz mnie gdzieś odprowadzą. Odwracam się z uniesionymi pięściami, ale widzę tylko Mereka, który przystanął nad mamą, zasłoniwszy usta rękami.

– Niech Bóstwa mi wybaczą. Jakże mi przykro! Przecież nie zamierzałem...

– Ty to zrobiłeś? – pytam. Słowa zdają się wypływać z moich ust niezależnie ode mnie. – Ty podłożyłeś ogień?

Potakuje z udręczoną miną.

– Tak myślałam.

– Nie wiedziałem.. – Ale kiedy wypowiada te słowa i natychmiast przerywa, nie czuję aż takiej wściekłości jak w przypadku Lief. – Myślałem, że jest w południowej wieży. Nie wiedziałem, że przeniosła się do północnej. On był z nim w Wielkiej Sali. – Ruchem głowy wskazuje Lief. – Myślałem, że wieża jest pusta. Pożar miał tylko odwrócić ich uwagę – szepcze, po czym ujmuje moje dłonie. – Przykro mi, Errin, tak strasznie mi przykro. Nie wiedziałem, musisz mi uwierzyć.

– Nie obwiniam cię – słyszę swój głos. – Obwiniam jego. – Odwracam się do brata.

– Errin, błagam – mówi Lief.

– Ty ją tutaj przywiozłeś. – Choć mówię cicho, słowa odbijają się echem od otaczających nas kamieni. – Wpędziłeś ją w szaleństwo. Zamordowałeś ją.

Lief zasłania twarz i zgina się w pół, bezwładnie opadając na trawę.

– Jeśli o mnie chodzi, cała moja rodzina jest martwa – mówię do jego pochylonej postaci. – Ojciec umarł w Tremayne, a ty i mama umarliście w dniu, w którym wyruszyliście do tego miejsca. Dla mnie jesteście martwi, Lief.

Słyszysz mnie? Straciłam całą rodzinę.

Kształt wydaje z siebie jęk.

– Ona żyje – krzyczy Merek, natychmiast się nad nią nachylając. Lief też się przysuwa, łapiąc ją za dłoń. Z jej ust wydobywa się kolejne rżące jęknięcie. Wpatruję się w nią, nie potrafiąc pojąć, jakim cudem jeszcze żyje. Niewielkie fragmenty ciała, które nie szerniały ani się nie zwęgliły, są czerwone i lśniące. Skórę jednej z rąk pokrywają ropiejące bąbelki. Spaliły się jej wszystkie włosy. Znikły brwi, rzęsy. W skórę wtopiła się suknia.

Gdy uważaliśmy ją za martwą, wyglądała okropnie, ale żywa... jest jak koszmar.

– Elixir. – Merek podnosi na mnie wzrok. – Odzyska zdrowie dzięki Eliksirovi.

Lief potrząsa głową, drugą ręką zasłania sobie usta.

– Wyleczył złamany kręgosłup twojej siostry – mówi Merek ostrym tonem. – Nie sądzisz, że warto spróbować?

Nie podnosi wzroku, nie odzywa się. Ani nie porusza.

– Pójdę i spytam. – Znow słyszę własny głos, który zdaje się dochodzić z bardzo daleka. – Będę błagać, jeśli trzeba.

Lief podrywa głowę.

– Nie robi tego dla ciebie. Prędzej pozwoli jej umrzeć, żeby cię mocniej zranić – mówi, po czym przełyka ślinę. – Być może robi to dla mnie. Idźcie. Ja go poproszę. A wy uciekajcie, póki możecie.

Merek spogląda na niego ponad ciałem mojej matki. Lief odwzajemnia spojrzenie.

– Dlaczego miałby to dla ciebie zrobić?

– Ma tylko mnie – odpowiada cicho Lief, a ja odnoszę wrażenie, jakby ktoś wepchnął mi bryłę lodu do żołądka.

– My również mieliśmy tylko ciebie – mówię. Przymyka powieki, spod których wycieka kolejna łza.

– Uciekajcie – powtarza.

– Errin? – niepewnie pyta Merek.

Otwieram usta. Chcę powiedzieć, że nie mogę – teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie mogę jej opuścić i nie wiem, czy Aurek poda jej Elik sir, czy nie. Przerywa mi dziwne piśnięcie i następujący po nim trzask. Wszyscy troje spoglądamy na Wieżę Zwycięstwa dokładnie w chwili, gdy zaczyna kruszeć, a mury zamieniają się w chmurę kurzu i odłamków. Merek powala mnie na ziemię i przykrywa własnym ciałem, kiedy przewala się po nas gruzowisko. Wstrzymuję oddech i wciskam twarz w ziemię.

Kiedy dudnienie ustaje, Merek pomaga mi wstać. Cały jest w sadzy i kurzu, nie do poznania.

– Uciekajcie – łamiącym się głosem powtarza Lief, który ledwo podnosi się na nogi. – Oboje. Rozwiążę problem symulakrum. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by wyleczyć ma... matkę. Silas jest bezpieczny, dopóki potrafi sporządzać Elik sir. Jeśli zostanieie, zginiecie, nim nadejdzie świt.

Czyli przez cały ten czas wiedział, co Aurek mi robi, a jednak nie zareagował. Nie potrafię ruszyć się z miejsca.

– Errin – łagodnie ponagla mnie Merek. – Proszę.

Podnoszę na niego wzrok i mrugam.

– Pozwól mnie się tym zająć – mówi Lief.

Skinieniem głowy odpowiadam Merekowi i kątem oka dostrzegam, że Lief oddycha z ulgą.

– Postaraj się – rozkazuję mu, nie odczuwając żadnej przyjemności, kiedy się wzdryga. – Jesteś mi to winien. Jej jesteś to winien. Wychowała cię na dużo lepszego człowieka.

Kiedy zwiesza głowę, odwracam się. Nie potrafię dłużej znosić jego widoku.

– Którędy powinniśmy uciekać? – pyta go Merek.

– Przez Bramę Północną. Weź to. – Odwracam się, gdy Lief wyciąga z kieszeni tuniki skrawek papieru. Patrzą, niczym pogrążona w letargu, jak podaje kartkę Merekowi. – Zadbaj o moją siostrę, Wasza Wysokość – mówi, składając dyskretny ukłon.

– Co to jest? – Merek podnosi kartkę.

– Później przeczytasz – odpowiada Lief tonem, do którego wszystkich przyzwyczaił. – Idźcie już. Mam zadanie do wykonania.

– Poczekaj. Jeszcze jedno. Dlaczego nie zdradziłeś mi, kim jestem? – pyta Merek.

Lief bierze głęboki oddech i strzepuje kurz z munduru.

– Miałem wobec ciebie dług. – Przeciera twarz rękawem i na sekundę unosi opaskę, pod którą przelotnie dostrzegam różowy oczodół. Nie spogląda ponownie na żadne z nas, tylko znika w mroku nocy, idąc za Aurekiem.

– Chodź – mówi Merek, wyciągając do mnie rękę.

Spoglądam na mamę. Od pewnego czasu nie wydała z siebie dźwięku, ale wolę o tym nie myśleć. Nie teraz.

Łapię Mereka za dłoń.

Merek wie, dokąd uciec. Biegnę obok niego. Poruszające się ramiona pchają mnie do przodu, w ciemność. Gołe stopy uderzają w ziemię tak szybko, że nogi drętwieją od wibracji. Jak dobrze jest się poruszać. Gnam przed siebie, jakbym chciała uciec od wszystkiego, co się właśnie wydarzyło. Muszę zaufać Liefowi. Uwierzyć w to, że zrobi, co będzie mógł, by uratować mamę.

Do Bramy Północnej docieramy bardzo szybko. Lief nie kłamał, przejście jest zakratowane i zaryglowane, lecz nikt go nie strzeże. Ślizgając się, zatrzymujemy się na zamarzniętym błocie. Pomagam Merekowi podnieść gruby kawałek drewna z uchwytów rozwieszonych w poprzek bramy. Strach i pośpiech dodają nam siły. Wyrwamy też żelazne rygle umocowane głęboko w kamieniu. Po otwarciu bramy bez słowa się odwracamy i po raz ostatni patrzymy na wściekle płonąca wieżę, po czym Merek chwyta mnie za dłoń i wyprowadza poza teren zamku.

Biegniemy wzdłuż bocznego muru. Krzyki zamkowej gawiedzi są coraz cichsze. Wreszcie docieramy do wąskiej uliczki, która zdaje się prowadzić do podgrodzia. W oddali słyszę huczące głosy. Odciągam Mereka od ich źródła, ale on potrząsa głową.

– Musimy przejść przez miasto i odwiedzić mojego sprzymierzeńca. Potrzebujemy płaszczy, jedzenia, wody. Ty potrzebujesz ubrań. I butów. Bez zapasów nie przeżyjemy.

– Złapią nas od razu, kiedy tam pójdziemy. – Mój głos jest ochryply. Dym i krzyki postrzępiły mi gardło. – Panuje zakaz wychodzenia po zmroku.

Merek potrząsa głową.

– Aurek kazał zbudzić wszystkich ludzi, żeby pomogli w gaszeniu pożaru. Patrz. – Wskazuje uliczkę, gdzie po krótkiej chwili dostrzegam mężczyznę i kobietę, ciepło odzianych i zmierzających w stronę zamku. Później przebiega kolejny człowiek, za nim drugi, a następnie trzeci. Dostrzegam poblakłe barwy ich ubrań; nadchodzi świt. – Panuje chaos. Jeśli się pospieszymy i nie wejdziemy żołnierzom w drogę, nic nam nie zgrozi.

Mam świadomość, że to niebezpieczne. Głupie nawet. Dziwne, że to nie ja wpadłam na ten pomysł, tak jest nierozważny. Ale Merek ma rację: mam na sobie tylko koszulę nocną. Ujmuję go więc za rękę i pozwalam, by zaprowadził mnie do miasta Lortune.

Panuje w nim dokładnie taki chaos, jak to opisał. Gdy mijamy dźwiękoszczelną osłonę w postaci budynków, uderza nas ściana hałasu. Ludzie rozbiegają się w lewo i w prawo, nawołując się nawzajem, aż od razu staje się jasne, że tylko nieliczni zamierzają pomóc królowi. Zamiast tego biegają od jednego budynku do drugiego, szeptem powtarzając sobie nowiny, podając małe butelki, tobołki z ubraniami. Wykorzystując poruszenie, próbują zachować swobodę działania i uniknąć strażników, którzy zapędzają ich pod zamek.

Merek ciągnie mnie w dół uliczki, pod drzwi niskiego budynku u jej zwieńczenia. Okna skrywa mrok, ale on tak czy owak łomocze w drzwi.

– Otwieraj. – Wali w nie pięścią. – Otwieraj...

Gdy drzwi otwierają się na rozcież, prawie zwalając mnie z nóg, w przejściu staje kobieta. Drobną, pomarszczoną i zasuszoną jak rodzynek. Wywija laską zakończoną metalowym trzonkiem.

– Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli pomogę temu tallithańskiemu bękartowi.

Nie będę nosiła żadnej wody – syczy do Mereka. – Prędeż sama wskoczę w ogień.

– Nie chcę, żebyś pomagała jemu. Wolałbym, żebyś pomogła nam.

Patrzy to na mnie, to na Mereka.

– W czym mam wam pomóc?

– W ucieczce, odnalezieniu Daunen Wcielonej i odzyskaniu tronu.

Odwaga tego wyznania likwiduje jakąś część towarzyszącego sytuacji napięcia.

Kobieta, pochyliwszy się, wystawia twarz z cienia i uważniej mu się przygląda. Później, ku mojemu zaskoczeniu, chichocze.

– Wiedziałałam, że nie twoja głowa tam zawisała – mówi, uśmiechając się szelmowsko i odsłaniając usta, w których przeważają dziąsła, a nie zęby. – Wiedziałałam. Oczy tamtego chłopca otaczały kurze łapki od śmiechu. Na palcach jednej ręki mogłabym policzyć, ile razy widziałam twój uśmiech.

Gdy unosi rękę, doświadczam kolejnego szoku, bo kobiecie brakuje palców: dwóch u lewej ręki i jednego u prawej. Ponownie rechoce na widok mojej miny, a następnie bierze nas za ręce i wprowadza do domu, po czym mocno zatrzaskuje za nami drzwi.

Jak na osobę dobrze po osiemdziesiątce jest niewiarygodnie silna. I szybka.

W jej chatce jest ciepło, wręcz duszno. Patrzę na okna zakryte grubą tkaniną, chroniącą przed światłem i chłodem.

– Margot Cottar – przedstawia mi kobietę Merek, gdy ta odwraca się do nas, zaryglowawszy drzwi. – A to jest Errin Vastel. – Podczas gdy ona odwraca się i mierzy mnie wzrokiem, on kontynuuje: – Tak, jest siostrą Srebrnego Rycerza. Ale zdecydowanie nie stoi po jego stronie.

– Nienawidzę go – warczę.

Margot mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym kiwa głową, jakby poręczenie Mereka i moje słowa w zupełności wystarczały.

– Czego wam trzeba? Bo po coś żeście tu przyszli.

– Potrzebujemy ubrań, które nadałyby się do biegania i jazdy konnej, a do

tego butów. I jeszcze płaszczy, wody. Jedzenia.

– Dokąd zmierzacie?

– Do Scarron – mówię równocześnie z Merekiem, który odpowiada: – Nie wiemy.

Margot patrzy na nas kolejno.

– Zaraz wszystko przyniosę, a wy tymczasem coś postanówcie. – Przez małe drzwiczki wybiega z pokoju do innego pomieszczenia, zostawiając nas samych.

Słyszę stłumione głosy przechodzących na zewnątrz ludzi. Pokój jest mały, prawdopodobnie mniejszy niż pokój dzienny w chatce w Almwyk, chociaż na pewno czystszy i bardziej zadbane od tamtego miejsca. Oparty o ścianę stoi mały zniszczony stół, a pod nim dwa równie odrapane krzesła. Przy kominku widać fotel bujany, przykryty grubo tkanym kocem pasującym do szmacianego dywanika na podłodze. Są też subtelne ornamenty, mała waza na gzymsie kominka, akurat pusta, zabawkowy żołnierz, z którego całkiem odlepiła się farba. I wypełniony przędzą koszyk stojący przy fotelu.

– Myślę, że ona jest w Scarron. – Patrzę na Mereka, który również przygląda się pokojowi. – To samo powiedział Lief Aurekowi. To bardzo prawdopodobne. Ma tam dom. Wybudowano go w ustronnym miejscu, o tej porze roku trudno do niego dotrzeć. Poza tym tamtejsi ludzie ją kochają. Widziałam ich. Obronią ją.

Merek potrząsa głową, odrzucając ten pomysł.

– Nie mogłaby stamtąd koordynować działań Świtu.

– Jeśli to w ogóle ona za tym stoi – przypominam. – Pewności mieć nie możemy.

– Wiem, że to ona – mówi Merek. – Nie pytaj mnie skąd. Po prostu wiem. Wzdycham.

– Gdzie w takim razie pójdziemy?

– Nie wiem. Gdzieś się musi ukrywać. Tak jak mówiłaś, w jakimś odległym i bezpiecznym miejscu.

Skupiam myśli.

– Silas powiedział, że jego matka wraz z grupą kobiet żyła w pobliżu Gór Wschodnich. Poczekaj, nie sądzisz...

Merek błędnie i wolno otwiera usta.

– Jak mogłem na to... – Nagle urywa i potrząsa głową. – No przecież!

– Co? – pytam z żądaniem w głosie.

– Istniało tam zgromadzenie zakonnice. Wiodły życie w wielkim odosobnieniu. Były bardzo tajemnicze. *Napisałem* do nich z pytaniem, czy przyjmą moją matkę, gdy ożenię się z Twyllą.

– Co zrobiłeś?

Wzrusza ramionami.

– Odmówiły. O co ci chodzi? – pyta, bo nie przestaję się na niego gapić.

– Planowałeś odesłać ją po ślubie do jakiejś kliki zakonnice? Jak niechciane ubranie? Jak swoją własność? – Coś głośno upada na podłogę w pokoju, do którego weszła Margot. Oboje spoglądamy na drzwi, po czym ponownie krzyżujemy spojrzenia.

– Nie znałaś mojej matki – mówi cicho.

– Nieważne. Strach pomyśleć, że byłeś gotów zrobić coś tak okrutnego.

Merek bierze głęboki oddech.

– Matka zabiła mojego ojczyma. Bardzo możliwe, że ojca również. Prawdę powiedziawszy, zabiła wielu ludzi. Odesłanie jej, jak to ujęłaś, byłoby aktem dobroci. Mniej litościwy król kazałby ją stracić pod zarzutem wielu zbrodni.

Oboje cichniemy. Przysłuchujemy się, jak Margot głośno przeszukuje mieszkanie, mrużąc coś pod nosem.

– Skąd ją znasz? – Zniżam głos. Nie pytam, czy możemy jej zaufać, bo to dość oczywiste – gdybyśmy nie mogli, w ogóle byśmy tu nie przychodzili.

– Jest cioteczną babką jednego z moich osobistych strażników... i przyjaciół – dodaje. – Po śmierci jego rodziców wychowywała jego, jego brata i siostrę. – Milknie. – Siostra miała na imię Dimia.

– Ach. – Przez chwilę nie wiem, co powinnam dodać. – A reszta?

– Najstarszego syna, Ashera, moja matka kazała zabić podczas mojej

nieobecności. Jego brat Taul był wtedy w moim oddziale. Nie wiem, gdzie jest teraz – w dniu, w którym zdetronizowałem matkę, pojechał do Tallith po ciało siostry. Nigdy nie wrócił.

– Mam nadzieję, że jest daleko stąd. – Oboje odwracamy się do drzwi, w których stoi drobna Margot Cottar, uginająca się pod ciężarem zapasów. – Że wsiadł na statek i pożegłował hen przez morze Tallithi do ciepłych i rozkosznych krain, w których aż roi się od nagich kobiet lub mężczyzn skorych do zaspokajania jego zachcianek.

Merek uśmiecha się cierpko.

– Teraz rozumiesz, co miałam na myśli. – Margot posyła mi bezzębny uśmiech. – Łatwiej utoczyć krew z kamienia, niż wywołać u niego uśmiech. Proszę. – Macha tobołkiem w stronę Mereka, który podchodzi go odebrać.

– Powinnaś mi okazywać więcej szacunku – mówi do niej, podając mi gruby wełniany kaftan, skórzane bryczesy, białą koszulę i parę wysłużonych butów. – Jestem królem.

– Wygryzł cię uzurpator – oznajmia Margot bez ogródek. Rzuca mi bieliznę i chwyciwszy Mereka za ramię, obraca go, żebym mogła się swobodnie przebrać. Wkładam bieliznę pod koszulę nocną, którą szybko z siebie zrzucam. Następnie przez głowę wciągam podkoszulek i koszulę, a na koniec wskakuję w bryczesy. – Okażę ci szacunek, gdy zabijesz tego potwora i odzyskasz koronę – ciągnie Margot.

– Kłamczuszka – gładko odpowiada Merek. – Przez całe moje życie ani razu nie okazałaś mi szacunku.

– Miałam pięciu braci, trzech mężów, wychowałam ośmiu synów i dwóch synów moich bratanków. Na własnych błędach się nauczyłam, że jak okażesz szacunek chłopu, zanim zdąży sobie nań zapracować, to zacznie tobą pomiatać. Bez względu na to, czy jest pięknym księciem, czy kostropatym chłystkiem. Jeśli pošlesz Śpiącego Księcia do grobu, uklękne przed tobą i ucałuję ci stopy. Wtedy zasłużysz na mój szacunek.

Odwraca się do mnie i mruga, gdy wsuwam buty na nogi.

– Dziękuję – mówię z wdzięcznością. – To wszystko jest piękne.

– Należało do Ashera, kiedy był mniej więcej w twoim wieku. Poza butami. W nich chodziła moja Mia. Jakoś nigdy nie chciałam ich wyrzucać. To zacne buciska. Cieszę się, że znów komuś posłużą.

Potakuję z powagą.

– Zadbam o nie.

Wykrzywia usta, jakby chciała rzucić jedną ze swoich zgryźliwych uwag, kiedy w oddali rozlega się donośny i głęboki brzęk dzwonu.

Merek i ja wymieniamy spanikowane spojrzenia.

– On wie – mamroczę.

– To może być kolejna syrena nawołująca do pomocy przy zamku – mówi, ale wyraz jego twarzy jasno wskazuje, że on też w to nie wierzy.

– Musimy iść. – Odwracam się do Margot. – Dziękuję. Za wszystko!

– Nie ma potrzeby – mówi twardo i podaje mi torbę. – Spakowałam chleb, wodę, kawałek sera, szynkę i trochę...

Nie dokańcza zdania, bo uderzam ją w twarz.

Leci do tyłu na plecy i z hukiem ląduje na małym stoliku. Ja zaś szamoczę się, dziko wymachując rękami i zanurzając paznokcie w czym popadnie.

– Merek, powstrzymaj mnie – błagam, bo moje ciało zaczyna się poruszać wbrew mojej woli. Zrzucam wazę z gzymsu nad kominkiem, kopię w krzesło i wyję z bólu, lecz nie przestaję się rozbijać, skakać na wszystko, kopać, robić piruety i wyprowadzać ciosy. – Merek, błagam! – krzyczę, gdy moje palce wpijają się w szal Margot.

Wykręca głowę, ale potyka się i upada, a ja zostaję z szalem w ręku. Merek upuszcza torbę i podbiega do mnie. Udaje mi się walnąć go w kark i zmusić do potknięcia. Pada na ziemię.

– Co ty wyczyniasz, dziewucho? – Margot strofuje mnie wrzaskliwym głosem, nie przestając się niezdarnie odsuwać.

– Przepraszam, przepraszam – powtarzam, rozpaczliwie próbując uwolnić się od nich obojga.

Aurek przebywający gdzieś w oddali kazał mojemu symulakrum atakować,

dlatego rzucam się teraz na skuloną w kącie kobietę.

– A mówiłeś, że można jej zaufać! – krzyczy na Mereka, który wciąż leży na podłodze i ciężko dyszy.

Moja ręka uderza w naostrzoną laskę, którą trzymała Margot, gdy otwierała drzwi. Instynktownie łapię za kostur i wywijam młynki nad głową.

– Uciekaj – ostrzegam szeptem.

Kiedy przywiera do ziemi, wyglądając jak staruszka, którą przecież jest, oplatają mnie czyjeś ramiona. Próbują przygwoździć moje ręce do tułowia. Odrzucam głowę, ale Merek unika ciosu i wzmacnia chwyt.

– Powstrzymaj mnie – mówię. – Proszę, Merek. – Wyrzucam nogę, która uderza w jego goleń. Na chwilę rozluźnia chwyt. Potem jego ręce zaplatają się wokół mojego karku, wewnętrzna część łokci dociska moje gardło, szamoczę się z jeszcze większą dzikością, podczas gdy on ściska mnie, uniemożliwiając zaczerpnięcie oddechu.

– Przepraszam – mówi.

Podnoszę na niego oczy, które przesłania coraz gęstsza mgła. Nie przestaję się szamotać. A potem odpływam.

*

Odzyskuję przytomność, ale i tak wszystko spowija ciemność. Czuję nieznaczny nacisk na nos, a dotyk szorstkiej tkaniny na skórze sugeruje, że przewiązано mi oczy, chociaż jestem pewna, że Aurek nie może patrzeć przez moje oczy za pomocą symulakrum. Kark jest wrażliwy, a nadgarstki ocierają się o sznur, który pęta je za plecami. Moje nogi też są związane na wysokości kostek. Dzwon w oddali wciąż bije, głębokie, złowieszcze dudnienie odbija się echem w moim sercu.

– Jest tu kto? – mówię do pomieszczenia.

Nad głową słyhać hałas, trzeszczący dźwięk, a potem kroki na schodach.

– Ja jestem. – Głos Mereka dobiega z lewej strony.

– Dobrze się czuje?

Następuje krótkotrwała cisza.

– Tak. Jest przerażona. Ale i zła. Nie na ciebie – dodaje szybko. – Na Śpiącego Księcia. Za to, że tak tobą steruje.

Na schodach słyszę kolejne kroki, powolniejsze od kroków Mereka. Czekałam, aż postać wejdzie do pokoju i mówię:

– Bardzo mi przykro. Nie chciałam pani skrzywdzić.

Oboje milczą, moje oczy za opaską przesuwają się to w lewo, to w prawo.

Potem mojej twarzy dotykają krótkie, zimne palce, odstępy pomiędzy nimi są bardzo szerokie.

– Po co jej opaska na oczach? – pyta Margot.

– Bo... – odzywa się Mererek, a potem przerywa. – Nie wiem. Nie wiem, czy przypadkiem nie potrafi patrzeć jej oczami. Gdyby tak było, mógłby poznać, gdzie jesteśmy. Nie jestem pewien, jak to dokładnie działa.

– Chyba nie potrafi patrzeć moimi oczami – mówię i opaska natychmiast znika. – Nie mogę mieć pewności, ale to raczej niemożliwe. Golemy nic nie widzą, używają do ataku jakiegoś innego zmysłu. Uważam, że tak samo musi być ze mną. Nie potrafi też kontrolować mojego umysłu. Potrafi jedynie sterować moim ciałem. Na skrawku papieru pisze rozkazy, którymi owija symulakrum.

– Ale w jaki sposób kukielka jest z tobą zespolona?

– Przez krew. Karmi marionetkę moją krwią, a potem dodaje kropelkę swojej i w ten sposób tworzy więź.

Margot kiwa głową i patrzy na Mereka.

– Krew obumiera – mówi. – To naturalna substancja, ulega rozkładowi. Jeśli nie będzie miał świeżego dopływu twojej krwi, straci zdolność kontrolowania twojego ciała. Ale na razie może tobą sterować do woli.

– Jest też obecny w jej snach – mówi Mererek.

– Czy może być jednocześnie obecny w twoich snach i kontrolować twoje ciało?

Waham się.

– Raz śniłam, a on rozmawiał ze mną we śnie. Później się obudziłam, ale

stałam na parapecie. Nie w swoim łóżku... – Drzę, przypominając sobie tamto wydarzenie. – Oboje byliśmy wtedy świadomi, nie sądzę, żeby potrafił robić te dwie rzeczy jednocześnie.

– Cóż. Musicie coś postanowić – mówi Margot. – Krępowanie cię jest niepraktyczne. Jak będziesz podróżować? Myć się? Bronić podczas ataku?

– *Ostrzegałam* cię – mówię do Mereka, zła na siebie, że przybrałam ostry ton. – Mówiłam ci, jakie ryzyko wiąże się z moją ucieczką. Wiedziałam, że Aurek zrobi coś podobnego. Prawie panią zabiłam – przepraszam Margot, z zaróżowionymi od wstydu policzkami.

– Taka chuderlawa dziewczuszka jak ty nie byłaby w stanie mnie zabić – rzuca przez ramię, ale nawet ja zauważam, że brawura w głosie znacznie osłabła. Wcześniej jak z rękawa sypała żartami i kąśliwymi uwagami. Teraz jest mniej pewna siebie. Przeze mnie.

– Może powinnam wrócić? – pytam Mereka. – Oddać się w jego ręce?

Wypuszcza długie westchnienie.

– Postąpiłabyś bardzo niemądrze – mówi bez ogródek. – Po pierwsze, zginęłabyś przed wschodem słońca. To cud, że dziś wieczorem obojgu nam udało się uciec, drugiej szansy nie dostaniemy. Po drugie, jak mówiła Margot, krew się rozkłada. Zakłęcie czy inna czarodziejska pętla, którą na tobie zacisnął, zniknie. Poza tym Lief powiedział, że spróbuje to zniszczyć.

Tym razem Margot i ja wydajemy z siebie identyczne odgłosy niechęci i braku zaufania. Potem przypominam sobie skrawek, który Lief wręczył Merekowi.

– Co było napisane na tym skrawku papieru? Na tym, który dał ci Lief?

Unosi brwi, próbując sobie przypomnieć, gdzie go włożył, po czym odchyła się i wyciąga go z kieszeni. Rozwija kartkę, marszczy brwi, i wręcza mi ją.

Niemal od razu uświadamiam sobie, że to receptura Opus Magnum. Odręcznie spisana zawijasami mojego brata.

Wszystko tam jest; wszystko, co pamiętam ze stołu w Konklawe. *Sal Salis*, szczypta nagietka, poranna chwała, fiołka anielskiej wody, tonik spagiryiczny, trzy listki laurowe, korzeń mandragory, powój, kora cisu, kłosa pszenicy.

Siarka. Rtęć. Zanotowano godziny, o których należy zerwać kwiaty i listki, opisano, jak najlepiej je przechowywać przed użyciem. Jest nawet zalecenie, jakiego drewna użyć do rozpałki. Spisano drobiazgowo przebieg całego procesu, prawdopodobnie po raz pierwszy w historii.

To klucz do pokonania Śpiącego Księcia.

Merek spogląda na mnie sponad kartki.

– Jak ci się podoba? – pyta.

Potrząsam głową, wciąż oniemiała z zaskoczenia. Właśnie tego potrzebuję, żeby zdekonstruować miksturę. Dzięki temu odtworzę nawet najmniejszy szczegół procesu. Merek się uśmiecha, naprawdę szczerze, a Margot gapi się na niego z niedowierzaniem. Kobieta coś mówi, długo poruszając przy tym ustami, a zdetronizowany król dorzuca własne uwagi. Całkiem o mnie zapomnieli w świetle tego nowego cudu, który według Mereka miał nigdy nie nadejść.

– Daj mi to. – Margot wyrywa mi recepturę z dłoni i wraca do tylnej izdebki. Bojaźliwie spoglądam na Mereka, ale on potrząsa głową. Najwyraźniej ufa jej bezgranicznie. Po powrocie wręcza mu papier, na którego powierzchni dostrzegam coś lśniącego. Merek wykrzywia się i delikatnie składa liścik, po czym chowa go z powrotem w kieszeni.

Gdzie zdobył to Lief? Nie od Silasa, on na pewno by mi o tym powiedział. Ukłucie winy każe mi zastanowić się, gdzie przebywa obecnie Silas. Modłę się, by wszystko było u niego w porządku i by nie został za to ukarany. Potem moje myśli biegną ku Liefowi. Ciekawe, czy i on przeżył swoją zdradę. I jakie motywacje nim kierowały. Zrozumiałam, dlaczego pozwolił Twylli uciec – z powodu tego, co ich łączyło. Zrozumiałam również, dlaczego nie zdradził tożsamości Mereka – Lief nigdy nie lubił być czymkolwiek dłużnikiem. Ale wręczać nam klucz do zagłady Śpiącego Księcia? Zdobyć receptury na pewno wiązało się z mnóstwem zabiegów i wymagało sprytu.

To nie ma sensu.

Po czyjej stronie stoi Lief?

Nie jest mi dane głębiej się nad tym zastanowić, bo powoli dociera do

mnie, że dzwon na zewnątrz bije szybciej, donośniej, jakby dzwonnik nie robił żadnych przerw i ciągnął za linę zaraz po uderzeniu serca dzwonu w dolną krawędź. Margot podchodzi do okna i o milimetr unosząc zasłonkę, wygląda na zewnątrz.

Następnie odsuwa się.

– Musicie uciekać – mówi. – Przeszukują dom po domu.

Rozdział 14



Merek zrywa się, jeszcze zanim Margot kończy mówić. Pociąga supeł przy moich nogach i więzy opadają.

– Co ty...

– Czeka cię bieg. Będziemy musieli zaryzykować i uwolnić ci stopy.

Przesuwa się za moje plecy i uwalnia nadgarstki, ale nie wypuszcza ich z mocnego uchwytu. Przepraszająco wykrzywiając usta, związuje je ponownie, choć zostawia pomiędzy nimi kawałek luźnej liny, dzięki czemu zachowuję pewną swobodę ruchów.

– A jeśli rozkaże jej, by do niego wróciła? – pyta Margot.

Merek się waha.

– Mocniej owiń je liną. – Wyciągam dłonie i kiwnięciem głowy zgadzam się, by mnie ciaśniej skrępował. – Zrób z tego smycz. Będiesz mógł mnie skuteczniej hamować, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Margot otwiera niewielkie tylne drzwi i wygląda na zewnątrz, a Merek szybko przywiązuje do moich nadgarstków kolejny sznurek, po czym zarzuca worek na plecy. Ujmuje moją smycz w dłonie i czekamy, aż Margot da nam

sygnał, że droga wolna.

– Teraz – rzuca i wyskakujemy z jej domu niczym ogary w pogoni za lisem.

Nie dziękujemy jej nawet ani się nie żegnamy. Nie ma na to czasu. Pędząc ile sił w nogach, dobiegamy do murku na tyłach domu. Z pomocą Mereka przeskakuję przez mur, lądując na czyimś podwórku. Przemieszczamy się w ten sposób dalej, on co jakiś czas przystaje i podstawia złożone dłonie pod moje nogi, a ja pokonuję płot za płotem. Dzięki tej taktyce udaje nam się uniknąć głównej ulicy. Na końcu rzędu zabudowań przeskakujemy przez ostatnie ogrodzenie i znowu lądujemy na ulicy. Dźwięk dzwonów zagłusza wszystko inne, nie słyszę głosów, kroków, a nawet uderzeń własnych butów o błotniste alejki.

Merek nie puszcza sznurowej smyczy, więc instynktownie skręcam w tę samą stronę co mój przewodnik. Nie widzimy nikogo, nie dostrzegamy nawet jednego poruszenia okiennicy ani żadnego cienia na murze.

Zatrzymujemy się za podrzędną gospodą, której okna zasnuwają pajęczyny. Oboje opieramy się o wilgotny mur, żeby zaczerpnąć oddechu. Moje płuca płoną żywym ogniem, gdy wpuszczam do nich lodowate powietrze.

– Po drugiej stronie karczny jest Brama Handlowa – wykrztusza Merek, ciężko łapiąc oddech. – Nie wiem, czy jest strzeżona.

– Czy nie będzie zamknięta?

– Istnieje tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Poczekaj tutaj – mówi i zanim jestem w stanie zaprotestować, upuszcza sznurek i znika za rogiem. Kiedy tracę go z pola widzenia, strach od razu narasta – a jeśli za sekundę zostanę opętana? Na szczęście Merek szybko wraca i podnosi linę, posyłając mi ponury grymas.

– Nie ma strażników, ale brama jest zaryglowana. Będę potrzebował twojej pomocy.

– Nie powinieneś był tego robić – syczę.

Nic nie mówi, tylko potrząsa głową i ponagla mnie gestem.

Bicie dzwonu cichnie. Zagłusza je pierzeja budynków oddzielających nas od zamku.

– Podnosimy na „trzy” – mówi Merek, umieszczając dłonie pod grubą drewnianą kłodą na żelaznych uchwytach.

Wkładam pod nią własne skrępowane ręce.

– Raz. Dwa...

Dzwon na ułamek sekundy milknie i w panującej wokół ciszy słyszę szelest metalu ocierającego się o skórzaną pochwę. Obracam się i staję twarzą w twarz z dwójką żołnierzy. Na ich tabardach lśnią potrójne złote gwiazdy.

– Merek – ostrzegam go w ostatniej chwili, bo już atakują nas z nożami w dłoniach niczym pospolici siepacze.

W mgnieniu oka unoszę spętane ręce, a nóż stojącego bliżej mężczyzny wrzyna się w sznur, strzępiąc jego zewnętrzną krawędź. Bez zastanowienia kopię napastnika w kolano.

Stęka z bólu i zatoczywszy się, chwytą mnie instynktownie, żeby utrzymać się na nogach. Nie jestem jednak na to przygotowana, dlatego wytrąca mnie z równowagi i oboje upadamy.

Po wylądowaniu przewracam się na bok, co ratuje mnie przed utratą tchu. Niestety, moje ciało uderza o ziemię i czuję się mocno poturbowana. Pewnie dlatego on pierwszy odzyskuje równowagę i podczołguje się do mnie. Rękami obłapia moje ramiona, próbując przyszpilić mnie do podłoża. Wydaje z siebie ryk. Z jego ust toczy się ślina. Podnoszę kolano, żeby uderzyć go między nogi, ale chybiam. Sięga po kawałek sznura przywiązany do lin pętających mój nadgarstek i zaczyna ciągnąć. W chwili gdy przesuwam ciało, by uwolnić sznur spod naszych tułowi, ja unoszę łokieć do góry i walę go w podbródek. Dolny rząd zębów uderza o górny ze strasznym łupnięciem. Potem ponownie próbuję potraktować go kolanem. Tak, tym razem trafiam. Jego oczy powleka mgła wywołana dojmującym bólem. Drugim kolanem grzmocę go w brzuch i zwałam z siebie jego cielsko, po czym mocno zdyszana podnoszę się z ziemi. Gdy on zgina się wpół, trzymając się za żołądek, zarzucam skrępowane ręce za jego głowę i ciągnę z całych sił. Pozwalam linie werznąć się w jego gardło, żeby pozbawić go przytomności sposobem Mereka.

Rzucam szybkie spojrzenie w stronę przyjaciela, nie przestając mocować się ze strażnikiem, którego opór z każdą minutą słabnie. Merek wyciąga sztylet

z tułowia drugiego mężczyzny, po czym ociera go o koszulę i zatyka za pas.

Patrzy na mnie i ponuro kiwa głową, a ja w tym samym momencie uświadamiam sobie, że mężczyzna, z którym walczyłam, przestał się poruszać. Kiedy zdejmuję ręce z jego gardła, on upada, przekręca się nieznacznie i zamiera z wpatrzonymi w niebo przekrwionymi oczami.

Dopiero po sekundzie dociera do mnie, że go zabiłam.

– Chodź – ponagla mnie Merek, ale nie potrafię się poruszyć.

Zabiłam człowieka.

– Errin! – warczy.

Nie odrywam wzroku od trupa. Podbródek mężczyzny pokrywa krótki zarost, miejscami srebrno-biały. Ten człowiek jest pewnie w wieku mojego ojca.

Stojący za mną Merek głośno stęka, słyszę odgłos rozłupywanego drewna, a ułamek sekundy później potężne łupnięcie.

Odwracam się powoli, jakby zanurzona w smole. Zauważam, że brama jest już otwarta. Potem czuję, jak ręce Mereka podnoszą mnie do pozycji stojącej.

Gdy wreszcie z jego pomocą wstaję, on przesuwają się i spogląda mi w twarz.

– Nic ci się nie stało?

Potrząsam głową.

– No to idziemy.

Chwyta mnie za nadgarstek i ciągnie za sobą. Ruszam chwiejnym krokiem, odwracając się po raz ostatni, by spojrzeć na ciało. Właśnie kogoś zabiłam. To powinno być trudniejsze.

Merek prowadzi mnie przez dzikie ciemności Lormere. Schodzimy z drogi i pokonujemy pola otaczające stolicę. W szarym świetle zimowego świtu drzewa wyglądają jak szkielety.

Przechodzimy przez jedno pole, później mijamy następne i kolejne, trochę biegniemy, trochę idziemy, a gdy co pewien czas się odwracamy, czerwona poświata wokół zamku Lormere jest coraz mniej wyraźna. Po prawie dwóch

godzinach nie widać nawet maleńkiego punkciku. Zastanawiam się, co zrobi Aurek, jeśli zamek doszczętnie spłonie. Gdzie się przeprowadzi? Kto zapłaci za tę noc?

Czy poda mamie Elik sir?

Powietrze gęstnieje od mgły, która pojawia się nie wiadomo skąd. Trzymam się blisko Mereka, lecz jestem tak skupiona na obserwowaniu jego postaci zamiast drogi, że ostrzeżenie „uwaga, strumień” przychodzi zbyt późno. Moja stopa rozbija cieką warstwę lodu, a do buta wlewa mi się fala lodowatej wody, która wytrąca mnie z zamyślenia i każe wydać zaskoczony okrzyk: „Ooo!”.

Merek ciężko oddycha i wyciąga mnie ze strumyka, a ja miotam przekleństwa. Podprowadza mnie do majestatycznego, grubego drzewa i każe usiąść. Opadam na ziemię. Przez chwilę moszczę się pomiędzy dwoma wykrzywionymi korzeniami i opieram o pień.

Po cichu upuszcza torby na ziemię i klęka przede mną. Zdejmuje mi but i przechyla go, żeby wytrząsnąć kropelki wody, które w nim zostały.

Sięga po jedną z toreb i szperając w środku, wyciąga kolejne przedmioty. Gdy odnajduje to, czego szukał, ponownie łapie mnie za nogę i zdejmuje przemoczoną skarpetę.

Ponieważ intymność tych zabiegów szokuje mnie, próbuję odsunąć od niego stopę.

– Co robisz?

Posyła mi mroczne spojrzenie.

– Kiedyś podczas podróży zatrzymaliśmy się w Tallith. Panował okrutny sztorm. Nasze schronienie przemokło. Przemokło wszystko: ubrania, śpiwory, jedzenie. Musieliśmy z tym żyć. Ale nie było łatwo. Z każdym dniem sytuacja się pogarszała. Istnieje gatunek grzyba, który szczególnie upodobał sobie wilgotne zagłębienia stóp.

– Ostrygowa stopa – mówię odruchowo. Nazwa wzięła się od mężczyzn, którzy całymi dniami brodzą w wodzie morskiej, wybierając ostrygi z podwodnych basenów, i nie suszą stóp przed założeniem butów.

- Słyszałaś o tej dolegliwości? Czyli wiesz, jakie to smrodliwe utrapienie!
- Nabawiłeś się tego?

W kąciku jego ust błąka się cień uśmiechu.

– Nie. Podszedłem do zagadnienia jak prawdziwy ksiązę i rozkazałem wysuszyć sobie buty i skarpety. Oznajmiłem, że dopiero wtedy je założę. Inni kpili ze mnie i z dumą nosili przemokłe buty. Znosiłem te szyderstwa z zaskakującą pobłażliwością. – Jedną z peleryn osusza mi stopę, a ja udaję, że w wycieraniu przez księcia stóp nie ma żadnej niezręczności.

- Bo wiedziałaś, co się im stanie?

Potwierdza skinieniem głowy.

– Przez cztery lata czytałem wszystko, co tylko wpadło mi w ręce, na temat życia wśród natury. Zapoznałem się z każdym dostępnym dokumentem wojskowym i z szeregiem podręczników zielarskich. Gdyby przyznawali orderzy za zdolność przetrwania w dziczy, zdobyłbym wszystkie możliwe odznaczenia.

- Co zrobili, kiedy grzyb zaatakował?

Posyła mi jeden ze swoich rzadkich, z trudem przywoływanych uśmiechów.

– Spytali, jak się go pozbyć. Zdobyłem trochę lawendy, kapkę octu i dziko rosnącego czosnku. Przyrządziłem smarowidło, które wyleczyło infekcję w ciągu dwóch tygodni.

Mimowolnie unoszę usta w uśmiechu, ponieważ właśnie to należało w tamtej sytuacji uczynić. Nigdy bym się tego po nim nie spodziewała, nawet teraz, gdy już dał wiele dowodów swojej zręczności i sprytu. Wtedy przypominam sobie martwego strażnika i opuszczam głowę.

Merek – wyraźnie zadowolony, że nie grozi mi już infekcja ostrygowej stopy – wkłada mi na stopę nową, suchą skarpetę. Potem umieszcza w bucie ścierkę i odkłada go na bok.

Sięga do drugiej torby i wyjmuje bukłak oraz chleb i szynkę. Podaje mi to wszystko, częstuję się, po czym oddaję mu zapasy i patrzę, jak urywa dwa kawałki chleba, między które wkłada plaster szynki.

- Ja również nikogo wcześniej nie zabiłem – mówi cicho, gdy kończy

przeżuwać. – Przynajmniej nie bezpośrednio. Nie własnoręcznie.

Podnoszę wzrok.

– Nie własnoręcznie?

Potrząsa głową.

– Jestem pośrednio odpowiedzialny za śmierć mojej matki. Gdybym jej nie uwięził, on nigdy by jej nie odnalazł.

Nigdy nie pytałam Mereka o jego matkę. Zakładałam, że umarła, kiedy przyszedł Aurek, ale ani razu nie dopytywałam o szczegóły. Milczę i czekam.

– Z tego, co słyszałam, próbowała udawać wieśniaczkę, żeby ujść z życiem, kiedy ogłosił, że mnie zabił. Ale inni więźniowie zdradzili mu prawdę. Wtedy zaproponowała mu sojusz, czego przez cały ten czas pragnęła. Najwyraźniej roześmiał się jej prosto w twarz. Nie podarował jej nawet śmierci z własnej ręki. Nie było mnie tam. – Wyjmuje ścierkę z buta i zastępuje ją drugą, suchą, którą wprawdzie wpycha do środka. – Ale strażnicy w wartowni dużo gadają. A ktoś musi im służyć. Mówili... – Znowu milknie. Pochyliłam się i ujmuję jego nieruchome dłonie w swoje skrępowane ręce. Potakuję z wdzięcznością. – Mówili, że to golem złamał jej kark. Później, kiedy powiedziała, że zasłużyła na śmierć z jego monarszej ręki, wyśmiał ją. I nie przestawał się śmiać.

– Merék – mówię cicho.

– Czyli moją pierwszą ofiarą była matka. Poza tym można mnie chyba obarczyć winą za śmierć każdego Lormeriańczyka, który zginął w wyniku jego inwazji. Za śmierć żołnierzy, służby, zwykłych obywateli. Również za śmierć chłopca, który zginął zamiast mnie. Wszystkich w Tregellanie, kiedy go nie powstrzymano. I twojej matki. – Podnosi wzrok. – Jeśli Aurek nie da jej Elikiru, wtedy również jej śmierć obciąży też moje sumienie.

– Przestań – mówię ostro. Nie potrafię o tym myśleć. Nie mogę dopuścić do siebie złości na niego. W oddali słyszę ciche szczekanie psa, mgła zniekształca ten odgłos. – Przestań już, proszę.

Po chwili się odzywa.

– Pozwól więc, że zadam ci pytanie. Czy chciałaś zabić mężczyznę, który

cię zaatakował?

Potrząsam głową.

– Próbowałam pozbawić go przytomności.

– Ja natomiast zdecydowanie próbowałam zabić strażnika, z którym walczyłem. – Spogląda na swój zatknięty za pas nóż. – I zrobiłbym to ponownie. Podejrzewam, że jeszcze nie raz będę musiał zabić, zanim to się skończy. Czuję się jednak nieswojo.

– Dlaczego?

Milknie na dłuższą chwilę, a potem odpowiada.

– Śmierć zawsze wydaje się taka prosta – mówi, wypowiadając słowa prosto w noc. – Czytałem opowieści o odważnych wojownikach i mordercach, o tym, jak szybko zabijali i odchodzili. Szli do karczmi i pili z przyjaciółmi albo wracali do domu do swoich kochanek. Później nigdy nie analizowali swych uczuć. Odbierali życie i tyle. Było to dla nich takie łatwe. Takie... *normalne*. A ja nigdy nie zapomnę uczucia, które towarzyszyło mi przy zabijaniu tamtego mężczyzny. Spowodować czyjaś śmierć a naprawdę zabić to dwie zupełnie różne rzeczy. Udało mi się to zrobić praktycznie bez żadnej presji, bez chwili refleksji. Czuję każdy cal noża wrzynającego się w jego ciało. I chyba zawsze będę go czuł. – Spuszcza wzrok na dłonie. – Tego w książkach nie opisują.

Pies szczeka ponownie, tym razem głośniejsze, i wszystkie włoski na moim karku stają dęba.

– Merek – mówię. – Nie posłałby za nami psów, prawda?

Merek patrzy na mnie, jego twarz nie wyraża niczego. Potem wyciąga szmatę z mojego buta i rzuca nim we mnie. Podczas gdy ja, chwając się na jednej nodze, wsuwam but na osuszoną stopę, on zbiera porzucone gałgany i wkłada z powrotem do torby, którą podnosi i odrzuca tak daleko, jak to możliwe. Próbuje zmylić ich trop i kupić nam kilka dodatkowych sekund. O ile się uda. Gdy zarzuca na ramiona drugą torbę, noc rozdziera wycie i ujadanie psów, które właśnie złowiły nasz zapach.

– Musimy wejść do wody – mówi Merek, łapiąc za sznur pętający mi ręce

i przecinając go nożem. Dostrzega malujące się na mojej twarzy przerażenie. – Biegnij ile sił w nogach. Nie przejmuj się, wolę zginąć z twojej ręki niż w paszczach tych kundli.

Potem znowu biegniemy.

W każdej sekundzie czekam, aż ciało mnie zdradzi, czekam na rozkaz, który każe mi się zatrzymać. Nawet gdy uciekamy przez mgłę, a ból pali płuca, kiedy łapię oddech, wyobrażam sobie, że powoli się zatrzymuję, odwracam i czekam, aż skoczy na mnie ogar z otwartą paszczą, zionący smrodliwym oddechem.

Merek biegnie przede mną najszybciej, jak może, przecina łąkę jak ostrze, precyzyjnie wymachując ramionami. Wołałabym, żeby było ciemno, żebyśmy pozostawali pod osłoną nocy. Na tej otwartej przestrzeni czuję się zbyt odsłonięta. Od czasu do czasu Merek zerka do tyłu, zatrzymując wzrok na mnie, a później przenosząc go za moje plecy, po czym znów odwraca się w kierunku biegu.

Chociaż oznajmił, że musimy dobiec do wody, nie powiedział, czy jest w pobliżu, dlatego wciąż powtarzam w myślach: „Błagam – błagam – błagam”. Wybiegamy z łąki i trafiamy do małego lasu, gdzie musimy uważać, żeby nie potknąć się o kryjące się w cieniu korzenie.

W pewnym momencie zdyszany głosem mówię, że być może powinniśmy wspiąć się na drzewa, ale Merek, nawet się na mnie nie oglądając, urywa krótkim: „nie”. Dlatego biegniemy dalej, wypadamy z lasu na pola uprawne, mięśnie moich nóg rozrywa ból potęgowany tygodniami bezczynności. Płuca i klatka piersiowa płoną. W boku rwie kolka. Psy nie przestają szczekać. Głośniej i głośniej, w miarę jak się do nas zbliżają.

– Tam! – krzyczy Merek i wydaje się, że dostrzegł ratunek, ponieważ gna w tamtą stronę, zwiększając dystans między nami. Ja też próbuję zwiększyć tempo. Z moich ust wydobywa się jęk, kiedy zmuszam ciało do przyspieszenia.

Potem moja kostka odmawia posłuszeństwa i potykam się. Czuję zdzierające się warstwy naskórka, kiedy instynktownie zapieram się rękami o ziemię, by zamortyzować upadek. Ranię też kolana. Przecierają się do mięsa

pod bryczesami, kiedy szurając, usiłuję zmniejszyć prędkość. W ostatniej chwili zamykam usta i oczy, chroniąc je przed błotem i kamieniami.

Ujadanie psów jest jeszcze głośniejsze.

Odwracam się i po raz pierwszy dostrzegam ogary – przecinające ciemność cienie, przytulone do ziemi, pędzą w moją stronę susami niczym demony.

Czuję na talii ramię Mereka, który podciąga mnie do góry. Próbuję iść, ale piecze mnie kostka. Pali kolano. Kłuje ręka.

– Uciekaj – mówię mu.

Ignoruje mnie i bierze na ręce, aż stękając z wysiłku pod wpływem mojego ciężaru.

Spoglądam przez ramię i dostrzegam psy. Mają pasiaste i pręgowane umaszczenie. Ich zęby lśnią. Skowyczą i wzajemnie się nawołują. Tropią nas bez opamiętania. Odwracam się i widzę jasną, srebrną wstążkę – wodę, błyszczący tuż przed nami. Uda się nam!

Coś uderza nas w plecy. Wypadam z rąk Mereka i ląduję kilka stóp przed brzegiem. Merek leży na brzuchu, przygnieciony ciężarem jednego z psów. Ogar rozrywa torbę, z której wylatuje jedzenie. Pies ignoruje je jednak, skupia się na mężczyźnie pod sobą.

Merek podnosi na mnie przerażony wzrok.

Nie umknął watasze.

Chwiejnie wstaję, podnosząc z ziemi kilka leżących za mną kamieni.

Z całej siły ciskam w bestię i chybiam. Na szczęście drugi kamień uderza w bok zwierzęcia. Pies warczy i wbija we mnie ślepią. Obnaża kły i wydaje z siebie niski, pierwotny pomruk.

Pomimo że moje nogi zamieniają się w galaretę, rzucam w zwierzę trzecim kamieniem, potem czwartym. Za pierwszym razem nie trafiam, ale robiąc unik, bestia przecina tor lotu kolejnego kamienia, który uderza ją prosto w pysk. Skomle z wyraźnym zaskoczeniem, po czym zeskakuje z Mereka i rusza prosto na mnie.

Biorę głęboki oddech i plecami do tyłu rzucam się w wodę. Paszcza ogara mija moją twarz o centymetr. Uderzenie o lodowatą powierzchnię

wypompowuje z moich płuc całe powietrze. Świat wokół mnie obleka czerń i przez chwilę nie wiem, gdzie znajduje się góra, a gdzie dół. Woda jest zimna, otacza mnie ze wszystkich stron, dłonie i kolana pieką w miejscu, w którym skóra się starła i krwawię. Obracam się, próbując zachować spokój i równowagę, ale bąbelki powietrza zaciemniają mój wzrok. Zaczynam tonąć. Ważę za dużo. Peleryna, buty – muszę się z nimi pożegnać.

Brakuje mi powietrza. Ogarnia mnie przerażenie. Moje serce panicznie tłucze.

„Myśl!” – próbuję się zmobilizować.

Ściągam buty, po czym upuszczam je do mętnej wody. Staram się uspokoić, ignorując szaleńczy apel płuc o powietrze. Otwieram oczy, próbując dostrzec płaszcz. Kiedy kątem oka zauważam skraj unoszącego się nade mną materiału, odbijam się w jego stronę i wreszcie wypływam na powierzchnię. Kiedy to robię, zrywam zapięcie przy gardle i patrzę, jak peleryna odpływa.

Gdy łapię powietrze, rozglądam się dookoła i dostrzegam Mereka. Znajduje się piętnaście stóp od miejsca, w którym wypłynęłam w dole rzeki. Płynę w jego stronę. Walczę z prądem. Woda staje się niebezpiecznie ciepła. Chyba do niej przywykam. Kiedy się zbliżam, Mererek czołga się w stronę rzeki. Pies leży martwy. Z jego skroni wystaje nóż. Co za ulga. Wołam coś do przyjaciela.

Potem z mgły wyłaniają się dwa kolejne ogary.

– Mererek! – krzyczę, ale obie bestie naskakują na niego z obnażonymi kłami. Jedna z nich ląduje mu na plecach. Druga zaciska zębiska na nodze.

Jego krzyk jest przeraźliwie wysoki, niehumaniczny. Cały czas przesuwa się w stronę wody, łokciami szurając o brzeg rzeki, nawet gdy pies na jego plecach rwie płaszcz w zębach i zaczyna potrząsać jego głową.

Mererek poddaje się, piszcząc jak zając w potrzasku. Widok jest przerażający. Podpływam do niego, ale prąd odrzuca mnie od brzegu i niesie z powrotem w dół rzeki. Mererek krzyżuje ze mną spojrzenie – jest w nim bezradność. Zauważam, że przestałam walczyć. Ogarnia mnie gniew na samą siebie.

Płynę z powrotem. Przerażenie i wściekłość pchają mnie do brzegu, gdzie dostrzegam więcej kamieni i odłamków. W brzeg wbijam palce lewej dłoni.

Używam ich jak kotwicy. Woda służy mi za dźwignię. Podnoszę się i prawą ręką łapię kamień. Ciskam nim w szczękę psa. Zostawia płaszcz Mereka i warczy mi prosto w twarz, ale znowu uderzam go kamieniem, patrząc, jak z jego nosa bryzga krew.

Drugi ogar puszcza Mereka i rzuca się na mnie, próbując pomóc swemu bratu, ale ten warczy na niego i kłapie pyskiem. W odpowiedzi ogar rzuca się na pobratymca, zrzucając go z pleców mojego przyjaciela.

To mi wystarcza, by pochwycić Mereka za płaszcz i wciągnąć ze sobą do wody.

Podczas gdy dwie bestie walczą przy brzegu, dobiegają do nich kolejne psy, które natychmiast dołączają do jatki. Ich panowie zostali gdzieś daleko z tyłu. Podtrzymuję ramieniem kark Mereka i pozwalam prądowi, by nas porwał.

„Proszę – błagam noc. – Proszę, nie pozwól, by mną teraz sterował”.

Rozdział 15



Wodę za nami znaczy jego krew i nie wiadomo dlaczego myślę o szczupakach kryjących się w głębszych partiach rzeki. Ufam, że posoka ich nie skusi – mam już dość walki. Nie czuję nawet zimna. Potem myślę, jak łatwo wytropią nas piechurzy. Doprowadzi ich do nas łańcuszek krwi zamiast okruszków chleba. Korci mnie, żeby wykonać bardziej zamaszysty ruch nogą, ale Merek pojękuje przy każdym przyspieszeniu. Staram się tylko, żebyśmy utrzymywali się na powierzchni wody. Oczy ma przymknięte, a twarz bladą.

– Merek?

Szeroko otwiera oczy.

– Przepraszam. Nic mi nie jest. – Odpływa ode mnie, przewraca się na brzuch, a jego głowa natychmiast opada pod wodę. Zanim po niego sięgam, znowu wypływa na powierzchnię. Sapie i chwytą mnie za dłoń, żebyśmy jednak płynęli razem. – Nic mi nie jest. Tylko... Tylko musimy wyjść.

Kiwam głową i odbijam do brzegu. Oboje się oglądamy.

– Gdzie jest bezpieczniej? – pytam. Chyba nie odpłynęliśmy wystarczająco daleko, by wyjść po tej samej stronie rzeki, ale nie mam pojęcia, co czeka nas

na przeciwnym brzegu.

Potrząsa głową.

– Nigdzie. Ale niedaleko stąd jest jezioro Baha. Nie przepłynęliśmy go. Ta rzeka wpływa do niego, a później uchodzi do morza.

Mówi słabym głosem. Ściskam jego palce, a on odwzajemnia uścisk.

– Co jest na jeziorze?

– Więcej wody. To jezioro słone. Baha. Tam są – albo były, sam już nie wiem – farmy solne. Schronienie.

– Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy trochę dłużej zostali w wodzie? Już nie jest tak zimna!

– Właśnie dlatego musimy z niej wyjść – mówi. – Jest dla nas zdecydowanie zbyt zimna. Jeśli tego nie czujemy, jesteśmy w prawdziwych tarapatach. – Nie puszczając mojej dłoni, zaczyna poruszać nogami. Robię to samo.

– Są na tym odcinku jakieś wodospady? – pytam z niepokojem.

– Nie – odkrzykuje. A potem: – Gałąź. Przed nami. Szykuj się.

Obracam się w wodzie, żeby ją dojrzeć. Wisi nisko, tuż nad rzeką.

– Dobra.

– Gotowa? Raz... Dwa...

Na trzy puszcza moją dłoń i wynurza się z wody. Naśladuję jego manewr. Udaje mi się zahaczyć rękę o gałąź, zostawiając dolną część tułowia zanurzoną w wodzie.

Mroźne poranne powietrze prawie mnie paraliżuje.

– Bogowie... – jęczy Merék i nie wiem, czy ból zadaje mu temperatura, czy noga.

Zaczyna przesuwac się wzdłuż gałęzi, ręka za ręką. Robię to samo. Zmierzamy w stronę brzegu, przeciwległego w stosunku do miejsca, w którym weszliśmy do wody. Wspina się na brzeg, ciągnąc za sobą ranną nogę. Aż krzywię się z bólu na ten widok.

– Musimy dotrzeć do tego jeziora Baha – oznajmiam, kiedy padam na ziemię

obok niego. Skapująca z moich ubrań woda wsiąka w glebę. Natychmiast zaczynam drżeć, zęby dzwonią o siebie, a zimne powietrze odziera mnie z fałszywego ciepła oferowanego przez wodę.

Kiwa głową, przewracając się na plecy. Robię to samo i zasłaniam twarz dłońmi. Na początku nie chcą się poruszyć. Są zbyt ciężkie, zbyt sztywne. Jakbym całą swoją siłę zostawiła w wodzie. W pewnej chwili prawie przestaję się starać. Głos z tyłu głowy każe mi odpocząć, przymknąć powieki. Pragnę być mu posłuszna. Zamiast tego zmuszam się do wstania. Jęczę, gdy skapująca z moich włosów woda spływa mi po plecach.

Ogarnia mnie poczucie beznadziei. Nie mamy nic. Straciliśmy płaszcze, żywność. Nie mam nawet butów. Merekowi zostały tylko strzępy lewego. Straciliśmy wszystko. W tym...

– O, Bogowie! Receptura – mówię, ale szarpie mną atak kaszlu.

Merek też siada, tak samo powoli jak ja, gmerając w kieszeniach jak nieporadny pijaczyna. Wyciąga skrawek papieru i lekko go rozdziera. Nabieram powietrza w płuca.

– Receptura ocalała? – pytam ze świadomością, że byłby to prawdziwy cud.

Ku mojemu zdumieniu Merek wacha zawiniątko, po czym uśmiecha się i podaje mi papier.

Poza malutkim rozdarciem jest w idealnym stanie.

Kiedy odbieram zwitek, zostawia on na moich rękach osad. Wiem, co to jest. Przybliżam papier do nosa.

– Świński tłuszcz – mówię, a Merek kiwa głową.

– Bystra Margot. – Wsuwa to z powrotem do kieszeni, po czym klęka na kolana i wstaje. Opiera lewą nogę o ziemię, wykrzywiając twarz z bólu.

– Musimy znaleźć schro-schronienie... i ciepło... niedługo. Jesteśmy przepromoknięci, a jest środek zimy... Za kilka godzin zacznie się ściemniać. Do tego czasu musimy poszukać jakiegoś domu. – Jego słowa są stanowcze i zdecydowane, lecz głos bełkoczący i niepewny. Moją pierś zalewa fala zmartwienia. Oboje jesteśmy w strasznym niebezpieczeństwie i oboje udajemy, że jest zgoła przeciwnie.

Podnoszę się z ogromnym trudem. Nogi mam jak z ołowiu. Staram się, by mój głos brzmiał pewniej, niż się czuję.

– Pilnuj mnie. Nie można mi ufać, pamiętaj. Jeśli coś zrobię, będziesz mnie musiał znokautować.

Prawie się uśmiecha.

– To ci mogę obiecać. Chodź.

Po przejściu raptem kilku kroków staje się jasne, że jego ranna noga nie utrzyma ciężaru ciała. Martwię się, że nie uda nam się dotrzeć w góry do klasztoru, nawet jeżeli wcześniej znajdziemy ciepłe schronienie. Zachowuję jednak te myśli dla siebie, koncentrując się na następnym etapie podróży i powtarzając sobie, że jeśli chwilę odpoczniemy, stan Mereka się poprawi. To wszystko, co mogę zrobić.

Obejmuję go ramieniem i pozwalam mu się o mnie oprzeć. Idziemy w dół rzeki, nasłuchując, czy nie ściga nas skowyt i ujadanie psów. Po jakimś czasie zatrzymuję się, drżąc na całym ciele, Merek tak samo.

– To na pewno znak, że się rozgrzewam – mówię, chociaż słyszę w moich słowach kłamstwo.

Nie odpowiada, ciężko się na mnie pochyla. Oczy trzyma zaciśnięte, usta ma sine. Ukłucie strachu, które czuję na ten widok, jest słabe. Przypomina cień bólu i wiem, że to też powinno mnie martwić. Nie odczuwam jednak nic wyrazistego, jestem odrętwiała i pusta w środku. Bezwładnie opuszczam głowę. Widzę tylko swoje stopy. Skupiam na nich wzrok. Jedną stawiam przed drugą. Są bose. Brakuje butów. Jedna, później druga. Koncentruję się tylko na tym.

Trzymamy się brzegu, przesuając się krok po kroku. Merek aż zsiniał z wysiłku albo z zimna, a ja rozpaczliwie pragnę odpocząć, usiąść. Zasnąć. Nie robię tego, przesuвам się naprzód, starając się go utrzymać w wyprostowanej pozycji. Do głowy wpada mi szalona myśl, że powinnam podziękować Aurekowi za to, że zmusił mnie do jedzenia; gdybym była słabsza, nie doszłabym tak daleko. Ubrania nie schną, ale przylegają do skóry. Są ciężkie i wilgotne. Z każdą chwilą zdają się ważyć coraz więcej. Każdy

krok przypomina bitwę.

- Muszę zdjąć te ubrania – mówię. – Pójdziemy szybciej.
- Nie – mruczy przez zaciśnięte zęby.
- Są zbyt ciężkie.
- Umrzesz. A ja razem z tobą. Po prostu idź przed siebie.
- Merek...
- Powiedziałem: idź.

Nie znajduję w sobie siły, żeby mu odpyskować. Jakby pomiędzy moimi słowami a świadomością ktoś wzniósł szklaną ścianę. Zamiast tego nie przestaję iść. Po jakimś czasie, który dłuży się jak dekada, dostrzegamy w oddali wielką połąć jeziora Baha i rozsiane wokół niego mikroskopijne punkciki, które są, mam nadzieję, domami.

Podnoszę wzrok na Mereka, który znowu idzie z przymkniętymi oczami. Mobilizuje mnie to. Przyspieszam, ciągnąc go za sobą. Jesteśmy tak blisko.

Gdy dochodzimy do pierwszego domu, pomagam mu usiąść na ziemi i łomoczę w drzwi pięścią. Myślę tylko o tym, że powinniśmy wejść do środka. Nie ma znaczenia, kto tu mieszka. Musimy wejść do tego domu. Nikt nie odpowiada. Walę w drzwi ramieniem i zniechęcona krzyczę, bo nie ustępują.

– Będę musiała włamać się do środka – mówię, patrząc na Mereka. Oczy ma zamknięte. – Merek – krzyczę, a on słabo kiwa głową, przewracając się na bok. W przyływie paniki rzucam się pędem wokół domu, aż widzę okno z potrójnymi szprosami – takie samo jak w Almwyk – i popycham je do wewnątrz, rozbijając listewki. Odsuwam tyle odłamków, ile się da, i wciągam się do środka.

Jest kilka stopni cieplej. Do momentu, aż przez wybite okno wpada wiatr. Zasłaniam je wełnianymi zasłonami, cmokając z zaniepokojeniem, gdy powiewają niczym flagi.

Przebiegam przez dom i otwieram drzwi od środka. Siedzi tam, gdzie go zostawiłam, a kiedy dotykam jego ramienia, oczy mu błyszczą, jakby dopiero co się obudził.

– Chodź – mówię. Podaję mu rękę, jego skóra jest śliska. Podnoszę go i wprowadzam do środka, prosto do sypialni, gdzie na środku stoi wielkie rzeźbione łoże z baldachimem.

– Zdejmuj te wilgotne ciuchy i wskakuj pod koc – mówię. – Ściągnij wszystko, co masz na sobie. Ja się tu rozejrzę.

Zostawiam go, mając nadzieję, że będzie mi posłuszny i że po powrocie zastanę go żywego. Zaczynam przeszukiwać dom, zrzucając po drodze własne ubrania. Przechodzę obok szerokiego, zajmującego całą ścianę osmolonego pieca kuchennego z miedzianymi garnkami zawieszonymi wokół krawędzi. We wnęce znajduje się mała spiżarka. Są w niej butelki i słoiki. Krzepiący widok. Jest sekretarzyk, elegancko rzeźbiony, i kredens wypełniony zastawą stołową. Na środku pokoju stoi otoczony czterema krzesłami stolik, rzeźbiony w splątane ze sobą kwiaty, lwy i węże. Naprzeciwko pieca stoi drugi, niski stoliczek z dwoma ozdobnymi krzesłami bujanymi. Na podłogach nie ma ani słomianej klepki, ani żadnych dywaników, przez co moje bose stopy nie wydają dźwięku. Z całego domu bije zapach miłości, dumy i troski; zasłony okienne w czerwonej kratę są prawie nieznośnie jaskrawe, a po ostatnich wydarzeniach wydają mi się wręcz urocze.

W ostatnim pokoju znajduje się mała, osłonięta ubikacja, toaletka z pojemną skrzynią i olbrzymi blaszany kocioł, którego na pewno używają do kąpieli. Aż drzę z tęsknoty na myśl o ciepłych ablucjach.

Gdy otwieram skrzynię, prawie wybucham płaczem na widok grubych pluszowych ręczników w środku. Wyciągam je wszystkie. Jednym obwiązuję włosy, drugim ciało, a trzeci zamieniam w pelerynę. Prawie nie czuję tkaniny na skórze, która jest niemal biała i upstrzona błękitnymi żyłkami. Ponownie ogarnia mnie pragnienie snu. Poklepuję się po policzkach, po czym zabieram resztę ręczników do sypialni.

Merek leży na łóżku z naciągniętym na siebie kocem, jego ubrania są na podłodze. Oczy ma zamknięte i przez jedną krótką i przerażającą chwilę nie jestem pewna, czy oddycha. Poczawszy ulgę, że na mnie spogląda, upuszczam na jego brzuch ręczniki.

– Wysusz się i wskakuj pod pierzynę. Wrócę za kilka chwil – mówię.

Podnoszę jego ubrania i zbieram swoje, po czym zanoszę je do łazienki i zarzucam na kocioł. Nie łudzę się, że wyschną bez ognia, ale czy mam jakiś wybór?

Wracam do saloniku i przetrząsam skrzynię, lecz nie znajduję w niej nic użytecznego. W szufladzie kredensu trafiam natomiast na małą solniczkę i butelkę roztworu o nazwie Woda Brzasku, która po odkorkowaniu pachnie jak zwykła stara woda. Zabieram ją, czując ulgę, że nie muszę wracać na zewnątrz. W spiżarni znajduję korę wierzbową. Jest już w postaci pasty, wydzielającej cierpki aromat melisy lekarskiej. Przetrząsam resztę podstawowego zestawu aptekarskiego i czuję, jak na moich ustach pojawia się uśmiech.

Gdyby właściciele chatki zdążyli teraz wrócić, mocno bym ich ucałowała. Brakuje jedzenia i wody, ale to nieistotne. Mam wszystko, czego potrzebuję.

Merek postanowił wziąć ze mnie przykład. Gdy wracam do sypialni, widzę, że jednym z ręczników owinął ramiona jak płaszczem, a drugim opasał tułów pod pachami. Odrzucił koc. Widać jego pogryzione przez psy nogi.

Rany ma głębokie, ale nie sięgają kości i są zaskakująco czyste. Spodziewałam się ujrzeć więcej rozdarć. Krew dobrze zakrzepła i cieszy mnie jej wygląd. Siadam u jego stóp i rozdieram jeden z mniejszych ręczników, zanurzając go w Wodzie Brzasku. Zaczynam przemywać ranę. Merek klnie jak szewc i próbuje wyrwać mi nogę, przez co jego rana znów krwawi, a ja spoglądam na niego wilkiem.

– Boli – mówi niepotrzebnie.

– To Woda Brzasku.

– Naprawdę? – Po raz pierwszy od chwili, gdy uciekliśmy psom, słysząc w jego głosie optymizm. – Co to jest?

– Woda święcona. Prawdopodobnie pobłogosławiona przez Daunen.

– Twylla ją pobłogosławiła?

– Nie, wątpię. To pewnie zwykła woda z rzeki, którą ktoś zabutelkował i sprzedał wyznawcom.

Przemywam rany, usuwając z nich cały brud i muł rzeczny. Obmywam ręce,

a następnie zanurzam palce w balsamie i delikatnie wsmarowuję go w rany. Wszystko zasłaniam innym rozdartym ręcznikiem, po czym mocno go zawiązuję.

– Proszę – mówię. – Jeśli bardzo cię boli, możesz pożyć trochę kory wierzbowej.

Merek nic nie odpowiada, tylko pochyła się i wyciąga mi spomiędzy kolan szmaty, balsam i wodę.

– Co ty...

Ujmuję mnie za dłonie i zaczyna je przemywać, dokładnie imitując moje ruchy, muśnięcia i poklepywania, a potem wciera w nie balsam. Na samym końcu owija je bandażami.

– Musisz mnie związać – mówię. – Mamy duże szczęście, że moje ciało jeszcze nie oszalało.

– Lief chyba dotrzymał obietnicy.

Nic nie odpowiadam, zamiast tego pochylam się i odkładam maść i wodę na podłogę. Merek chwytą mnie za nadgarstek.

– Nie rozumiem go – mówi, zatapiając we mnie wzrok. – Zabijał dla Aureka. Zdobywał dla niego ziemie. Ale nam pomaga.

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Nie wiem, w co wierzyć.

Ocalił Twyllę, ale mnie przeklął. Znał grzechy Aureka – wiedział, jaką krzywdę wyrządza dzieciom, całym miastom i mnie – ale nie zrobił nic. W dodatku zabrał mamę do zamku. Z drugiej strony, dał nam recepturę, chronił Mereka i pomógł nam uciec.

Czuję na sobie wzrok Mereka. Podnoszę oczy i nasze spojrzenia się spotykają.

– Nie potrafię go rozgryźć. Ale dopóki nie zyskamy pewności, pozostawianie mi swobody ruchów jest zbyt niebezpieczne.

Podaję mu ostatni ręcznik.

Merek wzdycha i bez słowa zawiązuje nim moje nadgarstki, po czym

z powrotem opada na poduszki.

– Chodźmy do łóżka. – Pąsowieje zaraz po wypowiedzeniu tych słów. – Znaczy, będzie nam cieplej obok siebie, nie miałem na myśli...

– Wiem, co miałeś na myśli. I masz rację. Bez ognia kontakt cielesny to najlepszy sposób na ogrzanie.

Odsuwa koce na bok, a ja wsuwam się do łóżka i odwracam do niego plecami. Zamykam oczy, lecz całe zmęczenie, które odczuwałam, w niewytłumaczalny sposób znika. Łóżko jest twarde. Koce pachną innymi ludźmi. Potem czuję jego dłoń, palce splatające się z moimi. Szeroko otwieram oczy i odwracam się do niego.

– Dziękuję – mówi. – Uratowałaś mi życie.

– To ty mi uratowałaś życie.

– Opatrzyłaś mi rany.

– Ty opatrzyłeś moje.

Delikatnie ściska moją dłoń.

– Gdy to wszystko dobiegnie końca, uczynię cię księżną.

– Królewska aptekarka nie wystarczy?

Przygryzając wargi, rozważa propozycję.

– Tylko jeśli pozwolisz mi sobie pomagać.

– Zgoda. Ale w mojej kuchni to ja noszę koronę. Pamiętaj o tym.

Prawie się uśmiecha.

– Naturalnie. – Ściska mi palce raz jeszcze i puszcza moją dłoń. Odwraca się do mnie plecami. Unosi się przy tym ręcznikowa peleryna. Dostrzegam jego skórę. Jest naga w porównaniu z tatuażami znaczącymi kręgosłup Silasa.

Ja też się odwracam. Sen przychodzi po ułamku sekundy.

Zaraz po przebudzeniu uzmysławiam sobie, że Merek ma gorączkę. Jest za ciepły. To ten okropny rodzaj rozgrzania: biały płomień maligny, a nie ciepłoko letniego słońca. Siadam i patrzę na niego. Wciąż śpi. Oddycha płytko. Na jego blade policzki wystąpiły plamy czerwieni. Myślę: „Tylko nie kolejny raz”.

Zrywam z niego koce i skupiam uwagę na nodze. Rozwijam bandażę, nie zważając na to, że się wierci.

Rany są czyste, delikatnie pachną melisą, ale nie są zaognione. Nie. Są. Zaognione.

Jest przeziębiony. Nie dostał tężca. Zwykłe przeziębienie!

– Co robisz? – pyta. – Bogowie, czuję się strasznie.

– Przeziębileś się – mówię. – Najpewniej przez kąpiel w rzece.

– To dlatego, ach. – Kiwa głową. – Czyli rana dobrze się goi?

– Jest czysta. I zdrowa. Na tyle, na ile to możliwe.

Oddycha z ulgą. Odwraca się.

Przez małe okno wpływa światło dnia. Szprosy nadają mu złoty odcień, co znowu przypomina mi Almwyk. Ni stąd, ni zowąd ogarnia mnie tęsknota za tym ohydny, przerażającym miejscem. Uczucie strachu związane z tamtą wioską miało jednak zupełnie inny wymiar. Dopóki postępowało się według zasad i nie wychylało się, nic człowiekowi nie groziło.

Nie wierzę, że wracam pamięcią do Almwyk.

– Jak długo spaliśmy? – pyta Merek.

Kiedy się odzywa, uświadamiam sobie, że mam obrzęknięte gardło. Odwodnienie sprawia, że czuję tępy ból w głowie. Mój żołądek wydaje wściekłe pomruki. Wyglądam przez okno na kładące się na ziemi cienie.

– Zgaduję, że prawie cały dzień. Może nawet dłużej.

– Cały dzień? Jak to możliwe?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Widocznie potrzebowaliśmy snu. – Wtedy mój pęcherz oznajmia, że i on ma swoje potrzeby. Wysuwam się z łóżka, robiąc wszystko, co w mojej mocy, by utrzymać ręcznik. – Zaraz wracam.

Ubranie całkiem mi nie wyschło. Rąbki i szwy wciąż są wilgotne, ale to musi wystarczyć. Wkładam strój, sztywny i cuchnący, przeklinając fakt, że krępuje mi ruchy.

Kiedy wracam, Merek oddala się niezdarnym krokiem, a po jakimś czasie

przychodzi w pełnej garderobie, cuchnąc mniej więcej tak samo obrzydliwie jak ja.

– Nie wierzę, że to mówię, ale potrzebuję wody – mówi Merek. – I butów.

Oboje spoglądamy na gołe stopy.

– Może w innych domach znajdziemy jakieś zapasy.

Ponieważ nie mamy wyjścia, kiwa głową. Ostrożnie opuszczamy nasze małe sanktuarium. Bacznie obserwujemy okolice. Z ulgą nie dostrzegamy żadnych śladów życia, z wyjątkiem mewy szybującej w powietrzu po przeciwległej stronie jeziora.

– Może myślą, że utonęliśmy – mówię.

Merek nie wygląda na przekonanego.

– Dopóki nie zobaczy ciała, nigdy nie uwierzy w naszą śmierć.

Za jednym z domów odnajdujemy deszczułkę i choć woda jest stęchła, pijemy ją przez pół godziny – powoli, żeby się nie rozchorować. W innym domostwie znajdujemy parę butów z jedną podeszwą, plaskającą jak jęzor ropuchy. Są za duże na Mereka, nie mówiąc już o mnie, lecz mimo to Merek upycha szmaty w palcach i zakłada buciory. W kolejnym domu trafiam na zamszowe pantofle, które skutecznie – choć są bardzo cienkie – chronią przed bezpośrednim kontaktem z gruntem.

Odnajdujemy wyszczerbiony blaszany dzbanek z pokrywką. Napełniamy go wodą i zabieramy ze sobą. Potem wracamy do domu, w którym spaliśmy, po małą apteczkę medyczną i więcej ręczników – największe przerabiamy na peleryny.

– Gotowa do wędrówki w góry? – pyta Merek.

– Jak się tam dostaniemy?

– Podróż do podnóża gór zajmie nam co najmniej półtora dnia. Musimy dojść do wybrzeża i ruszyć wzdłuż niego aż do samych gór. Aby skorzystać z innej drogi, musielibyśmy wrócić i okrążyć zamek Lormere.

Ogarnia mnie niepewność.

– Aurek założy, że wyruszyliśmy do Scarron, by dołączyć do Twylli.

– Miejmy taką nadzieję. – Spogląda w dal, jakby potrafił dostrzec góry. –
Chodźmy.

Część trzecia
Twylla

Rozdział 16



W jednej chwili opuszcza mnie sen. Budzę się w ciemnym choć oko wykol pokoju. Bezszelestnie, cal po calu, wsuwam dłoń pod poduszkę. Trzymam tam nóż. Zaciskam palce na rękojeści. Wstrzymuję oddech. Uważnie nasłuchuję. Ale słyszę jedynie Nię. Chrapie po drugiej stronie pokoju. To pewnie głosy w mojej głowie mnie obudziły.

Gdy moje serce zaczyna bić normalnym rytmem, resztki snu nikną, a ja robię się irytująco rozbudzona. Sięgam po szlafrok i zarzucam go na ramiona, po czym ostrożnie idę w stronę drzwi. W ostatniej chwili zahaczam o coś i potykam się. Z moich ust wypływa mimowolny krzyk. Chrapanie natychmiast ustaje. Pochyłam się, by rozmasować palce u stóp. Słyszę odgłos pocieranego krzesiwa. Sekundę później zapala się świeca i czuję na sobie groźny wzrok Nii.

- Która godzina? – pyta zaspanym głosem.
- Bardzo wczesna.
- Po co wstałaś? – burczy zrzędlawie, odkładając świeczkę na szafkę nocną i zakopując się z powrotem pod hałdą koców.

Spoglądam w dół, żeby sprawdzić, o co się potknęłam. Od razu się wściekam, bo to jej ubrania i buty zalegają na środku podłogi. Obrzucam flejtuszkę wściekłym spojrzeniem, zastanawiając się, jak, u licha, wytrzymała z nią jej biedna żona. Przez całe moje życie nie poznałam takiego bałaganiarza. A wychowałam się z dwoma braćmi. Przygryzając język, podchodzę do stojących po drugiej stronie pokoju miski i dzbanka i oblewam twarz wodą, która jest tylko nieznacznie cieplejsza od lodowatej. Nalewam świeżej wody do szklanki i wypijam, po czym odwracam się do współlokatorki.

– Potrzebujesz tej świeczki? – pytam.

– Nie – odpowiada, nie odrywając twarzy od poduszki.

Przewracam oczami, przechodzę przez pokój i podnoszę ogarek, pozwalając Nii spać.

Kiedy zmierzam w dół korytarza, kierując się w stronę dawnego salonu Sióstr – który ostatnio przemianowałam na salę strategii – słyszę dudniący głos mężczyzny. Z ciekawości popycham drzwi. Siostra Nadzieja rozkłada na dużym stole mapę, przyciskając jej rogi do połowy pełnymi szklankami i wszystkim, co wpadnie jej w rękę. Siwe włosy ma związane z tyłu głowy, a pod jej suknią dostrzegam cienki brzeg nocnej koszuli. W pokoju jest widno. Wszystkie świece są zapalone, płonący w palenisku ogień oświetla zakapturzonego mężczyznę, który stoi z szeroko rozłożonymi rękoma i wygląda, jakby rozkazywał płomieniom. Odsuwa kaptur, spod którego wyzierają włosy i ciemna skóra Kirina Doglassa. Odwraca się, słysząc odgłos zamykających się za moimi plecami drzwi.

– Wróciłeś! – mówię, po czym podbiegam i postawiwszy świeczkę na zawijającym się rogu mapy, mocno go przytulam.

– Przed sekundą. – Obejmuje mnie ramionami i nieruchomiejemy w uścisku. Pachnie koźmi, potem i zinnem, które przyniósł ze sobą z zewnątrz. – Lortune jest całkowicie odcięte. Nasz szpieg przyniósł wiadomość dopiero kilka godzin temu. Właśnie miałem cię obudzić. – Kiedy podnoszę na niego wzrok, jego oczy błyszczą, prawie maniackalnie.

– Co się stało? – pytam, zwiększając czujność. – Co się wydarzyło?

– Pożoga, którą widzieliśmy, szalała w zamku Lormere – mówi Nadzieja.

– Spłonął zamek? – Patrzę to na nią, to na Kirina, który potakuje z wyrazem powagi i ekscytacji.

Do późnej nocy obserwowaliśmy czerwoną poświatę gorejącą w dolinie, znacznie poniżej klasztoru Sióstr Naeht. Wiedzieliśmy, że pożar dotknął Lortune, kiedy wysłałam Kirina po wieści, lecz podejrzewałam, że płoną domy albo składy, a nie sam zamek Lormere.

– Czy ktoś zginął? Co z Errin? – pytam. – Jak Silas?

– Silas jest bezpieczny. Jest cenny dla Aureka, pamiętaj.

– A Errin? Nic się jej nie stało? Wiesz, jak wybuchł pożar? Ktoś podłożył go rozmyślnie? Powiedz! – żądam.

– Jestem pewna, że wszystko opowie, jeśli tylko mu na to pozwolisz – sucho odpowiada Nadzieja.

Przełykam tę gorzką uwagę i kiwam głową. Kirin uśmiecha się, ma dołeczki w policzkach.

– Nie wiem na pewno, jak wybuchł pożar, wiem natomiast, że coś się wydarzyło. Uczestniczyła w tym Errin. Znalazła Silasa podczas pożogi i próbowali uciec... – Kiedy zawiesza głos, opieram się o stół, żeby nie upaść.

– Aurek złapał ją, wyciągnął przed tłum i oskarżył o to, że jest przywódczynią ruchu Wstanie Świt.

– Nie – wzdycham. – Errin rozpętała pożar?

– Nie wiem, ale oczywiście zaprzeczyła. Dlatego Aurek zaczął zabijać wszystkich, którzy jej służyli, nazywając ich współsprawcami. Potem przeszedł do Liefia i oskarżył go o działalność podwójnego agenta.

– Co? – Nadzieja podchodzi do nas wokół stołu. – Zaatakował Vastela?

Kirin potakuje.

– Lief zdołał przekonać Aureka o swojej lojalności, a jednocześnie oznajmił, że nie ręczy za Errin i...

– Typowe. – Sплюwam, a serce w mojej klatce piersiowej zaczyna gnać jak szalone.

– To nie wszystko – mówi Kirin. Coś w jego tonie każe mi wymienić nerwowe spojrzenia z Nadzieją. Gdy z powrotem przenoszę na niego wzrok, on ciągnie:

– Gdy Lief zorientował się, że wśród gawiedzi nie ma jego matki, założył, że ktoś przeniósł ją w bezpieczne miejsce. Nie wiedział jednak, że Aurek zaprowadził ją do innej wieży, tej, która zapłonęła jako pierwsza. I w której jego matka wciąż przebywała. Lief, Errin i Aurek pobiegli w stronę wieży, ale później ludzie widzieli już tylko Aureka, ogarniętego wściekłością, wykrzykującego, że Errin uciekła, a razem z nią jeden z jej służących.

– No i? – dopytuje Nadzieja. – Co się wydarzyło? Gdzie jest Errin? Gdzie mój syn?

– Silas wciąż przebywa na zamku, uwięziony. Errin ucieka, prawdopodobnie z tym sługą. – Przerywa. – Aurek posłał za nią pogoń z psami.

– Psy? – pytam, czując przebiegający po kręgosłupie dreszcz. – Ogary królowej? – Pamiętam je o wiele lepiej, niż bym chciała.

Kirin potakuje z zaciśniętymi wargami, a ja czuję w ustach smak mdłości. „Błagam, błagam, oby udało jej się uciec”.

– Bogowie... – Nadzieja drży i głośno wypowiada moje myśli: – Oby jej się udało. A więc jej matka nie żyje?

– Silas przyrządził Elixir dla pani Vastel. Aurek pozwolił mu na to. Kobieta przeżyła.

– Oczywiście, że pozwolił – pryham. – Przecież są najlepszymi przyjaciółmi, braćmi na dobre i złe.

Kirin nie odpowiada.

– Co? – Spoglądam na niego. – Czyżbym się myliła?

– Aurek obwinił Lief'a o ucieczkę Errin. On... ukarał go.

– Jak?

– Trzydzieści batów. Sam wymierzył karę. Nasz szpieg wszystko widział. Lief'a zabrano na rynek Lortune, przywiązano do słupa, a Aurek wychłostał go do nieprzytomności na oczach gawiedzi.

Nadzieja unosi dłoń do twarzy, a ja wpatruję się w ogień.

Wyobrażam sobie tę scenę: plecy Lief'a, gładkie i umięśnione, chłostane zimowym powietrzem. Widzę przebiegły uśmiezek Śpiącego Księcia, który unosi dłoń i ogłasza wszem wobec, że Lief na to zasługuje. Widzę motłoch, żądny przemocy, ale i wystraszony, owładnięty żądzą i obrzydzeniem jednocześnie. Widzę bat zawijający się w powietrzu, wrzynający się w skórę Lief'a, który osuwa się z pokiereszowanymi plecami.

Kirin odzywa się ponownie, delikatnym głosem:

– Podobno zostawił Lief'a przywiązanego do słupa. Poczekał, aż Lief odzyska przytomność i mu podziękuje. Dopiero wtedy pozwolił go rozwiązać.

Przebiegam trzy kroki przez pokój i wymiotuję do kosza, którego używamy do gaszenia ognia.

Czuję dotyk zimnej dłoni na czole. Obok mnie klęka Kirin z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Napijesz się wody? – pyta cicho, a ja kiwam głową.

Wraca w ciągu kilku chwil ze szklanką w dłoni. Upijam trochę, pozwalając, by zimny płyn uśmierzył ból.

– Zakładam, że podano mu Elik sir. – Zza pleców Kirina weselszym tonem odzywa się Nadzieja.

– Odmówił – odpowiada Kirin, patrząc mi przy tym prosto w oczy. – Oznajmił, że woli nosić znamiona swojej głupoty i uczyć się na nich. Tak jak w przypadku oka.

„Oka”. Zawsze gdy o nim myślę, zalewa mnie poczucie winy, chociaż wiem, że nie powinno. To była moja sprawka. Tak, to właśnie ja wyłupiłam jedno z jego zielonych oczu. I tak jak nie rozumiem, dlaczego wtedy odmówił wypicia Elik siru, tak samo nie wiem, dlaczego odmówił wypicia go teraz. Skąd u niego ta chęć samoudręczenia?

Ponieważ Kirin uważnie mnie obserwuje, przywołuję na twarz uśmiech.

– Dobrze. Tak więc polowanie na Errin zakończyło się niepowodzeniem?

– Z pięciu wypuszczonych ogarów wrócił tylko jeden. Ale bez niej.

– Czyli uciekła i żyje. Musimy rozpuścić wici wśród przyjaciół w całym

Lormere. Jeśli ją zobaczą albo o niej usłyszą, powinni zapewnić jej bezpieczne schronienie i natychmiast nas o tym poinformować, żebyśmy mogli ją tu sprowadzić.

– Wyruszę od razu. – Odwraca się do wyjścia.

– Poczekaj – zatrzymuję go. – Powiedziałaś, że Liefa zabrano do zamku. Czyli nie spłonął? Aurek wciąż tam przebywa?

Kirin potakuje.

– Ale pożoga była straszna. Zniszczeniu uległy wieże północna i wschodnia. Połowa zamku zamieniła się w gruzowisko.

A zatem moja wieża wciąż stoi.

– Najwyraźniej Aurek zabarykadował się w wieży południowej – ciągnie Kirin. – Używa starych komnat królowej. Prawie nikomu nie pozwala do nich wchodzić.

– Boi się – mówi Nadzieja i patrzy na mnie z uniesionymi brwiami. – Wie, co się stanie, gdy Errin cię znajdzie.

– Spotkanie z Errin byłoby tylko pierwszym krokiem. Wciąż potrzebujemy alchemika, który podpowie nam, jak przyrządzić Opus Magnum.

– Jemu się wydaje, że alchemika już mamy – mówi Nadzieja. – Musimy się zastanowić, czy ucieczka Errin sprowokuje go do podjęcia dalszych działań.

Ma rację. A przecież właśnie tego próbowaliśmy uniknąć przez te ostatnie kilka księżyców. Nie możemy pozwolić sobie na działania, które wywołałyby jego ostrą reakcję. Wstanie Świt powinien odwrócić jego uwagę, żebyśmy mogli zgromadzić sojuszników. Balansujemy na krawędzi noża. Dajemy nadzieję ludziom, jednocześnie nie strasząc go zbyt.

– Nie możemy ryzykować jego odwetu, jeszcze na to za wcześnie – mówię.
– Mógłby skrzywdzić uwięzione dzieci. Musimy rozesłać instrukcje dla wszystkich oddziałów Świtu, aby do odwołania zaniechały wszelkich działań. Czekałmy. Potrzebujemy Errin i receptury. Wstrzymajmy wszystko. – Przerzywam, by zaczerpnąć oddechu. – W tym celu musimy skontaktować się z czatownikami przy obozach dziecięcych – mówię Kirinowi. – Wyślij rozkaz do Garelda, Serge'a, Tarvy'ego i pozostałych. Jeśli postanowi zrobić coś

złego dzieciom w dowolnym obozie, będziemy potrzebować posiłków, żeby je uwolnić.

Kiwa głową z surową miną. Jeśli będziemy zmuszeni uderzyć, by uratować dzieci, odsłonimy siebie i naszą siatkę. Stracimy w ten sposób ułamek przewagi, którą dysponujemy. Takie istnieje ryzyko. Ale nikt z nas nie poświęci życia dzieci na ołtarzu naszej sprawy.

– Rozpuść wici – ciągnę. – Powiedz wszystkim, żeby się szykowali, tak na wszelki wypadek. Sytuacja może się zmieniać dynamicznie. Musimy być przygotowani na każdą okoliczność.

– Już wysłałam posłańców.

– Dziękuję. A potem coś zjedz. I odpocznij. I... wykap się.

Kirin unosi brew.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że śmierdzę?

– Jak koń. – Posyłam mu uśmiech, choć wcale mi nie do śmiechu – opanowałam tę sztukę już dawno, u Helewys, i posługuję się nią często, jak generał na polu bitwy. Bez trudu odwzajemnia uśmiech. – Dołączę do was podczas kolacji.

Gdy szybkim krokiem wychodzi z pokoju, odwracam się do Nadziei.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

Ominąwszy ją, idę do stołu i spoglądam na mapę, jakbym mogła dostrzec na niej miniaturową postać Errin. Podchodzi do mnie Nadzieja.

– Musimy ją odnaleźć – mówię.

– I odnajdziemy. A teraz odpowiedz na moje pytanie. Dobrze się czujesz?

– Nie wiem – przyznaję. – Nie wiem.

– Walka ci pomoże?

Spoglądam na nią.

– O, Bogowie, tak.

Zostawiam Nii liścik z informacją, żeby natychmiast dołączyła do nas na podwórzu, a potem idziemy do zbrojowni – niegdyś magazynku – aby włożyć

rynsztunek. Nadzieja już tam jest – jej zbroja nie leży na swoim zwykłym miejscu. Poza tym słyszę dźwięk jej stóp na bruku podwórza oraz zgrzyt metalu, rozlegający się, gdy uderza w słup na środku. Szybko zaplecione włosy wpuszczam pod koszulę, po czym przywdziewam skórzaną zbroję.

Jest czerwona, uszyta ze starych siodeł, i pasuje na mnie jak ulał.

Na nogi wkładam ochraniacze. Zaplątuję rzemienie wokół łydek i ud. Kolej na kaftan, który przewiążuję w talii i przekręcam, upewniając się, że jest wystarczająco luźny i nie krępuje ruchów. Wreszcie nadchodzi pora na naramienniki i hełm. Kiedy zaczęłam treningi, próbowaliśmy z metalową zbroją, ale ponieważ przez tyle lat tylko siedziałam sztywno na różnych uroczystościach, po prostu nie mam siły na noszenie jej przez długi czas, nie mówiąc już o prowadzeniu w niej walki. Nawet lekka dziecięca zbroja okazała się zbyt ciężka, i to po dwóch księżycach treningów, biegania, wspinania się i podnoszenia beczek z mąką, które pełniły funkcję ciężarków. Dlatego Trey, rymarz, który pomagał nam wyrabiać czerwoną farbę, pociął nożem cały szereg starych siodeł, które wynieśliśmy ze stajni szeryfa Hagi, i przygotował dla mnie płyty zbroi z grubej, karmazynowej skóry.

Czerwień przywodząca na myśl wstający świt.

Po założeniu wszystkiego rozprostowuję nogi, wykręcam ciało i unoszę ręce. Gdy jestem zadowolona z efektu, zdejmuję z haka pas z mieczem i wyciągam ostrze, które uważnie oglądam.

Nadzieja wyjaśnia mi, że Silas wykorzystywał ten miecz do ćwiczeń fechtunku. Kiedy podarowała mi go, mówiąc, że jej syn używał go w dzieciństwie, pomyślałam, że mnie obraża. Do czasu, gdy wyjaśniła mi kilka spraw na temat masy i równowagi.

– Posługiwanie się dużą bronią nie ma sensu, jeśli nie potrafisz jej utrzymać – powiedziała z uśmiechem, a ja zrozumiałam żart dopiero, gdy wszyscy wokół zaczęli się śmiać. Ale musiałam przyznać jej rację. Nie potrafię podnosić takich mieczy, jakimi walczyli Merek i Lief. Ale ten – długi na trzy stopy, cienki jak pergamin, z mocną, acz lekką rękojeścią – ten potrafię podnieść nawet łatwiej niż ostrze, które zabrałam z Konklawe. To teraz *mój* miecz. Nadzieja powiedziała, że muszę nadać mu nazwę. Tyle tylko, że miecz

jest jak żywy organizm. Nie można go nazwać, bo nazwę już ma. Trzeba po prostu poczekać, aż ci ją wyjawia.

Zadowolona, chowam głownię do pochwy i przytwierdzam pas do biodra. Od razu gdy wychodzę na podwórze, Nadzieja odwraca się, jakby mnie wyczuła. Jej szare włosy skrywa hełm – metalowy jak jej zbroja. Nadzieja walczy od dekad, przez lata wprawia się w szermierce, łucznictwie i walce laską. Zdradziła mi jednak kiedyś, że nawet najbardziej zaprawiony wojownik może mieć pecha.

– Szybkość i wytrzymałość – powiedziała, gdy po raz pierwszy pozwoliła mi chwycić za miecz. – Jesteś zbyt mała i zbyt słaba, by walczyć agresywnie. Naucz się sztuki obrony. Atak kosztuje więcej energii niż obrona. Zmęcz przeciwnika, a później szybko go wykończ. Nic wymyślnego. Nie popisuj się. Zmęcz ich, a później uderz.

– Zjadaczko grzechów – wita mnie, pochyliwszy w ukłonie głowę, by ukryć grymas uśmiechu.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Powstrzymaj mnie zatem.

Mogłabym ją teraz przytulić. Próbuje rozproszyć moje myśli, rozjuszyć mnie. To akt dobroci.

Nie przytulam jej jednak. Zamiast tego robię wypad. Płonę chęcią pierwszego kontaktu.

Ostrza, które trzymamy, brzęczą jak dzwonki, spod metalu sypią się iskry. Unosi swój miecz, by zablokować cios. Wykrzywia nadgarstek, kierując mój miecz ku ziemi, a ja odskakuję, zanim zrewanżuje mi się pchnięciem. Jej umiejętności szermiercze są na tak wysokim poziomie, że podczas ćwiczeń posługuje się stępioną klingą. W przeciwnym razie umarłabym już z dziesięć razy.

Szybkim piruetem uchyla się od ciosu i krzyżuje miecz na swoim ciele, przywołując mnie skinieniem podbródka.

– Chodź, księżniczko. Spróbuj mnie drasnąć.

Nie robię tego jednak. Zaczynam ją okrążyć, krok po kroku. Ona robi to

samo. Moja skórzana zbroja cicho trzeszczy. Nie odrywam od Nadziei wzroku.

Markuje wypad w lewo, na co odpowiadam przesunięciem ciężaru ciała i blokuję atak, a wtedy ona szybko uderza z prawej. Błyskawicznie wykręcam ciało, ale koniuszek miecza zahacza o mój napierśnik. Nadzieja wybucha śmiechem. Rewanżuję się jej za to pchnięciem i teraz to ona ucieka przed ostrzem, które ześlizguje się po karwaszu nad jej mieczem. Metal brzęka przy tym głośno jak dzwon.

– Auć – mówi powoli i wyraźnie. – Damie to nie przystoi.

– Nie miał tyle ozorem, starowinko – odpowiadam.

– Sama się o to prosiłaś – ostrzega i przechodzi do ataku.

Jest jak wirująca, błyszcząca, bezlitosna siła. Czarny świst niepowstrzymanej furii. Jej miecz kęsa mnie pod każdym możliwym kątem. Nawet gdybym potrafiła atakować, nie mam na to po prostu czasu; mogę co najwyżej parować jej ciosy i nie dać się zapędzić pod sam mur.

Potem potyka się na kamieniu. Fuks, czysty przypadek, ale ona nauczyła mnie czekać na takie szanse i je wykorzystywać.

Z całej siły walę w jej karwasz, tak mocno, że aż sapie z wysiłku. Gdy próbuje odzyskać panowanie nad nadgarstkiem, naskakuję na nią i teraz to ona desperacko odpiera moje uderzenia, to jej miecz wiruje jak oszalone wahadło. Odpiera atak po ataku, atak po ataku.

Czuję, że zwycięstwo jest blisko. Powoli ogarnia ją desperacja, a we mnie zapala się coraz większy płomień. Odciągam ramię, by nadać uderzeniu możliwie dużą siłę i skutecznie ją rozbroić.

I wtedy uderza tępym ostrzem w moją klatkę piersiową, ostatecznie mnie pokonując – jakby naprawdę mnie zraniła.

Natychmiast przerywam walkę i opuszczam miecz. Poddaję się ogarniającemu mnie zmęczeniu. Dysząc, osuwam się na ziemię, na ten luksus pozwala mi idealnie dopasowana zbroja. Biedna Nadzieja nie ma jak usiąść. Pochyla się o metalowy słupek i z trudem łapie oddech. Zerka na mnie i uśmiecha się.

– Lepiej?

– Wiesz, nienawidzę, gdy nazywasz mnie zjadaczką grzechów i księżniczką.

– A ja nienawidzę walki bez wyzwania – odpowiada z uśmiechem. – Dobrze walczyłaś. Ale musisz się nauczyć tak bić bez prowokacji ze strony przeciwnika.

– Aurek to rozmowny typ. – Biorę głęboki oddech. – Na pewno będzie chciał mi dociąć.

– Przy założeniu, że dożyjesz walki z nim.

Jej słowa są jak kubeł zimnej wody. Przypominają mi, że cała ta sytuacja jest poważna i śmiertelnie niebezpieczna. Czuję, że na mojej twarzy odbija się smutek.

– Twyllo – mówi, gdy się odwracam i wracam do środka. – Naprawdę dobrze walczyłaś. Zrobiłaś duże, bardzo duże postępy.

Ponownie się do siebie uśmiechamy. Zaczynam odpinać kłamry na ramionach. Przyda mi się kąpiel. Później śniadanie. A potem konspiracja.

Ledwie uchodzę pół kroku, gdy na podwórze wpada Stuan.

– Chodź – wykrztusza, przystawiając rękę do boku. – Chodź.

Ogarnia mnie strach. Drżącymi palcami z powrotem zapinam kłamry, podnoszę miecz i podążam za nim. Nadzieja idzie obok mnie. Jest tak samo pochmurna jak ja.

Biegniemy korytarzem. Próbuję kontrolować bicie serca. Nieważne, co się stało – poradzimy sobie.

Drzwi wejściowe do klasztoru są szeroko otwarte, wbrew moim wyraźnym instrukcjom. Przebiegam przez nie i omiadam wzrokiem pomieszczenie. Moje źrenice błyskają, gdy dostrzegam grupkę nadchodzących osób; rozpoznaję w niej moich ludzi, ale jest jeszcze obcy mężczyzna i kobieta. Mężczyzna kuleje, kobieta go podtrzymuje. Kolejni uchodźcy.

Nie.

Kobieta podnosi wzrok i zamiera. Patrzą na nią z szeroko otwartymi ustami.

A potem biegniemy ku sobie; porzuca swojego towarzysza tak gwałtownie, że ten prawie upada.

Odległość pomiędzy nami szybko się kurczy. Wyciągam do niej ramiona i chwiejnie postępuję krok do tyłu, bo wpada we mnie jak kula armatnia.

– Ach, Errin. Bogowie, dziękuję wam, dziękuję! – szepczę, nie odrywając ust od jej włosów.

Cuchnących, brudnych włosów.

Odsuwam ją od siebie i uważnie się jej przyglądam. Nadgarstek ma obwiązany czymś ohydny i wysmarowany niezidentyfikowanym błotem.

– Rozbiliście obóz w chlewie?

Uśmiecha się.

– Raz się w jednym schowaliśmy.

Po tych słowach spoglądam na towarzyszącego jej mężczyznę i nagle czuję rozsadzające mnie od środka napięcie.

– Spaliłem zamek. – Ma ogoloną głowę i bladą twarz. Jego kości są zbyt wydatne, a oczy sprawiają wrażenie należących do znacznie starszego człowieka. Ale jego głos... To wciąż ten sam głos. I ten pochmurny wyraz twarzy, brak uśmiechu. – Chyba nie planowałaś wprowadzać się tam z powrotem?

– Byłam pewna, że nie żyjesz – mówię.

– Masz pełne prawo czuć się zawiedziona – odpowiada Merek i wtedy... Wtedy uśmiecha się tak, jakby właśnie wzeszło słońce.

Z moich ust wyrywa się szloch i postępuję krok ku niemu.

Merek, prawowity król Lormere i człowiek, którego nieomal poślubiłam, mdleje.

Rozdział 17



Z ust opiekującej się Merekiem Errin nie schodzi uśmiech. Gdy odzyskał przytomność, kazała zedrzeć z niego koszulę i podwinąć nogawkę spodni, żeby mogła obejrzeć, oczyścić i opatrzyć jego rany. Przed każdą czynnością wstrzymuje się na sekundę i uśmiecha: ostrożnie omywa okolice ran kłutych, używając do tego kawałka gazy i wody różanej, po czym szeroko się uśmiecha, marszcząc nos. Potem wciera balsam w ślady po ugryzieniach i znów promiennie się uśmiecha. Tym razem do mnie. Merek w zadziwieniu potrząsa głową. Rozjaśnia mu to twarz, zmazuje z jego oblicza wyraz strachu i pustki.

Trudno mi uwierzyć w to, że żyje. Nie potrafię oderwać od niego oczu.

Palce mnie świerzbią, by odepchnąć od niego Errin i osobiście się nim zająć. Nieważne, że nie wiedziałabym, co robić. Pragnę go dotknąć. Poczuć jego skórę pod opuszkami palców. Wtedy być może w to uwierzę. Zamiast tego mocuję się z gazą, odrywając znacznie więcej, niż potrzebuje tego Errin. Merek. Żyje. Jest tutaj.

Stuan i Ulrin, inny strażnik zamkowy z dawnych dni, uroczyście przenieśli nieprzytomnego Mereka do męskiego dormitorium. Otrzymał osobny pokój w dowód szacunku dla swojego statusu. Wygląda na to, że zyska prawo do

wszelkich udogodnień, w tym prywatności, których wszystkim nam poskąpiono.

Słyszę, że na korytarzu, za zasłoniętym kotarą przejściem, kłębi się tłum ludzi, którzy chcą pozostawać blisko swojego władcy. Spoglądają nań, kiedy kotara powiewa na boki. Widzą, że Errin krząta się pomiędzy stołem z lekami a swoim pacjentem. Prawowity król Lormere żyje i cudownym zrządzeniem losu powrócił. Po wielu księżycach życia pod nosem Aureka, szpiegowania go i pomagania Errin, spalił własny dom i pod osłoną nocy uciekł, by dołączyć do rebeliantów. W przyszłości powstaną pieśni na cześć Mereka Belmisa – Bogowie, być może sama jakąś napiszę.

Opieram się o ścianę. Wciąż jestem odziana w skórzaną zbroję i patrzę, jak Merek i Errin dyskutują o wybranej przez nią kuracji.

– Dlaczego nie lawenda i imbir? – pyta Merek.

– Bo goździk wykazuje też właściwości przeciwbólowe. A czosnek jest mocniejszy.

– Ale cuchnie!

– Dwie noce temu spaliśmy w chlewie. Już nigdy w życiu nie będziesz mocniej śmierdział. To niemożliwe.

– Nie możesz odzywać się do mnie tym tonem. Jestem tu kimś ważnym!

– Nie prowokuj, bo przepiszę ci na tę ranę kąpiel solną.

– Nie ośmieliłabyś się.

Posyła mu spojrzenie Liefa: uniesione brwi i uśmiezek. Merek przewraca oczami. Czuję ukłucie w sercu.

Sposób tej rozmowy, swoboda konwersacji uszczęśliwiają mnie, smucą i wzbudzają niemałą zazdrość, a wszystko to jednocześnie. Nigdy z nikim nie miałam tak naturalnych relacji. Z nikim, nawet z Liefem. Nawet wymiana zniewag i ciosów z Nadzieją nie przebiega na tej samej płaszczyźnie. Jesteśmy jak mentorka i podopieczna, nie jak przyjaciele. Chcę tego. Chcę być właśnie taka. Merek, jakby wyczuwając moje myśli, odwraca się do mnie.

– Może tobie uda się okiełznać jej tupet?

Przez moment nie potrafię się odezwać, jakby mnie tu w ogóle nie było.

– To nierealne – mówię wreszcie i natychmiast czuję się głupio. Dlaczego nie wpadłam na nic dowcipnego? Ale Errin znowu szeroko się do mnie uśmiecha i zaczyna owijać nogę Mereka świeżymi bandażami.

– Proszę. – Zawiązuje węzeł na szczycie bandaża. – Wszystko gotowe. – W chwili gdy wypowiada te słowa, smutnieje, jakby dała sobie przyzwolenie na lekkie osłabienie. Kołysze się delikatnie z wyrazem zmęczenia na twarzy.

– Co z tobą? – ostro pyta Merek, dostrzegając ogarniające ją znużenie, i pochyliwszy się, ujmuje ją za dłonie i z bliska się im przygląda. Zażyłość tego gestu sprawia, że mój żołądek podskakuje.

– Czuję się dobrze. Jestem tylko wyczerpana. Padam z nóg – wyjaśnia mi Errin. – Oboje jesteśmy odrobinę poturbowani. – Odsuwa dłonie od Mereka. – Ale naprawdę marzę o kąpeli. Śmierdzi ode mnie chlewem. – W jej brzuchu znacząco burczy. – Przydałoby się też coś na ząb – dodaje.

Muszę dowiedzieć się o wszystkim, co wydarzyło się w Lormere. Muszę wypytać ich o strategię i plany Aureka. W moich żyłach płonie chęć działania. Po tylu księżycach planów i treningu pora na czyny.

Każę im wszystko sobie opowiedzieć. O wydarzeniach, które rozegrały się od czasu, kiedy się ostatnio widzieliśmy.

Nie mogę jednak czekać kolejnej nocy.

Przywołuję na usta sztuczny uśmiech, który robi się naturalny, gdy Errin też się uśmiecha.

– Skręćcie w lewo, przejdźcie przez dziedziniec, naprzeciwko zobaczycie kwatery kobiet. Łaźnia jest na samym końcu.

– Czy będzie tam.. Dostanę ciepłą wodę? Od dawna marzę o kąpeli. – Posyła mi zmęczony uśmiech.

Odwzajemniam go.

– Jak pójdziesz do łaźni, to sama się przekonasz.

Posyła mi zmieszane spojrzenie, a następnie wzrusza ramionami.

– Później cię znajdę – mówi.

– Dołączę tam do ciebie. Trochę się spociłam po walce.

– Doskonale. Poproszę o wodę dla dwóch osób.

Wstaje, na odchodne klepiąc Mereka po stopie. Zaraz po jej wyjściu korytarz ożywa. Dostrzegam pół tuzina gotowych do pomocy twarzy, a później zasłona opada z powrotem na miejsce i słyszę tyle samo propozycji: „Może odprowadzę panienkę, gdzie panienka tylko zechce?”.

Odwracam się z uśmiechem do Mereka, który przygląda mi się swoimi brązowymi oczami. Pąsowieje, kiedy krzyżujemy spojrzenia, a ja nie wiedzieć czemu oblewam się podobnym rumieńcem. Przeklęte kasztanowe włosy. Przeklęta zdradziecka cera.

– Walczyłaś? – pyta, taktownie ignorując fakt, że oboje zarumieniliśmy się jak podlotki.

– Uczę się fechtunku. Ćwiczyłam, kiedy przyjechałeś.

– To wszystko wyjaśnia. – Kiwa głową na zbroję. – Dobra robota.

– Mam świetnych czeladników. I nieźle sobie radzę. Choć zapewne nigdy nie zostanę prawdziwą fehmistrzynią – dodaję, ale moje słowa brzmią mi sztucznie i płytko. Bez swobody Errin czuję się niezręcznie, choć mam wielką ochotę na rozmowę z królem. Z drugiej strony, nawet gdy Errin przebywała z nami, nie zachowywałam się jak dusza towarzystwa.

– Nie dziwiłbym się, gdybyś nią jednak została. – Ponownie obrzuca mnie spojrzeniem, zatrzymując je na każdym fragmencie mojego ciała. Chłonie wzrokiem bryczesy, skórzaną zbroję, koszulę pod nią. – Dobrze wyglądasz.

Odważam tę analizę: mapa siniaków pokrywa klatkę piersiową, pod nią sterczą żebra, które łatwo można policzyć.

– Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o tobie. – To chyba były bardzo interesujące księżyce.

Zachęcam go w ten sposób, by opowiedział, co widział i co robił. Bardzo chcę o tym usłyszeć. Milknę, rozdarta między pragnieniem pozostania z nim a chęcią odnalezienia Errin. Ale w porę dobiegające kasznięcie zza zasłony przypomina mi, że stoi tam połowa mieszkańców, łowiąc każde słówko z naszej rozmowy. Wzrusza ramionami, jakby był tego wszystkiego świadomy.

– Obawiam się, że to nie najlepsza pora.

– Nie. Porozmawiam o wszystkim z Errin. A może chcesz się rozejrzeć? Mogę poprosić Kirina, chętnie cię oprowadzi.

Przez moment wygląda na zawiedzionego.

– Nie. Powinienem odpocząć. Mam pytanie. Czy to ty stoisz za ruchem Wstanie Świt? Świt to wy?

Gdy potakuję, jego usta wykrzywia znajomy grymas.

– A więc wszyscy tutaj należą do grupy rebeliantów?

– Co do jednego. Kiedy się podleczysz, poznam cię ze wszystkimi. Ema, nasza kucharka, od tygodni szuka pretekstu, by upiec gęś. Powiem jej, że nadeszła właściwa okazja. Urządzimy prawdziwą biesiadę, żeby uczcić wasz powrót.

Unosi brew.

– Nie ma takiej potrzeby. Po kilku ostatnich księżycach nawet chleb, z którego nie muszę zdrapywać pleśni, będzie rarytasem.

– Podeślę ci kogoś, na wypadek gdybyś czegokolwiek potrzebował – mówię i ruszam w stronę drzwi. Odsuwam zasłonę i spoglądam na tłum ludzi, którzy nagle zainteresowali się otaczającymi ich ścianami.

– Nie macie nic lepszego do roboty? – pytam, potrząsając głową, gdy mamroczą słowa przeprosin. – Sio. Idźcie sobie stąd. Hobb, czeka na ciebie co najmniej tuzin mieczy do naostrzenia. – Blondwłosa strażnik zwiesza głowę i migiem oddala się wraz z częścią podsłuchujących, którzy wolą odejść, żeby uniknąć wstydu przed królem. Ale pozostali wciąż zwlekają. Oparłszy dłonie na biodrach, zwracam się do nich bezpośrednio:

– To dotyczy was wszystkich. Breana, słyszałam, jak rano narzekałaś, że musisz przymocować pióra do strzał. A co do ciebie, Ulrin...

– Pragnę się tylko przywitać z Jego Królewską Mością. Towarzyszyłem mu podczas podróży. – Głos olbrzymiego, niedźwiedziowatego mężczyzny grzmi jak piorun. – Witaj, Wasza Wysokość! – krzyczy.

– Witaj, Ulrinie. Później chętnie z tobą porozmawiam – odpowiada Merek. Pozwalam, aby zasłona opadła na swoje miejsce.

– Teraz Jego Królewska Mość odpoczywa. Proszę, wracajcie do pracy.

Potakują kiwnięciem głowy i wreszcie się rozchodzą. Odprowadzam wzrokiem klockowatą postać Ulrina, która przyćmiewa mimozowatą sylwetkę Breeny. W dół holu niesie się pomruk podekscytowanych głosów. Ich monarcha powstał z martwych – przystojny i odważny jak nigdy.

Odchodzę od nich i wzdycham, aż znajdę się wystarczająco daleko. Nie mam pojęcia dlaczego, ale czuję się nerwowa i niespokojna. Przyda mi się kąpiel.

Przystaję przy kuchni i narażając się na gniew Emy, częstuję się kilkoma jabłkami i kostkami sera. Wchodzę do przebieralni w kobiecej łaźni i zrzucam z siebie ubrania i zbroję, ostrożnie rozwieszając jej elementy. Uczucie znoju powoli odpływa. Rozplątuję warkocz i pozwalam włosom opaść tak, by zasłoniły mnie po wejściu do łaźni.

Omiotam wzrokiem pomieszczenie, szukając brązowej głowy wystającej z któregoś basenu. W łaźni jest sześć basenów wykutych w czerwonym marmurze, ułożonych jak wierzchołki gwiazdy. Długość każdego z nich dwukrotnie przekracza mój wzrost, prawie w takiej samej proporcji odnosi się to do szerokości i głębokości. Każdy jest wypełniony naturalnie gorącą wodą, która kipi w ciepłych źródłach pod ziemią. Cała łaźnia jest zaparowana i śmierdzi siarką, od której dawno odwykłam. Wyteżam wzrok, ale nie potrafię dostrzec przyjaciółki.

– Errin? – wołam.

– Nigdy stąd nie wyjdę! – Echo głosu Errin cicho odbija się od niskiego sufitu. Następuje rozbryzg i dostrzegam jej głowę. Musiała leżeć w wodzie. – Gorąca woda. Przez cały czas. Nie wierzę, że Silas dorastał w takich warunkach. Nigdy mi o tym nie opowiadał, uwierzysz? – Milknie.

Podchodzę do basenu po lewej stronie i kładę jedzenie na krawędzi.

– Czy on dobrze się czuje? – pytam, wchodząc do wody. Po moim kręgosłupie przebiega rozkoszny dreszcz.

Przez dłuższą chwilę nie odpowiada, a później wykrztusza:

– Tak. Nie. – Słyszę odgłos plaśnięcia o wodę i kiedy się odwracam, znika

z pola widzenia. – Nawet jeśli teraz czuje się dobrze, to nie na długo. – Jej głos jakby przypląwał z oddali. – Twyllo, musimy go uratować.

– Uratujemy. Obiecuję. Obiecuję – powtarzam, po czym również się ześlizguję i pozwalam włosom półkuliście rozsypać się wokół.

Znowu przez chwilę milczy.

– Przynajmniej jest miło. Niebiańska ta kąpiel. Odprężająca. Ciężko się tutaj bać.

– Wiem – mówię z ustami skierowanymi ku sufitowi. – Za młodu musiały nam starczać blaszana balia, którą napełnialiśmy wodą ze studni przed kominkiem. Raz na księżyc. W zamku, na szczycie wieży, wcale nie było lepiej. Wiesz, że królowa popadała w liryzm na myśl o wodzie w jeziorze? Przyznaję to z ciężkim sercem, ale miała rację. Jest bosko!

Przewracam się na bok i pochylam na krawędzi basenu, pozwalając, by woda kapała na podłogę. Errin robi to samo po drugiej stronie łaźni.

– Cześć – mówię z uśmiechem. – Może jabłko?

– Chętnie. – Rzucam jej owoc, który łapie całkiem zręcznie, więc to samo robię z serem. Głośno wgryza się w jabłko i wydaje jęk radości. – Tęskniłam za tobą – mamrocze z pełnymi ustami.

– Mówisz do mnie czy do jabłka?

– Do jabłka. – Wrzuca kostkę sera do ust. – I do sera.

– Ja też za tobą tęskniłam. – Uśmiecham się. – Czy wszystko jest w porządku?

Nie odpowiada natychmiast, bo przełyka jedzenie. Rzucam jej drugie jabłko.

– Tak. I nie. Mam ci dużo, *bardzo* dużo do opowiedzenia. Ja... Nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Mam to samo. Chciałabym... Bogowie, Errin. Szkoda, że cię ze mną nie było – mówię pospiesznie.

Uśmiecha się.

– Masz własne wojsko.

– Rzeczywiście.

– *Jakim cudem udało ci się zebrać całą armię? A Wstanie Świt... to ty?* Poczekaj. Zaczynij od początku. Opowiedz mi wszystko po kolei.

Opowiadam.

O ucieczce z Konklawe, o spotkaniu Kirina. Kiedy o nim słyszy, uśmiecha się do mnie z drugiego końca łaźni.

– Jego narzeczona żyje! – krzyczy. – Jest w Tressalyn. Ach, jakże się ucieszy!

Teraz muszę opowiedzieć jej o Liefie i o zabitych Siostrach.

– *Ty mu to zrobiłaś?* – Patrzy na mnie z niedowierzaniem; z jej włosów unosi się para, szeroko rozwarte, zielone oczy są takie same jak jego. – Ale on mówił, że to Siostry. Nigdy tego nie zdradził. Nigdy nie powiedział, że cię widział.

– Może było mu głupio, że go pokonałam.

– Być może... – Nie jest przekonana. – Nie potrafię go rozgryźć, Twyllo.

– Co tutaj rozgryzać? – mówię tonem ostrzejszym, niż zamierzałam.

– Ja nie... Zrobił straszne rzeczy, ale jednocześnie...

– Wybrał swoją stronę – przerywam jej.

Waha się, jakby chciała powiedzieć więcej, ale zamiast tego wzrusza ramionami.

– Co dalej?

Opowiadam jej o naszej podróży i o tym, co przydarzyło się w lesie – o mojej wielkiej przemowie skierowanej do ludzi w obozie i ich początkowej obojętności. O opróżnianiu nocników. O tym, jak wreszcie uświadomiłam sobie, co powinnam zrobić i jak ich do siebie przekonać. O słońcu, które weszło wtedy na horyzont, o tym, jak jego promienie przywiodły mi na myśl ręce wyciągane przez starego przyjaciela.

O tym, jak dotarliśmy tutaj, do domu Sióstr w Górach Wschodnich w Lormere. O tym, jak podczas podróży dołączali do nas kolejni ludzie, przestraszeni i wściekli. Jak we czwórkę – Nadzieja, Kirin, Nia i ja –

założyliśmy Wstanie Świt, by podarować nadzieję zniewolonym Lormerianom i dezorientować tropiącego mnie Aureka.

– Czyli są we wszystkich miastach?

– We wszystkich. Nasza siatka rozciąga się na całe Lormere, a komórki szpiegów stacjonują i ukrywają się w innych miejscach kraju. Wiadomości przesyłamy za ich pośrednictwem. Kilkoro naszych ludzi należy do jego gwardii przybocznej.

Aż gwiździe z zachwytu.

– Obawiał się tego. Jak wam się to udało?

Uśmiecham się.

– Czysty przypadek. Podczas naszego pierwszego ataku złapał mnie strażnik. Powinien był mnie wydać, ale kazał mi uciekać. Już wcześniej się przekonałam, że lojalność zrodzona ze strachu nie jest żadną lojalnością. Kiedy się tu wprowadziliśmy, wysłałam jednego z moich ludzi, Garelda, by odnalazł tego strażnika. Mężczyzna przybył do nas i powiedział, którzy strażnicy myślą podobnie jak on. Oni z kolei przekazali nam dalsze nazwiska i tak dalej. Prawie wszyscy mają dzieci, dzieci, które on porwał.

Errin wzdycha. Mówię jej, że znamy każdy obóz, w którym przetrzymuje dzieci. Począwszy od dzieci z Chargate w Lesie Zachodnim, skończywszy na tych z Lortune, które więzi nie dalej jak trzy mile stąd, w górskich jaskiniach. Wyjawiam również, że udało nam się zdobyć szpiegów i popleczników w wioskach, które pozostają pod kontrolą Aureka, a przynajmniej tak mu się wydaje.

– Właściwie to wcale nie było takie trudne – mówię. – Skrzywdził wiele osób, więc ludzi korci, by odpłacić mu pięknym za nadobne. Posuną się do każdego sposobu. Muszą tylko wiedzieć, że nie są sami. Wielu strażników ugięło się przed nim tylko po to, by ocalić rodzinę. Przesyłamy za ich pośrednictwem drobne rozkazy do całego Lormere. Nic, co naprawdę mogłoby zdenerwować Aureka i skłonić go do odwetu, bo w rzeczywistości nie jesteśmy przygotowani do wojny. Nie mamy wystarczająco dużo ludzi, by pokonać jego armię, a ci, którymi dysponujemy, nie są wojownikami. A teraz – nachyłam się ochoczo – kiedy tu jesteś, możemy znacznie więcej. Zaczniemy

kompletować recepturę Opus Magnum. Wiem, że to będzie ciężka praca, ale są tu tysiące książek – być może jedna z nich...

– Ja mam tę recepturę – odpowiada.

Echo jej słów wypełnia pomieszczenie.

– Recepturę Opus Magnum – ciągnie. – A dokładniej: Merek ją ma.

– *Masz ją? Skąd?* – szepczę.

– Woląabyś nie wiedzieć – mówi, spuszcżając wzrok. W porządku, to nie ma znaczenia. Receptura jest bardzo ważna. Pod warunkiem, że to prawdziwa receptura.

– Jest prawdziwa – mówi, jakby czytała w moich myślach. – To prawdziwy przepis. Pamiętam.

Po mojej skórze przebiega dreszczyk ekscytacji. Nareszcie. Mamy wszystko, czego potrzebujemy, żeby pokonać Aureka. Teraz możemy doprowadzić sprawę do końca.

– Ile potrzeba ci czasu, żeby ją sporządzić? – Próbuję nie dać się ponieść emocjom, ale szaleńczo kalkuluję: muszę mieć dzień lub dwa, żeby zgromadzić wszystkich, wysłać wiadomość do komórek Świtu w całym Lormere i dotrzeć do tych w Tregellanie, którzy obiecali nas wesprzeć, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Ale...

– Sporządzenie mikstury trochę potrwa.

– Oczywiście. Jak długo? Tydzień?

Errin smutnieje i potrzęsa głową.

– Najpierw muszę ją zdekonstruować, poza tym trzeba zdobyć składniki. W przypadku niektórych sprawa wcale nie jest oczywista. Zioła i rośliny są dość pospolite i łatwo dostępne, choć mandragora jest chroniona. Da się ją jednak znaleźć, a te okolice z niej słyną. Siarkę też znajdziemy w górach. Czuć ją nawet w tutejszej wodzie. Ale jedynym znanym mi miejscem, w którym można spotkać *Sal Salis*, jest Konklawe, a według Mereka rtęć dostaniemy tylko w Tallith.

– Tallith? – Wlepiam w nią wzrok. – Ależ podróż zajmie co najmniej księżyc! Sześć tygodni, patrząc realistycznie. Do ośmiu, gdy pogoda się

pogorszy.

– Wiem. – Patrzy na mnie z przeprasającym wyrazem twarzy.

Dwa księżyce...

– A tutaj nie ma żadnego sklepu? Żadnej kopalni?

– Mogę spytać... – W jej głosie nie słychać nadziei. – Jest szansa, że przed przeprowadzką do Konklawe Siostry zostawiły tu jakiś zapas.

– Dwa księżyce... – mówię szeptem.

– Przykro mi – mówi.

– Nie szkodzi – odpowiadam, próbując ukryć oczywiste rozczarowanie. – Nie musisz przepraszać. Za nic. Jest dobrze... Lepiej niż dobrze.

Uznaję, że dość już kąpieli, i wstaję, pozwalając wodzie spłynąć po włosach i plecach. Zostawiając za sobą wilgotne odciski stóp na kafelkach, idę po ręczniki – jednym owijam włosy, a drugim ciało.

– Naprawdę musisz iść? – pyta Errin.

Ogarnia mnie fala współczucia. W ciepłej łaźni wygląda jak zarumienione dziecko. Wtedy przypominam sobie, co Kirin mówił na temat jej matki.

– Nie wiem, czy już ci ktoś mówił, ale twoja matka została uratowana. Aurek podał jej Elik sir. Wyzdrowieje.

Nie zdradzam jej, co spotkało za karę Lief'a. Radość wypełzająca na zmęczoną twarz Errin wszystko wynagradza. Ale za chwilę znowu smutnieje.

– Dzięki Bogu – szepcze. – Ale Silas...

– Silas na pewno z radością zrobiłby to dla twojej matki. Wiesz, że nie wahałby się ani chwili. A teraz pójdę powiedzieć Nii, że mamy kolejną współlokatorkę i koniecznie musi posprzątać ubrania.

Twarz Errin znów się rozjaśnia, a ja mimowolnie posyłam jej uśmiech.

– Musisz też wiedzieć, że ona chrapie... – Przerывam, słysząc kroki, wiele odbijających się echem i zmierzających ku nam kroków. – Co znowu? – mówię półszeptem.

Do łaźni przez zasłone wpadają Stuan, Kirin, Ulrin i Hobb. Errin w reakcji na to wydaje głośny pisk i nurkuje pod wodę.

– Co to wszystko ma znaczyć? – krzyczę do nich, gdy zatrzymują się z poślizgiem, przenosząc wzrok z mojej postaci owiniętej w ręczniki na zszokowaną Errin i z powrotem na mnie.

– Chodzi... o nią. – Ulrin wskazuje Errin. – Istnieje ryzyko, że wyrządzi ci krzywdę. Jego Wysokość powiedział nam, że Śpiący Książę jest w stanie ją kontrolować. Że potrafi ją zmuszać do pewnych zachowań – do ataku na ciebie i na nas...

– Nie mówiłam wam, żebyście zostawili Jego Wysokość w spokoju?

W tym właśnie momencie do pomieszczenia wchodzi kulejący Merek.

– Powiedziałem, że to mało prawdopodobne, ale możliwe – ripostuje, a wszyscy obecni mężczyźni składają ukłon, który król komentuje zmrużeniem powiek. – Mówiłem tylko, że posiada takie umiejętności. I że według nas niebezpieczeństwo zostało wyeliminowane. Szkoda, że nie trzymałem buzi na kłódkę.

Odwracam się do Errin, która z zawstydzoną miną przygryza wargę.

– To prawda.

– Wyjdźcie stąd wszyscy – wzdycham i wskazuję drzwi za ich plecami.

– Ale pani...

– Wtargnęliście do kobiecej łaźni, do której nie macie przecież wstępu. Idźcie. Potrafię o siebie zadbać. Dobrze o tym wiecie.

Przez sekundę mam wrażenie, że będą mi się sprzeciwiać, ale wszyscy posłusznie się wycofują, choć nie bez ociągania. Patrząc na Mereka, któremu na policzki wystąpiły lekkie rumieńce.

– Ciebie też o to proszę.

Potakuje skinieniem głowy, po czym zwraca się do Errin:

– Żałuję, że coś takiego się wydarzyło. Przykro mi. – Potem posyła mi ostatnie spojrzenie i wychodzi, mocno zaciągając za sobą zasłonę. Odwijam ręcznik z głowy i wracam do kąpieli. Upuściwszy drugi ręcznik na podłogę, wchodzę z powrotem do wody.

– To nie jest do końca zła wiadomość – mówi Errin. – Ma związek z symulakrami. I golemami.

– Opowiedz mi o tym – proszę, wyciągając nogi w ciepłej wodzie.
Opowiada.

Rozdział 18



Nadgarstki Errin pozostają na czas uczyt luźno związane, a Stuan nalega, że usiądzie obok mnie. Każe też Kirinowi zająć miejsce przy drugim moim boku. Panowie odgrywają piękną pantomimę, zastanawiając się, czy powinniśmy pozwolić Errin na posługiwanie się nożem i widelcem, ale gdy posyłam im ostre spojrzenie, nerwowo wkładają jej sztucce do rąk. Na jej miejscu zdzieliłabym któregoś łyżką, a potem zrzuciła winę na Aureka, lecz Errin jest najwyraźniej mądrzejsza ode mnie, gdyż potulnie je swoją gęś. Wykonuje powolne i rozważne ruchy. Nie podoba mi się widok związanych nadgarstków, nie podoba mi się myśl, że uciekła tylko po to, by znów zostać uwięzioną, lecz ona przyjmuje tę sytuację z humorem. A skoro Errin nie odbiera jej jako obrazy, to ja tym bardziej nie powinnam.

Resztę popołudnia spędziłyśmy z Errin na wielokrotnym przepisywaniu receptury Opus Magnum. Sporządzone kopie trafiły do Kirina, Nii, Nadziei i do mnie, po jednej dostali też Errin i Merek. Pozostałe egzemplarze schowaliśmy na terenie wspólnoty, na wszelki wypadek.

Jak łatwo było przewidzieć, Mereka od momentu przyjazdu otaczają ludzie. Wszyscy próbują obok niego usiąść. Lady Shasta – albo raczej Ymilla, jak

każe na siebie mówić – rusza prosto w jego kierunku i dosiadłszy się do niego, od razu wybucha śmiechem, chociaż Merek nie miał nawet szansy, by powiedzieć cokolwiek zabawnego. Ulrin, z którym wcześniej siedziała, spogląda na nią ponuro, markotnie skubiąc posiłek. Posyłam mu uśmiech. Odwzajemnia się spojrzeniem, odwracam się więc z powrotem do Kirina, ale ten opowiada Nii o porannych wydarzeniach, które przegapiła.

Gdy znów spoglądam na Mereka, dłoń mówiącej Ymilli spoczywa już na jego ramieniu. Król przesuwając jedzenie po swoim talerzu, potakując bez przekonania. Kiedy wreszcie udaje mi się skrzyżować z nim spojrzenie, świadomie przez dłuższy czas nie spuszcza ze mnie wzroku, po czym wstaje, zabiera ze sobą puchar i odchodzi w stronę drzwi, sztywno stawiając obandażowaną nogę. Ymilla przenosi wzrok z niego na mnie i z głośnym brzękiem upuszcza nóż. Reszta królewskich akolitów z rozczarowaniem patrzy, jak odchodzi, i ich koniec stołu natychmiast ucicha.

Merek brodą daje mi znak, żebym za nim wyszła. Odpowiadam skinieniem głowy, ale wtedy Nadzieja zadaje mi pytanie i wplątuje mnie w dyskusję na temat Świtu.

Bardziej wyczuwam niż widzę, że przesuwając się z powrotem w stronę przejścia. Czuję, że obserwuje naszą rozmowę. Rzucam na niego szybkie spojrzenie, by dać mu znać, że wiem, iż tutaj przebywa. Nie wstaję jednak, tylko spokojnie odpowiadam na pytania. Gdy konwersacja wreszcie zmienia kierunek i czuję, że mogę odejść, podnoszę wzrok akurat w chwili, gdy odwraca się i wymyka z pokoju.

Merek siedzi trochę dalej na korytarzu, na drewnianej ławce. Popija drinka. Na dźwięk moich kroków podnosi wzrok i poklepuje sąsiednią ławkę. Siadam obok i lekko trąciwszy go kolaniem, odwracam się do króla.

Jego włosy zaczęły odrastać. Widać półcalowy meszek ocieniający głowę. Ani śladu loków, które się pojawiają, jeśli pozwoli włosom swobodnie rosnąć. Cień okala również jego podbródek i górną wargę. Wcześniej miał lekko zaokrąglone policzki, ale teraz jego twarz jest zbudowana z załamań, ostrych kości policzkowych i mocnego czoła. Wciąż przypomina matkę, lecz teraz w jego obliczu odbijają się również rysy ojca. Wygląda jak mężczyzna.

Wygląda jak król.

– Piękną brygadę tu zgromadziłaś – mówi.

– Czyż nie wyglądają pierwszorzędnie?

– Nigdy nie sądziłem, że dożyję dnia, w którym lady Shasta będzie wykonywała twoje rozkazy.

– Powinieneś wiedzieć, że Ymilla została moją drogą przyjaciółką – odpowiadam.

– Naprawdę? – Spogląda na mnie z lekko kpiącym wyrazem twarzy.

– Nie. Wciąż mnie nie lubi, ale znasz ją – uwielbia blask władzy.

Wybuchą krótkim, nieuważnym chichotem, po czym milknie.

– Jak się czujesz? – pytam i natychmiast tego żałuję. To zbyt ogólne pytanie. I zbyt błahe, biorąc pod uwagę naszą historię.

Wzdycha wolno, jakby doszedł do tego samego wniosku.

– Żywy.

Czekam, aż zada to samo pytanie, ale on milczy. Nie przestaje przeszywać mnie spojrzeniem, które skupia wreszcie na moich złożonych na kolanie dłoniach.

– Zmieniłaś się – mówi wreszcie delikatnym głosem.

Podążam za jego wzrokiem. Moje dłonie są szorstkie, zaczerwienione, zrogowaciałe od zaprawy mieczem i łukiem, od prania ubrań w lodowatej wodzie ze studni, od wspinania się po kamiennych murach. Zakrywam je rękawem, ale on pochyła się i z powrotem podciąga materiał. Przypatruje się moim dłoniom, które teraz obraca w swoich. Obserwuję go. Przesuwa palcem po gojącej się różowej bliźnie – już zapomniałam, jak powstała – na zewnętrznej części mojej dłoni. Potem splata palce z moimi. Przez cały ten czas nie odrywa ode mnie wzroku.

– Mam na myśli ciebie – mówi. – Nie twój wygląd. Ani sposób mówienia. Chociaż muszę przyznać, że złapałaś lekki tregellański akcent.

– Dużo się wydarzyło. – Wzdycham, doskonale świadoma bezbarwności swoich słów. Jakże szybko zapomniałam o wszystkim, co wydarzyło się od

czasu wyjazdu z Lormere. Wszystko, co widziałam i robiłam, jest nieistotne w obliczu faktu, że on tu przebywa. Mój książę. Mój król. Obiecany mi niegdyś małżonek.

Unosi brew.

– Wiem. Po zamku krążyły pogłoski o twoich wyczynach. O tym, jak w pojedynkę zabiłaś golema. Jak prześlizgnęłaś się obok straży i wspięłaś na mury miejskie Chargate, na których wymalowałaś zdanie „Wstanie Świt”. Jak wpuściłaś żywe szczury do domu szeryfa w Lortune. Jak włamałaś się do zamku i zapełniłaś łóżce Aureka fiołkami z napisem „trucizna”, żeby mu udowodnić, że dopadniesz go, gdy tylko zechcesz.

Uśmiecham się.

– Nie powinieneś wierzyć we wszystkie plotki. Doskonale wiesz, że nie weszłam do zamku w Lormere. Byłeś tam.

Wtedy się uśmiecha, a serce mocniej mi łomocze. Oczy mu lśnią, a w kącikach oczu, gdy marszczy twarz, pojawiają się dodające mu lat kurze łapki. Oto pewna nowość.

– A pozostałe historie?

Odczekuję jedno uderzenie serca.

– Wszystkie są prawdziwe, chociaż ja osobiście nigdy nie wpuściłam mu szczurów do domu ani nie wspinałam się po murach Chargate. Ale to ja wymalowałam napis na południowym murze. To był nasz pierwszy atak.

– Jak wam się udało to zrobić?

– Drżałam tak mocno, że szczękające zęby prawie nas zdemaskowały. Ale to była konieczność. Musiałam udowodnić ludziom, którym przewodziłam, że nie rzucam słów na wiatr.

– Jak widać, podziałało. Ilu was jest?

– Na początku było nas czworo: ja, Nadzieja, Kirin i Nia. Pozostałych znaleźliśmy w Lesie Zachodnim. Przekonaliśmy ich, by za mną podążyli. Po drodze dołączyło do nas trochę wygnańców, kolejni uciekli i przyłączyli się później. Obecnie przebywa tutaj około setki ludzi. Jeszcze więcej osób rozmieściliśmy w placówkach w całym Lormere. Mamy też grupę agentów

w Tregellanie. Próbują pozyskać kolejnych sojuszników. Działają w parach, by szybciej przekazywać wiadomości. W miastach też mamy komórki. Myślę, że łącznie Świt liczy pięćset osób.

– Pięćset? – pyta z zawodem w głosie.

– Merek, nigdy nie zamierzaliśmy rozpętać prawdziwej wojny na polu bitwy. On potrafi formować z gliny żołnierzy, którzy nie potrzebują żywności ani schronienia. Wystarczają im jego rozkazy.

– Golemy nie są niepokonane... – zaczyna, ale powstrzymuję go.

– Wiem. Errin mi powiedziała. Ale my wciąż mamy zbyt skąpe zasoby, aby wciągnąć go teraz w walkę. Naszym celem jest zasianie zamętu na jego ziemiach. Zmusimy go do rozproszenia armii na tyle, żebyśmy mogli się prześlizgnąć, dopaść go i tym sposobem zakończyć walkę. Nie wierzę, że ma prawdziwych sojuszników. Na pewno nie takich, którzy go obronią, jeśli zobaczą, że przegrywa. – Z wyjątkiem jednego. Liefa. Który pozostał z Aurekiem, choć ten wychłostał go do nieprzytomności.

Po spojrzeniu Mereka poznaję, że również on myśli o Liefie.

– Pomógł nam uciec – mówi wreszcie.

– W takim razie musiał na tym w jakiś sposób skorzystać.

– Dał nam recepturę.

Jestem zszokowana, ale próbuję tego nie okazywać.

– To bez różnicy. Niczego nie zmienia.

– Errin przewidywała, że tak powiesz.

– I miała rację. – Zapada milczenie, on sączy coś z kielicha, zakładam, że wino.

– Errin twierdzi, że według ciebie dopiero za dwa księżycy będziemy gotowi do ataku.

Potakuję.

– Wydaje się, że to dużo czasu, ale szybko minie. Przed nami mnóstwo do zrobienia. Mamy listę składników niezbędnych do sporządzenia Opus Magnum. To prawdziwe błogosławieństwo, że uciekłeś. Pod każdym

względem. Teraz musimy zdecydować, kto pojedzie po składniki, których potrzebujemy, kogo zaufanego możemy w tym celu wyprawić. Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy ruszali na ryzykowną wyprawę. Zajęłoby to zbyt dużo czasu. Poza tym Errin i ja musimy pozostać bezpieczne do czasu sporządzenia trucizny. To samo dotyczy ciebie.

Merek kiwa głową.

– Potrzebujemy dużo czasu na przygotowania. A uwięzione dzieci? Czy je twój plan również obejmuje?

– Uwolnimy je w ramach otwierającego gambitu. Na terenie całego Lormere wybuchną skoordynowane powstania, a dzieci w obozach zostaną uwolnione i zaprowadzone w bezpieczne miejsce. Kiedy Aurek wyśle posiłki do spacyfikowania powstań w miastach, my uderzymy w twierdzę, w samo serce jego władzy.

– A jeżeli *nie* wyśle posiłków? Jeżeli się okopie?

– Wówczas wyswobodzimy miasta i zgromadzimy armię żołnierzy na tyle wielką, by go obleżyć. Bez względu na jego ruch jesteśmy przygotowani na każdy scenariusz.

Oboje milkniemy i pogrążamy się w myślach. Moje płyną w stronę Lormere. Lief. Zastanawiam się, jak moglibyśmy pomóc mieszkańcom.

– Czy... Lief naprawdę podarował wam recepturę?

Merek potakuje.

– Owszem. – Urywa i marszczy brwi, po czym spogląda na mnie i łapie za dłoń. – Przychodzi mi to z trudem, bo wolałbym... Wolałbym nie być osobą, która musi ci to powiedzieć. Ale... Wydaje mi się, że on żałuje tego, co uczynił. Myślę, że pomógłby nam. Przyłączyłby się do nas, gdybyśmy wysłali mu wiadomość.

– Nie – protestuję.

– Coś mi powiedział: „Być może wcale nie widziałeś tych teatralnych popisów”. Wtedy przypomniałem sobie proces, pamiętasz? Teatralne popisy. Nie chodzi już nawet o to, co powiedział, ale jak...

Włosy na moich rękach stają dęba, ale ignoruję to uczucie.

– Pamiętam. Ale nie potrafię uwierzyć, że to mogłoby coś znaczyć.

Merek bierze głęboki oddech.

– Z powodu tego, co ci zrobił?

Podnoszę na niego wzrok.

– Z powodu tego, że nie można mu zaufać. Z powodu tego, że w nawyk weszło mu zdradzanie ludzi, których kochał. Zdradził mnie. Swoją siostrę. Matkę. Nie widziałeś, czego dokonał w świątyni kości. Nie przejął się tym, co zrobił Errin. Niczego nie żałuje. Może aktualnie się nad sobą rozczula, ale to pewnie dlatego, że szuka wyjścia. Wylądował na czterech łapach. Taka jest jego natura. I uwierz mi, Merek, nie są to słowa zgorzkniałej byłej kochanki. To słowa osoby, która trzykrotnie miała z nim zwadę i której udało się wyjść z tej zwady bez szwanku albo dzięki łutowi szczęścia, albo jego kaprysowi. Ufam Nadziei. Ufam Kirinowi. Ufam Nii. I Stuanowi, Ulrinowi, Emie, Breenie. A przede wszystkim ufam tobie i Errin. Ale nie ufam i nigdy nie zaufam jemu. Nie mogę już sobie na to pozwolić. Posłał sobie takie łóżko, więc niech się w nim wyśpi. Sam.

Merek potakuje.

– Tak, masz rację – mówię. – Zmieniłam się. Przestałam być idiotką.

– Nigdy nie uważałam cię za idiotkę. – Merek łagodnie puszcza moją dłoń.

– I wciąż nie to mam na myśli. – Przerywa i czekam, aż wyjaśni, ale mówi tylko: – Chyba się trochę zdrzemnę. Już nie pamiętam, kiedy się dobrze wyspałem.

Czuję się dziwnie, jakby mnie właśnie odprawiał, jakbym go z jakiegoś powodu zawiodła.

– Dobrej nocy – żegnam go.

Rozprostowuje swoje długie ciało i wstaje, po czym wyciąga do mnie rękę. Łapię ją i pozwalam mu się podciągnąć. Gdy tak stoimy, prawie pierś w pierś, spoglądam na niego raz jeszcze.

– Bardzo się cieszę, że żyjesz – mówi i nabiera powietrza, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale przygryza wargę i ponownie mruży oczy, tym razem patrząc na coś znajdującego się ponad moim ramieniem.

Kiedy się odwracam, na korytarzu stoją Errin i Kirin, a za nimi pozostali. Uczta dobiegła końca. Gdy ponownie patrzę na Mereka, wyraz jego twarzy obojętnieje.

– Dobrej nocy – mówi, po czym odchodzi, coraz mocniej kulejąc. Na pewno jest zmęczony.

Podchodzi do mnie Errin, a za nią Kirin.

– Czy wszystko w porządku?

– Tak. Właśnie skończyliśmy nadrabiać zaległości.

– Pani. – Niespodziewanie pojawia się za nami Stuan. – Rozmawiałem z chłopcami. Bylibyśmy zaszczyceni, gdybyśmy mogli dziś w nocy stać na straży przed twoją sypialnią. Albo w sypialni.

– Nie wątpię – mruczy Errin pod nosem i muszę wykrzywić usta, żeby powstrzymać cisnący się na nie uśmiech.

– To miło z waszej strony, ale poradzimy sobie bez tego.

Nie czekam na jego odpowiedź. Obejmuję ręką Errin. Głównie po to, by zdenerwować Stuaana i wyprowadzić ją do naszego pokoju.

Nia przesunęła rzeczy z podłogi, ale zamiast je schować, zostawiła je na łóżku. Ktoś przyniósł siennik i położył go na środku pokoju, zostawiając na nim miękkie, utkane z giemzy liny. Odsuwam je i pomagam usiąść na nim Errin.

Zamierzam ją ułożyć, ale mnie powstrzymuje.

– Musisz związać mi stopy. I naprężyć więzy na rękach. Obiecałam im, że to zrobisz.

Jej usta, jedyna część twarzy, którą widzę, układają się w srogą, zaciętą linię.

Bez słowa wiążę jej stopy liną z giemzy, a potem zaciskam supły na dłoniach – mocno, bo jeśli tego nie zrobię, na pewno będzie narzekać. Kiedy kończę, odchyła się i patrzy mi prosto w oczy.

– Zabiłam kogoś – mówi.

Mrugam, zupełnie zbita z tropu.

– Ach.

– Strażnika – kontynuuje, jakbyśmy od pewnego czasu o tym rozmawiały. – Jednego z ludzi Aureka. Gdy uciekaliśmy. Nie chciałam, ale go zabiłam. Udusiłam.

Powoli wypuszczam powietrze.

– Cóż, wygląda na to, że gdybyś go nie zabiła, to on albo by cię zabił, albo zabrał do Aureka. Innego wyjścia nie miałaś.

– To samo powiedział Merek.

– Merek jest bardzo mądry.

– Ja tylko... Chciałam, żebyś wiedziała. – Milknie. – Czy to... Czy to kiedykolwiek mijają?

– Co?

– No, to uczucie.

Nic już nie musi wyjaśniać, *znam* to uczucie. Choć właściwie nigdy nikogo nie zabiłam, wciąż odczuwam winę. Przypomina ciasny szalik albo zaciskającą się na gardle pętlę. To uczucie każe mi wierzyć, że zabrałam coś, co nie należało do mnie, że zdobyłam to kosztem innej istoty. I nie ma znaczenia, że własnoręcznie nigdy nikogo nie zabiłam. Patrzyłam na ginących ludzi, wierząc, że to ja ich zabijam. Ci ludzie umierali przeze mnie.

– Tak – kłamię. – Człowiek wreszcie odzyskuje spokój sumienia. Nigdy się o tym nie zapomina, ale przestaje cię to dręczyć.

Wzdycha cichutko.

– Dziękuję. – Przewraca się na bok. – Dobranoc, Twyllo – mówi. Okrywam ją kocem.

– Dobranoc, Errin – mówię łagodnie. Przysłuchuję się, jak zasypia, i wciąż nie śpię, gdy chwilę później do pokoju wchodzi Nia, która wskakuje na łóżko bez przesuwania swoich szpargałów. Niedługo potem pokój wypełniają ciche, miękkie odgłosy snu. Pociągnięcia nosem i pochrapywanie. Ale ja nie mogę się odprężyć. Dużo czasu upływa, zanim zapadam w niespokojny sen.

Następnego ranka wstaję wcześniej, by oprowadzić Mereka i Errin po

wspólnocie. Tylko my przebywamy w refektarzu, chociaż Ema i Breana, pełniąca dziś funkcję pomocy kuchennej, pieką już od dwóch godzin, czego dowodem są świeże bułeczki, które dymią w koszach ustawionych na drewnianych stołach.

Errin i ja siedzimy pogrążone w sennej, przyjacielskiej ciszy, odrywając kawałki chleba i dmuchając w palce, które lekko parzy para. Potem zanurzamy kawałki w złotych żółtkach i zjadamy je. Dłonie Errin wciąż są związane, luźno, ale nie przeszkadza jej to w spożyciu śniadania.

– Skąd macie tyle jedzenia? – pyta, maczając chleb w plamie żółtka, które wypłynęło ze skorupki.

– Z zapasów Sióstr. Pod klasztorem ciągną się piwnice zavalone taką ilością jedzenia, że można by nim wyżywić małą armię. Dosłownie, jak się okazuje. Mąka, zboże, owies, szynki, kawałki sarniny. Są kury, kozy i owce. Wszystkie zwierzęta są trzymane pół mili stąd, na pastwiskach zgromadzenia. Zakon miał być samowystarczalny. Siostry wołały nie polegać na dostawach z zewnątrz.

– Jak Konklawe.

– Właśnie. – Waham się przed zadaniem kolejnego pytania. – Jak wyglądało życie w zamku?

– Chodzi ci o jedzenie? – pyta, a ja potakuję. – Ja miałam dobrze. Pilnował, żebym była najedzona do syta. Posiłki jadałam z nim, a on nigdy nie ograniczał diety. Mieliśmy mięso i wino. O Silasa również dbano, przynajmniej pod tym względem. Nie głodował.

– A inni? – Mam na myśli Mereka, a ona dobrze o tym wie.

– Nie mieli najlepiej. Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy, ale...

– Same oceńcie – mówi Merok, wchodząc do refektarza na bosaka. Wygląda na trochę zdrowszego niż wczoraj – purpurowe plamy pod jego oczami zbladły – ale jest bardzo szczupły, praktycznie wychudły. Nienaturalnie ostre rysy twarzy są dowodem na to, że traktowano go bardzo źle. Jest ubrany w bladobłękitną tunikę – materiał wygląda na miękki, dobrze wyprany – i brązowe spodnie, wytarte na kolanach. Podobnie jak różowa, ręcznie tkana

suknia Errin – bliźniacza wersja mojej zielonej sukni – jego ubrania pochodzą z garderoby pozostawionej przez alchemików i ich rodziny po ucieczce. Proste, niewyszukane, solidnie uszyte stroje, zaprojektowane tak, by wytrzymały próbę czasu. Nigdy nie widziałam go w tak zwyczajnym przyodziewku. A z rzucanych przez niego szybkich, zaciekawionych spojrzeń wnioskuję, że myśli dokładnie to samo o mnie. Uśmiecham się do siebie i skupiam uwagę na śniadaniu.

Kiedy podnoszę wzrok na Mereka, który rzuca się na chleb tak, jakby od tygodni nie widział prawdziwego jedzenia, i na Errin, nieświadomą, że w kąciu jej ust została odrobina żółtka, uderza mnie nasza młodość i niesprawiedliwość sytuacji, w której się znaleźliśmy. Dlaczego to my musimy się tym zająć? Dlaczego Rada Tregellanu nie walczy? Dlaczego lordowie i baronowie Lormere nie utworzyli ze swoich poddanych armii? Dlaczego właśnie my musimy walczyć z Aurekiem?

Merek wskazuje żółtko na twarzy Errin, ale zamiast się zarumienić i je zetrzeć – ja bym tak zareagowała – dziewczyna pochyla się i zanurza palce w jego jajku, po czym wysmarowuje żółtkiem i jego twarz. On w osłupieniu otwiera usta, na co Errin wybucha śmiechem. Grozi jej głową, ze wszystkich sił tłumiąc śmiech. Czuję ukłucie w sercu, jakby wbił się w nie cierń, i mimowolnie wzdycham.

– Dobrze się czujesz? – Spogląda na mnie Merek.

– Tak. Oczywiście – odpowiadam, znowu szukając właściwych słów – słów kluczy, które pozwolą mi otworzyć drzwi do ich swobodnej, radosnej przyjaźni. I znowu kłuje mnie serce, bo pragnę stać się częścią ich świata, pragnę tego ze wszystkich sił. Niestety, nie jestem nią i chyba nigdy nie dołączę do ich komitywy. Żadne z nich tak ze mną nie rozmawia. To oczywiste, że nawzajem lubią się bardziej niż mnie. Czy to nie naturalne?

„Jestem zazdrosna” – uświadamiam sobie. Nie o nich, ale o niego. O to, że gdy tylko się tu pojawił, od razu się dopasował. Ja zawsze czuję się nie na swoim miejscu. Gdy pokonamy Aureka, sytuacja się powtórzy. Merek triumfalnie zasiądzie z powrotem na tronie, a ja stanę w przejściu, niepewna, czy powinnam zostać, czy sobie pójść. Czekać na ochłapy ze stołu.

Dłużej już nie potrafię tego znieść.

– Na mnie pora – mówię. – Jestem pewna, że Kirin z chęcią was oprowadzi. Poślę po niego.

– Twyllo? – pyta Errin ze zmartwioną miną i nienawidzę się za to, że jej to robię.

Biorę głęboki oddech i zmuszam się do uśmiechu.

– Przypomniałam sobie, że przed popołudniową radą muszę czegoś dopilnować. Przepraszam. Głupio z mojej strony, jak mogłam zapomnieć.

Errin spogląda na Mereka, który się do mnie odwraca.

– Oczywiście. Nie potrzebujesz naszej pomocy?

Potrząsam głową.

– Zdrowiejcie. Widzimy się na obiedzie.

Nie daję im czasu na odpowiedź i prawie wybiegam z pokoju. Pieką mnie oczy. Czuję, jak czerwienieje mi twarz i klatka piersiowa, jak występują na nie rumieńce. Myślę, gdzie by tu się schować do czasu, aż wszystko przejdzie.

– Twyllo? – Gdy przebiegam przez korytarz, z kobiecych kwater właśnie wychodzi Nadzieja.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, ale głos mi się łamie.

– Akurat – mruczy, a potem słyszę, jak jej drewniaki stukają o bruk za moimi plecami.

– Zostaw mnie, proszę – łkam, nie potrafiąc powstrzymać cisnących się do oczu łez.

Chwyta mnie za ramię i zatrzymuje. Wyrrywam się. Nie chcę, żeby widziała mnie w takim stanie. Przez tak długi czas myślała, że jestem słaba. Lepiej, by znowu mnie za taką nie uznała.

– Idziemy – mówi, prowadząc mnie z powrotem na podwórze, a potem w dół krótkiego korytarza i do ogrodu. Idę bez wahania. Jestem zbyt zmęczona, by się sprzeciwiać.

Ziemia o tej porze roku jest jałowa i oszroniona, na gruncie lśni lód. Kiedy tu przybyliśmy, Nadzieja powiedziała mi, że ziemniaki i buraki, które jemy,

pochodzą właśnie stąd, a gdy nadejdzie wiosna, znowu urosną. Trudno mi teraz uwierzyć, że w tej ziemi kryje się życie.

Prowadzi mnie w dół ścieżki pomiędzy rabatkami – wszystkie czekają na zmianę pogody. Wreszcie dochodzimy do małego sadu. Jest tak samo jałowy jak warzywnik. Pozbawione liści gałęzie sprawiają wrażenie nagich i obumarłych.

Pod dużą jabłonką stoi ławka. Nadzieja chce chyba, byśmy na niej usiadły, chociaż nie mam płaszcza. Jednak mijamy ławkę i dochodzimy do kamiennego łuku okalającego drewniane drzwi. Siostra sięga do kieszeni i wyciąga mały łańcuszek, który cicho pobrzękuje, gdy powiewają na nim żelazne klucze. Otwiera bramę, która, o dziwo, nie skrzypi, po czym wpuszcza mnie do kolejnego małego ogródka. Po drugiej stronie znajduje się chatka jakby przeniesiona z baśni.

Jest drewniana. Po bocznych ścianach wspina się bluszcz, którego bujna zieleń kontrastuje z zimową paletą mdłych barw wokół mnie. Jest odrobinę koślawa, komin ma pękaty, a drzwi zbyt szerokie. Jest nieodparcie czarująca. Nadzieja rusza ścieżką w jej stronę, a kiedy postępuję za nią, z nagłą pewnością dociera do mnie, że zabrała mnie do własnego domu, w którym mieszkała, zanim została Siostrą. W którym wychowała Silasa.

Podchodzimy do drzwi, które otwiera, i wchodzimy do środka. Tak jak podejrzewałam, powietrze nie jest zatęchłe i chociaż jest tu mało mebli, jedynie krzesło i nieduży stolik, ma się wrażenie, że miejsce jest zamieszkałe. I kochane. Podłogi są zamiecione i niezakurzone. Drewniane krzesło lśni.

– To mój sekret – mówi Nadzieja. – Ale sekretami przyjemnie jest się dzielić – dodaje.

Pochyla się nad małym paleniskiem i rozpala ogień, a następnie sięga do spizarki, małej wnęki w ścianie, skąd wyciąga garnek i dwa blaszane kubki, a następnie wiesza czajnik nad tłącym się drewnem.

– Zagotuję trochę herbaty – informuje krótko.

Kiedy metalowy czajnik gwiżdże, owija dłonie płaszczem i ściąga go z ognia, po czym wrzuca do niego listki i wszystko miesza. Gdy się porusza, wykonując sprawne i pewne ruchy, znów ogarnia mnie niezręczność.

Obejmuję rękami kolana. Kiedy herbata jest gotowa, nalewa ją do dwóch kubków i siada na krześle.

– Mów – rozkazuje.

– Nie jestem słaba – mówię.

– Wiem o tym. – Przewraca oczami. – Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Czuję... – Urywam, po czym odwracam się nieznacznie, tak że słowa kieruję bardziej w stronę witrażowego okna. – Nie wiem. Czuję się dziwnie. Niepewnie. Jakbym była nieobecna.

– Od kiedy?

– Od wczoraj.

– Od kiedy przybyli Errin z Merekiem?

– Ciężko... mi patrzeć na nich razem.

– Razem? – pyta ostro.

– Nie mówię o żadnym zadurzeniu. Errin kocha Silasa, jestem tego pewna. – Nadzieja nic nie odpowiada. – Ale widzieć ich oboje tutaj... Wcześniej Merek należał do mojego świata. Ona wniosła ze sobą coś nowego, świat, który sama zbudowała. I nie wiem... – Milknę. – Chciałam tylko uratować Errin i Silasa, a później pokonać Aureka. Nie myślałam o tym, co się wydarzy później. I wiem, że to głupie, bo jeśli wygramy, będzie jakieś „po” i ktoś będzie musiał wszystkim rządzić.

Nadzieja kiwa głową.

– Merek jest zdetronizowanym królem, pochodzi z jedynej rodziny monarszej znanej w Lormere – mówi. – Teraz powrócił, więc zajmie swoje prawowite miejsce i będzie rządził. Ktoś musi.

– Racja.

– A jednak ty chciałaś zająć jego miejsce?

– Nie! – odpowiadam bez zastanowienia, ale później zadaję sobie pytanie: czy chciałabym rządzić? – Nie – powtarzam, wolno cedząc litery, tak jakbym językiem mogła wyczuć, czy mówię prawdę. – Nie chcę jednak stracić tego, co tu zbudowałam, i dlatego czuję... niepewność.

– Ponieważ Merek tu jest?

Potakuję.

– On... Kiedy się poznaliśmy, byłam zupełnie inną osobą. Nie wiem, jak pogodzić w sobie te dwie osoby. – Uśmiecham się kwaśno. – Bezsilna księżniczka i przywódczyni.

– A po cóż miałybyś to robić?

Wzruszam ramionami. Nie wiem. Sięgam po herbatę i w tej samej chwili czuję dłoń we włosach. Gdy się odwracam, Nadzieja trzyma jakąś gałązkę.

– Chyba za bardzo zbliżałaś się do drzew – mówi, a ja obracam się z powrotem, pozwalając jej wyskubać resztę.

– A jeśli... – zaczynam, pozwalając jej palcom przeczesywać moje włosy. – A jeśli pobyt Mereka wszystko zmieni? Zmieni to, jak postrzegają mnie ludzie? Jeśli przestaną mnie słuchać? Jeżeli teraz to w nim ujrzą przywódcę? Albo w Errin? Powiedzmy to sobie szczerze, Nadziejo, nie cieszę się ogromną popularnością. Nie jestem charyzmatyczna. Nie mam nic zabawnego ani bystrego do powiedzenia. Potrafię wydawać rozkazy innym. Ale skoro prawdziwy przywódca już tu jest...

– Ty jesteś prawdziwym przywódcą – strofuje mnie Nadzieja, ciągnąc za włosy odrobinę mocniej, niż powinna. – Kto zgromadził w lesie tę hałastrę? Kto ich przekonał, żeby tu przyszedli? Kto zorganizował oddziały żołnierzy, zwiadowców i rebeliantów? Kto wystawił strażę baczącą na dzieci? Kto ich umył, wytrenował i obiecał lepsze życie? Ty we własnej osobie, Twyllo Morven. Owszem, miałaś pomoc i wsparcie. Tak jak inni przywódcy.

– On jest ich królem.

– Co z tego? Zdążyliśmy się już przekonać, że królowie pojawiają się i znikają. – Milknie na sekundę. – Podejrzewam, że w istocie nie chodzi o Mereka. Czyżbym się myliła?

– Ja tylko czuję... Kiedy zyskam pewność?

– Pewność czego?

– Siebie. Tego, kim jestem. Tego, po co tu jestem. Kiedy się dowiem?

Nadzieja wybucha śmiechem.

– Nigdy. Nigdy się tego nie dowiesz. Bez względu na to, co się wydarzy, zawsze będą się pojawiały chwile zwątpienia i zawsze będziesz popełniała błędy.

Odwracam się, by na nią spojrzeć.

– I będzie coraz gorzej. Wraz z wiekiem jest coraz więcej do stracenia. Kochankowie, przyjaciele, dzieci. Czy naprawdę uważasz, że ja zawsze jestem pewna drogi, którą obrałam?

– Chcesz mi powiedzieć, że nie jesteś?

– Byłam *pewna*, że będziesz tak krnąbrna i nadgorliwa jak twoja matka, niech Bogowie mają ją w swojej opiece. Była *pewna*, że Errin spiskuje z bratem. Byłam *pewna*, że przyjazd do Lormere jest głupim pomysłem. Byłam *pewna*, że Wstanie Świt sprowadzi na nas wszystkich śmierć.

– To w dalszym ciągu jest realne.

Chichocze.

– Być może. Ale to nie znaczy, że słusznie to zakładałam.

– Zawsze wydajesz się taka pewna siebie.

– I na tym, moja mała, polega sekret. Całą niepewność skrywaj pod powierzchnią. Na wierzchu musisz wyglądać jak kamień. Nigdy nie wiadomo; praktyka czyni mistrza.

Przez chwilę trzyma moją twarz w dłoniach, a potem sięga po herbatę.

– Jeszcze dwie rzeczy: po pierwsze, wątpię, by Merek chciał ci to odebrać. Po drugie, nawet gdyby tak było, ludzie prędzej podążą za tobą niż za nim.

Prycham.

– Sama to powiedziałaś: najpierw buduje się świat, a potem daje się go komuś, kto nie posiada nic innego. Taki rodzaj waluty nie traci na wartości, Twyllo. Spaja bardziej, niż ci się wydaje. Jestem pewna, że wszyscy się cieszą z powrotu Mereka – jest dla nich bardzo cenny – ale ani przez sekundę nie przyszło mi do głowy, że dostrzegą w nim przywódcę. Jeszcze sobie na to nie zasłużył. Ty owszem.

Od jej słów pieką mnie oczy.

– Obyś zawsze była przy mnie i uświadamiała mi, gdy zachowuję się jak idiotka – mówię.

Ku memu bezbrzeżnemu zdumieniu nachyla się i całuje mnie w czoło.

– Jesteś swoim najgorszym wrogiem, Twyllo Morven. No dobra, dość już tego – mówi, zaskoczona własnym zachowaniem. – Czas zwołać radę wojenną.

– Dziękuję ci. Za to. I za to, że pokazałaś mi to miejsce.

– Wiem, że nikomu o nim nie powiesz. W końcu nie jesteś zbyt popularna. – Uśmiecha się złośliwie, co szybko mnie rozwesela. – Jesteś sobą. I to powinno ci w zupełności wystarczyć.

Zanim wrócimy, pomagam jej jeszcze zgasić ogień i wypłukać kubki w deszczułce za chatką. Pozwalam Nadziei iść przodem i przystaję koło warzywników, żeby pomyśleć. Przez cały ten czas myślałam, że w pewnym momencie wszystko potoczy się gładko. Ale pora chyba pogodzić się z tym, że to niemożliwe. Zawsze toczymy jakąś walkę: czy to małą potyczkę, czy wielką bitwę. I nic w tym złego. Musimy po prostu walczyć.

– Pani? – Nagle wyrasta przede mną Stuan. – Wszyscy się zastanawialiśmy, gdzie jesteś.

– Tutaj jestem – odpowiadam. – Po obiedzie powiedz Nadziei, Kirinowi, Errin, Nii i Jego Wysokości, żeby przyszli do pokoju rady. – Potakuje i kłania się, a ja podejmuję błyskawiczną decyzję. – Ciebie też będę potrzebowała. Ale nikt nie musi o tym wiedzieć.

Wygląda na zaskoczonego i zadowolonego. Z dumą wypina pierś.

– Tak, pani. Wedle życzenia.

Rozdział 19



Chociaż ufam wszystkim bez wyjątku członkom wspólnoty, atak z zaskoczenia na Aureka wiąże się ze znacznym ryzykiem. Nasze zasoby są zbyt ubogie, by wytoczyć mu bezpośrednią bitwę. Byłaby to absolutna ostateczność.

Nasz plan jest obarczony wieloma znakami zapytania: czy Aurek wie, że Lief dał Errin recepturę, czy wie, że Errin mnie odnalazła, czy wie, że chowam się w górach za jego zrujnowanym zamkiem. Oby wszystkie te czy pomogły nam kupić czas, który pozwoli nam zdobyć składniki, stworzyć Opus Magnum i rozesłać ludzi na swoje pozycje.

– Muszę zebrać trzy oddziały zwiadowcze – mówię do osób zgromadzonych w pokoju. Stuan stoi w przejściu; kiedy ktoś będzie się zbliżał, ma nam dać znać. Merek, Nia i Errin siedzą na łożu Nii, a Kirin i Nadzieja na moim. Opieram się o małą szafę. – Jeden pojedzie do Tregellanu, do Konklawe po *Sal Salis*, drugi wyruszy do kopalni rtęci w Tallith, a ostatni w góry, by zebrać siarkę.

Stuan, słysząc nieznane nazwy, odwraca się i marszczy brwi. Posyłam mu spojrzenie. Z niewzruszoną miną kiwa głową, po czym obraca się i skupia

uwagę na korytarzu. Nadzieja, Nia, Kirin i ja ustaliliśmy, że będziemy chronić tajemnice alchemików najlepiej, jak potrafimy. Nasi ludzie wiedzą, że priorytetem jest uratowanie alchemików, ale nigdy nie wyjaśniliśmy dlaczego, pozwalając im wierzyć, że chodzi nam o złoto. Nikt nie wspomniał o zdolnościach Silasa ani nadziejach związanych z Opus Magnum. To jedyna broń, jaką dysponujemy przeciwko Aurekowi.

– Nie mamy czasu, żeby wysłać jedną drużynę do wszystkich tych miejsc, dlatego wyślemy trzy jednocześnie. Powinniśmy dobrać ludzi, którzy wiedzą, czego szukają i gdzie to znajdują.

Dostrzegam zawiedzioną minę Nii, która od razu pojmuję, że i ją mam na myśli.

– Nia, wrócisz do Konklawe po *Sal Salis*. Przykro mi. Naprawdę mi przykro, ale nikt nie zna tego miejsca lepiej niż ty. Kirin, pojedziesz razem z nią.

Nia przymyka oczy i czuję się okropnie. Dobrze wiem, o co ją proszę. Rozumiem, z jakim koszmarem będzie musiała się tam zmierzyć. Razem opuściliśmy tamto miejsce, jej żal był wtedy nie do zniesienia. Trzy księżyce później znowu pograży się w tym piekle.

– Wejdę do środka – ofiaruje się Kirin. – Wystarczy, że będziesz obok i powiesz, czego mam szukać.

Nia spogląda na niego z wdzięcznością.

– Dobrze. To jestem w stanie zrobić.

– Dziękuję wam obojgu. Mereku – kontynuuję. – Jeśli twoja noga na to pozwoli, powinieneś pojechać do Tallith.

– Czy to rozsądne? – pyta Errin. – Przepraszam – dodaje, gdy karcę ją wzrokiem. – Wiem, że ten pomysł nie przyszedł ci do głowy przed chwilą. Nie jestem tylko pewna, czy jego noga to wytrzyma. I czy ktoś z jego pozycją powinien wyjeżdżać bez eskorty.

Patrzę na beznamiętne oblicze Mereka, który nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Jest jedynym spośród nas, który kiedykolwiek tam był – mówię. – Stuanie, pojedziesz z królem.

– Nie, pani – protestuje Stuan. – Panienska Errin dobrze prawi. To niemądre. Jego Wysokość nie powinien wyjeżdżać. Poza tym moje miejsce jest tutaj.

– Cóż, jeśli znasz kogoś, kto równie dobrze zna Tallith, mów śmiało, zamieniam się w słuch – mówię ostro.

– Ulrin – cicho odpowiada Stuan, unikając mojego spojrzenia. – Na pewno tam był, jeśli towarzyszył Jego Królewskiej Mości w podróży. Pani, nie chcę ci się sprzeciwiać, ale nie zostawię cię bez opieki. – Nadzieja chrząka, a Stuan pąsowieje. – Nie stracisz oczywiście wszystkich opiekunów, ale ja tu się po prostu bardziej przydam. Zamiast mnie niech jedzie Ulrin. Można mu zaufać.

– Ja pojadę z Ulrinem – oferuje Nadzieja.

– Nie – mówię natychmiast. – Potrzebuję cię tutaj.

– Mnie natomiast nie potrzebujesz. – Merek odzywa się dopiero teraz.

– Co? – W moim głosie słyhać dezorientację. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie potrzebujesz mnie. Z radością odsyłasz mnie do Tallith, *ergo*: nie potrzebujesz mnie.

– Merek, jeszcze dwa dni temu myślałam, że jesteś martwy – mówię. – Poza tym rzecz nie w tym, kogo potrzebuję tutaj. Rzecz w tym, kto najlepiej wykona dane zadanie!

– Kto by je zatem najlepiej wykonał, gdybym był martwy?

Skutecznie mnie tym ucisza.

– Ja pojadę – proponuje Nadzieja. – Wiem, jak wygląda rtęć. Wiem również, że dwie mile za miastem Tallith leży kopalnia. Czytałam o tym w jednej ze starych ksiąg. Ulrin będzie moim przewodnikiem. Nawet nie musisz mu o wszystkim mówić. Powiem mu, że ma to związek z Siostrami. Tylko tyle musi wiedzieć. Jeśli popłyniemy łodzią w dół rzeki, zamiast jechać przez Tregellan, to z pomocą Bóstw zaoszczędzimy czas i pozostaniemy niezauważeni.

– Potrafisz żeglować?

– Ja potrafię – mówi Nia. – Moi bracia mieszkają przy ujściu rzeki.

Nauczyli mnie żeglować. Jeśli trochę przyuczę Nadzieję, wszyscy razem będziemy mogli wyprawić się rzeką Aurmere, przy czym Kirin i ja wysiądziemy w Tremayne, a oni popłyną dalej – do Tallith i z powrotem. Ja z Kirinem wrócimy piechotą. Dzięki temu zyskamy na czasie.

Merek opiera się o ścianę. Nadzieja patrzy na mnie wyczekująco. Nie chcę tego robić, nie chcę, żeby mnie opuszczała. Nie chodzi o to, że nie potrzebuję Mereka. Nadzieja jest dla mnie po prostu ważniejsza. Na pewno musi to rozumieć, zwłaszcza po ostatniej rozmowie. Spoglądam na nią znacząco, próbując jej to przekazać, ale odpowiada mi beznamiętnym spojrzeniem.

– Bardzo dobrze – ustępuję. – Skorzystamy z rady Nii. Popłyniecie łodziami. Ja ze Stuanem pojedziemy zdobyć siarkę.

– Pojadę z wami – oferuje Merek.

– Nie, dziękuję – mówię, czując ukłucie triumfu, podczas gdy on czerwienieje. – Errin, ty oczywiście zostaniesz tutaj. Popracujesz nad dekonstruowaniem Opus Magnum. Reszta wyruszy o brzasku. Zgoda? – Odpowiadają mi cztery potaknięcia, żadne z nich nie jest entuzjastyczne. Nie obwiniam ich, ja też wolałabym, żeby nie musieli mierzyć się z nieuchronnymi niebezpieczeństwami. Ale wolałabym nie powierzać innym tych sekretów. – Ja i Stuan również wyjedziemy jutro, po porannym treningu. Powiemy, że zbieramy zioła dla Errin. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, powinniśmy wrócić przed zachodem słońca. Zgoda?

Tym razem wszyscy kiwają głowami.

– Data naszego ataku się nie zmienia – zostają nam jeszcze dwa księżyce. Wy zdążycie wrócić, Errin sporządzić miksturę, a wspólnota – doskonale przygotować się do walki.

Stuan jest jedyną osobą, która wygląda na usatysfakcjonowaną rezultatem spotkania.

Cztery godziny po zakończeniu sekretnej rady wojennej zwołujemy wszystkich ludzi ze wspólnoty do refektarza. Pora przedstawić oficjalną wersję wydarzeń. Okazja jest doniosła, ponieważ od kiedy tu przybyliśmy i stworzyliśmy Wstanie Świt, nigdy nie zaprosiłam na obrady wszystkich mieszkańców.

Wysłałam nawet wiadomość do niektórych strażników, ryzykując zmniejszenie liczebności warty. Chcę jednak, by dzisiaj usłyszało mnie jak najwięcej osób.

Po raz pierwszy przybyli tu starsi Dilys i Bron z Monkham, Breena, która nienawidzi polityki i unika wszystkiego poza pracą fizyczną, a nawet Ymilla. Salę wypełniają kolejni milczący ludzie – w tym samym pomieszczeniu gromadzą się podczas posiłków, podają sobie chleb i wazę z zupą, przekomarzają się i sprzeczą, choć teraz ich surowe oblicza w ogóle na to nie wskazują. Tylko Ymilla, która powinna być niezadowolona, bo Ulrin wyjeżdża jutro rano, spokojnie reaguje na to nieoczekiwane wezwanie, uśmiechając się do przechodzącego obok Mereka. Król odpowiada jej skinieniem głowy z niepewnym wyrazem twarzy, próbując nawiązać ze mną kontakt wzrokowy. Wciąż jestem na niego zła i udaję, że go nie dostrzegam.

Pod ścianami ustawiają się ludzie, których nie widzieliśmy od czasu, gdy założyliśmy obóz. Staję na środku pokoju. Towarzyszą mi Kirin, Nia, Stuan, Nadzieja, Merok i Errin. Czekam. Publika powoli przestaje się wiercić. Zapada cisza, oczy wszystkich są skierowane na mnie. Potem rozpoczynam przemowę, którą ćwiczyłam całe popołudnie.

– Dziękuję wszystkim za przybycie – mówię. – Kilka ostatnich księżyców to był dla nas wszystkich trudny i niebezpieczny czas. Nie ma w tej sali osoby, która w taki lub inny sposób nie zaryzykowała dla naszej sprawy. Wszyscy pozostaliście lojalni wobec Świtu – wobec mnie – a gdy to wszystko się skończy, dopilnuję, abyście zostali wynagrodzeni.

Stojący obok mnie Merok skinieniem głowy potwierdza moje słowa. Widząc wymieniane spojrzenia, uśmiechy, mars na czole Ymilli, uświadamiam sobie, być może zbyt późno, jaki wysyłamy im przekaz: że jesteśmy razem, a ja rzeczywiście mam prawo złożyć tak doniosłą obietnicę. Fakt, że zeszłej nocy z nim wyszłam i siedzieliśmy razem w ciemności, ożywia ich wspomnienie o nas dwojgu, o tym, że niegdyś byliśmy sobie przeznaczeni.

Na chwilę tracę wątek, lecz zaraz przypominam sobie, co powiedziała Nadzieja. Niepewność wewnątrz. Na wierzchu kamień.

– Wydarzyły się pewne sprawy, które wspomogły naszą sprawę – mówię i milknę, aż całkiem ucichną pomruki. – Od jutra bieg wydarzeń przyspieszy.

Jutro nasi szpiedzy wyjadą rozpuścić wici wśród naszych sprzymierzeńców w miastach. Gotujemy się do bitwy. Szacujemy, że przed upływem dwóch księżyców będziemy gotowi uderzyć na Śpiącego Księcia w sercu jego włości. – Pokój wypełnia echo westchnień, przez które próbuję przebić się głosem. – Jutro rozpoczniemy przygotowania. Ci z was, którzy szkolili się w walce mieczem i łukiem, od dziś będą ćwiczili dwa razy dziennie. – Zawieszam głos, by zaczerpnąć oddechu. – Za osiem tygodni, licząc od dzisiaj, agenci Świtu ukryją chorych i starych i podpalą domostwa lordów i szeryfów. Każemy im podjąć walkę z tyranami. Obalić ich.

Widzę, że jeden z ludzi, Linion, który pozostawił owdowiałą siostrę z synami w Lortune, a sam salwował się ucieczką, chce coś powiedzieć. Podnoszę głos, żeby mi nie przerywał. I tak wiem, co go dręczy: nigdy nie wybaczył sobie tego, że ich zostawił.

– Na krótko przed powstaniem wyślemy drużynę, która uwolni dzieci z obozu w górach, a potem przywiezie je tutaj. Uratujemy też dzieci z innych obozów. Tak będzie wyglądał pierwszy etap walki. Kiedy nasi sojusznicy zaczną wyzwalać pozostałe obozy, mieszczanie otrzymają sygnał, że mogą powstać przeciwko oprawcom. Wtedy my zejdziemy do Lortune i stawimy czoło Śpiącemu Księciu. Dzięki spustoszeniom, jakie w zamku pozostawił ogień, nie będzie mógł się w nim zaszyć i przeczekać oblężenia. Pozostanie mu tylko wysłanie oddziałów do walki z powstańcami. A gdy jego siły ulegną rozproszeniu, uderzymy.

Pokój eksploduje wiwatami. Ludzie klaszczą i tupią. Ja czuję, że moja skóra rumieni się z radości, aż Ymilla woła:

– Wtedy oddamy królowi Merekowi jego tron!

Posyła Merekowi szeroki uśmiech; król odpowiada wdzięcznym skinieniem głowy, a moja skóra rozpala się do czerwieni bliższej wściekłości niż radości. Czuję złośliwe ukłucie zadowolenia, gdy wiwaty są mniej entuzjastyczne, i spoglądam na tylne rzędy tłumu.

– Radujmy się dzisiejszą kolacją. Jutro z nastaniem świtu bierzemy się do roboty.

Po tych słowach wychodzę z pokoju.

Już wcześniej postanowiłam, że zostawię ich dzisiaj samych. Ema otrzymała wytyczne, by otworzyć dodatkowe baryłki wina. Niezbyt wiele, ale na tyle dużo, aby każdy chętny mógł się poczęstować. Upiekła też jedną z kóz w niebiańsko pachnącej mieszance ziół. Niech dzisiejszy wieczór będzie czasem uczyty i radości. Od jutra zaczynamy zaś odliczać czas do ataku. Gdy minie dzisiejszy dzień, długo nie będą mogli pozwolić sobie na frywolność. Dla niektórych jest to ostatnia noc zabawy.

Zostawiam ich samym sobie i zamierzam oddalić się do kuchni. Zjem, wykąpię się i pójdę do łóżka na tyle wcześnie, by dobrze odespać zeszłą noc.

Wygląda jednak na to, że Merak ma inne plany.

– Twyllo – woła mnie.

Przez chwilę idę przed siebie, ale potem zatrzymuję się i odwracam.

– Słucham.

– Porozmawiamy?

– Nie chcesz dołączyć do uczyty?

– Ty nie zamierzasz?

– To nie ja będę ich królem. Ty za to powinienesz zostać. Pokaż im, jak bardzo szanujesz to, co robią... co poświęcają dla twojego królestwa.

– Czy w czymś ci uchybiłem?

– Nie, ależ skąd.

Merak wzdycha. Jest to długie, niecierpliwe westchnienie.

– Dlaczego chciałaś się mnie stąd pozbyć?

– Wcale nie chciałam się ciebie pozbywać. Wyjaśniłam ci już: znasz Tallith. I potrafisz się bronić. Wyzaczyłam cię, bo wydawało się to najpraktyczniejsze.

Podchodzi bliżej, jego oczy lśnią w świetle pochodni.

– No i? – pytam.

– Ty mi powiedz.

– Nie mam na to czasu. – Odwracam się, ale zachodzi mi drogę.

– Twyllo...

– Nie dzieje ci się krzywda, pani? – Z korytarza dobiega głos Stuan. Odwracam się do ocienionej postaci, która stoi pod jednym ze sklepień.

– Nikt nie wyrządza jej żadnej krzywdy – odpowiada Merek.

– Pani...?

Merek odwraca się do Stuan i marszczy brwi. Czuję przypływ wdzięczności do dawnego strażnika. Kto by pomyślał?

– Wszystko jest pod kontrolą, Stuan. Dziękuję. Wracaj na ucztę.

Słyszę, jak odchodzi. Niespiesznie i z oporami.

Kiedy znów spoglądam na Mereka, mruży powieki, jakbym go czymś zaskoczyła.

– Wciąż jesteśmy przyjaciółmi? – pyta wreszcie. – Jeśli oczywiście kiedykolwiek nimi byliśmy.

– Jestem twoją przyjaciółką.

– I powiedziałaabyś mi prawdę?

– Merek, nie mam powodu cię okłamywać.

Wzdycha i rozważa moje słowa.

– Dobrej nocy – żegnam go i kieruję się w stronę moich komnat.

– Poczekaj. Napijmy się – prosi niespodziewanie.

Nie jestem pewna, czy się nie przesłyszałam.

– Słucham?

– Ty i ja. Napijmy się kapkę wina. A, u licha z tym. Upijmy się!

– Po co mielibyśmy to robić?

– Bo nigdy tego nie robiliśmy... Cóż, ty nigdy nie robiłaś, prawda? – Otwieram usta, by zaprotestować, ale on kontynuuje ze stanowczym wyrazem twarzy, który przywodzi mi na myśl sytuację w Sali Luster, kiedy mnie pocałował. – Bo jesteśmy młodzi. Bo za dwa księżycy możemy być martwi. Właśnie dlatego teraz powinniśmy żyć. Zatracić się. Chociaż w tę jedną noc!

– Raz już to zrobiłam, jeśli sobie przypominasz. – Wbrew woli zgrzytam zębami. – Prawie kosztowało mnie to głowę. Jeśli jednak właśnie tego sobie życzysz, chętnie się zatracę. Być może nawet wylądujemy w jednym łóżku.

Tego pragniesz?

Natychmiast purpurowieje i odwraca wzrok. Nie wiem, skąd pojawiły się te słowa. I gdy tak na niego patrzę, oszołomiona z przerażenia, cała złość, którą względem niego czułam, znika.

– Przepraszam – mówię. – Bogowie, Merck. Tak mi przykro. To było bardzo niestosowne.

Przenosi na mnie wzrok i z zawstydzieniem potrząsa głową.

– Nie. Nie, to ja zachowałem się niestosownie. Nie wiem, co we mnie... Wybacz mi, proszę.

– Oczywiście. Oczywiście, że wybaczam – potakuję.

Od razu gdy wypowiadam te słowa, zabiera się do odejścia, ale wołam za nim:

– Ja... Chciałabym napić się z tobą wina. Jeśli ty też jeszcze chcesz.

Ostrożnie kiwa głową.

– Przyniosę je. Spotkajmy się w twoim pokoju. – Czerwienieje jeszcze mocniej. Gdy kiwa głową, jego skóra robi się prawie karmazynowa. Potem pospiesznie odwraca się w stronę męskich kwater, a ja zostaję sama. Czuję się z tym bardzo niezręcznie.

Kiedy wchodzę, jest spokojny i opanowany. Siedzi wyprostowany na łóżku ze skrzyżowanymi w kostkach nogami. Uśmiecham się, by dodać mu otuchy, i nalewam nam obojgu po pucharze. Odbiera swój, mrużąc podziękowanie, i natychmiast przystawia go do warg.

Siadam na podłodze, w bezpiecznej odległości, i upijam trochę własnego trunku.

– Cóż – mówię, gdy staje się boleśnie oczywiste, że nie zamierza się odezwać. – Zachowałam się chyba trochę okrutnie.

– Skąd. Zasłużyłem sobie. Mówiłem już, że się zmieniłaś. Dawna Twylla nigdy by... – mówi, ale zaraz znowu ukrywa twarz w kielichu. Kiedy odrywa usta od brzegu pucharu, jego oblicze jest poważne. – Nie lubię Errin – mówi. – Nie w tym sensie. Lubię ją, i to bardzo. Ale nie darzę jej innym uczuciem.

Oszołomiona mrugam przez chwilę. Nie jestem pewna, po co mi to mówi.

– Rozumiem... – mówię powoli.

– Być może dlatego chciałaś, żebym odszedł. Czy dlatego wykazałaś się taką... niecierpliwością?

– Myślisz, że jestem zazdrosna o Errin?

– Nie! Bogowie, nie. Wiem, jakie masz wobec mnie stanowisko. Pomyślałem, że próbujesz chronić Silasa. W takim wypadku informuję cię, że nie mam zamiaru nikomu wadzić. Nie planuję wchodzić w drogę kolejnej parze kochanków – dodaje cicho.

– Nie wszedłeś w drogę mnie i Liefowi – odpowiadam ostro. – Oboje wiedzieliśmy, że jestem ci przyrzeczona. Działałeś w granicach, które uważałeś za jasno wyznaczone.

– Tak jak ty.

Upijam trochę wina, potrząsając głową.

– Nie obwiniam cię. – Głos Mereka wciąż jest miękki. Przyglądam mu się.
– Nigdy nie obwinałem. Zostałaś wykorzystana. Przez nas wszystkich. Nawet przeze mnie.

Przystawiam kieliszek z powrotem do ust, żeby kupić sobie trochę czasu.

– Wszystko jest już kwestią przeszłości – mówię wreszcie. – A jeśli mam być szczerą, to wolałabym tysiąc razy stawić czoła twojej matce niż temu, co nas czeka.

Podnosi kubek w geście toastu.

– Poza tym – dodaje – gdybyś widział ich razem, wiedziałbyś, że Silas nie potrzebuje żadnej pomocy ani ode mnie, ani od nikogo innego. Errin go kocha.

Merek parska z cicha.

– Jaki on jest?

Myślę o złotookim mężczyźnie, który trzymał Errin w ramionach, wstrzymując płacz i ryzykując dla niej własne życie. Myślę o jego chłodnej determinacji w sporządzaniu Elikssiru i o tym, jak stał przy jej boku naprzeciwko własnej matki, naprzeciwko wszystkich swoich ludzi. Myślę

o tym, jak rzucił się na Liefę, żeby ją bronić.

– Jest wspaniały. To dobry człowiek.

– Liczę na to, że kiedyś go spotkam. – Dopija wino i nachyliwszy się po butelkę, dolewa trunku do kielicha. Szybko opróżnia swój puchar i podstawiam go pod butelkę. Po chwili zawahania Merik uśmiecha się i dolewa mi wina.

– Niczego mi nie musisz udowadniać – mówi. – Zachowałem się jak osioł.

– Wyznam ci, że w Scarron regularnie wypijałam kieliszek lub dwa do nocnej lektury.

– Nauczyłaś się czytać?

– Tak.

– Ja planowałem cię nauczyć – mówi, unikając mojego spojrzenia. – Gdybyśmy... Po... Nigdy nie rozumiałem, dlaczego matka nie chce, żebyś się nauczyła. Co to za królowa, która nie potrafi czytać?

– Nigdy nie chciała, żebym była królową. Dzięki mnie mogła zyskać na czasie. A czytać zabraniała mi po to, żebym pozostała słaba i bezbronna. Taką intencją kierowała się we wszystkim, co robiła. Nie chcę już o niej mówić. Nie dziś wieczorem.

Przyznaje mi rację skinieniem głowy.

– Czy w Scarron byłaś szczęśliwa?

– Tak. Tak myślę. To dziwne miejsce. Wszędzie stamtąd daleko. Ale właśnie tego potrzebowałam. A jak wyglądały twoje trzy dni w roli króla?

– Koszmarnie. Prawie się ucieszyłem, że pojawił się Aurek. – Markotnieje natychmiast po wypowiedzeniu tych słów. – Nie mówiłem tego poważnie.

– Wiem.

– Czy naprawdę planujesz przywrócić mnie na tron, jeśli wygramy? – pyta, przewiercając mnie ognistym wzrokiem.

– A kogo innego? – pytam ostrzejszym niż chciałam tonem. – Chyba że według ciebie dobrym pomysłem byłaby rada podobna do tregellańskiej?

Natychmiast potrząsa głową.

– Co z nimi zrobimy? – pyta. – Przecież praktycznie rzecz biorąc, umyli ręce w zamian za złoto.

– Biurokraci – mówię i nagle znowu przenosimy się na bezpieczny grunt. – Nie ma sensu brudzić sobie rąk, jeśli nie musimy. Lormere nigdy nie miało dla nich prawdziwej wartości. Nie licząc tego, co mogli nam sprzedać.

– Musieli wiedzieć, że w końcu nadejdzie ich kolej – mówi Merek. – Lormere ma nieliczne zasoby. Tregellan jest bogatszy. Prędzej czy później on zbierze odpowiednio dużą armię golemów i wystarczającą ilość złota, żeby zrobić z nimi to samo, co zrobił tutaj.

– Mają zapewne nadzieję, że ktoś go wcześniej powstrzyma.

– Myślisz o nas. Podczas gdy oni nie zrobią nic, żeby pomóc w tej sprawie. – Patrzy gniewnie. – A później? Założmy, że wygramy: co mam z nimi zrobić, jeśli odzyskam koronę? Będą chcieli odzyskać alchemików.

– Alchemicy nigdzie stąd nie pójną – mówię z przekonaniem. – Oboje wiemy, że Tregellan nie ma armii.

– Najlepiej...

Zaczynam mówić. Po prostu pozwalam słowom opisywać kiełkujące pomysły. Przywołuję całą wiedzę na temat Tregellanu i Lormere. Wypływa ze mnie wszystko, co czytałam i czego nauczyłam się przez cztery ostatnie lata życia w obu krajach.

– Najlepiej zaproponuj alchemikom tutaj azyl. Zaproponuj to, co dał im Tregellan – dom. Pozwól im zdecydować, czy chcą uprawiać swój fach, czy nie. Niech będzie to swobodny wybór. Tregellan przetrzymywał ich w lochach, rzekomo z powodu Helewys. Ale w Lormere nikt nie będzie na nich polował. Mogliby tu swobodnie żyć. A bez alchemików płacących Radzie Tregellanu za ukrywanie ich zapas złota w tregellańskim skarbcu wkrótce się wyczerpie. Jesteśmy jedynym pewnym partnerem handlowym członków Rady, dopóki znacznie nie rozbudują floty kupieckiej, czego bez złota nie uczynią. Dlatego musieliby podpisać z nami traktat. W przeciwnym razie grozi im bankructwo. Z pewnością wynegocjujemy doskonałe warunki. Dostaniesz swoich aptekarzy i swoje nauki. Szkoły. Uniwersytety. Mógłbyś zachęcić do przybycia najtęższe umysły naszych czasów. Ale musiałbyś dopilnować, żeby

ludzie pociągnęli aktualną Radę do odpowiedzialności – obywatele Tremayne, Newtown i Tyrwhitt z pewnością zechcą wymierzyć sprawiedliwość za swoje cierpienia. Pomóż im powołać nową Radę. Zacząć wszystko od początku.

Wypuszczam powietrze, biorąc duży haust wina i ponownie opróżniając puchar, odrobinę zaskoczona własną wiedzą. Merek się nie odzywa, tylko patrzy na mnie z rozdziawionymi ustami.

– Co?

– Największy błąd mojej matki polegał na tym, że cię nie doceniała.

– Cóż, nie dałam jej pretekstu. – Myślę o swojej wcześniejszej rozmowie z Nadzieją. – Nie mogę winić jej za to, że uważała mnie za małą głupią dziewczynkę.

– Ja cię nigdy za taką nie uważałem – mówi. Jego wzrok jest ostry i skupiony. Bez włosów wyraźniej widać rysy jego twarzy. Mocne i szlachetne. Jego usta wydają się pełniejsze.

– Wiem – szepczę.

Wytrzymuję jego spojrzenie. Nagle ściany pokoju wydają się ścieśniać. Temperatura jakby się podnosi. Moje ramiona łaskoczą kropelki potu. Gardło mi wyschło. Przenoszę wzrok na butelkę wina i uświadamiam sobie, że wypiliśmy wszystko. Moje policzki są rozpalone, a Merek Belmis przeszywa mnie wzrokiem. Kiedy ponownie krzyżuję z nim spojrzenie, koniuszek jego języka zwilża górną wargę. Ten ruch mnie hipnotyzuje. Naśladuję go. Wtedy on wstrzymuje oddech, co nie umyka moim uszom.

Czy to taki zły scenariusz, gdyby coś się miało wydarzyć?

Odpycham tę myśl, jakby była fizycznym przedmiotem.

– Przyniosę więcej wina – mówię i czar pryska.

– Nie. Jutro rano mamy trening. Nadzieja poprosiła, żebym z tobą poćwiczył. Powinniśmy się trochę przespać.

Dopiero po chwili orientuję się, że mnie odrzuca. Ku własnemu zaskoczeniu czuję ukłucie bólu.

– Oczywiście – odpowiadam zbyt radosnym głosem, po czym z trudem wstaję.

Wyciąga dłoń i pomaga mi złapać równowagę. Znowu robi mi się gorąco.

– Zatem widzimy się rankiem. – Odwracam się i pragnę wyjść, ale jego ręka przytrzymuje mnie za biodro i skłania do obrócenia się.

– Twyllo.

Czuję znajome motyle, które nigdy wcześniej nie baraszkowały w moim żołądku, gdy Merek wypowiadał moje imię. Kiedy na niego spoglądam, jego powieki rozszerzają się w przyćmionym świetle, a mroczne spojrzenie koncentruje na mojej twarzy.

– Gdybyśmy tylko byli mniej pijani...

– Ja nie... – zaczynam, ale on nie przestaje mówić.

– Dobrze. Gdybyś nie wypila *ani kropli* i gdybym ja był pewniejszy tego, co się właśnie wydarzy, z radością wciągnąłbym cię do mojego łóżka. Pragnę tego od bardzo dawna, wiesz o tym.

Przełykam ślinę.

– Kiedyś powiedziałaś, że jeśli mnie wybierzesz, to tylko dlatego, że sama tak postanowisz. Ale to chyba nie jest najodpowiedniejsza pora... – Przerywa i uśmiecha się szelmowsko; nigdy nie widziałam, by uśmiechał się w ten sposób. Zaskakuje mnie do tego stopnia, że aż spuszczam wzrok. – Jeśli jednak przyjdiesz kiedyś do mnie trzeźwa i oznajmisz, że mnie chcesz, postaram się, aby twój wybór okazał się warty zachodu.

Gdy spoglądam na niego ponownie, jego oczy lśnią. Palce zaciskają się na moim biodrze i szybko puszczaają.

– Bo ja wciąż ciebie chcę. Tylko ciebie.

Uciekam z pokoju, zanim zrobię coś, czego oboje moglibyśmy żałować.

Rozdział 20



Udaje mi się obudzić w porę, żeby wszystkich odprawić, ale dzieje się tak tylko dlatego, że Nia robi wokół siebie niewiarygodny harmider i łatwiej mi wstać z łóżka, niż w nim leżeć, czekając, aż zniknie ból głowy. Kiedy zeszłej nocy wróciłam do pokoju, Nia mocno już spała, ale rozbudzona Errin leżała brzuchem na sienniku. Pisała coś na kawałku pergaminu z zapaloną obok świeczką. Gdy zamknęłam za sobą drzwi, podniosła na mnie wzrok i uniosła brwi. Wtedy zalała mnie fala winy, że zostałam przyłapana. Widziałam, że jej nadgarstek i kostki są już związane, a to ja powinnam była się tym zająć. Nic jednak nie powiedziała, uśmiechnęła się tylko niewyraźnie i powróciła do pisania, podczas gdy ja wspierałam się do łóżka i ukryłam twarz pod kołdrą.

– Hmm, ty i król. Przegapiliście ucztę. Razem. Nikomu to nie umknęło. Ymilla była zrozpaczona. – W głosie Nii słychać pytający ton, kiedy w pośpiechu wpycha szpargały do torby, ledwie na nie spoglądając.

– Musieliśmy omówić pewne plany. Czeka nas wojna.

– Tak się to nazywa w Lormere?

– Nia – ostrzega Errin, siadając i skrępowanymi dłońmi przecierając oczy,

jedno po drugim.

Nia nic nie mówi. Tłumi chichot i przestaje się pakować. Rzucam Errin wdzięczne spojrzenie, na które odpowiada kiwnięciem głowy wyrażającym solidarność.

Kiedy wchodzimy z Errin do refektarza, Merek już tam siedzi. Czuję, jak skóra zaczyna mi płonąć, i mruczę do Errin, że zobaczymy się później, po czym przysiadam się do Stuana, Hobba i innych mężczyzn.

W chwili gdy siadam, wszyscy oni wstają i składają mi ukłon. Kątem oka dostrzegam, że kącik ust Mereka drga.

– Panowie – mówię do strażników, zachęcając ich do zajęcia miejsc. – Te formalności są zbędne. Chciałam jedynie podziękować wam wszystkim za ciężką pracę.

Stuan i Hobb siadają z wyprostowanymi plecami i kiwają głowami. Kiedy wgrzynam się w chleb, dostrzegam, że Errin i Nia dołączyły do Mereka razem z Ymillą.

Spoglądam na Ymillę, młodszą od Helewys, starszą ode mnie. Jest też starsza od Mereka, ale jakie to ma znaczenie? Uśmiecha się do niego spod rzęs, a ja się zastanawiam, czy on rozważa jej kandydaturę. Ymilla zna życie dworskie, wręcz je kocha. Ze wszystkich zgromadzonych tu osób to ona tęskni za tym najbardziej. Byłaby dla niego dobrą żoną.

Dźgam leżący przede mną boczek i spoglądam spod oka na Hobba i Stuana, którzy wymieniają pytające spojrzenia. Wkładam kawałek do ust i wściekle go przeżuвам. Po co marnuję czas, zastanawiając się nad tym, kogo poślubi Merek, skoro mam na głowie tyle innych spraw? Wojnę chociażby.

Przez resztę posiłku mam zwieszoną głowę i leniwie przysłuchuję się rozmowie strażników, którzy wreszcie cichną i patrzą na coś ponad moją głowę. Gdy odwracam się, by sprawdzić, co przykuło ich uwagę, orientuję się, że stoi za mną Merek.

– Jesteś gotowa na trening? – pyta.

Podnoszę nań wzrok.

– A ty jesteś? Pomimo twojej kontuzji?

– Tak.

– W takim razie za chwilę się widzimy.

Szybko się odwraca, a ja odprowadzam go wzrokiem. Widać, że próbuje ukryć utykanie. Głupi chłopak.

Dyskretnie żegnam Kirina, Nię, Nadzieję i Ulrina – którzy poprzysięgli zachować dla siebie, dokąd zmierzają – nie wywołując przy tym żadnego zamieszania, które wskazywałoby na to, że naprawdę wybierają się na misję szpiegowską. Kirin obiecuje, że wróci wraz z Nią nie później niż za tydzień, że nie będą zwlekać ani chwili i będą bardzo ostrożni, a Nadzieja oznajmia, że powinna przyjechać niedługo później. Pomimo tego zabierają racje żywnościowe wystarczające na dwa tygodnie, przez co Ema patrzy na nas dość podejrzliwie.

Kiedy wychodzę na podwórze, Merek już czeka. Opiera się o ścianę i najwyraźniej ogląda swoją odbijającą się w ostrzu twarz.

– Ładny jesteś – mówię.

Wykrzywia wargi.

– Ty również, skoro już zamiast ciosów wymieniamy komplementy. Dobrze spałaś?

– Jak zabita – kłamię. – A ty?

– Niezbyt. Dręczyły mnie koszmary. Wizje, których nie sposób było zignorować.

– Szkoda. – Mrugam. – Być może powinieneś odpocząć. W końcu dochodzisz do siebie po poważnych ranach.

– Toczymy wojnę, Twyllo. Nie ma czasu na odpoczynek. – Jego dyplomatyczny uśmiech to nie prawdziwy uśmiech.

– Masz rację. Wszyscy jesteśmy bardzo zajęci. Zaczynamy?

Parska, jakby radośnie, i kłania się.

– Wedle życzenia, pani.

Odpowiadam ukłonem i zaczynamy się okrążyć. Po chwili staje się jasne, że czeka, aż zadam cios. Markuję uderzenie. Przenosi ciężar ciała, by je

zablokować, a ja odwracam ostrze a następnie mocno uderzam go w udo płaską stroną broni, co zmusza go do krzyku.

– Poważnie? – W kącikach jego oczu pojawia się siateczka bruzdek. Wymachuję mieczem, arogancko zakreślając w powietrzu cyfrę osiem, i robi wypad w moim kierunku. Akurat w chwili, gdy próbuję sparować cios, trzepie mnie mieczem w pośladek.

Piorunuję go wzrokiem.

– Szkoda, że nie traktujesz tego poważnie.

– Sama zaczęłaś.

Przewracam oczami. Wyprowadzam kilka ciosów, które on bez trudu paruje. Początkowo mam wrażenie, że to ze względu na nogę, dlatego nie zmuszam go do wielkiego wysiłku, żeby go niechcący bardziej nie zranić. Później uświadamiam sobie jednak, że wstrzymuje się nie ze względu na siebie, lecz z mojego powodu. Nie ma zamiaru walczyć ze mną na serio.

Daję z siebie odrobinę więcej. Poruszam się szybciej, robię częstsze wypady. On wykonuje tylko nieznaczne ruchy, blokując moją klingę. Uparcie odmawia podjęcia walki. Przypomina mi to jego pojedynki z Liefem, gdy Lief z nim pogrywał, pozwalając mu myśleć, że są godnymi siebie szermierzami. Ogarnia mnie wściekłość na myśl o głupich gierkach, które wszyscy ze sobą toczyliśmy.

Atakuję.

Walczę wbrew wszystkim technikom, których nauczyła mnie Nadzieja, siepiąc i rąbiąc brzeszczotem w takim tempie, że jego miecz odbijający kolejne razy zamienia się w smugę cienia. Walę, siekę i uderzam, ponieważ nagle i niespodziewanie ogarnia mnie złość, sama nie wiem na co. Po prostu muszę uderzać, ale Merak jedynie przyjmuje ciosy. Ani razu nie próbuje mnie rozbroić.

– Walcz ze mną! – Sплюwam. – Twoja litość nie jest mi do niczego potrzebna. Walcz!

Choć młóczę mieczem jak oszalała, kątem oka zauważam, że przyglądają się nam Stuan, Ymilla, Ema, Errin i Hobb. Znam te wszystkie twarze. Są

świadkami jego nonszalancji i mojego amoku. Przygniata mnie upokorzenie, którego właśnie doświadczam. Na sekundę opadam z sił i opuszczam miecz. Spoglądam na Mereka, który również wygląda nietęgo – z zaciśniętymi ustami spogląda to na mnie, to na tłum ludzi. Kiedy wreszcie przystępuje do ataku, odczuwam czystą ulgę.

– Jak twoja ręka? – pyta Merek, na co odpowiadam gniewnym spojrzeniem. Wróciliśmy do naszego pokoju. Errin właśnie mnie zszywa. Merek wygląda niewesoło.

– Dobrze. – Errin kończy nakładać jakąś zieloną pastę na płytkie nacięcie na moim przedramieniu.

– Twoja kolej – mówi do Mereka. Wstaję i przesuwam się obok króla, który siada i nadstawia Errin policzek.

Gdy nakłada tę samą maść na jego ranę, nasze spojrzenia się krzyżują.

Nie chciałam go zadrasnąć, a jednak w oczach Errin doglądającej Mereka dostrzegam ogniki oskarżenia.

Opuszczam ich bez słowa i szybko ruszam korytarzem do szafy z kobiecą garderobą. Pora przygotować się na wyprawę w góry. Wyciągam bladobrazowe ubrania, które powinny się zlewać z zimowym, górskim krajobrazem. Wysoko nad nami wznoszą się wiecznie białe, skute okowami śniegu i lodu szczyty. Ale wody jeziora Lor Mere, od którego nazwę wzięła cała kraina, nigdy nie przestają być ciepłe. Ogrzewają je gorące podziemne źródła i właśnie tam znajdziemy żółte skały siarkowe, których potrzebujemy do przygotowania Opus Magnum. Wkładam koszulę i spodnie, wyciągam pasujące do nich pas i pelerynę, a na końcu z powrotem zakładam buty. Związuję włosy i oprószam je matowym proszkiem. Nadzieja nauczyła mnie, jak przyrządzać go z orzecha włoskiego i rabarbaru, żeby zamienić czerwień w jasny, pylisty brąz. Na ramiona zarzucam gruby brązowy płaszcz i idę na spotkanie ze Stuanem.

Ale kiedy dochodzę do drzwi, czeka na mnie Merek.

– Gdzie Stuan?

– Pilnuje Errin. Biorąc pod uwagę wiadome okoliczności, woli nie zostawiać jej tutaj bez ciebie i Nadziei. Zaproponowałem, że go zastąpię.

Patrzę na niego gniewnie. Jest ubrany podobnie do mnie. Przygaszone kolory, źle dopasowane ubrania. Trzyma przewieszoną przez ramię małą torbę kurierską.

– Wiem, gdzie leży jezioro – mówi. – Często nad nim bywałem. Nie będę całkiem bezużyteczny.

– Co z twoją nogą?

– Zdrowa.

– Czeka nas wspinaczka.

– Powiedziałem ci, że jest zdrowa.

Nie wygram tej dyskusji.

– Chodźmy zatem. Chciałabym wrócić, zanim zapadnie zmrok.

Nie po raz pierwszy opuszczam klasztor, zostawiając go pod opieką kogoś innego, ale po raz pierwszy zostawiam go bez Nadziei, Nii czy Kirina w środku. Ufam Errin i Stuanowi – w zasadzie ufam wszystkim. Nie są głupcami, nie oszaleją pod moją nieobecność. Odczuwam jednak pewne wyrzuty sumienia, bo zostawiam ich bezbronnych. Merek, za co powinnam mu podziękować, pozwala mi w spokoju roztrząsać te zagadnienia. Idziemy po górskich perciach, mijamy wysoko położone łąki, na których dzięki łagodnej górskiej pogodzie wciąż pasą się krowy, i wzdłuż kozich ścieżek, napotykając co jakiś czas piękne zwierzęta o dziwnych ślepiach, przykucające na skalnych załamach.

Zatrzymujemy się w południe. Wiszące nad nami słońce przypomina bladożółtą plamę. Merek wyjmuje z torby wodę i żywność. Potem ruszamy w dalszą drogę i dochodzimy do jeziora.

Od kiedy przybyłam do zamku, królowa często opowiadała o tym swoim jeziorze. Podobno całe Lormere przyjęło od niego nazwę. Lormere – Lord Mere. Nazwa pochodzi od Daega i złotych skał rozsianych wokół wody.

Nikt nie powiedział mi jednak, że tu śmierdzi.

Powietrze jest ciężkie od siarki, gęste i dławiące, tysiąc razy gorsze niż w łaźni. Patrzę na Mereka łzawiącymi oczami.

– Czy to było jezioro obfitości? – sapię, po czym zanurzam podbródek w płaszczu i biorę głęboki oddech.

Potakuje z twarzą szczelnie owiniętą szalem, ponad którym widać tylko oczy.

Potrząsam głową i przysuwam się bliżej wody. Strasznie tu gorąco i wkrótce muszę przeprosić się ze smrodem, w przeciwnym razie żywcem ugotuję się pod płaszczem, który zrzucam i kładę na skale, po czym ruszam eksplorować okolice jeziora. Staram się oddychać ustami. Widzę jeden duży staw – w nim najwyraźniej można się kąpać – otoczony mniejszymi stawikami, przypominającymi księżycy lub dworzan. Mniejsze zbiorniki są dużo bardziej aktywne: żywe, kipiące, bulgoczące i rwące. Wokół nich sterczą kijki z rozdartymi czerwonymi flagami. Kiedy zdejmuję rękawiczki i zanurzam palce, temperatura jest prawie nie do zniesienia; błyskawicznie je wyjmuję i dmucham na nie jak na oparzone.

Jeden ze stawów strzela wysoko w niebo wodną kipiela.

Gdy para znika w powietrzu, a pod miejscem erupcji natychmiast tworzy się jama, słyszę śmiech Mereka.

Czuję ukłucie bólu i gramolę się z powrotem na nogi, strzepując z ubrań pył.

– Dziękuję za ostrzeżenie. Ależ komedia – śmiać się z chłopki, która nic nie rozumie. Szkoda, że twoja matka tego nie widziała. – Od razu smutnieje, ale nie dopuszczam do siebie wyrzutów sumienia z powodu tego, co powiedziałam. – Skoro Wasza Wysokość uśmieł się już do woli, to zabierzmy się wreszcie za nasze zadanie.

Kiedy się odwracam, chwytą mnie za rękę i obraca do siebie.

– Wybacz mi – mówi szybko, nie oferując żadnych wymówek, żadnych wyjaśnień. Czysta skrucha i szczere przeprosiny. Zdażyłam zapomnieć o tej cesze jego charakteru. – Powinienem był cię uprzedzić. – Milknie, więc wzruszam ramionami, przyjmując przeprosiny. – Proszę. – Przyciąga mnie odrobinę. Ulegam mu i pozwalam, by zaprowadził mnie kilka stóp od miejsca,

z którego wytrysnęła woda. Krzyżuję ramiona, a on staje za moimi plecami i pochylając się nade mną, mówi cicho: – Popatrz. Ta ziemia oddycha. Łatwo się zorientować, kiedy eksploduje, bo tuż przed wystrzałem wykonuje jakby ostatni głęboki oddech. Obserwuj ją. Wdech i wydech. Wdech i wydech. Za każdym razem coraz głębszy.

Przyglądam się wodzie i widzę, że ma rację. Szczelina pod stawem jest jak usta – wsysa i wysysa wodę, która ustępuje i przybiera wraz z jej ruchami.

– Już zaraz. – Usta Mereka prawie dotykają mojego ucha. Oddech muska małżowinę. Czuję ziołowe smarowidło, które Errin rozprowdziła po jego ranie, lecz moje myśli nie mają czasu, by odpłynąć w tę stronę, bo w powietrzu eksploduje woda.

Nabieram powietrza w płuca i wpadam na Mereka. Jego dłonie odruchowo dotykają moich bioder i zaciskają się na nich. Oboje patrzymy, jak woda wystrzela w górę, a potem opada, redukuje się do postaci mgły i znika.

– Bierzmy te skały i wracajmy do domu – za moimi plecami dudni jego głos. Potakuję skinieniem głowy.

Puszcza mnie i zaczynamy zbierać kamienie, wyciągając je z błota i dorzucając do torby. Postanawiamy zebrać ich sporo, żeby Errin miała większy wybór. Pracujemy w milczeniu. Co pewien czas czuję na sobie jego wzrok. A kiedy uznaję, że to bezpieczne, sama rzucam na niego ukradkowe spojrzenia. Obserwuję, jak jego długie palce obracają kamienie, jak przygryza wargę, gdy podejmuje decyzję o tym, który wyrzucić, a który zostawić.

Wydłubuję ostatni kawałek żółtej skały, zupełnie nie czując już fetoru wody. Rzucam go Merekowi i siadam z powrotem, ocierając twarz. Moja dłoń robi się od tego wilgotna i pokryta brudem w postaci potu zmieszanego z parą i pyłem. Wycieram ją o spodnie.

– Nazbieraliśmy już ile trzeba?

– Tak mi się zdaje.

Merek wstaje, rozprostowuje się i zarzuca torbę na ramię.

– Chodź – mówi, podając mi rękę, którą chwytam. Podciąga mnie do góry, a ja popełniam błąd i spoglądam mu prosto w oczy. Są głodne, ciemne, a jego

usta rozchylone.

Niespodziewanie narasta we mnie przekonanie, że chcę pocałować Mereka Belmisa.

Chwyta mnie za nadgarstki i nieruchomieje.

– Słuchaj – szepcze, zanim mam szansę poczuć zawstydenie.

Nasłuchuję, próbując usłyszeć coś poza bijącym sercem.

Wtedy łowię uchem dźwięki, które on wcześniej jakimś cudem usłyszał: głosy i kroki. Odległe, ale w dalszym ciągu niebezpiecznie bliskie.

Reagujemy szybko – chowamy się za skalną wychodnię. Przeczolęguję się jeszcze po cichu po płaszcz, który zostawiłam na skale, i wracam za wychodnię. Mijają minuty, głosy robią się coraz wyraźniejsze. Lormeriańskie, męskie i opryskliwe. Łowię uchem tylko pojedyncze słowa. Ton nie jest ponagląjący. Przypomina zrzedliwe marudzenie.

– Jest tu coś jeszcze w pobliżu? – pyta cicho Merek. – Obóz dziecięcy?

Kręcę przecząco głową.

– Jest położony kawałek stąd. Leży milę za następną przełęczą. – Wskazuję grań po prawej stronie. – Prowadzi tam prosta droga, którą zdecydowanie łatwiej się wspinać.

Merek obserwuje mężczyzn.

– Na pewno istnieje dobry powód, dla którego używają tej ścieżki. Lawina na głównej trasie? Osuwisko?

– Możliwe – waham się.

– Chodźmy za nimi. Przekonamy się, dokąd zmierzają. Ludzie w górach to zły znak.

Kiwam głową i zarzucam płaszcz z powrotem na ramiona. On bierze torbę z siarką i ruszamy śladem mężczyzn. Wspinamy się odrobinę wyżej od nich i zachowujemy bezpieczną odległość. Jest ich czterech, noszą czarne tabardy z symbolem Solaris. Dwóch dźwiga wielkie worki, które choć wydają się wypchane, specjalnie im nie przeszkadzają. Trzeci niesie grube płócienne zawiniątko, najwyraźniej dużo cięższe, ponieważ idzie wolniej, przenosząc ciężar z jednej ręki do drugiej. Po jakimś czasie czwarty mężczyzna odbiera

od niego ten balast. Merek i ja w milczeniu tropimy ich, idąc górską ścieżką, czasami zostając trochę z tyłu, gdy musimy ostrzej podejść pod górę lub zejść z niej, żeby nie stracić ich z oczu. Wkrótce wydaje się jasne, że Mereka nie myliły przecucia i że z jakiegoś powodu mężczyźni korzystają ze ścieżki nad jeziorem, by dotrzeć do obozu dzieci.

Kiedy się zbliżamy, Merek szarpie mnie za płaszcz i gestem pokazuje, żebym się zatrzymała.

– Gdzie dokładnie przetrzymywane są dzieci?

– W sieci pieczar – szepczę. – Są tam trzy wielkie jaskinie i kilka mniejszych. Nie wiemy jednak, jak głęboko sięgają. W jednej z nich więzione są najmniejsze dzieciaki, którymi na polecenie mężczyzn opiekują się starsze dziewczęta. Podejdźmy bliżej, przedstawię cię naszym wartownikom.

Ruszam przed siebie, gramoląc się wyżej, aż odnajduję wąską ścieżynę, prawie całkowicie ukrytą za skałami. Na końcu ścieżki siedzi trzech mężczyzn. Wszyscy naraz się odwracają, pochylają i chwytają piki w ręce. Odprężają się dopiero, gdy mnie poznają.

– Pani – niskim głosem mówi mężczyzna, kiedy się do niego zbliżamy.

– Tally, Rutya, Serge – odpowiadam na powitanie. Na widok Mereka oczy Serge’ a robią się szerokie jak spodki. Próbuje się uklonić.

– Wasza Wysokość... Proszę o wybaczenie, Wasza Królewska Mość. Hobb mówił, że przeżyłeś... – Urywa i próbuje uklonić się znowu. Pozostali mężczyźni okazują szacunek w bardziej dyskretny sposób, żeby nie zdradzić swojej pozycji.

– Spokojnie – mówi Merek. Serge siada z powrotem, choć wciąż patrzy na Mereka jak na ducha.

– Widzieliśmy, że ci ludzie podchodzili tu inną drogą – rzucam, wskazując tamtych czterech obok najmniejszej jaskini. Idę pod górę, skinieniem przywołując Mereka, żeby mógł ich zobaczyć.

Pieczary, naturalnie wrzynające się w pospolicie szare lico skały, przywodzą na myśl usta olbrzyma – znajdują się jedna obok drugiej, choć oddziela je wielka kamienna ściana. Przed największą z jaskiń sześciu

strażników uzbrojonych w łuki i noże – jeden z nich trzyma nawet wielki bicz zakończony kilkoma wypustkami – spaceruje tam i z powrotem, swobodnie ze sobą gawędząc.

Nowo przybyli podchodzą do jaskini, a strażnicy wesoło ich witają, najwyraźniej rozpoznając gości.

– Szkoda, że nie słyszymy, co mówią – mruczy Merek, a ja kiwam głową.

– Często tu przychodzą? – pytam Tally’ego. – Chodzi mi o gości?

– Już po raz trzeci.

– Trzeci? Kiedy byli za pierwszym razem?

– Tydzień temu – dopowiada Rutya. – Czterech mężczyzn. Wszyscy weszli do pieczar – jak teraz, patrzcie. – Kiwa głową w kierunku mężczyzn, którzy wchodzą do środkowej pieczary.

– Co jest w tych workach? Jedzenie? – Chce wiedzieć Merek.

– Nie, panie. Zapas jedzenia uzupełniają raz na dwa tygodnie. Pierwsza partia przyszła z pustymi rękami.

– Kogo tam trzymają? – pyta Merek, obserwując jaskinię.

– Chłopców. Pięcioletnich i starszych.

Wszyscy wbijamy wzrok w otwór pieczary. Po mojej skórze przebiega dreszcz niepokoju.

– Czy ostatnim razem weszli do tej samej jaskini?

– Tak, pani – potwierdza Serge.

– I nie wiecie, co jest w workach?

– Nie, pani.

– Dlaczego nikt tego nie zgłosił?

– Ależ zgłosiliśmy to, pani. Wysłaliśmy wiadomość do Hobba, który kazał nam na wszystko baczyć i natychmiast informować go o wszelkich zmianach. Tyle tylko, że zawsze wygląda to tak samo. Wchodzą do środka z torbami, a później wychodzą bez nich. Widzieliśmy też, jak wyprowadzają dzieci do latryn. Nikt ich nie krzywdzi. Prawdę mówiąc, wyglądają na bardziej zadbane i zdrowsze niż wcześniej, niektóre noszą też lepsze ubrania.

– Ale dlaczego tylko chłopcy? – mówię, bardziej do siebie niż kierowana chęcią uzyskania odpowiedzi.

Merek odpowiada.

– Tego musimy się dowiedzieć. – Odwraca się do mnie z poważną miną, a ja w odpowiedzi potakuję.

Kulimy się tak za skałami, podczas gdy słońce nad nami przemierza horyzont. Mężczyźni wreszcie opuszczają jaskinię. Z pustymi rękami. Mocniej przywieramy do skał, aż niewyraźne odgłosy ich rozmów cichną.

– Pani, nie myśl, że próbuję ci rozkazywać, ale robi się późno, a noce w górach są bardzo mroźne – łagodnie sugeruje Serge, a Rutya i Tally potwierdzają skinieniem głowy.

– On ma rację – mówi Merek, nieznacznie unosząc brwi. – Powinniśmy wracać. Już najwyższa pora. – Mówiąc to, przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

Odwracam się do strażników.

– Podwoję tu strażę. Dręczy mnie jakieś dziwne przecucie. Jeśli coś się wydarzy, lepiej żebyście mieli wsparcie i posłańca, który podjedzie do nas z ostrzeżeniem. Chcę od razu wiedzieć, jeśli stanie się coś niezwykłego. Coś się szykuje, jestem pewna.

– Dobrze, pani – mówi Serge.

– Nadejścia posiłków spodziewajcie się już jutro. Czegoś jeszcze potrzebujecie?

– Nie, pani.

– Na pewno?

On i jego koledzy kiwają głowami.

Żegnamy się z nimi i ruszamy w dół ścieżki, starając się nie zdradzać swej obecności. Wraz z zachodzącym słońcem powietrze rzeczywiście robi się coraz mroźniejsze. Odrobinę przyspieszam; nie mamy żadnych pochodni, których i tak nie moglibyśmy użyć, a szkoda, bo zapowiada się pochmurna noc. Kiedy docieramy do jeziora, nad dolinką zawisa mgła. Merek wyciąga do mnie rękę, chwyta za dłoń i zmusza do zatrzymania.

– Co robisz?

Nic nie odpowiada. Czeka, wpatrując się we mgłę, aż wreszcie wydaje się zadowolony.

– Przepraszam – mówi. – Musiałem zyskać pewność.

– Słyszałeś coś?

Potrząsa głową i traci zainteresowanie. Ruszamy, a jego utykanie staje się wyraźniejsze. W milczeniu pociągam za pasek jego torby i wystawiam rękę. Kiedy bez słowa sprzeciwu ściąga torbę przez głowę i po prostu mi ją podaje, uświadamiam sobie, jak wielki ból musi odczuwać.

Po zmroku docieramy do wspólnoty. Ostatni odcinek drogi pokonujemy bardzo wolno, częściowo z powodu jego nogi, częściowo motywowani ostrożnością. Odkąd opuściliśmy jezioro, Merek nie odezwał się ani słowem i przy każdym kroku boję się, że jego noga odmówi posłuszeństwa. W drodze powrotnej do wspólnoty pozdrawiamy pierwszy oddział strażników, potem drugi.

– Dzięki Bogu wróciliśmy – mówię, otwierając drzwi. Kiedy nie odpowiada, zauważam, że jego twarz jest szara jak kamień, a usta mocno zaciśnięte. – Merek?

– Wszystko w porządku – cedzi przez zęby.

– Właśnie widzę. – Nie pytając o zgodę, obejmuję go w pasie ręką. – Potrzebujesz Errin.

Pojawia się jakby na wezwanie. Tuż za nią kroczy Stuan z dłonią na rękojeści miecza. Errin wciąż ma związane nadgarstki. Jej policzki płoną, a oczy lśnią, włosy, choć spięte, luźno opadają na twarz.

– Tu jesteście – mówi. – Macie moją siarkę?

Podnoszę torbę.

– Wspaniale. – Uśmiecha się lekko, ale z wyraźnym zadowoleniem. – Udało mi się! Rozgryzłam Opus Magnum. Wiem, jak przyrządzić truciznę. Gdy zdobędziemy resztę składników, sporządzę Opus Mortem.

Rozdział 21



Co zrobiłaś? – Merek i ja pytamy zgodnym chórem. Aż się chwieje z zaskoczenia i muszę go podeprzeć. Przesuwa dłoń na moje biodro. Nasze palce mimowolnie się splatają.

– Udało mi się. Przez cały dzień nad tym pracowałam. I całą noc. Nie potrafiłam przestać. Właściwie to bardzo proste, ponieważ siarka i rtęć wzajemnie się niwelują. Wystarczy tylko odwrócić stężenia i...

Wreszcie milknie i spogląda na Mereka, który jest blady jak śmierć.

– Idiotka z ciebie. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że mam się zamknąć? Chodź. Pomóż mu – rozkazuje Stuanowi, który szybko wykonuje polecenie. Merek puszcza moje palce i jedną ręką obejmuje za szyję mnie, a drugą Stuana.

Prowadzimy Mereka do jego pokoju. Errin idzie obok nas, oceniając spojrzeniem jego stan. Zanim dochodzimy do komnaty, na czoło Mereka występuje wilgoć. Jego skóra aż lśni w świetle świec, które stawiam na szafce przy łóżku, żeby Errin mogła lepiej widzieć, co robi.

– Przydałyby mi się własne ręce – mówi do Stuana, który szuka w moich

oczach przyzwolenia, żeby poluzować jej pęta. Errin szybko rozmasowuje zaczerwienione nadgarstki i podchodzi do Mereka.

Kładzie dłoń na jego czole i wzdycha.

– Brak gorączki – mówi trochę do siebie, trochę do nas. Następnie przesuwając się w dół łóżka i żwawo, bez ceregieli, podwija nogawki jego spodni. Nogi ma wyraźnie opuchnięte, skórę lśniącą. Errin patrzy na niego ponuro.

– Kazałam ci przecież odpoczywać!

Merek tylko wzrusza ramionami, ale ona z zaciśniętymi wargami odwija bandaż i ogląda ranę.

– Nie jest zakażona. Twoje Bóstwa wyraźnie ci sprzyjają.

– Albo to kwestia wyjątkowej kindersztuby – mówi. Przez chwilę milczymy, wymieniając spojrzenia, aż Merek wybucha zmęczonym śmiechem. – Wybaczcie. To żart zrozumiały tylko dla Lormeriańczyków. I dla mnie. – Gdy wciąż patrzymy na niego z konsternacją, wzdycha. – Moi rodzice byli... Nieważne.

Errin ignoruje go i odwraca się do mnie, gdy potrząsam głową.

– Pójdiesz do naszego pokoju po mój sprzęt?

Ruszam pędem przez korytarz, przebiegam podwórze i wpadam do naszej sypialni. Zaraz z niej wybiegam, odnajdując w sobie pokłady energii, o które się nie podejrzewałam, i szybko wracam do komnaty. Stuan, który zajął miejsce przy drzwiach, uważnie przygląda się Errin.

Ta odbiera ode mnie sprzęt medyczny i zaczyna wyciągać kolejne słoiki i butelki, kładąc je na łóżku. Pomimo bólu, który odczuwa, Merek próbuje wstać. Errin posyła mu ostre spojrzenie.

– Musisz odpocząć.

– Nie ma mowy! – odpowiada. – To czysty cud, chcę wiedzieć, jak go dokonałaś.

Errin szeroko się uśmiecha i przyciąga do siebie słoik.

– To naprawdę proste. W aptekarstwie wszystko ma swój odpowiednik i swoje przeciwieństwo. Tablica Petrucjusza pozwala poznać te ekwiwalenty

i przeciwieństwa. Widnieje na niej każdy pierwiastek, każda roślina. Wszystko. W przypadku odpowiedników jeden leczy drugi. A w przypadku przeciwieństw należy uzyskać równowagę. Znajduje się podobne właściwości i dopasowuje się je do siebie. Tutaj przeciwieństwami są rtęć i siarka, a zatem należy je do siebie dopasować. Rozumiecie?

Merek mruczy potakująco, a ja tylko patrzę na Errin.

Spojrzenie Errin wędruje w bok. Zbiera myśli.

– No dobrze. Jeśli zostaniesz otruta, największe szanse na wyzdrowienie daje środek neutralizujący pierwotną truciznę. Trzeba znaleźć jej odpowiednik, będący jej przeciwieństwem. Tylko wtedy trucizna zostanie całkowicie zneutralizowana. Tabela Petrucjusza pomaga zastosować taką metodę i odszukać najlepiej dopasowaną substancję. Dlatego żeby poddać ją dekonstrukcji, należy znaleźć przeciwieństwo każdego składnika. A w aptekarstwie, i najwyraźniej alchemii, tę przeciwną substancję dodaje się do pierwotnej mikstury.

W ogóle nie jest to dla mnie proste. Spoglądam na Mereka, który potakuje Errin, jakby wszystko doskonale rozumiał. Stuan wygląda na tak samo zmieszanego jak ja, przez co darzę go w tym momencie wyjątkowo ciepłym uczuciem.

Errin posyła mi nieśmiały uśmiech, jakby wyczuwała moje skrępowanie, po czym wyjaśnia dalej:

– Wystarczyło umieścić składniki w tabeli Petrucjusza i trochę je poprzesuwać, aż do osiągnięcia równowagi.

– I to było takie łatwe? – pytam.

– Niektóre części tak. Rtęć i siarka były oczywiście przeciwieństwami, ponieważ to jedyne składniki mineralne. Musiałam więc tylko zmienić ich proporcje w Opus Magnum.

– A co z roślinami? – pyta Merek z błyskiem w oku. – Nagietek i wilec mają te same właściwości, teoretycznie, a ilości są podobne. Jedną z tych roślin zrównoważy oczywiście mandragora, ale którą?

– Nagietek – błyskawicznie odpowiada Errin.

– Skąd masz taką pewność?

– Ponieważ naturalnym przeciwieństwem wilca jest cis pospolity – parska Errin.

– Wyjaśnij – prosi Merek, ale ja wstaję, uprzedzając jej odpowiedź.

– Bardzo was przepraszam, to wszystko jest fascynujące, ale muszę coś zjeść – mówię. – I się wykąpać.

Errin potakuje, ale zmęczony Merek ponownie osuwa się na poduszkę.

– Każę ci coś przynieść – mówię do niego. – Errin, jesteś genialna.

– Miło to słyszeć – odpowiada. – Teraz musimy tylko poczekać na powrót przyjaciół i resztę składników. Wtedy to zrobimy. Zabijemy go.

– Dzięki... Opus Mortem – powtarzam, a ona kiwa głową. – Gdzie znalazłaś tę nazwę?

Uśmiecha się łobuzersko.

– Wymyśliłam ją. To ma sens.

– Silas będzie z ciebie dumny – mówię.

W jej oczach skrzy się iskierka zadowolenia.

– Tak... – odpowiada cicho. – Mam nadzieję, że to zobaczy.

Błagalnie spoglądam na Mereka z naleganiem, żeby wreszcie odpoczął.

– Pokażesz mi wszystko? – pyta. – Chciałbym zobaczyć, jak to działa.

Errin w roztargnieniu kiwa głową, za drugim razem odrobinę mocniej.

– Tak. Ale w pierwszej kolejności zajmijmy się tym. – Patrzy na mnie. – Masz jakieś rany, które powinnam obejrzeć?

– Nie. Czuję się dobrze. Tylko padam z nóg. Muszę trochę odpocząć.

Przystaję w drzwiach i patrzę, jak otwiera słoik i zaczyna wmasowywać balsam w rany. Kiedy ja i Merek krzyżujemy spojrzenia, czuję ucisk w żołądku. Żegnám ich skinieniem głowy i wychodzę. Zamierzam pójść do kuchni, żeby coś zjeść, i się wykąpać. Automatycznie idę prosto do pokoju, gdzie padam twarzą na łóżko i zasypiam, bez zdejmowania butów.

Kiedy się budzę, w pokoju jest pusto, choć ktoś zdjął mi buty i okrył mnie

kocem, nie budząc mnie przy tym. Przewracam się na plecy, czując ciężar i odrętwienie własnego ciała, i kładę ręce za głowę.

Wtedy wszystko powraca: mężczyźni odwiedzający pieczary, sukces Errin z Opus Mortem. Siadam na łóżku, wydając z siebie jęk. Czuję ból i pustkę. Poza tym trochę cuchnę.

Po kąpieli, której tak bardzo pragnęłam zeszłej nocy, związuję włosy i ruszam do refektarza, żeby sprawdzić, czy zostały jakieś resztki ze śniadania. Nagle słyszę brzęk metalu i ignorując wściekły żołądek, wychodzę na podwórze, gdzie chowam się za filarem i obserwuję walczących ze sobą mieszkańców wspólnoty.

W jednym z rogów placu siedzi Merek z Hobbem. Rozmawiają i okrzykami instruują walczących. Rząd za rzędem ludzie wymachują w swoim kierunku kijami, jedni lepiej, drudzy gorzej. Wychodzę na dziedziniec i ruszam po jego obrzeżu w stronę Mereka. Hobb, który mnie dostrzega, postanawia wyjść mi naprzeciw.

Natychmiast się odzywa.

– Wybacz, że nic ci nie powiedziałem na temat działań w pieczarach. Czekałem, aż coś odkryjemy.

– W porządku. Dowiedzieliście się jeszcze czegoś?

– W tej sprawie już nic nowego. Usłyszeliśmy jednak, że Aurek postanowił się ukryć. Po pożarze zaszył się w wieży i nie chce nikogo oglądać ani nic robić. Mój człowiek twierdzi, że podobno sam chodzi do kuchni i nadzoruje przyrządzanie posiłków, a potem zmusza co najmniej trzy osoby, żeby go skosztowały, zanim sam zabierze się do jedzenia. Do swojej wieży nie wpuszcza nikogo. Przy jego drzwiach warują golemi. A gdy wychodzi, chodzą za nim krok w krok.

– A co z Liefem, Srebrnym Rycerzem?

– Srebrny Rycerz wyruszył do Scarron wraz z sześcioma zbrojnymi.

Scarron. Cały czas myślą, że tam jestem.

– Czy to już wszystko, pani? – pyta Hobb. Potakuję, a on wraca na dziedziniec zagrzewać wojowników do walki.

– Jak sobie radzą? – cicho pytam Mereka.

– Jak na ludzi, którzy nigdy wcześniej nie trzymali miecza w dłoni, dość dobrze.

– Ale nie wystarczająco dobrze? – dopytuję, bo słyszę w jego głosie taką sugestię.

– W starciu z żołnierzami wyszkolonymi przez Liefę nie mają większych szans – przyznaje Merdek.

– Być może powinniśmy ich podzielić – sugeruję. – Ci, którzy potrafią fechtować, niech kontynuują trening mieczami, a tych mniej wprawionych nauczymy walki z golemami.

– Kto by ich tego uczył... Ach. – Uśmiecha się. – Oczywiście. Nadworna pogromczyni golemów!

– To wcale nie takie trudne. Wystarczy trzymać je na dystans i potraktować ogniem.

W spojrzeniu Mereka rozbłyska zrozumienie.

– Tak... Golem, który w zamku wszedł w ogień, później się rozpadł.

– Ogień je wysuszył, jakby były zrobione z gliny. Łatwo je stłuc. Poza tym ogień odsłania włożone do ich ciał rozkazy. Gdy rozkaz zostaje zniszczony, golem ginie.

– Podobnie działają symulakra. Bez zasilającej je alchemii są niczym.

Moje myśli biegną ku Errin. Okazuje się, że myśli Mereka również, bo mówi:

– Wygląda na to, że Lief dotrzymał obietnicy. Musiał je zniszczyć.

– Być może – odpowiadam zdawkowo. Zawsze jest ten pierwszy raz.

– A co z ludźmi, którzy nie nadają się do żadnego rodzaju walki? – Merdek kiwa głową na nieszczęsną Breenę, której grozi raczej samookaleczenie niż atak przeciwnika.

– Wykorzystamy ich mocne strony. Breena jest utalentowaną łuczniczką, która uczyła innych. Pozwólmy im wybrać dyscyplinę, do której mają talent. Tak sobie myślę... Może Errin zrobi jakąś kukłę i wyznaczy odpowiedni

teren...

– Musieliby się okazać przednimi strzelcami, żeby nikt nie ucierpiał – powątpiewa Merek.

– Staną się tacy. Przy okazji, gdzie Errin?

– Założyła laboratorium na korytarzu. – Wskazuje południowe skrzydło wspólnoty. – Pomogę jej, gdy tutaj skończymy.

– Tylko pamiętaj o odpoczynku.

– Poczekaj. – Gdy próbuję odejść, zaciska mi palce wokół nadgarstka. – Chciałbym z tobą porozmawiać.

– Nie teraz – odpowiadam. – Muszę zobaczyć się z Errin. A ty masz tutaj pracę do wykonania.

– Znajdę cię.

Kiwam głową. Kiedy mnie puszcza, wciąż czuję ciepło jego skóry i odprowadzający mnie wzrok. To uczucie znika dopiero, gdy wracam do wspólnoty.

Errin rzeczywiście założyła laboratorium, wykorzystując zestaw szklanych i kamiennych naczyń oraz wszystkiego, co udało się jej ukraść z kuchni. Jakimś cudem – a po sposobie, w jaki Stuan na nią spogląda, mając sznurem pętającym jej nadgarstki o swoją nogę, widać, że też był w to zamieszany – przeciągnęła tutaj olbrzymi drewniany stół z refektarza, żeby użyć go jako warsztatu. Na jednym końcu blatu stoi kolekcja słoików i butelek z ziołami, roślinami i płynami. Na środku ustawiono prowizoryczne palenisko. Na drugim końcu natomiast widać pióra i ryzy papieru, pokryte już bazgrołami. Podchodzę, by spojrzeć na sławną tabelę Petrucjusza, narysowaną na grubym pergaminie, którego rogi przytrzymują puste fiołki i nóż.

– Zaraz zaczynamy – oświadcza Errin i z radosnym wyrazem twarzy klaska w rękę.

– Co chcesz zrobić?

– Zebrać wszystkie składniki, odmierzyć właściwe porcje i w miarę potrzeby je przetworzyć. Aha, powinnam też zrobić własny tonik spagiryyczny.

– Oczywiście. Tonik spagiryiczny. Co byśmy bez niego poczęli?

Errin posyła mi lekko drwiące spojrzenie.

– Potrzebuję do tego wody różanej. Ale nie kosmetycznej wody różanej. Chodzi mi raczej o esencję róży w toniku.

Podnoszę ręce w geście kapitulacji.

– Powiedz mi tylko, jak ci pomóc.

Uśmiecha się. Nawet moja ignorancja wydaje się jej zabawna, od kiedy jest w swoim żywiole.

– Hmm, dopóki wszyscy nie wrócą, w kwestii Opus Mortem nie da się wiele zrobić. – Podchodzi do słoików na przeciwległym końcu stołu i podnosi jeden z nich. Znajduje się w nim wypaczony, poskręcany korzeń, który upiornie przypomina człowieka. – Dzięki Bogom mamy mandragorę. Zbieranie jej jest koszmarem. Aha, potrzebuję kory cisu. Nie wiesz, czy gdzieś w pobliżu nie rośnie przypadkiem jakiś ładny cis?

– Jak dla mnie mogłyby tu ich rosnąć tysiące. Identyfikowanie gatunków drzew nie należy do moich mocnych stron.

– Wykwalifikowana z ciebie trucicielka – mówi Errin z uśmiechem.

– Ja wiem, jak wygląda cis – odpowiada Stuan, płosząc mnie trochę. Zupełnie o nim zapomniałam. – To dobry budulec na łuki.

Errin i ja odwracamy się do niego.

– Widzisz? Nie muszę znać gatunków drzew, mam od tego Breenę – mówię. – Poproszę ją, żeby poszła poszukać tego drzewa. Jest córką rzemieślnika. Sama również wytwarza łuki.

– Na pewno sobie poradzi – potwierdza Stuan.

– Zaraz – przerywa Errin. – Czy robi dla was łuki tutaj?

Odzyskuję zdolność myślenia.

– Bogowie, jestem idiotką. – Samokrytycznie potrząsam głową. – Breena może mieć tu jakiś zapas cisu.

Errin bierze głęboki oddech.

– Nareszcie. No nareszcie.

Spoglądam na nią, a potem na Stuanę.

– Nareszcie.

Zostawiam Errin ze Stuanem, który już nie wzdryga się przy każdym jej poruszeniu. Biedny Stuan, celem jego życia jest pilnowanie kolejnych niebezpiecznych dziewczyn. Ruszam z powrotem przez budynek, czując niepokój. Na dziedzińcu szkoli się nowa grupa ludzi. Pozdrawiam ich skinieniem głowy. W powietrzu unosi się intensywny zapach pieczonego chleba, drożdży i rozmarynu, czuć też towarzyszące wypiekaniu *ciepło*. Zaglądam do kuchni i dostrzegam Emę pracującą z Treyem. Oboje w pocie czoła zagniatają drożdże. Wstępuję do spiżarni, żeby podkraść jabłko. Wciąż jest chrupiące. Wychodzę do ogrodu, rozkoszując się kwaśnawym, doskonałym smakiem.

W ogrodzie siadam bezpośrednio na ziemi. Przed zimnym gruntem zabezpiecza mnie wełniana sukienka. Próbuję wyobrazić sobie nadejście wiosny. Wtedy zastanawiam się, czy jej dożyję – czy w ogóle dożyję wiosny. Ostatnie kilka dni przypominało zawieruchę; po księżycach siania i planowania teraz nadchodzi najwyraźniej pora zniw.

Nie czuję zaskoczenia, gdy słyszę, jak ktoś wchodzi do ogrodu. I nie muszę się odwracać, by wiedzieć, że to Merek.

– Nie przeszkadzam?

– Nie.

Podchodzi i siada obok, ostrożnie układając ciało i wyciągając kontuzjowaną nogę. Kończę jeść jabłko i robię małą dziurę, żeby zakopać ogryzek w ziemi. Ponownie czuję na sobie jego wzrok. Dobrze znam ciężar tego spojrzenia. Jest jak ulubiony płaszcz, odłożony do szafy na lato, a potem wyjęty na powitanie zimy. Ciepły. Bezpieczny.

– Co między nami jest? – pyta wreszcie.

– Nie wiem – odpowiadam natychmiast. Wiedziałałam, że to pytanie padnie; wiedziałałam, od kiedy oznajmił mi, że musi ze mną porozmawiać.

– Ale coś jest. To nie tylko... Nie tylko ja to czuję, prawda?

– Nie – przyznaję. – Nie tylko ty.

– Martwiłem się... Po ostatnim zajściu nie potrafię... Niezbyt dobrze odczytuję twoje zachowanie, jak pewnie wiesz. – Ze smutkiem wrusza ramionami. – Nie ufam już własnym myślom. Jestem tu zaledwie od paru dni, a już tyle się wydarzyło, a ponieważ dla mnie niektóre rzeczy się nie zmieniły... – Milknie. – Sam nie wiem, co chcę powiedzieć. Ostatnim razem wszystko poplątałem.

– Nie jako jedyny.

– To już inna sprawa. Mówiłaś, że twoje uczucia względem... niego nie mają nic wspólnego z tym, co się wydarzyło, ale...

– To nie twoja sprawa – mówię łagodnie.

– Wiem. Teraz mam przynajmniej pewność, że to wszystko nie dzieje się tylko w mojej głowie. Nie próbuję robić czegoś, czego ty byś sobie nie życzyła.

– Ja sama nie wiem tak do końca, czego sobie życzę. – Postanawiam być z nim szczerą: to jedyne słuszne rozwiązanie. – Nie rozumiem, co się dla mnie wydarzyło ani co to oznacza. I nie wiem, czy chcę, by znaczyło to dla mnie cokolwiek. Tak, coś się zmieniło. – Patrzę w jego ciemne oczy. – Ale nie mogę o tym w tej chwili myśleć. Moje myśli powinna zajmować wojna, Aurek i konieczność pokonania go.

– Oczywiście. – Uśmiecha się do mnie delikatnym, prawdziwym uśmiechem, po czym ujmuję moją dłoń i podnosi ją do ust. – Dziękuję.

– Za co?

– Za szczerość. A teraz idę odpocząć, ciągle o tym słyszę. Widzimy się później.

Biorę głęboki oddech i patrzę, jak odchodzi. Potem odwracam się plecami do jałowego ogrodu i ponownie wbijam palce w ziemię.

Codziennie rano wstaję z nadzieją, że pewnego dnia Nia i Kirin oraz Nadzieja i Ulrin powrócą. Wiem, że to pobożne życzenia, ponieważ prawdopodobnie niedawno dotarli na miejsce podróży, a jeszcze muszą zebrać to, czego potrzebują. Dopiero wtedy ruszą w drogę powrotną. Ale głupie reakcje

zawsze były moją mocną stroną, dlatego za każdym razem, gdy słyszę pospieszne kroki, nie mogę się pozbyć wrażenia, że to posłaniec z informacją o ich powrocie.

Tymczasem nie tylko podwoiłam strażę przy pieczarach, ale i rozesłałam ludzi po całym Lormere, żeby wzmocnić skład osobowy wartowników przy obozach. Serge i Tally przysłali informację, że ludzie przychodzą do pieczar co trzy dni, ale wciąż nie wiadomo po co, a dzieci najwyraźniej pozostają bezpieczne. W odpowiedzi każę im trzymać straż i zgłaszać wszystkie, nawet najbłahsze wydarzenia. Coś jeszcze chodzi mi po głowie, choć sama nie wiem, co to jest. Wiem tylko, że o czymś zapominam.

Errin i Merek pracują nad przygotowaniem Opus Mortem w takim zakresie, na jaki mogą sobie pozwolić z wykorzystaniem dostępnych surowców. Stuan wciąż ma oko na Errin, chociaż obserwuje ją zdecydowanie mniej bacznie niż wcześniej. Kiedy Merek całkowicie rozplątuje jej ręce, żeby mogła bez przeszkód pracować, Stuan tylko nieznacznie unosi brew. Chyba wszyscy przestaliśmy się już obawiać, że jest czyjąkolwiek marionetką.

Hobb donosi, że Aurek wciąż ukrywa się za murami zamku, czekając najwyraźniej na powrót Liefy.

Breana znalazła niepotrzebny zapas kory z drzewa cisu. Errin kazała Merekowi dokładnie osuszyć ją nad ogniem, a następnie ją sproszkowała i dodała do zapasu składników. Warzy ponadto swój tonik spagiryczny. Merek zachwyca się różnicą pomiędzy jej autorskim dziełem a wersją kosmetyczną – którą też zresztą wyprodukowała dla porównania. Mnie to obojętne. Ani nie widzę, ani nie wyczuwam różnicy, która jest według nich obojga oczywista. Choć brakuje kilku składników, Errin uczy Mereka, jak sporządzać Opus Magnum. Produkują też medykamenty i balsamy na rany wojenne – Errin, jak kiedyś obiecywała, przeobraża się w moją nadworną aptekarkę. Sporządza preparat nazywany wodą ognistą: gęsty zielony płyn, który po zapaleniu osiąga niewiarygodnie wysoką temperaturę. Tak wysoką, że podczas eksperymentu gorący podmuch owiewa moją twarz, chociaż stoję po drugiej stronie pokoju. Kiedy akurat nie trenuję z Hobbem ani nie pomagam w kuchni, nogi same prowadzą mnie do laboratorium, gdzie przysiadłszy na zydlu, spokojnie

obserwuję ich krzątanie, pomimo że jej nie rozumiem.

Zaczyna nas przytłaczać ciężar oczekiwania, bo czas upływa, ale praca nie przynosi pożądanych efektów. Robimy się niespokojni. Dni zamieniają się w tygodnie, wyznaczony termin ataku zbliża się wielkimi krokami, a my pozostajemy w impasie. Lepiej już nie będziemy przygotowani. Breena wykorzystwała cały zapas drewna, piór i jelit do produkcji łuków i strzał. Nasze miecze i noże są tak ostre, że tną powietrze podczas ćwiczeń. Errin i Merek nie mogą kontynuować eksperymentów bez rtęci i *Sal Salis*, a maści, balsamów i mikstur wyprodukowali już tyle, że z powodzeniem mogliby otworzyć własną aptekę.

Tylko Hobb jest zadowolony, ponieważ z każdym dodatkowym dniem oczekiwania jego wojownicy są odrobinę silniejsi i bardziej zaprawieni. Jest coraz bardziej prawdopodobne, że przeżyją bitwę. Ale kiedy nie trenujemy, oczekiwanie przypomina swędzące miejsce, którego nie można osiągnąć. Codziennie wybuchają błahe kłótnie i potyczki i coraz trudniej im zaradzić, gdyż wszyscy żyją w napięciu.

Im dłużej wlece się ta nicość, tym większy odczuwam strach. Podróżując w dół rzeki, Nadzieja i Ulrin powinni dotrzeć do Tallith po niecałych trzech dniach, powrót powinien potrwać niewiele dłużej, pomimo że będą musieli podróżować pod prąd. Dlaczego więc, u licha, jeszcze nie wracają?

Sny nadeszły w dniu, w którym wszyscy wyjechali, a im dłużej ich nie ma, tym gorsze formy przybierają moje nocne koszmary. Każdej nocy widzę trupy: jak ktoś łapie i zabija Kirina i Nię. Widzę, jak pieszo przemierzają Tregellan, po trakcie, który był bardzo niebezpieczny, jeszcze zanim Rada poprzysięgła lojalność Aurekowi. Sny podsuwają obrazy najemników rozwalających głowy moich śpiących przyjaciół; widzę renegatów, którzy wieszają ich na oczach wyjących tłumów. Widzę Siostry przybite do drzew przy Trakcie Królewskim. Mają twarze moich znajomych, których nijak nie potrafię ściągnąć z drzew. Rankiem moje gardło jest zachrypnięte od krzyku, a Errin wygląda na coraz bardziej zmęczoną codziennym warzeniem mikstur i wybudzaniem mnie z niekończących się koszmarów, przez które obie nigdy się nie wysypiamy.

Po dwóch tygodniach tych szaleństw Merek dyskretnie, bez wywoływania

skandalu, wprowadza się do naszego pokoju. Zajmuje łóżko Nii, a Errin przenosi się do jego komnaty. Teraz, kiedy się budzę, na moim czole spoczywa dłoń Mereka. To w jego ramię się wyplakuję. Nie kto inny, lecz Merek tłumaczy mi, że spałam, że to był tylko koszmar, powtarza to w kółko śpiewnym tonem, głaszcząc moje włosy, aż się uspokajam. Podtrzymuje mnie, aż z powrotem zapadam w głęboki sen, łądując twarzą na jego piersi, wdychając jego zapach. Kiedy się budzę, on też wstaje i wraca do laboratorium.

Nigdy o tym nie rozmawiamy. Sny trzeba przetrwać, a później o nich zapomnieć. Jeśli go to wykańcza, nigdy tego nie okazuje. Reszta wspólnoty wie, że dzieje się coś niedobrego – budzę nie tylko Errin i Merek – wiedzą ponadto, że ma to związek z zaginionymi przyjaciółmi. Nie mają tylko pojęcia, o jaką stawkę toczy się ta gra, jak wiele od nich zależy. Zaczynam żałować, że nie wyruszyliśmy razem. Konieczność dochowania tajemnicy i wieczna niepewność dodają kolejne warstwy bólu. Moja skóra jakby zamienia się papier i boję się, że za sekundę czy dwie całkowicie się rozpadnę.

Wreszcie, cztery tygodnie po ich odjeździe, pomimo późnej pory siedzę w zbrojowni. Choć dawno już zapadł zmrok, odkładam moment pójścia do łóżka i bez przekonania poleruję błyszczący miecz, kiedy słyszę kroki, na które tak długo czekam. Odrzucam ścierkę i chowam ostrze do pochwy, po czym obracam się niecierpliwie.

W drzwiach stoi Nadzieja: w zakurzonym ubraniu, z purpurowymi cieniami pod oczami i szarą ze zmęczenia skórą.

Trzema zamaszystymi krokami przechodzi przez pomieszczenie i wpycha mi w dłoń sakiewkę, w której postukują kamienie.

– Nie dotykaj ich skórą. Są toksyczne.

Potem mnie obejmuje.

Przytula mnie tak mocno, że aż stęka z wysiłku i odpycha mnie, mówiąc:

– Nic mi nie jest. Przekłeta łódź zatoneła w pobliżu Monkham. Musieliśmy wracać stamtąd na piechotę. Dzień wcześniej skończyły nam się racje żywnościowe.

– Chodź – mówię. – Zorganizujemy ci trochę jedzenia.

– Nie jestem głodna – odpowiada szorstko, rozpinając pas i wieszając go na ścianie. – Wina bym się napiła. I poszłabym spać. Ulrin chrapie jak niedźwiedź. Niech go sobie weźmie Ymilla. Gdzie pozostali?

– Errin została w swoim nowym laboratorium. Reszta pewnie śpi.

Mruży oczy.

– A Nia i Kirin?

– Jeszcze nie wrócili.

Marszczy brew, a minę ma taką, że na jej widok mój żołądek skręca się, jakbym połknęła kamień. Przed oczami przesuwiają mi się wszystkie najgorsze koszmary. Nie martwiłam się na próżno. Mam pełne prawo się o nich obawiać.

– Na pewno nic im się nie stało – uspokaja mnie Nadzieja.

Wie jednak, że to puste słowa. Powinnam była pojechać zamiast nich. Gdzie się podziała dziewczyna, która malowała napisy na murach Chargate? Dlaczego wysłałam Nię, skoro wiedziałam, że nie chce jechać?

– Najpierw wino – stanowczo powtarza Nadzieja. – Później zdecyduję, co robić.

Bierze mnie pod ramię i wychodzimy ze zbrojowni... po to, by wpaść prosto na Nię, która właśnie wybiega zza rogu, zderzając się z nami tak, że ledwo utrzymujemy się na nogach.

– Nia! Wróciłaś! – wykrztuszam, lecz jedno spojrzenie na jej bladą, zapłakaną twarz od razu mnie powstrzymuje. – Co się stało?

Zza jej pleców wyłania się Kirin z tym samym pochmurnym wyrazem twarzy.

– On przyucza dzieci do walki – informuje bez zbędnych wstępów. – Wysłała do nich trenerów, widzieliśmy to wszystko w obozie w Chargate. – Krzyżuje ze mną spojrzenie. – Pośle dzieci do walki.

Rozdział 22



Spokojnie – mówi Nadzieja. Wszelki ślad po jej zmęczeniu znika, Siostra prostuje kręgosłup i krzyżuje ramiona na piersi. – Opowiedzcie nam, co widzieliście. Od samego początku.

– Na wszystkich drogach stoją patrole. To dlatego podróż zajęła nam tak długo. Almwyk przypomina fortecę. Musieliśmy okrążyć miasto od południa i schować się w lasach. Ścieżka zawiodła nas w pobliże obozu Chargate. Postanowiliśmy rozeznaczyć się w sytuacji i wypytać o wszystko Garelda i jego ludzi. – Kirin mówi jednostajnym głosem, składając raport niczym żołnierz, którym kiedyś był. – Gareld mówił, że od wielu dni obóz odwiedzają jacyś ludzie, którzy wnoszą ze sobą torby, chyba z zapasami. Kiedy tam byliśmy, obóz właśnie opuściło ostatnich dwóch spośród tych mężczyzn.

Nabieram haust powietrza do płuc. Dokładnie taką samą scenę oglądaliśmy z Merekiem przy jaskiniach.

– Zaczęliśmy coś podejrzewać – ciągnie Kirin. – Dlatego kiedy po obiedzie mężczyźni wrócili, odczekaliśmy, aż doręczą przesyłkę, i poszliśmy za nimi.

– Co zrobiliście? – ze złością w głosie pyta Nadzieja, ale uciszam ją

machnięciem dłoni.

– Śledziliśmy ich aż do skraju lasu, starając się trzymać możliwie blisko. Wiele nie usłyszeliśmy, ale na pewno rozmawiali o tym, którzy chłopcy robią postępy, a którzy średnio się nadają. Jeden z nich powiedział, że jeszcze tej nocy napisze do kapitana, że niebawem chłopcy będą gotowi do walki.

– Walczą kijami owiniętymi w szmaty – opowiada Nia. – Samymi kijami, wygłuszonymi tak, by walka przebiegała możliwie bezgłośnie. Gareld i jego drużyna stacjonują zbyt daleko, by to wszystko usłyszeć. Jeden z mężczyzn narzekał, że został uderzony, a cios, choć zamortyzowany przez szmaty, był bardzo bolesny. Śmiali się z tego. Mówili, że chłopiec, który to zrobił – Ellis – czyni wspaniałe postępy. Według nich niedługo będzie gotowy na prawdziwe ostrze. On i paru innych. Mówili o przygotowaniach do przeprowadzki.

– Gdzie chcą ich przenieść?

– Tego nie powiedzieli.

– A co z dziewczętami? – pytam.

– Aurek nigdy nie pozwoliłby dziewczynom uczyć się walki – mówi Nadzieja. – Uważa, że nie są wystarczająco zdolne.

– W takim razie w niedalekiej przyszłości przeżyje prawdziwy szok – oznajmiam. – Trzeba obudzić pozostałych.

– Co chcesz zrobić? – Nadzieja bacznie mnie obserwuje.

– Musimy wyprowadzić dzieci z obozów. Wszystkie. Tak szybko, jak to możliwe.

Nadzieja potrząsa głową.

– Twyllo, sama mówiłaś, że wcześniej musimy się doskonale przygotować. Nie jesteśmy wystarczająco silni. Możemy uderzyć tylko raz. Jeśli to zrobimy...

– Nie opuścimy tych dzieci – mówię. – Nie teraz. Naszym obowiązkiem jest zapewnienie im bezpieczeństwa. Dlatego właśnie to *będzie* nasze jedyne uderzenie.

– Twyllo...

– Jeżeli ludzie dowiedzą się, że ich dzieci są szykowane do jakiejś bitwy,

wybuchną zamieszki. – Prawie krzyczę i własny głos wraca do mnie echem. – Ludzie się zbuntują i zginą. A co do nas, to nim jutro wzejdzie słońce, ktoś nas zdradzi, a zanim znów zajdzie, trafimy na galery. Musimy odbić te dzieci natychmiast, a później bardzo szybko rozpocząć atak. Zebraliśmy wszystkie składniki potrzebne Errin do sporządzenia Opus Mortem. – Spoglądam na Nię w oczekiwaniu na skinienie głowy, które potwierdzi, że ona i Kirin wywiązali się z zadania. Nia potakuje. – Nasi zwiadowcy rozeszła wieści, że jutro wieczorem wyzwolimy obozy – ciągnę. – A potem przystąpimy do walki.

– Tylko? – Errin pojawia się ze swoim nieodłącznym cieniem: Stuanem. Jej twarz rozjaśnia się, gdy dostrzega Nadzieję, Nię i Kirina, ale sekundę później zamiera, wyczuwając ponury nastrój zgromadzonych. – Zdobyliście to?

– Zdobyli – odpowiadam, zanim ktokolwiek zdąży się odezwać. – Ale plany uległy zmianie. Otrzymaliśmy informację, że Aurek szkoli dzieci do walki. Jego ludzie uczą ich sztuki bojowej. Naszym przeciwnikiem będzie armia dzieci-żołnierzy.

– Trzeba ich uwolnić! – szybko reaguje Errin i mam ogromną ochotę ją przytulić.

– Uwolnimy – mówię. – Obudź wszystkich. Teraz.

Nadzieja i Kirin patrzą po sobie.

– Czeka! – wstrzymuje mnie Nadzieja. – Powinniśmy zdobyć więcej informacji. Dopiero wtedy postanowimy, co robić.

– Ja już postanowiłam – upieram się. – Nie pozwolę zamienić mu tych dzieci w żołnierzy i prywatną broń. Bo na to się zanoszą. Czy nam się to podoba, czy nie.

Usta Nadziei układają się w kreskę.

– Gdzie Merek? – pyta. – On też musi to usłyszeć.

Szybko potakuję.

– Pewnie jest w moim pokoju – mówię, oblekając się rumieńcem, gdy Nadzieja, Nia i Kirin wbijają we mnie wzrok.

– Ja po niego pójde – oznajmia Kirin i od razu rusza w dół korytarza.

Pozostali mieszkańcy wspólnoty zdążyli już usłyszeć, że zapanowało zamieszanie, i powoli wychodzą ze swoich komnat. Złość spowodowana niespodziewanym wybudzeniem ze snu ustępuje miejsca uldze, a potem zakłopotaniu.

– Co się stało? – pyta Ema, pocierając oczy.

– Trzeba obudzić wszystkich, którzy jeszcze śpią – mówię.

– Twyllo... – Nadzieja ostrzega mnie po raz trzeci.

Odwracam się do niej i ściszam głos.

– Czy na ich miejscu, gdybyś się dowiedziała, że wszystko przed tobą ukrywam... nawet przez jedną noc... wybaczyłabyś mi? Niektórzy mają tam swoje dzieci.

Wreszcie przyzwalająco kiwa głową.

– Wszyscy do refektarza – rozkazuję. – To pilne.

– Co się stało? – pyta Ymilla, błędząc wzrokiem po naszych twarzach. – Zaatakowano nas?

– Nie. Ale musimy rozpocząć ofensywę wcześniej, niż zamierzaliśmy.

– Kiedy?

– Jutro w nocy – mówię. – Do pierwszego etapu ataku przystąpimy jutro w nocy.

Czuję, że Nia, Nadzieja, wszyscy patrzą na mnie jak na kogoś pozbawionego piątej klepki. Przez pełną minutę panuje cisza jak makiem zasiał. Jakby wszyscy czekali, aż... Aż co? Roześmieję się i powiem, że żartowałam? Oznajmię, że zmieniłam zdanie? Wreszcie dociera do nich, że jestem śmiertelnie poważna. Widzę, jak objawienie spływa na cały tłum. Miny tężeją albo rzedną, kolory intensywniejają albo bledną. Patrzą po sobie, dłonie szukają dłoni, ludzie łapią się za ręce, obejmują ramionami wokół talii.

– Wszystko wam wyjaśnię. Ale teraz obudźcie tych, którzy jeszcze śpią, odziejcie się, a potem przyjdźcie do refektarza. – Kiedy zaczynają wracać do komnat, zatrzymuję Treya. – Idź do wartowników i przyprowadź ich tutaj – mówię.

– Wszystkich? – pyta.

– Wszystkich.

Potakuje i natychmiast znika.

Potem odwracam się do Nii.

– Masz sól?

Kiwa głową i poruszywszy barkami, zrzuca z ramienia torbę. Errin już sięga po ostatni składnik.

– Idź i dokończ Opus Mortem – mówię. – Dołączę do ciebie, gdy tutaj się ze wszystkim uporam.

Errin przetyka ślinę. Mocno zaciska szczęki i odwraca się w kierunku laboratorium. Nadzieja obejmuje Nię i posyła mi ostrzegawczy uśmiech, po czym odprowadza dziewczynę do refektarza.

Merek, za którym idzie Kirin, nawet nie spogląda w ich stronę, tylko mija je, utkwiwszy we mnie wzrok.

– Co się stało?

– Aurek szkoli dzieci do walki. Po to do jaskiń przychodzą ci ludzie – przynoszą broń. Uczą chłopców, jak jej używać.

Merek głęboko się namyśla.

– Jesteście pewni?

– Podśluchaliśmy, jak jego ludzie rozmawiali o zaprawie – mówi Kirin.

– Nie, w to wierzę. Ale... Po co szkoli *dzieci*? Ma mężczyzn i te swoje golemy. Dzieci nie są mu potrzebne do walki. Już teraz ma przewagę. To nie liczebność jest jego problemem.

– Ale byłaby, gdyby wszyscy się przeciwko niemu zbuntowali – mówi Kirin.

– Tyle tylko, że my *nie* mamy wszystkich. Potrzebujemy mieszczan, a oni nie mogą i nie będą walczyć, dopóki ich dzieci... Dopóki ich dzieci... – Merek milknie i w panującej ciszy zaczyna pojmować, co i dlaczego próbuje uczynić Aurek.

– Właśnie po to – przerywam milczenie. – Właśnie po to potrzebne mu są dzieci. Zamieni je w tarczę... Ludzką tarczę. Jeśli obsadzi mury małoletnimi

żołnierzami, mieszczenie nie przystąpią do ataku. Nie dołączą do nas podczas walki. Nam też zwiąże w ten sposób ręce.

– Ale dzieci na pewno nie podniosą broni na rodzinę, prawda? – pyta Kirin, potrząsając głową.

– Nie wiemy, co powiedział tym chłopcom – mówię cicho. – Mógł im oznajmić, że jeśli odmówią walki, pozabija ich rodziny, albo że powinni walczyć, ponieważ ich rodziny też przystąpiły do walki. A może powiedział im, że ich rodziny już ich nie kochają i tylko on, Aurek, jest ich prawdziwym ojcem.

Po tych słowach Merek przysuwa się do mnie, ale nie mogę na niego patrzeć. Wiem, że on, tak jak ja, myśli o swojej matce i jej manipulacjach. Nie mam jednak czasu myśleć o przeszłości.

– Musimy je uwolnić – ciągnę. – I tak planowaliśmy oswobodzić dzieci przed atakiem. Nic się w tej kwestii nie zmieniło. W świetle nowych okoliczności sprawa stała się pilniejsza.

Jeden po drugim wszyscy kiwają głowami. Podnoszę wzrok na Mereka.

– Errin poszła przygotować Opus Mortem – mówię do niego. – Doceni twoją pomoc.

Kiwa głową i odchodzi ze smutnym wyrazem twarzy.

– Czy ci mężczyźni przychodzą co trzy dni? – pytam Kirina, który kiwa głową. – Powiedz mi w takim razie, kiedy opuściliście lasy?

– Wracaliśmy dwa dni.

Czyli wrócą do obozu jutro. Przeprowadzam w pamięci szybkie obliczenia i podejmuję decyzję.

– Co robimy? – pyta Kirin.

– Idziemy do sali strategii – mówię. – Musisz poznać plan, ponieważ będziesz odpowiadał za jego realizację. Potem będę musiała przywdziać zbroję.

Rozdział 23



Pół godziny później stoję w pełnej skórzanej zbroi przed tłumem pięćdziesięciu niespokojnych twarzy. Obok mnie stoi Kirin, również w zbroi, z przytroczonym do pasa mieczem i tarczą.

– Aurek szkoli dzieci do walki – mówię od razu, rezygnując ze wstępu, i obserwuję, jak przez pokój przetacza się fala nagłej paniki. Kirin uderza mieczem o tarczę, aż wszyscy milkną i mogę kontynuować.

– Gdy skończymy to zebranie, do obozów wyruszą niewielkie drużyny wojowników. Przekażemy strażnikom nowiny i zwiększymy liczebność naszych oddziałów. Jutro o północy wszystkie obozy będą wyzwolone, a wszyscy porywacze zgładzeni. Nie okażemy żadnej litości. Dzieci z jaskiń zostaną przetransportowane tutaj. Te z Monkham umieścimy w okolicznych zagajnikach. Latorośle z Chargate zawieziemy do głębszych partii lasu, do naszego starego obozowiska. Maluchy z Hagi trafią do lasów porastających południowe zbocza gór. Pozostaną tam, aż dotrą do nich wieści o naszym zwycięstwie.

Biorę głęboki oddech i mówię dalej.

– Kiedy już wyzwolimy wszystkie obozy, ogniska rebelii wywabią armię Aureka z jego zamku. A gdy rozpocznie się właściwa walka, zejdziemy do Lortune, skąd przedrzemy się do zamku i uderzymy bezpośrednio w Śpiącego Księcia.

– Ale mówiłaś, że mamy dwa księżyce – mówi Ymilla, która stoi obok Ulrina. – Ledwo minął jeden.

– Wiem. Jednak w obecnych okolicznościach nie możemy pozwolić na to, by dzieci pozostały w obozach. Gdy mieszczanie usłyszą, jaki los spotkał ich pociechy, to najpewniej napadną na porywaczy, zanim zdążymy się przygotować – skoordynować nasze działania w całym Lormere. A jeśli tak się stanie, stracimy jedyną szansę, żeby go zaskoczyć. Powinniśmy zaatakować jednocześnie, w każdym mieście o tej samej porze, i przeprowadzić całą akcję w sposób kontrolowany. Dlatego to musi wydarzyć się jutro.

W sali słyhać jedynie ciszę. Atmosfera przerażająco kontrastuje z wiwatami i oklaskami, które rozbrzmiewały tu podczas ostatniego spotkania. Po księżycach oczekiwania, zastanawiania się, wreszcie nadeszła ta chwila. Czuję unoszący się w sali smak strachu, gorzkiego i grudkowatego jak mięsz pomarańczy. Tak smakowały uczy z Helewys.

– Jeśli nie chcecie walczyć, zrozumiem – mówię, choć wcale tego nie planowałam, a Kirin gwałtownie się do mnie odwraca. – Nie mogę was prosić o to, żebyście za mnie umierali. Jeśli wolicie odejść i się ukryć, to nie będę was powstrzymywać. – Rozglądam się i od razu widzę, ilu z nich nie chce mi spojrzeć prosto w oczy. Tracę ducha, bo to jedyna siła, jaką dysponuję. Ale nie jestem ani Helewys, ani Aurekiem. Chcę, by mieli wybór.

– Kirin wyda wam resztę instrukcji. – Kirin potakuje. – Ty, Hobb, najlepiej znasz umiejętności naszych żołnierzy. Uformuj możliwie najsilniejsze drużyny i wyślij dziś wieczorem w drogę zwiadowców i posiłki. Pozostali mogą na razie wrócić do łózek. Zażyjcie odrobinę snu, jeśli zdołacie.

Nic już nie mówię, zostawiam ich w ciszy i milczeniu, które odprowadzają mnie za drzwi. Spodziewałam się, że zaraz po moim wyjściu wybuchnie powszechny gwar, ale nikt się nie odzywa.

Najpierw kieruję się do zbrojowni, żeby zdjąć zbroję, którą założyłam tylko

w celu uzyskania odpowiedniego efektu, a potem idę do laboratorium.

W korytarzu unosi się zielonkawy, gorzki aromat ziół, przez który marszczę nos. Pukam do drzwi i otwieram je, nie czekając na odpowiedź.

Panujący wewnątrz zapach przyprawia o mdłości, lecz Merek i Errin wydają się go nie zauważać. Oboje pracują osobno przy przeciwległych krańcach warsztatu, otoczeni podobnym zestawem narzędzi: paleniskiem, fiolkami, buteleczkami, kolbami, słojami proszków, flakonikami z przezroczystymi i niebieskawymi cieczami. Sklecieli jakiś tajemniczy system zbudowany z rur i menzurek oraz innych części, których nazw nawet nie znam.

Gdy wchodzę, Merek podnosi na mnie wzrok, ale na widok jego miny serce przestaje mi bić. Nie uśmiecha się, choć cała jego twarz płonie radością. Posyła mi nieśmiałe spojrzenie, ale później wraca do pracy, która go bez reszty pochłania, i uświadamiam sobie, że po raz pierwszy coś aż tak bardzo zmusiło go do oderwania ode mnie wzroku.

Podchodzę do Errin i widzę, że przygotowuje siarkę i rtęć. Tego w Konklawe nie widziałam.

– Prawie gotowe – mówi. – Jeszcze tylko trzeba poczekać, aż zredukuje się mandragora.

Kąciaki ust dziewczyny opadają.

– Co robi Merek?

– Sporządza Opus Magnum.

– Po co?

– Dla ofiar. To był pomysł Mereka. Przygotowujemy go w tajemnicy. Może Silas zechce go później użyć do pomocy ludziom – to jego sprawa. Nie zgadzam się z tym, ale, jak powiedział Merek, decyzję powinien podjąć sam Silas.

Kiwam głową. Sprytne rozwiązanie, powinnam była sama o tym pomyśleć.

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Jeśli chcesz... – Przesuwa się wzdłuż blatu i zagląda do garnka na szczycie małego paleniska, marszcząc nos i przybierając groteskową minę. – Niewiele nam brakuje. Co pamiętasz z ostatniego razu?

Patrzę na Mereka przy drugim końcu stołu. W skupieniu wrzuca żółte płatki kwiatów do ceramicznej miseczki, a następnie dodaje sześć kropli płynu, w którym rozpoznaję ich tonik spagiryiczny.

– Tę część pamiętam – odpowiadam.

– Tym razem zobaczysz wszystko, bo wykonujemy czynności w odwrotnej kolejności. Zamierzamy zacząć od rtęci i siarki. Silas podpalał je i zbierał dym, ale my musimy je ugotować i zebrać parę.

– Ach tak – odpowiadam, choć wszystko już mi się płące.

Errin zdaje się jednak doskonale wiedzieć, co robi. Podnosi dwa kamienne naczynia, pełne żarzących się kamieni, i za pomocą szczypiec wkłada bryłki do dwóch kociołków z wodą. Czerwona rtęć trafia do jednego, a żółta siarka do drugiego. Przykrywa kociołki pokrywkami z wystającymi rurkami, które łączą się z kolbami.

– To mój projekt – mówi z dumą, kiedy wpatruję się w aparaturę. – Nagromadzona para zamieni się w ciecz, która spłynie do kolb.

– Świetnie – mówię, a ona wybucha śmiechem.

– Dziękuję – odpowiada. – Zanim redukcja mandragory się zakończy, czy mogłabyś zgnieść zwapniałą korę cisu na proszek? – Głową wskazuje tłuczek i moździerz. Podnoszę ciężki ubijak i zaczynam ugniatać.

Wszyscy we trójkę pracujemy w ten sposób przez następną godzinę. Merek jako pierwszy kończy swoje Opus Magnum, bo nie musi czekać na żaden rezultat destylacji. Pomaga mi, przejmując tłuczek, kiedy moja ręka zaczyna drętwieć. Errin uważnie patrzy, jak na dnie kolby gromadzi się cienka warstwa czerwono-żółtej wody.

– W porządku – mówi. – Gotowe.

Pokój zdaje się wypełniać dziwny szum, ledwie słyszalny, a jednocześnie głośny. Okrywa nas niczym płaszcz. Nawet Stuan, stojący dotychczas bez ruchu przy drzwiach, zaczyna to czuć i siada wyprostowany.

– Wzniescie modły do swoich Bóstw – mówi Errin. A potem zaczyna. Przyciąga do siebie białą miskę i dodaje czerwono-żółty roztwór. Gdy miska spoczywa ponad paleniskiem, dziewczyna sięga po pozostałe składniki:

mandragorę, mąkę, kwiaty, tonik, wodę anielską. Wykonuje przy tym dobrze wymierzone, precyzyjne ruchy. Merek chłonie wszystko wzrokiem, ma skupiony wyraz twarzy, a ja czuję nagły przypływ radości, że może widzieć i robić to, co zawsze chciał. Biorę go za dłoń, a on obejmuje moje palce swoimi, nie odrywając wzroku od zabiegów alchemicznych.

Wreszcie Errin odwija kawałek papieru, odsłaniając drobinki kryształów. *Sal Salis*. Sól z soli.

Spogląda na nas, a ja, wstrzymując oddech, patrzę, jak posypuje nimi miksturę.

Sama nie wiem, czego się spodziewałam, jednak nic się nie dzieje.

Z ust Mereka wypływa długi, niepewny śmiech, który dowodzi, że i on czekał na jakąś reakcję.

– Opus Magnum nie ulegnie transmutacji, dopóki nie zostanie dodana do niego krew – wyjaśnia Errin.

– Oczywiście – mówię, zakasując rękaw. – Powinam usiąść?

W głosie Errin czuję wahanie.

– Jest pewna sprawa, o której muszę ci powiedzieć. Coś, czego nie wie nikt poza alchemikami.

Merek, który wciąż ściska moją dłoń, przysuwa się bliżej.

– Co to jest? – pyta.

Errin bacznie nas obserwuje.

– Mów – zachęcam ją.

– Po pierwsze, należy wiedzieć, że prawie cała potęga alchemii pochodzi z krwi alchemika – wyjaśnia Errin, a ja kiwam głową, bo już o tym wiem. Tak mawiała moja matka. Errin skupia wzrok na Mereku. – To krew jest składnikiem aktywnym. Elikzir staje się Eliksiem dopiero po dodaniu krwi Silasa. Wcześniej pozostaje jedynie Opus Magnum, miksturą bazową. Podobnie rzecz się ma z Opus Mortem. Jest trucizną, owszem. Potrafiłaby zabić każdego śmiertelnika. Ale to krew Twylli zamienia tę substancję w truciznę zdolną zabić Aureka. Rozumiecie?

– Tak mi się wydaje – odpowiada Merek.

– Dobrze. Jaki według ksiąg jest nadrzędny cel alchemii?

– Transmutacja metali bazowych w inne substancje – wylicza Merek. – Zamiana ołowiu i żelaza w złoto z wykorzystaniem Opus Magnum.

– A jeśli substancją czynną w Opus Magnum jest krew...

– W ludzkiej krwi jest żelazo.

Errin potakuje.

– Właśnie. Dlatego zawsze, gdy alchemik pracuje, gdy miesza swą krew z Opus Magnum, zmienia ją. Zmienia się też kawałek jego samego. – Zawiesza głos. – Wszyscy alchemicy są przekłęci. Klątwę aurumantów nazywa się Citrinitas, czyli żółknięciem. Zamienia ona część ich organizmu w złoto. Prawdziwe złoto. Nie mają pojęcia, która to będzie część, do czasu przeprowadzenia zabiegu alchemicznego. Może to być palec, paznokieć... organ wewnętrzny...

Wtedy pojmuję. Myśl o szeregu potencjalnych konsekwencji uderza we mnie jak fala powodziowa.

– O Bogowie. – Żołądek prawie podskakuje mi do gardła. – Zaraz... Silas...?

– Klątwa filtromantów nosi nazwę Nigredo. Najwyraźniej powoduje obumieranie ciała. Proces gojenia boli. Choroba zaatakowała jego dłonie. Jeśli Silas wciąż będzie praktykował, Nigredo przejdzie na stopy. Wciąż może używać rąk, ale z trudem. Wraz z kolejnymi eksperymentami jego stan będzie się pogarszał.

– I sądzisz, że jeżeli Twylla doda swojej krwi do Opus Mortem, to dosięgnie ją klątwa? – Merek wypowiada swoje myśli na głos, a ja patrzę na Errin.

– Te klątwy nie są dla niej niebezpieczne. Nie jest ani filtromantką, ani aurumantką.

– Kim w takim razie jestem?

– Nie wiem. Nikt jeszcze nie wymyślił na to odpowiedniego słowa.

– Kiedy zamierzałaś nam o tym powiedzieć? – Głos Mereka jest szorstki i wyrazisty. Kontrastuje z moimi odczuciami.

– Nie było większego sensu, dopóki nie mieliśmy potrzebnych składników.

Merek ściska moją rękę, zadając mi ból, więc się od niego odsuwam. Robi urażoną minę, po czym wbija wzrok w Errin, jakby i to była jej wina.

– Merek – mówię łagodnie, a on się do mnie odwraca. – Muszę to zrobić, czy tego chcę, czy nie. Rozumiesz, prawda?

– Ale nie wiemy, co może się wydarzyć. Istnieje ryzyko... – Przełyka ślinę.
– Powiedz jej – żąda od Errin. – Powiedz jej, że to może poczekać do czasu, aż na spokojnie wszystko przemyśli i dokona właściwego wyboru.

Errin spogląda na mnie bezradnie.

– Jeżeli naprawdę chcesz...

– Oczywiście, że nie chcę. – Choć chcę, odrobinę, rozumiem również, że nie mogę, nie do końca. Ale wiele dla mnie znaczy, że pozwalają mi zdecydować. Że Merek daje mi czas na dokonanie wyboru. Podnoszę na niego wzrok. – Decyduję się na to – mówię głośno. – Mając świadomość, z czym to się wiąże. To nie jest wina Errin. Przestań na nią krzyczeć.

– Wiem. – Wygląda na tak nieszczęśliwego, że ujmuję go za dłoń i przytulam ją do twarzy.

– Nic mi się nie stanie.

Pochyliła się, przysuwając swoje czoło do mojego, kładąc moje dłonie na swoich.

– Obiecuj mi.

– Obiecuję.

– A jeśli stanie się inaczej?

– Wtedy, przy odrobinie szczęścia, będziesz zbyt zrozpaczony, żeby się wściekać na to, że kłamałam.

Wzdycha, rozbawiony pomimo ponurego nastroju.

– Zostanę z tobą.

Przymykam oczy na sekundę, po czym odsuwam się od niego i zwracam ku Errin.

– Zgoda.

Podaje mi mały kozik. Podczas gdy ja i Merek rozmawialiśmy, ona zdążyła rozlać miksturę do siedmiu fiolek.

– Jedna kropla krwi do każdej – mówi. – Musisz nakłuć palec i poczekać, aż krew się zbierze. Wtedy przycisnęę fiolkę i pozwolę im się zmieszać.

Potakuję. Siedem fiolek – siedem szans na zamordowanie księcia.

– Czy taka ilość jest naprawdę konieczna? – pyta Merek, a ja go uciszam.

– Gotowa? – pyta Errin.

Nagle myślami wracam do Komnaty Zwierzeń. Czekam, aż Rulf zbierze moją krew. Jakie to dziwne, że do tego doszło. Jakie to osobliwe, że jestem właśnie tutaj i oddaję krew na trującą miksturę. Jak podobne i odmienne jednocześnie.

Półprzytomna biorę nóż i wykonuję pierwsze nacięcie.

Wsysam powietrze przez zęby. Zapomniałam, jak bardzo to boli. Wszyscy patrzymy, jak krew z maleńkiego nacięcia pęcznieje. Robi się karmazynowa i na sekundę przed ulaniem Errin przystawia do ranki pierwszą fiolkę i przechyla ją tak, żeby krew zmieszała się z Opus Mortem przy skaleczeniu. Trucizna robi się krystalicznie biała i Merek, który wpatrywał się we mnie tak intensywnie, jakbym była posiniaczona, sapie i zasłania twarz rękoma.

– O co chodzi? – pytam, a moje żyły wypełnia uczucie chłodu. – Co mi się stało?

Errin podnosi na mnie wzrok.

– Twoje włosy.

– Nie wyłysiałam? – Dotykam włosów i ujmuję kosmyk. – Ach...

Gruby kosmyk zmienił kolor na biały, jak u Silasa, jak u Aureka. Szokująco kontrastuje z czerwienią. Ale mogło być dużo gorzej.

– Czy to wszystko?

Errin potakuje, a Merek opuszcza dłonie, powoli wydechając powietrze.

– To wszystko – mówi. – Wybacz. Tak bardzo... Dziękujemy Bóstwom. – Odwraca się i przeczesuje włosy dłonią.

– Czy coś cię boli? – pyta Errin.

– Nic. Z wyjątkiem skaleczenia. – Podnoszę wzrok na plecy Mereka i się uśmiecham.

– Dobrze. – Errin bierze głęboki oddech. – Następna fiołka.

Robię następne nacięcie, potem kolejne i jeszcze jedno. Merek znów przy mnie staje i kładzie mi dłonie na ramionach. Wykonuję siedem nacięć, kalecząc kolejne palce na obu dłoniach. Po każdym zmieszaniu krwi z miksturą palce Mereka zaciskają się na moich barkach, bo prawdopodobnie kolejny kosmyk moich włosów robi się biały. Szkoda, że nie mam przed sobą lusterka, by to oglądać. Nie poruszam się jednak, tylko obserwuję Errin, która koncentruje się na mieszaniu Opus Mortem z moją krwią, aż kończymy i do wszystkich fiołek zostaje wpuszczona krew.

– Przeżyłam – mówię, gdy Errin zakorkowuje ostatnią buteleczkę. Spogląda na mnie, a na jej ustach zarysowuje się już uśmiech. Widzę jednak, jak spływa z jej ust niczym woda po szybie. Jakby w zwolnionym tempie widzę, że fiołka, którą trzymała, wyslizguje się z jej dłoni. Wykonuję nawet ruch, żeby ją złapać.

– Twoje oczy – mówi, nawet nie patrząc na miksturę, kiedy fiołka rozbija się na podłodze i wszędzie wycieka z niej płyn.

Merek natychmiast doskakuje do mnie i też się wzdryga.

– Co się stało z moimi oczami? – Mój głos jest zbyt głośny, zbyt piskliwy.

Stuan postępuje krok do przodu i zastyga w bezruchu, kiedy mnie dostrzega.

– Co się stało z moimi oczami? – powtarzam. Wciąż widzę tak dobrze jak kiedyś.

Stuan podchodzi jeszcze bliżej, obnażając swój miecz.

Merek staje naprzeciwko mnie, jakby w obronnej pozycji, lecz Stuan wstrzymuje go gestem jednej dłoni, a drugą podaje mi rękojeść miecza.

– Patrz – mówi i wyciąga przed siebie błyszczącą powierzchnię klingi.

Odpycham Mereka. Sięgam po ostrze, ujmuję je delikatnie i unoszę na wysokość twarzy.

Nie tylko moje włosy zmieniły barwę. Oczy, niegdyś zielone, są teraz zupełnie białe.

Rozdział 24



Wszyscy troje wpatrują się we mnie z mieszaniną obrzydzenia, szoku i fascynacji.

– Nie gapcie się tak – żądam i rzeczywiście się odwracają. Znowu podnoszę miecz i przyglądam się własnym oczom. Źrenice zniknęły i muszę przyznać, że efekt jest naprawdę niepokojący. Zbielałe źrenice, przy bladej, piegowatej twarzy i bezbarwnej burzy okalających ją loków, sprawiają, że wyglądam potwornie. Jak nieboszczyk.

– Cudownie. Co pomyślą inni, kiedy to zobaczą? – pytam. – Już są przerażeni. A teraz te zbielałe włosy i oczy!

– A gdybyśmy wykorzystali Daunen? – pyta Errin, podczas gdy Stuan spogląda na mnie z jawnym niesmakiem. Krzyżujemy spojrzenia i natychmiast odwraca wzrok. – Czy nie możemy założyć, że ma to z tym związek? Że to jakiś... znak błogosławieństwa?

Spoglądam na Mereka, który, trzeba mu to przyznać, nie wzdryga się.

– To jest możliwe... – mówi.

– Ale?

Nabiera powietrza w płuca.

– Zawsze przysięgałem, że będę postępował inaczej niż moja matka. Nie zamierzam narzucać ludziom Bóstw. Jeżeli ludzie chcą w nie wierzyć, to ich wybór, ale według mnie sugestia, że zwyciężymy dzięki wcielonej Bogini, może przynieść odwrotny skutek. Pragnę, by ludzie sami decydowali, w co wierzyć.

Uśmiecham się do niego, a on nie odrzuca mojego spojrzenia. Po moim żołądku rozlewa się ciepło.

Errin znacząco odchrząkuje.

– Cóż, przedyskutujemy to rano. Zresztą wszyscy są już pewnie w łóżkach. Jest późno. A raczej wcześniej – mówi, gasząc ogień i sprzątając składniki. Merek odwraca się, by jej pomóc, a ja znowu spoglądam na swoje odbicie.

– Myślę, że chwilowo najlepiej je czymś zakryć – sugeruję. – Pojawi się wiele pytań, a ludzie już teraz są nerwowi.

– Hełm – mówi Merek, podając Errin kolbę. – Otwory na oczy zasłonimy jakąś siatką.

Potakuję.

– Powinno zadziałać. Będziemy też musieli trzymać mnie z dala od dzieci.

– Aurek będzie mile zaskoczony. – Errin odwraca się z uśmiechem. – Gdy już go zaatakujesz z białkami na wierzchu i obnażonymi zębiskami.

Spod zmrużonych powiek posyłam jej nowo nabyte perłowe spojrzenie.

– Właśnie tak powinnaś wtedy patrzeć – dodaje wesoło.

– Oby przyniosło zamierzony efekt.

Prędko i wprawnie kończą porządki i Errin odkłada Opus Mortem do małego drewnianego pudełka, które bierze w ramiona, po czym patrzy na mnie wyczekująco.

– Powinniśmy chyba zażyć trochę snu – mówię.

Zapada niezręczne milczenie i nikt do końca nie wie, co powinien zrobić ani gdzie pójść. Ciszę przerywa Errin.

– Cóż, Stuan, pora, żebyś związał mnie na noc.

Stuan parska wściekle, a Errin mruga do mnie porozumiewawczo i dumnie wychodzi z pokoju. On idzie za nią jak mały szczeniaczek.

– Chodź – mówi Merek, podając mi dłoń. Towarzyszące dotykowi uczucie jest jednocześnie naturalne i niezręczne.

Powoli, w milczeniu, przechodzimy korytarzem przy kwaterach kobiecych. Nikogo nie dostrzegamy, słyszymy jedynie dobiegające zza zasłon odgłosy snu. Kiedy docieramy do mojego – naszego pokoju, rozsuwa przede mną kotarę, a ja w ostatniej chwili przypominam sobie, że Nia wróciła, i spodziewam się ją tutaj zastać. Ale pomieszczenie jest puste. Żołądek przygniata mi coś ciężkiego. Jesteśmy sami.

Gdy Merek wchodzi za mną do środka, czuję się dziwnie obecna, bardziej w swojej skórze niż kiedykolwiek wcześniej. Zazwyczaj pracuje w laboratorium do tak późna, że kiedy wraca do pokoju, ja już śpię. Widzę go dopiero, gdy wybudzam się z nocnych koszmarów.

Kiedy słyszę ponowne poruszenie zasłon, mam wrażenie, że mnie zostawił, i odwracam się spłoszona, ale on ponownie wchodzi, ze świeczką zapaloną od pochodni w korytarzu.

Stawia ją na stole przy łóżku i podnosi na mnie wzrok. W jasnym blasku płomienia dostrzegam jego wygłodniałe spojrzenie.

– Jeśli wolisz, żebym wyszedł, to zrozumieć – mówi.

Potrząsam głową, usta prawie mi wyschły na wiór.

– Nie miałabyś nic przeciwko, gdybym się tutaj przespał?

Ponownie potrząsam głową.

– Twyllo...

– Nie mam nic przeciwko, żebyś został – udaje mi się wykrztusić głosem, który brzmi, jakby był o całe wieki starszy ode mnie. I dodaję: – Chcę, żebyś został.

Przeszywa go dreszcz, ale stoi nieruchomo. Obserwuje mnie tylko.

– Chyba że wolisz wyjść? – Świta mi w głowie myśl, że być może prosi o pozwolenie na wyjście. Że chciał mnie tu tylko odprowadzić, a potem odejść. – Jeśli chcesz, to oczywiście powinieneś.

– Nie, nie tego chcę. – Jego głos jest niski, pełen zażyłości. Takim głosem mówi się w sypialni.

Kiedy wyciągam rękę, podchodzi do mnie, ujmuję ją i przyciska do klatki piersiowej, a później do policzka. Delikatnie ją odsuwam i sięgam za dolny skraj jego koszuli, którą ściągam mu przez głowę. Podnosi rękę, żeby mi pomóc, po czym upuszczam jego ubranie na ziemię. Teraz kolej na spodnie. Odpinam pasek i rozplątuję sznureczki, a spodnie zsuwają się w dół wąskich bioder, lądując u jego stóp. Wychodzi z nich.

Teraz on ściąga moją koszulę, rozsznurowuje mi spodnie. Rozbieramy się dalej, moje palce delikatnie muskają jego skórę, ale nie zwlekają, niczego nie szukają. Kiedy upuszcza mój podkoszulek na podłogę, patrzymy na siebie. Jesteśmy nadzy, nasza skóra subtelnie lśni w przygasłym blasku świateł.

Ujmuję moją twarz w dłonie i składa pocałunek na ustach. Długo nie odrywa od nich warg. Skóra jego klatki piersiowej muska mnie jak ciepły szept. Potem bierze mnie za rękę i prowadzi do łóżka. Sam wchodzi pod okrycie, a później mnie pod nie wciąga. Układam się na nim, gdy opiera plecy o materac. Kiedy przytulam głowę do jego ramienia, on jedną rękę kładzie mi na plecach, a drugą obejmuje talię. Dłonią dotykam jego piersi. Czuję, jak bije mu pod nią serce. Zaplatamy swoje nogi. Bez słowa kładziemy się razem i tulimy jak kociaki. On pragnie mnie, a ja jego. W dolnych rejonach brzucha pojawia się ukłucie. Serce brzeka jak struna harfy. Ale żadne z nas nie robi nic więcej. Dłoń spoczywająca na moim ramieniu przesuwa się wyżej i głaszcze mi włosy, przechyla głowę. Na moim czole delikatnie ląduje pocałunek po pocałunku.

Odwracam się i całuję zagłębienie pomiędzy jego karkiem a ramieniem. Wdycham jego zapach.

Wtedy, po raz pierwszy od czterech tygodni, zasypiam i śpię spokojnie w ramionach króla Lormere.

Budzę się sama i wstaję tak szybko, że kręci mi się w głowie.

Merek jest ubrany i siedzi na łóżku Nii – swoim – trzymając w dłoni kubek, ponad którym unosi się para. Patrzy na mnie i mruga, odruchowo wystraszony

widokiem moich oczu, ale później jego spojrzenie wędruje niżej. Uśmiecha się tak, że w dół mojego kręgosłupa spływa chłodny dreszcz.

– Miły poranek – witam go.

– Miłe popołudnie.

– Naprawdę? O Bogowie... – Zasłaniam klatkę piersiową prześcieradłem i zrzucam nogi z łóżka.

– Nie przejmuj się, Twyllo. Wszystko jest pod kontrolą. Nadzieja, Nia i Kirin wstali o świcie i przygotowali wszystko zgodnie z twoimi wytycznymi. Zwiadowcy i ich pomocnicy zostali wysłani na swoje placówki. Kirin sporządził listę osób, które dziś wieczorem wyjadą, a to dość liczna grupa.

Mrugam, przeszyta uderzeniem irytacji.

– Sama powinnam była się tym zająć.

– Dobry przywódca deleguje obowiązki. – Odkłada kubek i podchodzi do mnie. Materac ugina się pod ciężarem jego ciała, przez co mimowolnie w niego wpadam. – A ty to zrobiłaś. I wszystko poszło sprawnie. Moje gratulacje.

Tłamszę irytację i przywołuję nieśmiały uśmiech.

– Kto jedzie dziś wieczorem? – pytam.

Przesuwa kciuk po moim obojczyku, na moich rękach pojawia się gęsia skórka.

– Kirin, Hobb, Breena, Ema, Ulrin... – recytuje listę imion. – Stuan i ja. – Całuje mnie w ramię.

– Czy Stuan nie zostaje tu z Errin?

– Nie. – Milknie. – Ty zostajesz.

– Co? – odsuwam się od niego.

– Posłuchaj, powiedziałem Nadziei o twoich oczach... Nie patrz na mnie w ten sposób, musiałem ją ostrzec, bo...

– Poszedłeś do niej, gdy spałam, żeby podyskutować z nią na mój temat?

– Twyllo...

– Zamknij się, Merek. – Prawie na niego warczę, a on się wzdryga. – Czy

chcesz mi powiedzieć, że po wszystkim, co się między nami wydarzyło, sam postanowiłeś o wszystkim zdecydować? Znowu? Wyszedłeś z mojego łóżka i za moimi plecami ułożyłeś strategię dla mojej armii?

– Twyllo, błagam...

– Wyjdź stąd! – krzyczę na niego. – Wyjdź.

Jego źrenice się rozszerzają, ale jest mi wszystko jedno. Z wciąż owiniętą wokół mnie pościelą wychodzę z łóżka i szukam ubrań. Na widok schludnie ułożonej na sekretarzyku garderoby wpadam w szal.

– Dlaczego jeszcze tu jesteś? – Odwracam się do niego, sięgając po koszulkę. – Idź sobie, ogłuchłeś?

Wtedy odchodzi.

Moja koszula rozdziera się pod pachą, kiedy nerwowo zakładam ją przez głowę. Ściągam ją i odrzucam w kąt pokoju. Sięgam po następną i ją też prawie rozszarpuję. Zakładam buty i jak wicher wybiegam z pokoju, pędząc przez korytarz w poszukiwaniu Nadziei, Nii i Kirina – podłych zdrajców!

Moje kroki głośnym echem odbijają się na kamiennych korytarzach. Są sygnałem ostrzegawczym dla wszystkich osób, które miałyby czelność przypadkiem na mnie wpaść. Wiem, gdzie są, gdzie się zaszyli, gdzie przeciwko mnie spiskują. Myślą, że jestem im już niepotrzebna? Że już odegrałam swoją rolę? Otwieram na rozcież drzwi do sali strategii i wszystkich ich tam zastaję, całą grupę zamierzającą wyzwolić dziś w nocy obóz. Nawet Errin tam z nimi siedzi. Odwracają się jak jeden mąż i patrzą, jak kipię ze złości.

– Jeśli uważacie... – Nie jest mi dane powiedzieć więcej, bo wszyscy zaczynają krzyczeć.

– Jej oczy! Jej oczy! – słyszę jęk Breeny.

– Jej włosy!

– Co jej się stało?

– Zamienia się w niego!

– Cisza! – W komnacie rozlega się głos Nadziei.

Natychmiast potulnieją, a Nadzieja mierzy mnie wzrokiem.

– Czy Merek powiedział ci o dzisiejszej nocy? – pyta.

Wzdryga się, kiedy rzucam mu wściekłe spojrzenie.

– Wyświadczył mi tę przyjemność – cedzę przez zęby.

Nadzieja w zadumie patrzy to na mnie, to na niego, po czym omiata wzrokiem całą salę, zmuszając mnie do zrobienia tego samego. Wszyscy, nie licząc Errin i Stuana, wbijają we mnie wzrok. Mają skrzywione usta i zaciśnięte dłonie. Nie potrafią ukryć odrazy. Ani strachu.

– Właśnie poznałaś jeden z powodów, dla których nie powinnaś uczestniczyć w wyzwalaniu dzieci – mówi cicho.

Ma rację. Trudno o lepszy dowód.

– Mogłabym założyć hełm – mówię, ale wiem, że jest już za późno.

– Co ci się, u licha, stało? – pyta Ulrin.

– Zeszłej nocy mieliśmy wypadek w laboratorium – odpowiada Merek. – Warzyliśmy mikstury lecznicze i coś jej bryznęło w twarz.

– I od tego jej włosy i oczy stały się białe? – pyta Ema. – Dlatego zbiegła? Proszę nie mydlić nam oczu, Wasza Wysokość. Sroce spod ogona nie wypadliśmy.

– Racja, to nie był wypadek w laboratorium – mówię, czując, jak zalewa mnie kolejna fala furii, gdy kucharka patrzy na mnie ze zniesmaczoną miną. Mityguję się, to nie jej wina. – Nie mogę wam opowiedzieć, co się wydarzyło, ponieważ nie mam do tego prawa, ale jeśli naprawdę wolicie, żebym dziś z wami nie jechała, to odstąpię.

– Nie chodzi o nas, dziewczyno, tylko o dzieci. – Ulrin mówi w imieniu wszystkich. – Jeśli cię zobaczą... Jeśli ta teoria o praniu mózgów jest prawdziwa, trudno je będzie przekonać, że stoimy po ich stronie. Nie wydaje mi się, by białooka kobieta przekonała je, że nie my jesteśmy tymi złymi. Jak długo efekty tego... *wypadku* zamierzają się utrzymać?

– Nie wiem. Pewnie tak już zostanie.

Ponownie słyhać pomruki, ale mowa ciała Stuana jest groźna. Czuję nagły przypływ sympatii do niego.

– Na pewno jednak Śpiący Książę złęknie się Bóstw – mówi wreszcie

Hobb, powtarzając słowa Errin z zeszłej nocy. – Jeśli zaatakujesz go z taką furją, z jaką tu dzisiaj wpadłaś, odda ci koronę i sam przebije się mieczem.

Kilkoro z nich się uśmiecha, Ulrin wybucha rechotem i wiem, że to koniec. Wszystko stracone. Nigdzie dziś w nocy nie jadę. Zostanę tutaj, niczym stęskniona księżniczka poczekam na powrót do domu swego księcia. Jak wcześniej.

Pragnę wyskoczyć z pokoju, zanim przestanę nad sobą panować i kogoś skrzywdzę. Pragnę wyjść do ogrodu i wbić paznokcie w grunt. Pragnę ukryć się w chatce Nadziei i wypłakać wszystkie łzy.

Chcę wydłubać głupie brązowe ślepia Mereka Belmisa, żeby nie patrzył na mnie tym swoim żalonym, błagalnym wzrokiem.

Ale niczego takiego nie robię.

– Opowiedzcie, jaki jest plan. – Zostawiam Stuana i zajmuję miejsce u szczytu stołu, pamiętając, by w każdym utkwic białka swoich oczu i nie odwracać wzroku, gdy będą się wzdrygać. – Opowiedzcie o wszystkim. Chcę poznać każdy najmniejszy szczegół.

Gdy gromadzą się wokół stołu i Kirin zaczyna mówić, atmosfera robi się lżejsza.

Merek stoi przy drzwiach, ale może sobie wejść albo iść się utopić, wszystko mi jedno.

Ponieważ połowa naszych oddziałów ukradkiem przemierza kraj, żeby zająć pozycje przed ostatecznym rozstrzygnięciem, postanawiam przenieść pozostałych we wspólnocie mieszkańców do kobiecych kwater. Zwalniam w ten sposób męskie cele, w których zostaną ulokowane dzieci. Pokoje będą zatłoczone, ale dzieci i tak będą miały tu lepiej niż w górach. Podczas gdy wszyscy idą przenieść swój dobytek, ja wracam do stołu i ponownie spoglądam na mapę.

– Gdzie mam spać? – niskim głosem pyta Merek.

– Tam, gdzie ci wygodniej. Co mnie to obchodzi? – odpowiadam, nie troszcząc się o to, by zniżyć głos.

Czuję, że mnie obserwuje, i skupiwszy uwagę na Lesie Zachodnim, zaciskam zęby, żeby nic już nie mówić.

– Przepraszam – mówi i odsuwa się, zostawiając po sobie zimną pustkę.

Odprowadzam go wzrokiem i przypadkiem napotykam spojrzenie Errin. Kiedy unosi brwi, ja marszczę swoje i wracam do mapy, ze wszystkich sił usiłując skupić się na wyznaczonych trasach.

*

Wracamy razem późnym wieczorem i nie planując tego wcześniej, zgodnie udajemy się do kuchni, gdzie szatkujemy warzywa, podajemy sobie przyprawy i kroimy chleb na kolację. Zachowujemy się jak rodzina. Kiedy przychodzi pora na posiłek, siadam pomiędzy Errin i Stuanem, udając, że nie dostrzegam obecności Mereka. Robię z niego czarną owcę i wkrótce wszyscy mimowolnie się od niego odsuwają, rozumiejąc, że utracił moje względy. Przypomina mi się wszystko, co w swojej chatce powiedziała mi Nadzieja – o tym, że zostałam wybrana przez ludzi – ale jej słowa nie przynoszą mi teraz radości.

Wiem, że zachowuję się dziecinnie i że stoją przed nami obecnie dużo poważniejsze zadania, ale nie potrafię zdusić płonącego we mnie ognia. Jemu i Errin ufałam najmocniej. Myślałam, że zna mnie i rozumie najlepiej ze wszystkich przyjaciół. Ale koniec końców zrobił dokładnie to samo co Lief i królowa. Postąpił tak samo jak moja matka. Podjął za mnie decyzję.

Pozbawił mnie szansy na uczestnictwo w realizacji własnego planu. Wydał rozkazy moim ludziom, wysłał oddziały bez konsultacji ze mną. Przejął nad wszystkim kontrolę. I na chwilę obecną nie mogę mu tego wybaczyć. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła.

Po spałaszowaniu całej kolacji i wylizaniu misek z sosu wszyscy odchodzimy przywdziać zbroje i duża sala szybko pustoszeje. Merek zwleka, próbując nawiązać ze mną kontakt wzrokowy, ale ja siedzę w środku towarzystwa, śmiejąc się i przekomarzając z innymi. Przechodzę od osoby do osoby, pomagając zapinać sprzączki i na życzenie podając ochraniacze i rękawice rycerskie. Przytulam ich, poklepuję po ramionach, nawet całuję Stuana w policzek. Merek stoi w kącie i samotnie zakłada zbroję; jak

w przypadku innych jest niedopasowana i złożona z przypadkowych elementów. Na nim wygląda jednak najbardziej przygnębiająco. Czy to dlatego, że jest królem i powinien być przyodziany lepiej, czy też dlatego, że pozostaje na uboczu – nie wiem.

Wreszcie są gotowi. Naraz zapada cisza i ludzie spoglądają po sobie.

– Powodzenia – mówię. Co tu jeszcze można dodać? – Wracajcie bezpiecznie. Wszyscy.

Stuan, Kirin i Hobb kłaniają się, pozostali kiwają głowami. Całe koleżeństwo zniknęło. Zastąpiły je skupienie i strach. Twarze stojących przede mną osób wyglądają młodziej i starzej jednocześnie – dostrzegam to zwłaszcza, gdy Nia uśmiecha się do mnie spod wyszczerbionego hełmu. Widzę w niej małą dziewczynkę i starą kobietę, w którą zamieni się w przyszłości. Odwracają się do odejścia. Errin i ja odprowadzamy ich pod same drzwi.

Gdy zaczynają niknąć w mroku nocy, wołam z powrotem Mereka, wcale tego do końca nie planując.

– Merek. Zaczekaj.

Zatrzymuje się i odwraca, omiatając mnie niepewnym wzrokiem. Errin wraca do wspólnoty i zostawia nas samych. Podchodzę do niego, a on do mnie. Spotykamy się na środku sali. Przez dłuższą chwilę wpatruję się w niego, nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów. Kusi mnie, żeby go spoliczkować i odprawić.

– Wciąż jestem na ciebie wściekła – zaczynam.

– Wiem i...

– Dasz mi dokończyć? – pytam. W odpowiedzi potakuje i zwiesza głowę. – Wciąż jestem na ciebie wściekła. Ukradłeś mój plan. Powinieneś był mnie obudzić, żebym uczestniczyła w odprawie. To ja powinnam była wydać rozkaz wymarszu. Ciężko pracowałam na ich zaufanie, Merek. Nie masz pojęcia, ile mnie to kosztowało. – Unosi głowę z pytającym wzrokiem, ale nie pozwalam mu zadać żadnych pytań. – Wiem, że jesteś prawowitym królem Lormere, ale tu i teraz rządę ja. To moje królestwo. Moi ludzie. Przygotowanie tego planu wymagało wielotygodniowych zabiegów i treningów. Wiązało się z wieloma

niebezpieczeństwami. A ty odebrałeś mi nad tym wszystkim kontrolę. W ogóle się nie zastanawiając.

Kiwa głową, lecz nie spuszcza wzroku.

– Bardzo mi przykro, Twyllo. Zrobiłbym wszystko, żeby znów zasłużyć na twoje względy. I naprawić to, co zepsułem.

– Cieszę się, że tak myślisz – mówię. – Dlatego nalegam, abyś wrócił tu w jednym kawałku, żebym za karę uprzykrzyła ci jeszcze kilka kolejnych dni. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

Przez sekundę wydaje się zmieszany, ale szybko się uśmiecha. Na jego twarz występuje prawdziwy, szeroki uśmiech.

– Masz wiele do nadrobienia, Mereku Belmis – mówię. – Widzimy się rano. Dobrze?

– Wedle życzenia, pani. – Zgina się w ukłonie i ponownie uśmiecha, po czym biegnie za pozostałymi, którzy dość rozsądnie postanowili wyjść wcześniej.

Odprowadzam go wzrokiem, aż refleksy jego zbroi blakną, po czym zamykam drzwi.

W refektarzu nie ma nikogo. Bron i Dilys wrócili do łóżek. Ymilla prawdopodobnie również. Przechodzę przez kobiecy korytarz do mojego pokoju. Errin już tu nie ma, a ja jestem zbyt pobudzona, by się położyć, więc wracam do kuchni po wino i dwa puchary. Zabieram je do laboratorium, przekonana, że zastanę w nim Errin. Kiedy podchodzę bliżej, rzeczywiście słyszę, jak coś do siebie mruczy. Wbrew wszystkiemu zaczynam się uśmiechać.

Ale uśmiech na mojej twarzy zamiera, gdy coś w pokoju pęka i słyszę jej krzyk:

– Nie, błagam. Nie.

Przerażenie w jej głosie każe mi przyspieszyć kroku, dlatego wbiegam do pomieszczenia.

Errin stoi obok skrzynki z Opus Mortem. W dłoni ściska fiolkę, którą upuszcza na ziemię i przygniata podeszwą. Odpryski szkła i ciecz łączą się

w jedną masę. Podnosi na mnie zapłakaną twarz, ale sięga po następną fiolkę.

– Co ty wyprawiasz?

Spogląda na mnie i podnosi drugą kolbę, przechylając ją tak, żeby ciecz lśniła białym blaskiem.

– Coś się z nimi stało?

Upuszcza menzurkę na podłogę i rozgniata ją obcasem.

– Errin? Errin, przestań!

Podbiegam do niej w chwili, gdy chwytą trzecią fiolkę.

– Pomóż mi! – krzyczy, ale ciska we mnie Elikirem. Robię unik, a fiołka uderza we framugę drzwi i eksploduje.

– Pomyliłyśmy się – szepcze. – Trzeba było mnie dalej wiązać.

Symulakrum.

Upuszczam wino i puchary, po czym podbiegam do niej i wyrywam z jej dłoni skrzynkę. Ale ona i tak uparcie po nią sięga, dlatego uderzam skrzynką w jej wyciągnięte palce i wycofuję się w przerażeniu, przyciskając dwie ostatnie fiołki do klatki piersiowej.

– Musisz mnie ogłuszyć. – Chwiejnym krokiem rusza w moją stronę, deptając szkło pod stopami. – Błagam. Walnij mnie, zrób coś. Ja nie przestanę. Nie mogę.

Wycofuję się dalej, na szczęście słyszę dobiegające z zewnątrz kroki.

– Twyllo?

– Ymillo, dzięki Bogom! Słuchaj, musisz...

– Jest tutaj – mówi Ymilla, a w jej głosie słychać triumf. – Właśnie tu.

Errin orientuje się w sytuacji znacznie szybciej niż ja.

– Uciekaj – ostrzega, rzucając się w moją stronę i próbując unieruchomić mnie pomiędzy sobą a Ymillą. – Odepchnij mnie i uciekaj!

Kiedy znów spoglądam na Ymillę, obok niej stoi odziany w czerń Lief z opaską na prawym oku i liczącą pół tuzina osób eskortą.

– Ty bękarcie! – wydziera się na niego Errin. – Zaufałam ci. I tobie, suko, zdradliwa, knująca suko. Zapłacisz za to.

– Tak, zapłaci. – Lief odwraca się i gestem dłoni daje znak jednemu ze swoich siepaczy.

Ymilla próbuje się obrócić, lecz mężczyzna wbija w jej klatkę piersiową nóż.

– Nie próbujcie jej współczuć – uprzedza Lief. – Od tygodni donosi królowi Aurekowi. Napisała do niego z informacją, że Merek żyje i przebywa z tobą w tym zakonie. Zaoferowała, że będzie dla niego szpiegiem, jeśli Aurek pozwoli jej odzyskać tytuł i dom. Pechowo dla niej król Aurek nie lubi dwulicowych heter.

– A jednak tobie zaufał – mówię.

Twarz Lief'a mrocznieje.

– Bardzoś dowcipna. I bardzo bystra. Szkoda tylko, że jej nie przejrzałaś.

– Żadna ze mnie znawczyni charakterów – mówię.

Patrzę na leżącą na podłodze kobietę, z której ucieka życie i która porusza ustami jak śnięta ryba.

– Wybacz. – Odwracam się do Errin, po czym odpycham ją na bok i biegnę. Słyszę za sobą kroki, wiele kroków, i gnam w dół korytarza. Potem wybiegam na dziedziniec i pędzę do zbrojowni.

Tam zdejmuję miecz z haka i obracam się akurat w momencie, gdy do arsenału wchodzi Lief.

Unosi brwi.

– Naprawdę zamierzasz ze mną walczyć? – pyta.

Zamiast odpowiedzieć, obnażam miecz i kieruję ostrze na przeciwnika.

– Twyllo... – mówi.

Nie czekam, aż wyciągnie swój.

Atakuję go, ale ruchem ciała unika ciosu, a ostrze mija go o niecały centymetr.

– Twyllo – prosi ponownie. Uderzam go w prawe przedramię, bo z tej strony jego pole widzenia jest ograniczone. Brzeszczot nie przebija skórzanej rękawicy, ale trafia w cel, a to wystarcza, by Lief odskoczył w bok

i wyciągnął broń.

Próbuję rąbnąć po raz trzeci, lecz on z łatwością paruje cios płaską stroną ostrza, wprawiając mój miecz w wibracje, przez które prawie go wypuszczam.

Znów słyszę kroki i po chwili w drzwiach pojawia się dwóch jego ludzi. Patrzą po sobie, a jeden z nich krzywo się uśmiecha, co mnie rozsierdza. Czuję, że moje wargi wykrzywia furia.

Lief zerka przez ramię, a kiedy to robi, ja ryzykuję ostatni atak.

Tym razem jego miecz uderza w mój z taką siłą, że ostrze wylatuje mi z ręki i ze świstem prześlizguje się po podłodze.

W chwili gdy próbuję podnieść miecz, moją jedyną nadzieję, Lief chwytam mnie za rękę i obraca do siebie. Wyjmuje fiolki z lewej dłoni, w której wciąż je trzymam. Upuszcza je na podłogę i rozgniata pod butem.

– Nie! – krzyczę, pochylając się, jakbym chciała zebrać do kupy wszystkie resztki.

Pociąga mnie do wyprostowanej pozycji.

– To koniec, Twyllo.

– Merek... – szepczę.

– W pieczarach znajdzie więcej, niż się spodziewa.

Spoglądam na odłamki. Wszystko, nad czym pracowaliśmy, przepadło. Moi ludzie zmierzają prosto w pułapkę. Patrzą mu w oczy, ale on odpowiada niewzruszonym spojrzeniem.

– Proszę, proszę, oboje postanowiliśmy coś zmienić w swoim wyglądzie. – Macha mi dłonią przed oczami. – Ale ty wciąż jesteś piękna. O mnie nie można już tego powiedzieć.

– Idź do piekła – syczę.

Stojący za nim ludzie z bliska nas obserwują.

Lief się nachyla.

– Czy naprawdę uważasz, że jeszcze w nim nie jesteśmy?

Delikatnie całuje mnie w policzek. Odsuwa się, a sznurek przy jego opasce

drapie mi twarz.

Podnoszę rękę i go uderzam. Mocno. Następnie w pomieszczeniu rozlega się trzask i słyszę, jak jego ludzie wstrzymują oddech.

Ostatnie, co rejestruję, to dłoń i ostry ból skroni. Potem nie ma już nic.

Rozdział 25



Budzę się w doskonale znanym sobie miejscu. Początkowo mam wrażenie, że czas cofnął się o pół roku, a ja trafiłam tutaj, ponieważ Helewys przyłapała mnie z Liefem i kazała przewlec przez korytarze na oczach wszystkich poddanych. Wtedy moja głowa boleśnie pulsuje i wszystko sobie przypominam. Loch śmierdzi tak samo: jest mokry, zatęchły, gryzący jak lisia nora. Powietrze wciąż jest wilgotne i zimne, a temperatura podobna do tej panującej w lecie. Podejrzewam, że siennik, na którym leżę, też jest ten sam.

Siadam i próbuję zorientować się w położeniu, a kiedy się poruszam, słyszę dobiegający z ciemności pomruk.

– Ach, odczep się – syczę na bestię.

Z cienia wydobywa się niski chichot i słyszę dźwięk rozpalanej hubki.

W blasku iskier przed zapaleniem ognia widzę błysk bieli i dwie złote źrenice – niczym ślepią zwierzęcia lśnią pomiędzy prętami celi. Potem świeca odsłania oblicze Aureka, Śpiącego Księcia.

Najwyraźniej siedział przed celą w ciemnościach, czekając, aż się obudzę, choć nie mam pojęcia, jak długo pozostawałam nieprzytomna. Obok niego leży

jeden z psów Helewys. Książę trzyma swoje smukłe palce na głowie zwierzęcia.

– Witaj, Twyllo – mówi głosem pięknym i urzekającym. Takim go zapamiętałam. – Długo czekałem na spotkanie z tobą.

– Aurek.

– Tak, to ja. – Podnosi świecę i patrzy mi w oczy. – Spałaś bardzo długo. Obawiałem się, że Lief uderzył cię zbyt mocno. Walnął cię w skroń. – Unosi rękę do głowy i stuka nią w bok czoła, a jego srebrzyste włosy aż drgają pod wpływem tego ruchu. – To było niebezpieczne – ciągnie. – W przyszłości musisz uważać. – Nachyla się i świdruje mnie wzrokiem, przekrzywiając przy tym głowę jak ptak. – Nie wiedziałem, że masz białe oczy. Lief mi o tym nie mówił. Podobają mi się. Wyglądają, jakby ktoś wydlubał gałki oczne i zastąpił je perłami. – Milknie, jakby czekał, aż podziękuję mu za komplement. Gdy staje się oczywiste, że to się nie stanie, kontynuuje: – Być może właśnie to zrobię z twoją czaszką, gdy całe twoje ciało wreszcie zgnije. W oczodoły włożę perły, a usta tak ci naszpikuję rubinami, że będą z nich wypływać.

Twarz mam nieruchomą jak kamień.

– Z twoich żeber każę sobie zrobić koronę – ciągnie. – A z kości udowej berło.

– Mało mnie interesuje, co zrobisz z moim szkieletem. Po śmierci do niczego mi się nie przyda.

Śmieje się ponownie. Ten dźwięk jest pogodny i radosny, wypełnia echem cały loch.

– Wszyscy kazali mi wierzyć, że jesteś potulną, cichutką istotką.

– Kiedyś taka byłam.

Patrzy na mnie. Odpowiadam tym samym – podczas gdy on omiata moją sylwetkę spojrzeniem, ja robię to samo. Zza panelu w świątyni kości widziałam bardzo niewiele, ale teraz dostrzegam podobieństwo do Silasa, zadziwiające podobieństwo. Gdyby Silas zapuścił włosy albo Aurek obciął swoje, mogliby uchodzić za braci. Jest przystojny, jak Silas, ale bardziej wymuskany, wygładzony. Tak jak niegdyś Merek. Bijący od niego blask

władzy jest pozorny.

– Nie, Liefowi by się to chyba nie spodobało – mruczy wreszcie, a nasze spojrzenia się krzyżują.

– Co?

– Gdybym cię wziął do łóżka.

– Obawiam się, że musiałbyś chędożyć trupa – odpowiadam zimno.

– Jako pannę młodą, głupia – mówi. – W twoich żyłach płynie królewska krew. Tak jak w moich. Ciekawe, jakie spłodzilibyśmy dzieci. Wszystkie moje bękarty zawsze były aurumantami. Potrafię robić złoto, ale i dawać życie. Z tobą... zastanówmy się. Ja daję życie, twoja krew, jak w przypadku twoich przodków, odbiera moc Eliksirowi. Być może więc nasze dzieci potrafiłyby wskrzeszać zmarłych. – Wpada w zadumę, a ja staram się powstrzymać drżenie. – Spłodzilibyśmy małych nekromantów. Wtedy moglibyśmy podbić wszystko. Mieliby srebrne oczy... – Uśmiecha się. – Wyobraź to sobie.

Odpycham od siebie jego przerażające słowa.

– Czy w tym celu tu przyszedłeś? Żeby zaproponować mi rozejm? Chcesz wziąć ze mną ślub i wszystko to zakończyć?

– Lief mówił mi kiedyś, że zamierzałaś być królową. A ja potrafię uczynić cię królową natychmiast. Dzięki Eliksirowi pozostaniesz królową na zawsze. Jeśli spłodzimy filtromantów, nigdy nie będziemy musieli się martwić o wyczerpanie zapasów.

Wbijam w niego wzrok, nie potrafiąc ukryć niesmaku, ale on jest tym szczerze zaskoczony.

– Czy naprawdę jest to dla ciebie tak odrażający pomysł? Oferuję ci szansę na przeżycie.

– Och, jestem całkowicie zniesmaczona. Ale... – zawieszam głos – w pewnym sensie przyjmuję twoje słowa z radością.

Mruży te swoje złote oczy.

– Co masz na myśli?

– Doświadczenie podpowiada mi, że zwycięzcy nie dobijają targów – odpowiadam. – Nie muszą. A to dowodzi, że nie wszystko potoczyło się po

twojej myśli.

Przez chwilę jego twarz tężeje i jest pozbawiona wyrazu.

– Dziwne, że mówisz coś takiego, siedząc w celi.

– Jest ktoś, kogo nie zamknąłeś w celi?

– Wolałem chyba dawną Twyllę – mówi Aurek. Niespodziewanie zrywa się na równe nogi. – Daję ci ostatnią szansę. Dołączysz do mnie?

– Udało im się uciec, prawda? – Moje usta wykrzywają się w uśmiechu, który nie ma nic wspólnego z radością. – Reszta wspólnoty. Pokonali twoich ludzi.

– Każę ugotować w garnku twoje serce, a później zjem je z kawiozem i przepiórczymi jajkami – syczy Aurek przez zęby z demoniczną, wykrzywioną z wściekłości miną. – Pożrę je.

Nie spuszczać wzroku, zmuszam się do śmiechu. Głośnego. Przez sekundę mam wrażenie, że otworzy drzwi i zabije mnie na miejscu, ale on obraca się z furią, zabiera świecę i odchodzi z psem przy nodze, zostawiając mnie rechoczącą w ciemności.

Kolejny gość odwiedza mnie jakiś czas później. Nie jestem pewna, ile czasu upłynęło, ale spodziewałam się go. Kiedy dostrzegam migający na ścianie ogień, siadam i obserwuję nadchodzącego Liefę.

Nie umyka mi dramatyczna ironia całej sytuacji. Oto znowu siedzę w lochu, oto kolejny mężczyzna wpatruje się we mnie z zawodem w oczach. W oku, mówimy przecież o Liefie. Znowu uderza mnie świadomość, że historia zatoczyła pełne koło, że kręte drogi losu zaprowadziły mnie z powrotem do zamku Lormere, do trucizny, do zdrady.

– Gdzie jest Merek? – pytam, ponieważ z Liefem niczego nie muszę udawać. Przy nim zawsze byłam sobą – i właśnie ta świadomość najbardziej rozdziera serce.

– Nie wiemy – mówi. On przy mnie też nie musi udawać. Już nie. – Merek i jego ludzie wpadli w zasadzkę, o tym chyba wiesz. Niektórzy zginęli. Większość przeżyła. Ale my ich znajdziemy.

– Kto zginął?

– Nie wiem. – Jego oblicze się chmurzy. – Merek uciekł. Moja siostra też.

– A Nia i Kirin?

– Nie widziałem ich ciał.

– Co z dziećmi?

Twarz Liefy tężeje.

– Nie należę do twojego ruchu oporu, Twyllo. Nie muszę ci składać raportów.

– Nie. Raporty składasz Śpiącemu Księżu.

– Tak. – Potakuje. – Owszem.

– Czyli wygrali? Wstanie Świt wygrał? Uwolniliśmy je? Możesz mi to swobodnie zdradzić, twój *król* wiele już dał mi do zrozumienia. Zaproponował, żebym się do was przyłączyła. Została jego żoną. Urodziła mu dzieci. Byłabym wtedy twoją królową!

Oblicze Liefy pozostaje idealnie obojętne.

– Aurek miał najwyraźniej nadzieję, że odpowiem „tak”, że wystawię mu Świt na tacy. Musieli wywołać prawdziwe rozruchy.

– Nie ma już Świtu. Już po wszystkim. Odnajdziemy tych, którzy uciekli. Jakaś garstka renegatów jeszcze próbuje udawać rebeliantów, ale w dłuższej perspektywie nie ma to większego znaczenia, Twyllo. Kiedy ty zginiesz i kiedy Merek naprawdę będzie gryzł ziemię, nie będą mieli dla kogo walczyć. To będzie koniec.

Zwieszam głowę, jakbym chciała wyprzeć prawdę, ponieważ nie chcę, by się zorientował, że słyszę to, czego nie wypowiada na głos. Wszystkie słowa między wierszami. Powstanie mimo wszystko wybuchło. Jedno z miast wznieciło bunt, a może nawet wszystkie. To rozumiał przez „walkę dla kogoś”. Świt powstał. I być może wciąż Wstaje.

– Powiesz mi, gdzie jest Errin? – Celowo przybieram ton udęrczonej rezygnacji.

Działa, bo Lief odpowiada:

– Zamknęliśmy ją w celi. Daleko stąd. Też czeka na proces, ale Jego Łaskawość przyrzekł dla niej pobłażliwość w podzięcie za to, że dostarczyłem mu ciebie.

– Nigdy ci nie wybaczy.

– I tak nigdy by nie wybaczyła. Ale jest moją siostrzyczką. Bardziej zależy mi na jej życiu niż przebaczeniu.

– Po co tu przyszedłeś? – Patrzę na niego uważnie.

– Przyniosłem ci kolację. I suknię, którą założysz jutro. Chyba że wolisz, by wszyscy zapamiętali cię tak, jak tutaj stoisz. – Odkłada świecę, wystarczająco daleko, bym nie dosięgła jej przez kraty, i podchodzi do sterty na posadzce. Wraca i przesuwa pomiędzy prętami czerwony materiał, potem blaszaną karafkę wody i worek, w którym znajduje się, jak sędzę, jedzenie. Spoglądam na te rzeczy, a potem na niego.

– Jutro?

Potakuje. To logiczne. Zabicie mnie będzie ciosem dla rebeliantów. Im dłużej żyję, tym dłużej mają nadzieję.

– Będę twoim katem – mówi.

Czyżbym się przesłyszała?

– To najlepszy wybór – mówi, a ja tylko świdruję go wzrokiem. – Przynajmniej będę szybki.

– Zabijesz mnie?

– Wykonam na tobie egzekucję – poprawia.

– Widzisz jakąś różnicę?

Wykrzywia usta, prawie się uśmiechając.

– Nie. Wiesz, że nie ma żadnej. Przecież pamiętasz.

Nie przypominam mu, że w rzeczywistości nigdy nikogo nie straciłam. Po raz pierwszy, od kiedy się tutaj obudziłam, zaczyna ogarniać mnie strach. Patrzę na niego, na pokrytą bliznami twarz, opaskę na oku. Włosy ma krótsze. Ledwo go rozpoznaję.

– Czego użyjesz?

– Miecza.

Potakuję, jakbym spokojnie aprobowwała ten wybór, chociaż wewnątrz jestem roztrzęsiona.

– A jeśli mu powiem, że ocaliłeś mnie w świątyni kości? – pytam. – Co wtedy zrobi?

– Początkowo ogarnie go gniew. Ale ponieważ i tak siedzisz w lochu, rezultat jest ten sam. Już się stąd nie wydostaniesz. A dzięki tej zwłóce poznaliśmy tożsamość chmary rebeliantów, o których nie mieliśmy pojęcia, gdybyś została schwytana wcześniej. Sprawy potoczyły się dla nas pomyślnie.

– Jesteś jak kot, który zawsze spada na cztery łapy, Lief.

Uderza pięścią o pręty.

– Czyżby?

Nie rozumiem dlaczego, ale ze wszystkich słów, które dzisiaj skierowałam pod jego adresem, to zdanie rozjusza go najbardziej, co mnie zaskakuje, ponieważ do tego momentu pozostawał spokojny i opanowany. Niewzruszony. Teraz jednak widzę Lief, który krzyczał na mnie na schodach mojej wieży i pocałował mnie, który błagał, żebym mu wybaczyła. Oczy tego Lief, lśnią jak jutrzienka.

Biorę głęboki oddech.

– Ja tak to widzę.

– Czy kiedykolwiek pomyślałaś, że to wszystko przez ciebie? – mówi niskim, gardłowym głosem, a słowa wypływają z jego ust bardzo szybko. – Że gdybyś tylko... – Odwraca się, by spojrzeć przez ramię, a kiedy mówi dalej, jego głos zamienia się w półszep: – Nie spotkałbym go, gdybym był z tobą. Rzeczy potoczyłyby się inaczej, gdybyś mnie tylko posłuchała. To wszystko stało się z twojej przyczyny.

– A gdybyś ty nie konspirował, by mnie zniszczyć, żylibyśmy teraz w Tremayne z twoją matką i Errin – mówię. – Ty to zrobiłeś. Nam wszystkim.

Twarz mu pochmurnieje, przez sekundę widać wykute na niej uczucie straty. Potem odwraca się i odchodzi, bez odpowiedzi, bez ostatniego słowa. Pozostawia świeczkę, choć pewnie nie zamierzał. I znowu zostaję sama. Bez

żadnej nadziei na wydostanie się z tej kabały.

Sukienkę, którą przyniósł Lief, nosiłam w dniu, kiedy po raz pierwszy mnie pocałował. Wiem, że postąpił świadomie. To ostatni wymierzony mi policzek. Oczyma wyobraźni widzę, jak przeszukuje szafę, odnajduje suknię i uznaje, że to doskonały wybór. Ciekawe, czy to Aurek wyznaczył go na mojego kata. A może sam poprosił o taką szansę? Mną suknię w dłoniach.

A może zezłoszczę go i wcale jej nie założę? Nie, ma rację – nie chcę, żeby Lormerianie po raz ostatni widzieli mnie w podartej, umorusanej koszuli i starych spodniach. Być może ta śmierć się do czegoś przyczyni i pozostanę symbolem oporu. Zakładam suknię i z zaskoczeniem stwierdzam, że ciasno opina rękę i barki w okolicach mięśni, które wypracowałam podczas nauki walki. Przeczesałam włosy palcami i możliwie dokładnie obmywam twarz za pomocą odrobiny wody i starego podkoszulka. Drzę, gdy woda spływa pod stanik. Suknia jest zbyt cienka na tę pogodę, to letnia sukienka, a on nie przyniósł mi płaszcza. Nieważne, grozi mi śmierć, ale przecież nie od przeziębienia.

Po jakimś czasie, gdy już jestem przebrana i dopiłam przyniesioną przez Liefa wodę, zza rogu wyłania się czterech mężczyzn. Wchodzą do celi, jakbym była dzikim zwierzęciem. Gapią się na moje oczy, dźgają mnie mieczami, zmuszają do obrócenia się. Schlebia mi, że uważają mnie za takie zagrożenie. Postanawiam dać im to, czego oczekują, i odmawiam współpracy. Wreszcie któryś z nich uderza mnie w twarz, a potem wykorzystuje fakt, że dochodzę do siebie po ciosie, i wykręca mi rękę za plecy, a na koniec pęta nadgarstki.

Gdy już zostaję poskromiona, wyciągają mnie z lochów i wiodą w górę schodów. Pokonujemy kolejne stopnie. Do moich nozdrzy dociera zapach starego dymu, a kiedy wychodzimy na dwór, wita nas jasny zimowy poranek. Odwracam się i spoglądam na ruiny zamku Lormere. Dwie wieże wciąż stoją, ale połowa twierdzy i dwie kolejne wieże zostały zniszczone. Widok osmolonych w większości kamieni mimo wszystko mnie smuci. Strażnicy więzienni odciągają mnie tylko po to, by wepchnąć do ruchomej klatki ciągniętej przez osła. Nie sposób w niej usiąść, bo jest za ciasno. Miejsca

ledwo wystarcza na to, by stać. Kiedy wóz rusza, upadam na przęty i przygryzam język. Kiedy mężczyźni wybuchają śmiechem, spluwam na nich krwią. Potem wstaję, chwytam za kraty i rozglądam się wokół drogi prowadzącej pod główne wrota.

Na ulicy wiodącej na plac miejski nie widać żywej duszy. Wcześniej oglądałam zamkowe kaźnie, które zawsze przyciągały tłumy gapiów. Na egzekucje największych zbrodniarzy zjeżdżali ludzie z całego Lormere. Ale dzisiaj nie ma nikogo – tylko ja, mój wóz i strażnicy. Ciekawe, czy to Aurek zakazał ludziom udziału. Egzekucja bez publiczności jest pozbawiona logiki. Podnoszę wzrok na mijane domy i sklepy, bo skoro brakuje ulicznych gapiów, to ludzie zapewne wyglądają przez okna. Nie dostrzegam jednak nikogo. Miasto jest wymarłe.

Wiatr smaga plac miejski jak bicz. Sztandary z potrójną gwiazdą, które kazał postawić Aurek, dziko łopoczą, zahaczając o siebie nawzajem. Od razu przyciąga mój wzrok – siedzi samotnie na trybunie otoczonej przez cztery golemi. Ostentacyjnie rozsiadł się na tronie i ogląda swoje paznokcie. Jego strój ocieka złotem. Włosy ma związane w wystający spod korony krótki kucyk. To korona Mereka. Rozglądam się i widzę kolejne golemi. Liczę je: piętnaście. Dostrzegam piętnaście golemów.

Uświadamiam sobie, że jest przestraszony. Nie porusza się.

Potem rozglądam się po placu.

Czyli tutaj są ci ludzie, których nie widziałam na ulicach – setki. Wygląda na to, że kazał żołnierzom przywlec tu wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety z Lortune. Stoją ściśnięci ramię w ramię wokół podestu, na środku którego spoczywa gruby pień. Na pniu widać ciemne plamy. Nie potrafię powstrzymać drżenia.

Nikt z zebranych nie przyszedł tu z przyjemności: widzę osowiałe twarze, puste spojrzenia, zacięte usta. A jednak wszyscy stoją posłusznie i wpatrują się w pień. Więc w Lortune rebelia nie wybuchła! Wtedy ogarnia mnie przerażenie, że byłam w błędzie i powstanie nie wybuchło nigdzie. A jeśli Świt naprawdę umarł? Jeżeli moja droga dobiega końca tutaj?

– Nie – mówię do siebie. – Coś się wydarzyło, Lief prawie mi to wyznał.

A Aurek jest wystraszony. Jestem pewna. Gdyby wygrywał, nie złożyłby mi żadnej propozycji.

Kiedy drzwi klatki się otwierają, pogodnie z niej wychodzę i wyobraziwszy sobie, że mój szkielet jest z żelaza, odpycham od siebie strach. Przez całe swoje życie nie bałam się tak jak teraz, nigdy nie szalała we mnie tak gwałtowna burza emocji. Coś podszeptuje mi, żebym uciekała, albo przynajmniej spróbowała. Nie dam mu jednak tej satysfakcji. Gdy któryś z mężczyzn mocno chwyta mnie za rękę, przez tłum przebiega cichy syk. Do tej pory milczeli jak zaczarowani, nikt nie wiwatował, nie krzyczał, nie skandował imion. Nic nie mówili. Teraz ten cichy pomruk, ten akt buntu dodaje mi odwagi.

Tłum rozstępuje się, a ja ruszam w stronę podestu, krzyżując spojrzenia ze zgromadzoną cizbą – ludzie z lewej i z prawej strony serdecznie się do mnie uśmiechają. Kiedy ich mijam, szepczą „nasza pani” i pozdrawiają mnie skinieniem głowy. Moje białe źrenice nikogo nie straszą. Nikogo z nich nie obchodzi mój wygląd. Zamiast tego witają mnie uśmiechami i ukłonami, bije od nich sympatia i przywiązanie.

I wiem, że gdy przedstawienie dobiegnie końca, Aurek każe ich za to zaszlachtować.

Dochodzę do szczytu stopni i odwracam się do tłumu – przez cizbę przetacza się fala niskiego, gardłowego pomruku.

Przyjechał Lief. Cały odziany w czerń. Jego oblicze jest niewzruszone.

W dłoniach dzierży miecz – miecz Mereka.

Nie spogląda na mnie. Wchodzi na podest wolnym, ciężkim krokiem, jakby to jego skazano na śmierć. Uzmysławiam sobie, że właśnie tutaj wychłostał go Aurek. Bardzo możliwe, że stoję na plamach krwi z jego pleców.

Nagle strach, który wyparował, gdy uśmiechałam się do gawiedzi, wypełnia mnie ponownie.

Niedługo umrę.

Teraz. Z ręki pierwszego człowieka, którego pokochałam.

To niesprawiedliwe.

Patrzę na niego zdumiona i widzę w jego oczach coś na kształt ogników żalu.

– Każ jej uklęknąć – woła Aurek.

Lief patrzy na mnie, jakby oczekiwał, że zrobię to sama, ale potrząsam głową. Kładzie ręce na moich barkach i naciska na nie. Opieram się, ale on nie przestaje naciskać.

– Musisz uklęknąć – mówi. – Lepiej, żebyś przy tym nie stała. Proszę.

Stanowczość w jego głosie – uprzejmość – sprawia, że kolana uginają się pode mną, jakby topniały.

– Twyllo Morven, zjadaczko grzechów z Lormere! – woła Aurek donośnym, aksamitnym głosem. – Stoisz tutaj, by umrzeć za wszystkie zbrodnie popełnione przeciwko Domowi Tallith, zarówno przeszłe, jak i obecne. Twoja krew jest trucizną, a samo twoje istnienie budzi wstręt. Z tego powodu zginiesz, a twoje ciało zostanie zbezczeszczone jak trzewia bestii. – Milknie i rzuciwszy mi paskudne spojrzenie, podchodzi do przodu i opiera się o barierkę przy swojej trybunie, wpatrując się w tłum.

– Popatrzcie na nią, Jej Wysokość Marionetkę. Przyjrzyjcie się tej pacynce, złudnemu mirażowi bezpieczeństwa. Tej parodii przywództwa, słomie w starych gałganach. Temu strachowi na wróble, który próbował wypłoszyć wrony. – Robi krótką przerwę. – Dziś jej knowania dobiegną końca. – Głos Aureka rozbrzmiewa na placu. – Obdarzcie mnie lojalnością, obdarzcie mnie szacunkiem, a nie poskapię wam nagrody. Jestem dziedzicem najpotężniejszego królestwa, jakie widział ten świat. Mogę wam je ofiarować. *Ofiaruję* je wam. Całe jego bogactwo i dobrobyt są wasze. Otrzymacie ziemię wolną od przesądów. Wolną od głupoty. Wolną od słabości. Dzisiaj wszyscy razem ruszemy naprzód!

Obejmuje wzrokiem cały tłum, po czym kiwnięciem głowy daje znak Liefowi.

Lief kładzie moją głowę na pniu, na co mu pozwalam. Delikatnie obraca ją na bok, tak żebym nie widziała Aureka. Czuję w tym gościu dobroć – nie chce pozwolić, by ostatnią rzeczą, którą zobaczę, były złote oczy Aureka.

Jej Wysokość Marionetka. Strach na wróble, który stoi na polu sam jak palec z nadzieją spłoszenia wron.

– Powinnaś przymknąć oczy – mówi Lief.

– Nie. – Może i jestem ofiarą oszustwa, ale przynajmniej nie tchórzem. Pragnę do końca widzieć świat, który opuszczam.

Wzdycha, po czym marszczy brew. Pochyliła się i pociąga pęta krępujące moje nadgarstki, mocno je naprężając. Potem się wyprostowuje.

Wyężanie oczu tak mocno do boku boli, ale i tak patrzę, jak Lief wyciąga swój miecz i unosi go nad głowę. Spojrzeniem odprowadza ostrze i spogląda na niebo, po czym wbija wzrok prosto przed siebie. Czeka na pozwolenie Aureka.

Potem kiwa głową.

– Przepraszam – mówi.

Słyszę świszczący dźwięk i miecz zaczyna opadać. Mimowolnie przymykam oczy, to silniejsze ode mnie.

Moje powieki ponownie się rozwierają, gdy słyszę krzyki, agresywny, wściekły ryk i łomot za plecami. Prostuję się i odwracam.

Lief leży na plecach z podkulonymi kolanami, jego szeroko otwarte oczy wpatrują się w niebo.

Z klatki piersiowej sterczy mu strzała.

Odwracam się i zauważam Mereka, który stoi na dachu domu kupieckiego z łukiem w dłoni i kolejną strzałą na cięciwie.

– Uciekaj! – krzyczy, po czym wymierza łuk w Aureka.

Rozdział 26



Wpatruję się w Liefa, czekając, aż się poruszy, jęknie czy chociażby mrugnie. Ale pod jego ciałem rozkwita już ciemna plama. Gęsta czerwona ciecz rozlewa się kałużą po drewnianym podeście.

On nie może być martwy; kiedyś tak myśleliśmy, ale ewidentnie byliśmy w błędzie. Przecież to Lief. On...

Przesuwam się w jego stronę. W miejscu, w którym przed chwilą stałam, ląduje jakiś ciężar, który wprawia cały podest w drganie i sprawia, że się potykam. Kiedy lecę na deski, zauważam golema – pozbawionego rysów twarzy i pierwiastka prawdziwego życia – który wznosi nad głowę maczugę. Przewracam się na bok ułamek sekundy przed uderzeniem w podest pałką, spod której w powietrze wzlatają drzazgi. Niepewnie staję na nogach, ale golem ponownie się zamachuje, a ja, chcąc nie chcąc, spadam z podestu na ziemię. Ciężko ląduję na plecach i z trudem walczę o złapanie oddechu.

Nastaje przerażająca chwila, kiedy nie mogę oddychać, nie mogę się poruszyć, nic nie słyszę; wpatruję się w przelatujące nad głową chmury, a moja klatka piersiowa nieruchomieje. Ciężko zipiąc, łapię powietrze, które powoli wypełnia moje płuca. Wraz z tlenem powraca słuch. Ryk, tumult

i krzyki. Narasta we mnie panika. Przetaczam się pod podest, rozpaczliwie walcząc z pętami na nadgarstkach. Poruszam palcami, zdrętwiałymi i powolnymi od zimna, i wyczuwam przyczepiony do sznura kształt, mały podłużny pojemnik. Muszę uwolnić ręce, bo inaczej zginę.

Za platformą poruszają się stopy, tam i z powrotem. Z tej perspektywy wyglądają, jakby płały w tańcu, aż jedna ze stojących najbliżej podestu parwali się na ziemię. Z ust ofiary wycieka krew. Wyciąga w moją stronę dłoń, która wciąż ściska nóż. Potem podskakuje i widzę stalowe ostrze wyciągane z pleców nieszczęśnika, który wpatruje się we mnie mętным wzrokiem. Podczołguję się w jego stronę jak dżdżownica, na brzuchu, i spoconymi palcami wyłuskuję sztylet.

Przecinam wszystkie moje pęta. Wyczuwam je jedynie dotykiem i nie mam żadnej pewności, że ostrze skutecznie tnie sznur. Ludzie wokół mnie walczą. Widzę stopy golemów torujących sobie drogę przez tłum, widzę uciekające przed nimi osoby. Nade mną słyszę łomot, bo coś ponownie grzmotnęło w podest. Zaczynam poruszać sztyletem jeszcze szybciej.

Wreszcie czuję, że lina zaczyna puszczać. Szarpię rękami. Przeszywa mnie radość, gdy lina spada. Moje dłonie w końcu są wolne. Natychmiast chwytam pojemnik zapakowany w papier, który odwijam drżącymi palcami.

Pojedyncza fiołka krystalicznie białego płynu.

I owijający ją liścik skreślony moim własnym dzieciennym pismem. Liścik z komunikatem „Kocham cię”.

Wszystko znika – walka, krzyki, golem – a ja wpatruję się w pierwsze słowa, jakie kiedykolwiek napisałam.

Przez cały czas trzymał go przy sobie. A fiołka to Opus Mortem. Bez wątpienia.

Ale przecież widziałam, jak swoim buciorem rozdeptał dwie ostatnie flaszeczki. Widziałam to na własne oczy.

Chyba że tę schował wcześniej i dał mi ją, zupełnie świadomie, kilka chwil przed...

Pamiętam, jak powiódł wzrokiem przez tłum, a potem to kiwnięcie głową.

Wiedział, co się wydarzy.

Naraz drewno nade mną znika, odrywa się z chrzęstem, a moim oczom na ułamek chwili ukazuje się niebo, które szybko zasłaniają łapska golemów sięgające prosto w świeżo zrobioną dziurę. Wpycham fiolkę pod stanik i chwytam za nóż, ponownie o włos unikając miażdżącego ciosu maczugą. Ich pałki walą i walą w drewnianą platformę. Bestie dewastują szubienicę tylko po to, żeby mnie dorwać.

Kiedy wytaczam się spod podestu, napada na mnie mężczyzna w liberii Aureka, uzbrojony w krótki miecz. Uskakuję, tak jak uczyła mnie Nadzieja, i uderzam go w plecy, zmuszając do zawycia. Kopię go w tylną część nogi i wykorzystując zaskoczenie, powalam na ziemię, po czym opadam na niego i uderzam w głowę ręką noża.

Odwracam się w stronę podestu, ale ciało Liefa zniknęło. Dopiero gdy pochylałam się po leżący na ziemi miecz mężczyzny, którego właśnie ogłuszyłam, dostrzegam kształt pod podestem – to on, wpadł tam przez dziurę zrobioną przez golemów próbujące mnie złapać. Widok leżącego tam jak zepsuta zabawka Liefa zapiera mi dech w piersiach, ale z tej grozy szybko wyrывa mnie strzała, która wbija się w słupek na wysokości moich oczu, przypominając o gorzejającej wokół walce.

Rozglądam się, najpierw próbując wyłowić wśród walczących Aureka, który najwyraźniej zniknął, a potem Mereka. Gdy nie dostrzegam i jego, coś ściska mnie za serce. Na placu roi się od walczących. Siepacze noszący czarne barwy Śpiącego Księcia biją się ze zwykłymi ludźmi odzianymi w zwykłe ubrania. W ruch poszły miecze, noże, kije i kradzione ostre narzędzia. Wśród ciżby rozpoznaję twarze znanych mi osób: Hobb siłuje się z jakimś mężczyzną, podnosi go i rzuca przez okno, Ema, której twarz rozjaśnia złość, tłucze innego strażnika pałą przypominającą pobijak rzeźnika.

Po drugiej stronie zrujnowanego podestu fechtuje Nadzieja. Tańczy niczym derwisz z krótkim nożem w dłoni. Z obnażonymi zębami atakuje trzech żołnierzy Aureka. Miecz Siostry wiruje. Jeden z mężczyzn upada. Gardło zalewa mu krew. Nadzieja ostrożnie przesuwa się do przodu, a w oczach dwóch pozostałych żołdaków błyska niepewność.

Ulrin stawia czoła jednemu z golemów, lecz nawet on wydaje się mikry w zestawieniu z potężną glinianą istotą i szybko traci grunt pod nogami. Na szczęście widać zielony błysk i jakby spod ziemi wyrasta Stuan z płonąca pochodnią, którą rzuca w golema. Ten staje w szmaragdowych płomieniach – ktoś przyniósł wodę ognistą Errin. Ulrin wyciąga z łapsk potwora jego własną pałkę i wali go nią po głowie, która wydaje głuchy jak drzewo odgłos.

Gdy krzyżujemy spojrzenia ponad tłumem, kiwa głową, ale jego oczy się rozszerzają. Instynktownie robię unik. Czuję, jak szczyt mojej głowy omiata wiaterek – obracam się i w ciemno robię wypad. Mój miecz wbija się w udo żołnierza. Wyprostowuję się i odchodzę, ale żołdak chwyta skraj mojej sukni.

Potykam się i upuszczam miecz, żeby rękami zamortyzować upadek i uniknąć uderzenia twarzą w ziemię. Sięgam po ostrze, lecz dłoń łapie mnie za kostkę i nie przestaje szarpać, przez co moja suknia przesuwana się wyżej, a ręka oddala o kilka kluczowych cali od rękojeści. Przewracam się na plecy, podczas gdy żołnierz próbuje mnie do siebie przyciągnąć, przez co prawie się na mnie wdrapuje. Oczy ma rozszalałe, a zęby obnażone. Siadam i dzielam go w głowę zaciśniętą pięścią. Zapominam jednak o uwolnieniu kciuka, dlatego pod wpływem uderzenia wydaję bolesny jęk.

Nie zwalnia uchwytu, jego palce wbijają się w moje łydki. Wykrzykuję coś, próbując oddalić go od siebie kopniakiem. Łapię w garść jego włosy i szarpie, a on w odpowiedzi wyprowadza cios, który zahacza o moją szczękę. Moje zęby dzwonią, głowa odlatuje, ale on niespodziewanie mnie puszcza. Gdy ponownie nań spoglądam, mrugając przez wirujące przed oczami gwiazdki, widzę sterczącą mu z gardła strzałę. Rozglądam się w poszukiwaniu łucznika, ale nikogo nie dostrzegam. Powoli staję na nogi i chwytam miecz.

Ledwo znajduje się w mojej dłoni, a w moją stronę biegną już dwaj kolejni żołnierze. Ogarnia mnie panika. Nie pokonam dwóch mężczyzn. Wycofuję się, a gdy napastnicy się zbliżają, unoszę miecz.

Wtedy dopada do mnie Nia. Jej skóra lśni od potu.

– Wybacz, że tyle zwlekaliśmy – mówi. – Coś nas opóźniło.

– Walcz, nie gadaj – sapię i wybrawszy przeciwnika, przechodzę do ataku. Na inteligentne pogawędki jeszcze przyjdzie pora.

Choć żadna z nas nie jest szczególnie utalentowana, nie ustępujemy pola sklepikarzom zamienionym w strażników, których Aurek szantażem przymusił do przejścia na jego służbę. Mężczyźni szybko zaczynają słabnąć. Zyskuję przewagę. Przygotowuję się do ataku, kiedy coś we mnie trafia – mój prawy bok eksploduje bólem. Wzlatuję w powietrze tylko po to, by za chwilę niezgrabnie grzmotnąć o ziemię. Odruchowo dotykam klatki piersiowej, sprawdzając, czy nie stłukła się fiołka, ale z ulgą stwierdzam, że jest cała.

Nia i ludzie wokół krzyczą w panice, bo golem bezmyślnie, nie zważając na barwy, wymachuje maczugą. Pałka stwora wbija się w głowę mężczyzny, z którym walczyłam. Miażdży go na miejscu i zmusza jego kompana do ucieczki.

Nia podbiega do mnie i usiłuje podnieść, ale wydaję z siebie ostry krzyk.

– Żebra – sapię, pewna, że cios pogruchotał mi co najmniej dwa. Nia zerka przez ramię i mimo moich obiekcji próbuje mnie podźwignąć, przez co robi mi się ciemno przed oczami.

– Wstawaj – piszczy, podając mi okrągłą zieloną butelkę. Przygryzam wargę, po czym wstaję i jęcząc z bólu, rzucam naczyniem w golema. Potwór nijak nie próbuje uniknąć uderzenia, więc woda ognista szybko w niego wsiąka. – Tutaj – woła Nia do kogoś, robiąc unik, gdy golem zamachuje się pałką. Obok nas pojawia się Stuan. Wręcza mi pochodnię, którą natychmiast rzucam w golema, choć moja klatka piersiowa stanowczo protestuje. Pochodnia spełnia jednak swoje zadanie – woda ognista płonie tak szybko, że po sekundzie golem blednie i zaczyna pękać. Wszyscy się wycofujemy. Potwór potyka się i chwieje, a potem eksploduje pyłem, który oblepia wszystkich wokół.

Stuan uśmiecha się do mnie.

– Ostatnim razem wyglądało to tak samo? – pyta.

– Nie miałam wody ognistej – mówię i na powrót przywołuję uśmiech.

– Uważaj! – krzyczy Nia, bo miejsce golema zajął nowy żołnierz. Szybkim wypadem angażuję go w pojedynek i już słyszeć brzęk stali. – Uciekaj stąd!

Stuan łapie mnie za rękę i odciąga w stronę zacienionego labiryntu uliczek

odchodzących od placu. Każdy krok, każdy oddech jest jak sztylet wbity w klatkę piersiową, ale nie zważam na ból, próbując przetrwać zawroty głowy i krzyżując ramiona na piersi. Ledwie wydostajemy się z największej matni, zmuszam go do wstrzymania kroku.

– Gdzie jest Merek?

– Nie wiem. Miał uwolnić Errin.

– Uwolnić? A gdzie była?

– W celi, zaraz za twoją. Zakneblowana. Chciał chyba, żeby na własne oczy oglądała twoją śmierć.

– Czy Merek ją wypuścił?

Potrząsa głową.

– Śpiący Książę od razu na niej skupił swoją uwagę. Nie próbował nawet walczyć, otoczył się golemami i ruszył do jej klatki. Nie widziałem, co się wydarzyło później. Przeciskałem się w twoją stronę. Uważaj!

Z lewej strony skacze na mnie mężczyzna. Trzy gwiazdki na jego piersi tylko migają mi przed oczami, ponieważ Stuan obraca się, wyciąga rękę przede mnie i wraza sztylet w serce napastnika.

– Dziękuję.

Wzrusza ramionami i pochyliwszy się po miecz ofiary, daje mi go w prezencie.

Odbieram ostrze i od razu wiem, że nie zdołam nim walczyć – byłby zbyt ciężki, nawet gdybym nie była ranna. Upuszczam go na ziemię.

Stuan patrzy na mnie i zza pasa wyciąga nóż.

– Nie możesz być bezbronna – mówi.

– Dziękuję raz jeszcze. – Odbieram broń.

– Gdzie idziemy? – pyta.

– Poszukamy Aureka – odpowiadam.

– Wiesz, gdzie może być?

Istnieje tylko jedno miejsce, w którym mógł się schować. Jest tylko jedna osoba, która może go ocalić i na pewno poszedł prosto do niej.

– Zamek – mówię. – Poszedł po Silasa.

Najwyższa pora to zakończyć.

Stuan bacznie rozgląda się wokół i kiwnięciem głowy daje mi znak.

– Teraz – mówi.

Trudno mi się ruszać z powodu żeber i sukni. Proszę Stuana, żebyśmy znowu się zatrzymali. Zrzucam z sukienki płaty zbroi, żeby zwiększyć swobodę ruchów, i kilka z nich wykorzystuję do zrobienia prowizorycznej protezy dla żeber. Stuan potakuje i pomaga mi ustabilizować klatkę piersiową.

– Poczekaj – prosi, po czym strząsa z ciała płaszcz i zarzuca mi go na ramiona. – Liche to przebranie, ale...

– Dziękuję – mówię po raz trzeci.

Potem ruszamy. Ja idę przodem, on trzyma się za mną. Uważnie się rozglądamy, szukając wzrokiem golemów, żołnierzy czy łuczników.

Nawet tak daleko od pola walki natrafiamy na rannych i martwych ludzi, których zabito podczas ucieczki lub pościgu. W duchu dziękuję losowi, że nie rozpoznają żadnej ofiary.

– Opowiedz mi, co wydarzyło się w jaskiniach – proszę, gdy zmierzamy – ja kulejąc, a Stuan truchtem – w stronę górującego nad nami widma zamku Lormere. – Kogo straciliśmy?

– Breinę – mówi cicho. – Treya. Serge’a. Liniona.

Myślę o kobiecie o łagodnym spojrzeniu, której strzały zawsze sięgały celu, i o lojalnych mężczyznach, którzy przez wiele księżyców obozowali w górach, pilnując dzieci z Lortune. W obozie przebywali bratankowie Liniona.

– Gdyby nie ty, ofiar byłoby więcej.

– Co?

– Zatrzymując Mereka, sprawiłaś, że został z tyłu. Gdy nadrabiał stracony dystans, zauważył ich posiłki zmierzające do jaskiń. Zrozumiał, że planują złapać nas w potrzask, i przyspieszył tempo, żeby nas ostrzec. Tylko dlatego przyczailiśmy się nad jeziorem i czekaliśmy na wsparcie. A kiedy nadeszło, zaatakowaliśmy. Nie spodziewali się nas w takiej liczbie.

- A dzieci?
- Są bezpieczne. Zabraliśmy je w umówione miejsce.
- A co z Liefem?
- Co z nim? – pyta Stuan.

Potrząsam głową, wciąż niepewna własnych myśli.

- Nieważne. Chodźmy.

Kiedy docieramy do głównych bram zamku w Lormere, są otwarte i niestrzeżone. Pierwszy raz je takie widzę, co przyprawia mnie o dreszcz. Poza ścieżką prowadzącą do twierdzy głównej zamek spowijają mrok, cisza i bezruch. W tej odległości od miasta odgłosy walki ucichły i ma się wrażenie, że nawet noc na coś czeka. Czegoś pragnie.

Stuan i ja wymieniamy spojrzenia i zaczynamy się skradać.

Niemal natychmiast z mroku nocy wyłaniają się trzy golemy. W dłoniach nie trzymają pałek, lecz groźne topory. Atakują natychmiast; nie przeszkadza im brak oczu, ponieważ wymachują ostrzami w takim tempie, że aż słychać poświst powietrza.

- Biegnij – krzyczy Stuan. – Zatrzymam je.

– Nie bądź głupi! – Ja też ruszam. Prześlizguję się pomiędzy nogami najbliższego golema i krzywię z ulgą, gdy topór drugiego potwora uderza w te nogi sekundę później. Uszkodzony golem upada na ziemię, pozbawiony wielkiego kawałka gliny, która odpadła mu z obu nóg. Nie powstrzymuje go to jednak – jego łapska młóćą ziemię, tułów próbuje się podnieść, a bezoka twarz wyciąga się w moją stronę jak pysk monstrualnego węża próbującego wyczuć ofiarę.

– Uciekaj! – krzyczy Stuan. – Poradzę sobie. – On również stara się przykuć uwagę golema stojącego najbliżej, po czym osacza trzeciego. Kiedy topór jednego z golemów uderza w drugiego, idę za radą przyjaciela i ruszam pędem w stronę zamku, gnając ile sił w nogach. Za plecami słyszę odgłos wyrywanej ziemi, uszkodzony golem próbuje mnie ścigać, ale już się na niego nie oglądam.

Wpadam do zamku Lormere sama, uzbrojona w nóż i ostatnią fiolkę Opus

Mortem.

Rozdział 27



Wewnątrz w korytarzach jest, o dziwo, zimniej niż na zewnątrz. Panuje tu przerażająca cisza. Dywany, rozłożone tak dawno temu dla Helewys, są brudne. Spod moich stóp wznoszą się małe chmury kurzu. Z gzymsów nad oknami zwisają sople lodu, a z sufitu kandelabry. Ściany są nagie i czarne od dymu. Zamek sprawia wrażenie opuszczonego od stuleci.

Przystaję na końcu przejścia. Nie wiem, w którą stronę pójść. Lewa odnoga prowadząca do zrujnowanej wieży północnej przypomina czarną paszczę bestii i wzbudza mój lęk. Jest mało prawdopodobne, że Aurek wybrał ten korytarz. Gdzie zatem iść?

Porwał Errin, żeby zyskać nade mną przewagę, to oczywiste. Na pewno postanowił też zabrać ze sobą Silasa. Ale Silasa nie było w lochu – tak mówił Lief, a ja mu wierzę. Hmm, gdzie Aurek mógł uwięzić Silasa po pożarze?

Nogi zaczynają poruszać się same, zanim do mnie dociera, gdzie mnie właściwie niosą.

Drzwi do wieży zachodniej są otwarte. Prześlizguję się przez nie z mocno bijącym pod pogruchotanymi żebrami sercem. Poruszam się jak duch, milczę

jak grób, wspinając się po schodach do mojego niegdysiejszego więzienia. Przystaję przed starym pomieszczeniem dla strażników i nasłuchuję, a kiedy znikąd nie dobiegają niepokojące dźwięki, idę dalej.

Po obejściu spiralnej klatki schodowej dostrzegam niewyraźną poświatę bijącą z mojej dawnej komnaty, a potem słyszę nagłący głos Aureka.

Nabrawszy powietrza w płuca, ściskam fiolkę w dłoni i robię trzy ostatnie kroki.

Aurek, choć stąпам bezszelestnie, od razu się obraca. Poruszając się szybciej niż zwykły człowiek, chwyta Errin za gardło i odrywa od łóżka, przy którym pielęgnowała Silasa.

Alchemik leży na brzuchu. W pierwszej chwili dostrzegam tylko jego stopy – chorobliwie czarne podeszwy. Od woskowej twarzy odcinają się przymknięte powieki. Oddycha płytko.

– Twyllo – wykrztusza Errin, zmuszając mnie do skupienia uwagi na Aureku, który skrada się w moją stronę. W dłoniach trzyma glinianą laleczkę.

Obok niego stoi Errin z przyciśniętym do serca nożem.

Aurek spuszcza wzrok na własne, a potem moje dłonie, w których ściskam fiolkę.

– Mała transakcja? – pyta, wykrzywiając wargi w uśmiechu.

Nie odpowiadam. Gorączkowo myślę, jak uratować Errin.

– Oddaj mi tę fiolkę, bo inaczej zmuszę ją do popełnienia samobójstwa. – Aurek podchodzi do sekretarzyka. Jego głos jest opanowany i uprzejmy.

– Nie rób tego – prosi Errin. – Nie rób.

Patrzę na księcia, który przekrzywia głowę, obserwując mnie spod białych rzęs.

– Zginiesz, Twyllo – mówi. – Wiesz o tym. Ale Errin taki los spotkać nie musi. W tym symulakrum znajduje się kawałek pergaminu. Widnieje na nim rozkaz – ma trzymać nóż przy piersi i wbić go głęboko w serce, gdy ją o to poproszę. Oddaj mi fiolkę, a usunę z symulakrum to polecenie.

– Nie słuchaj go. I tak mnie zabije – łka Errin.

Aurek gwałtownie na odlew wali Errin w twarz. Głowa uderza w ścianę z głuchym łupnięciem, ale dziewczyna nie upada. Ku mojemu przerażeniu pewnie stoi na nogach z nożem cały czas przystawionym do serca.

– Mocniej – rozkazuje Aurek.

Kwiląc, dociska nóż do ciała przez sukienkę. Materiał marszczy się, potem drze, a ostrze przebija skórę, barwiąc się na czerwono. Kropelki krwi skapują też z jej nosa. Dwa źródła posoki zlewają się ze sobą. W jej oczach widoczna jest rozpacz.

– Słyszałaś, co powiedziałem na placu – mówi Aurek łagodnym głosem, nie odrywając ode mnie oczu. – Teraz wiesz, czym jesteś. Czym zawsze byłaś.

– Jej Wysokością Marionetką – odpowiadam.

– Właśnie tak. Figurantką bez prawdziwej władzy. Kukłą.

– Kim zatem jesteś ty? – pytam. – Reliktem. Wyrzutkiem dawno minionej epoki. Echem od dawna martwego świata.

Z twarzy księcia znika uśmiech, kąciki ust opadają, szpecąc jego skądinąd nieskazitelne oblicze.

– Lief cię zdradził – mówię, kątem oka rejestrując, że Errin szeroko rozdziawia usta, na krótką chwilę zapominając o trzymanym w ręku sztylcie.

– To się nie liczy – mówi Aurek, choć mars na czole przeczy jego słowom.
– Ostatecznie zawsze chodzi o mnie i o ciebie.

Patrzy na Errin.

– Wbij nóż w swoje serce – dodaje prawie od niechcenia.

– Nie! – krzyczę, gdy przyjaciółka odciąga nóż od ciała.

Skaczę na nią i powalam ją na ziemię. Sztylet, który trzymała w rękach, wpada pod łóżko. Zrzuca mnie z siebie i zaczyna pełznąć po podłodze w kierunku ostrza. Czuję, że ręka księcia chwyta mnie za włosy i próbuje wyrwać je wraz ze skórą. Instynktownie unoszę ręce, żeby mu przeszkodzić, ale on drugą ręką wyrywa mi fiolkę z dłoni i rzuca mnie na podłogę.

Gdy podnoszę głowę, Aurek podstawia fiolkę pod światło.

– Jest moja – mówi.

Słyszcąc świst i z jego przedramienia, jakby magicznie, wyrasta strzała.

Upuszcza fiolkę. Rzucam się naprzód, by ją złapać. Powtarza się sytuacja ze zgromadzenia, gdy Errin tłukła flakoniki jak oszalała.

Aurek wyje, jego piski odbijają się echem po komnacie. Odwraca się i spogląda na strzelca.

W wejściu staje Merek.

– To moja korona – mówi.

Aurek gapi się na niego w osłupieniu.

– Ty!

Teraz kolej na mnie.

Podrywam się na równe nogi i wciskam szklaną fiolkę i całą jej zawartość prosto w otwarte usta Śpiącego Księcia.

Wpadam na niego całym ciężarem ciała i popycham go do tyłu. Jednocześnie przyciskam dłoń do jego podbródka, zmuszając do zaciśnięcia zębów. Słyszę chrupot szkła. Próbuje rozewrzeć usta. Drapie mnie paznokciami po oczach i włosach. Z kącików jego ust wycieka spieniona krew.

Za plecami słyszę odgłosy szamotaniny, to chyba Merek próbuje unieruchomić Errin. Na podłogę upada coś metalowego. Potem jakiś inny przedmiot, którego nie dostrzegam. Aurek walczy, próbując mnie odepchnąć. Rozmyślnie na moment ustępuję, ale chwilę później wykorzystuję siłę jego impetu i rzucam go z powrotem na ścianę.

Jego oczy rozszerzają się z niedowierzania, ponawia więc wysiłek, ale słabnie w oczach i z mniejszą już siłą drapie mnie po twarzy i kopie po nogach. Pieką mnie rozdrapane ranki, ale nie odpuszczam. Przygważdżam go do ściany. Zatykam mu nos i usta, żeby połknął całą truciznę.

Nagle sztywnieje, a jego oczy uciekają w tył głowy. Kiedy pada naprzód, potykam się pod ciężarem ciała, ale udaje mi się strząsnąć go z siebie z bolesnym stęknieniem. Korona spada z głowy księcia i przetacza się pod łóżko.

Aurek ląduje na podłodze z głośnym łupnięciem. Powieki ma przymknięte,

twarz nieruchomą.

Podnoszę wzrok na Errin, która wciąż siłuje się z Merekiem.

Gdy do nich podchodzę, zamienia się w dziką bestię. Próbuje mnie złapać, ale umykam przed jej chwytem i wysuwam miecz z pochwy przytroczonej do talii Mereka.

Spoglądam na Śpiącego Księcia, który znów zapadł w sen, i przez chwilę się waham: może powinnam go tak zostawić? Może każę go wysłać gdzieś daleko stąd?

Ale jedno spojrzenie na leżącego na łóżku nieprzytomnego mężczyznę oraz jęki przyjaciółki szlochającej w ramionach Mereka, próbującej wykonać ostatni rozkaz księcia, wystarczają mi do podjęcia decyzji.

Pomimo rwącego bólu w żebrach unoszę nad głowę miecz.

Potem opuszczam go szybkim ruchem i jednym ciosem oddzielam głowę Śpiącego Księcia od jego ciała, co przychodzi mi łatwiej niż powinno. Rana nie krwawi, cięcie jest czyste – jakby był jednym ze swoich golemów. Jakby umarł dawno temu. Niknie na moich oczach. Jego skóra zamienia się w coraz cieńszy papier.

Errin szamocząca się w uścisku Mereka słabnie. Rzucam miecz na podłogę i wyciągam do niej rękę. Merek ją puszcza, a ona od razu wpada mi w objęcia. Osuwamy się na ziemię obok ciała Śpiącego Księcia. Kiedy Errin mnie przytula, brakuje mi tchu.

– Jesteś ranna? – pyta i odsuwa się, by objąć mnie wzrokiem.

– Połamane żebra – wyjaśniam. – A ty? – Spoglądam na jej klatkę piersiową.

– Powierzchowne rany.

Przypomina sobie o Silasie. Natychmiast mnie zostawia i podchodzi do łóżka. Siada przy nim i gładzi jego białe włosy.

Przed moją twarzą pojawia się ręka Mereka. Podnosi mnie, obejmuje i pomaga mi dojść do łóżka.

– Potrafię o niego zadbać – mówi Errin, spoglądając na nas zażawionymi oczami. – Dam sobie radę. Przecież tak długo opiekowałam się mamą. Mogę

pielęgnować oboje, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Nie – szepcze Silas z wysokości łóżka.

– Nie śpisz. – Głos Errin drży. Patrząc, jak przełyka ślinę i zaciska wargi. – Nie kłóć się ze mną. Podjęłam decyzję. Wszystkim się zajmę i wyzdrowiejesz.

Kiedy rozwiera swoje złote oczy, jestem zdumiona, jak bardzo są blade, wyzute z blasku.

– Proszę, Errin. Proszę, zabij mnie wreszcie.

– Nawet tak nie mów.

– Nie potrafię tak żyć – odpowiada.

– A ja nie potrafię cię stracić.

Próbuje położyć swoją dłoń na jej ręce, ale nie może podnieść jej nawet o cal nad łóżko, bo szybko i bezwładnie opada. Silas wzdycha. Errin wykrzywia twarz i załamana wtula ją w jego klatkę piersiową. Silas przenosi na nas swoje spojrzenie.

– Błagam – porusza wargami.

Stojący przy mnie Merek łapie mnie za rękę, a ja gapię się w oczy Silasa.

Czy naprawdę nie istnieje żaden sposób, żadne antidotum przeciwko tej...?

Ramiona Errin cichutko drżą, gdy sięga po dłoń Silasa. Białe palce zaplatają się wokół czarnych. Wydaje się niesprawiedliwe, że musiał wycierpieć tak wiele, by stworzyć eliksir hamujący cierpienia innych. Ale, jak mówiła Errin, wszystko ma swoje przeciwieństwo i...

– Zaraz...

Przyjaciele wbijają we mnie wzrok.

– Odwrotnością Opus Mortem jest Opus Magnum, prawda?

Merek kiwa głową i w zamyśleniu marszczy brew.

– Po dodaniu mojej krwi Opus Mortem zamieniło się w truciznę dla Aureka.

Errin spogląda na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Potem kiwa głową.

– Czyli krew... moja krew... jest przeciwieństwem krwi filtromanty, prawda? Wzajemnie się neutralizują, czyż nie?

Errin siada prosto, skupiając na mnie swoją uwagę.

– A gdybyśmy tak dodali mojej krwi do Opus Magnum?

Czuję, że Merek sztywnieje.

Silas na łóżku szerzej otwiera oczy.

– Słusznie miałem wrażenie, że coś się w tobie zmieniło – mówi. – Jesteś przeklęta.

Potakuję.

– Cóż, jeśli w istocie tak jest, to dodanie twojej krwi do Opus Magnum tylko pogłębi twoją klątwę. – Spuszcza wzrok na swoje stopy i przenosi go z powrotem na mnie, jakby chciał zobrazować swój argument.

Ignoruję tę uwagę i odwracam się do Errin.

– Pomóż mi to uporządkować. Moja krew dodana do Opus Mortem blokuje działanie Elikiru. W związku z tym dodana do Opus Magnum jest przeciwieństwem pozwalającym stworzyć nowy rodzaj Elikiru. – Spoglądam na Silasa. – Który będzie panaceum na twoją dolegliwość.

– Tego nie wiesz – przerywa Merek.

– Ona ma rację – sprzeciwia się Errin.

– Wiem, że chcesz, by taka była prawda – odpowiada Merek.

– To nie jest tego warte – mówi Silas. Patrzy na mnie, na moje włosy i oczy.

– Nie wiesz, jaką część ciała zaatakuje tym razem.

– Zrobię to tylko ten jeden raz – upieram się.

– Raz może wystarczyć.

– Posłuchaj go – błaga Merek. Odwraca mnie do siebie i kładzie dłonie na ramionach. – Wiem, że chcesz pomóc, ale...

– Czy masz fiołkę Opus Magnum, które uwarzyliście?

Blednie i potrząsa głową.

Strząsam jego dłonie z ramion i wyciągam do niego rękę.

Patrzy ponad ramieniem na Errin z groźnym jak burza wyrazem twarzy. Potem jego oblicze się uspokaja. Schyla głowę i sięga do kieszonki przy biodrze, z której wyciąga fiołkę. Podaje mi ją bez słowa.

Rozglądam się w poszukiwaniu narzędzia, którym się skaleczę. Mój wzrok spoczywa na mieczu, którym ściąłam głowę Aureka. Gwałtownie nabieram powietrza w płuca, kiedy zauważam, że ciało Aureka zniknęło. Przez sekundę zastanawiam się, czy znowu powstał. Potem widzę zarys pyłu. W pewnym momencie jego ciało cichutko wyszło na wiór, obróciło się w pył, którym powinno się stać ponad pięćset lat temu. Odwracam się i w kącie komnaty dostrzegam sztylet Errin.

– Poczekaj! – Głos Silasa wstrzymuje mnie, gdy podnoszę ostrze. – Nie musisz tego robić.

– Wiem.

Potakuje i przenosi wzrok na Errin.

– Jeśli ten eksperyment się nie uda, to nie chcę żyć. Proszę o wiele, wiem o tym, ale nie chcę takiego życia. Nie chcę... – Milknie. – Przez ostatnie kilka księżyców tylko leżałem w tym łóżku, a on upuszczał mi krew, kiedy uznawał to za wygodne. Nie miałem nad tym żadnej kontroli. Pozbawił mnie wyboru. Gdyby tylko chodziło o kalectwo, wtedy... sprawa wyglądałaby inaczej. Mógłbym żyć bez nóg. Ale nie mogę żyć z myślą, że ktoś znajdzie mnie w takim stanie i wykorzysta. Nie chcę zostać powtórnie wykorzystany. Nie chcę żyć jak warzywo, bez własnego ciała. – Patrzy mi prosto w oczy. – Wiesz, co mam na myśli. Obiecuj mi.

– Obiecuję – mówię.

Odkorkowuję fiolkę, kaleczę lewy kciuk i dodaję kropelkę krwi do Opus Magnum. Robi się jasnoczerwona. W tym momencie Merek gwizdże. Errin i Silas tylko się we mnie wpatrują.

Oglądam swoje ciało.

– Co tym razem się we mnie zmieniło? – Podchodzę do lusterka i kątem oka dostrzegam krwiście czerwoną plamkę. – Och. – Łapię powietrze i ciągnę za włosy. Są czerwone. Straciły swój kasztanowy kolor na rzecz nienaturalnej, głęboko karmazynowej barwy.

Spoglądam na Mereka, który uśmiecha się miękkim, pełnym uśmiechem.

– Twoje oczy też są czerwone.

– Jak to możliwe?

Wzrusza ramionami.

– Skąd, u licha, mam wiedzieć?

Spoglądam na Silasa i Errin.

Oczy Errin są rozszerzone i pełne nadziei. Spogląda na fiolkę w mojej dłoni. Powoli wypuszczam powietrze i podaję jej naczynie. Ostrożnie umieszcza dłonie pod głową Silasa i podnosi ją tak, żeby mógł przełknąć płyn. Wypija go i wszyscy troje wbijamy w niego wzrok w poszukiwaniu wszelkich zmian i objawów.

I kiedy tak patrzymy, martwota jego skóry zaczyna blaknąć.

Errin wybucha płaczem. Z jej falującej piersi wypływa ciężkie, udręczone łkanie. Po raz kolejny wtula twarz w jego klatkę piersiową. Przywiera do niego. A kiedy Silas podnosi doskonale zdrową dłoń i kładzie ją na jej głowie, ona traci opanowanie i rzuca się na niego całym ciałem.

Silas z trudem siada na łóżku i po chwili całują się z godną podziwu pasją. Ona przyszpila go do materaca, otaczając nogami jego biodra, a on obejmuje ją rękami, całując żarliwie, jakby tonął. Kiedy Errin cichutko jęczy, czuję swoją rozpaloną skórę i spoglądam w dół.

Zaskoczona orientuję się, że trzymam za dłoń Mereka, choć sama nie wiem, kiedy nasze palce się splotły. Ścisnąwszy je lekko, pochyla się i podnosi koronę – swoją koronę. Następnie wyprowadza mnie z pokoju. Zamykam za sobą drzwi.

Bez słowa schodzimy po schodach, potem mijamy korytarze, przyćmione z powodu zapadającego zmroku. Jak to możliwe, że upłynął cały dzień? Czy to naprawdę był tylko jeden dzień?

Kiedy rozlega się odgłos kroków, Merek przyciska mnie do siebie. Ma przestraszony wyraz twarzy, która rozjaśnia się, gdy okazuje się, że w naszą stronę szybkim krokiem zmierzają Nadzieja, Kirin, Stuan i Nia w towarzystwie białowłosej kobiety, którą pamiętam z Konklawe. To Kata – żyje i jest wolna.

– Uważajcie, ona ma połamane zebra! – krzyczy Merek, gdy wpadają na nas tak nagle, że nie mogę powstrzymać chichotu, który szybko przeobraża się

w jęk wywołany bólem w klatce piersiowej.

– Śpiący Książę...? – pyta Nadzieja.

– Martwy jak trup – odpowiadam.

Nadzieja układa usta w jasnym, pełnym uśmiechu. Ujmuje moją twarz w dłonie.

– Dobra robota, dziecko. Dobra robota.

– Czy u Errin wszystko w porządku? – pyta Nia.

– Nic jej nie jest. Została z Silasem. W wieży zachodniej.

Nadzieja opuszcza dłonie i zabiera się do odejścia, ale Merek ją powstrzymuje.

– Podarowałbym im trochę czasu na osobności – mówi taktownie, a Nadzieja szeroko otwiera usta. Nia i Kata podśmiewają się za jej plecami.

– Znaleźliście alchemików? – pytam Nię.

– Gdy padł ostatni z golemów, praktycznie odtrąbiliśmy zwycięstwo – odpowiada. – Jednego ze strażników zmusiliśmy do wyznania, gdzie są więzieni alchemicy, i uwolniliśmy ich. – Uśmiecha się do swojej żony, która odwzajemnia się tym samym. – Pozostało jeszcze kilku przetrzymywanych przez Iormeriańskich możnych – dodaje Nia, marszcząc brew.

– Już wszystkie miasta powstały! – mówi Merek. – Powinniśmy posłać im na pomoc rebeliantów. Moźni, którzy przeżyli, zostaną przywiezieni do zamku na proces. Wyślemy posłańców, by sprowadzili dzieci do domów. Później pomyślimy, jak wrócić na właściwą ścieżkę. Wszystko zaczniemy od początku.

– Twoje oczy znów się zmieniły – zauważa Nia. – Wyglądają lepiej niż białe. Ale i tak są odrażające.

– Według mnie wyglądają fantastycznie – mówi Kata. Jej złote oczy lśnią, gdy posyła mi uśmiech.

– A może wszyscy udacie się do Wielkiej Sali? – pyta Merek. – Idźcie w dół korytarza, potem skręćcie w lewo, później w prawo. Niebawem do was dołączymy.

Stuan kłania się mu, a Kirin mruga do mnie okiem. Potem cała piątka robi

to, o co poprosił ich król. Merek bierze mnie za rękę i wyprowadza z zamku. Stajemy na szczycie schodów prowadzących na dziedziniec zamkowy.

Wiatr, który się zerwał, smaga włosy na mojej twarzy. Podnoszę dłoń, by je okiełznać, kiedy kątem oka dostrzegam nowe purpurowe kosmyki. Wyrrywam kilka, żeby dobrze im się przyjrzeć.

– Rubedo – mówi Merek. Kiedy na niego spoglądam, okazuje się, że czerwony odcień jego skóry jest niezwykle podobny do moich włosów. – Taką nazwę powinna nosić twoja klątwa.

– Dlaczego?

– Bo to ma sens. – Merek rozmasowuje swój kark, nie patrząc mi w oczy. – Podobne do Nigredo, ale Rubedo. Czerwień. Uznałem, że biała klątwa powinna nazywać się Albedo.

– Kiedy o tym pomyślałeś?

– Kiedy mnie ignorowałaś we wspólnocie.

– Rubedo – mówię. Klątwa mojej krwi.

W półmroku, który pod nami zalega, Lortune wygląda spokojnie, chociaż przeczy to rzeczywistości. Sklepy i domy są zdewastowane. Ulicami spływa krew. Na bruku zalegają ciała. Gdzieś na placu leży ciało Liefa. Nie chcę zostawiać go na pożarcie krukom. Zasługuje, aby spocząć w rodzinnym grobowcu razem z resztą rodziny.

– Co się tam naprawdę wydarzyło? – pytam. – Jaką rolę odegrał Lief? Pomógł nam, prawda? Widziałam, jak kiwa głową w stronę tłumu, a potem...

Merek smutnieje, po czym wkłada rękę do kieszeni i gmera w niej dłuższą chwilę.

– Lepiej, żebyś sama to przeczytała – mówi, wręczając mi skrawek papieru.

„Nie miałem wyboru” – czytam list, który nie został zaadresowany do nikogo konkretnego.

„Nie miałem wyboru. Ymilla zdradziła mu, gdzie wszyscy przebywacie. Zrobię wszystko, by ochronić Errin, ale nie zdołam uratować Twylli. Planuje ją stracić i mnie każe odegrać rolę kata. Egzekucję wyznaczył na jutro. Na południe. Ze Świttem sympatyzują strażnicy przy Zachodniej Bramie Lortune.

Waszym stronnikiem jest też właściciel intrologatorni na rynku miejskim. Dotrzyjcie tam przed brzaskiem. Zaczekajcie. A potem zróbcie to, co konieczne. Powiedzcie Errin, że ja za tym stoję. I że miała rację – wychowano mnie na lepszego człowieka. Teraz właśnie próbuję być lepszym człowiekiem. Powiedzcie jej, że ją kocham. Mamie powiedzcie to samo, a Twylli, że żałuję”.

Koniec.

Kieruję wzrok na Mereka, który uważnie mnie obserwuje.

– Czy to wszystko? – Podnoszę kawałek papieru.

– Tak. Znalazłem to w laboratorium Errin.

– Dlatego się tam przyczailiście. Dlatego raziliś go strzałą.

– I tak bym go zabił, żeby cię uratować – odpowiada Merek. – Ale... tak. To właśnie miał na myśli, pisząc „zróbcie to, co konieczne”. Był gotowy zapłacić każdą cenę.

– Czy to w takim razie znaczy, że w sumie nam sprzyjał? Jak myślisz?

– Myślę, że żałował wielu spraw. – Merek ostrożnie waży słowa. – Od samego początku. Myślę, że uważał się za sprytniejszego, niż był, a gdy uświadomił sobie, że zabrął za daleko, było już za późno. Potem robił wszystko, by uspokoić sumienie, nie ryzykując przy tym życia swojego ani matki.

Cały Lief. Wzdycham, krzyżując ręce na piersi.

– Nie zdradził Aurekowi, że żyję i pracuję w jego zamku – ciągnie Merek. – Powiedział nam, jak wydostać się z Lortune. Nie przyjął Elikseru, chociaż proponowano mu uśmierzenie ran. I podarował nam recepturę Opus Mortem. Kto wie, w jaki inny sposób po cichu podkopywał pozycję Aureka.

– To nie rekompensuje wszystkich jego grzechów, skrzywdził przecież tylu ludzi.

– Być może nie, ale sądzę, że próbował za nie zadośćuczynić, na swój własny sposób.

Myślę o wszystkim, przez co razem przeszliśmy, ja i Lief. O jego przybyciu do zamku. O wspólnie spędzanych dniach, o jego zdradzie. O jego sojuszu

z Aurekiem. Nigdy chyba nie poznam prawdy na jego temat. Być może na Trakcie Królewskim próbował mnie ochronić, a nie skrzywdzić. A we wspólnocie uderzył po to, żeby uchronić mnie od walki i zranienia. Podarował mi Opus Mortem, oddał mi liścik, który do niego napisałam. Poświęcił swoje życie, świadomie próbując nam pomóc. Lecz nikt nie dowie się, jak było naprawdę, a po śmierci Lief zostanie zapamiętany jako łotr.

Wzdycham i ponownie obejmuję wzrokiem miasto w dole.

– Tyle jest do zrobienia! – mówię szeptem, nie mając świadomości, że wypowiadam słowa na głos, dopóki Merek nie potakuje. – Nie licząc tego miasta, są jeszcze Chargate, Monkham, Haga. Cały kraj trzeba pozszywać od nowa. Sama nie wiem, od czego zacząć.

Merek puszcza moją dłoń i staje naprzeciwko mnie.

– Twyllo – zaczyna, ale potrząsam głową.

Dobrze wiem, co zamierza powiedzieć, lecz nie mam pewności, czy jestem na to gotowa. Wciąż nie wiem, czego chcę. Podoba mi się, owszem. Nie jestem jednak gotowa na to, by zostać jego żoną. Albo czyjąkolwiek żoną. Być może nigdy nie będę.

– Mówiłem ci już, że Lormere potrzebuje takiej królowej jak ty – przekonuje mnie.

– Jestem Jej Wysokość Marionetką, jak powiedział Aurek – ripostuję. – Pacynką. Nie mogę zostać królową.

– Musisz. To zawsze miałaś być ty!

– Mereku, nie jestem gotowa na ślub z kimkolwiek.

Merek marszczy brwi.

– A kto tu mówi o ślubie?

Wbijam w niego wzrok.

– Przecież właśnie powiedziałaś...

– Że jesteś królową, której potrzebuje Lormere. Nie *ja*.

– Ja... Ja nie rozumiem.

– Z formalnego punktu widzenia, kiedy postanowiłem się ukryć, oddałem

tron w ręce Aureka. Abdykowałem. A ty go właśnie zabiłaś. W ten sposób, prawem podboju, zostałaś królową. – Podaje mi koronę. – Wygrałaś grę o tron. Jest twój.

Moje serce łomocze o żebra jak oszalałe, lecz ból jest przy tych rewelacjach niczym.

– Przecież to ty jesteś księciem... Ty jesteś królem...

– Już nie. – Uśmiecha się. – Twyllo, jesteś przygotowywana na królową od trzynastego roku życia. Wcześniej przyuczano cię do życia zjadaczki grzechów przejmującej grzechy wszystkich poddanych królestwa. A przez ostatnie cztery księżyce zgromadziłaś armię i poprowadziłaś ją na wojnę. Jesteś właściwą osobą do wykonania tego zadania. Jesteś *jedyną* osobą zdolną to zadanie wykonać.

– Nie wiem, jak rządzić. A jeśli nie zechcę rządzić?

Nie potrafi powstrzymać parsknięcia.

– Pamiętasz tę noc w moim pokoju we wspólnocie? Spytałem cię, co powinienem zrobić po odzyskaniu korony. Nie miałem na to specjalnego pomysłu. Ty jednak miałaś. Zdążyłaś obmyślić plan dla Lormere, dla nas wszystkich. – Otwieram już usta, bo chcę zaprotestować. To była zupełnie inna historia, sytuacja czysto hipotetyczna. Ale on gestem dłoni mnie powstrzymuje. – Czyżbyś nie chciała rządzić? Naprawdę? Bo we wspólnocie, kiedy ktoś zwracał się do mnie per „królu”, krzywiłaś twarzyczkę. – Jego spojrzenie twardnieje, a usta układają się w posępną linię.

– Nie chcę rządzić. – Opuszczam wzrok na koronę w jego dłoniach.

Gdy ponownie spotykamy się wzrokiem, na jego ustach gości uśmiech.

– Ależ chcesz! Być może sobie tego nie uświadamiasz, ale ja to widzę. Weźmy też pod uwagę fakt, że pokonałaś dwoje z trzech ostatnich monarchów zasiadających na tym tronie. Przy takich osiągnięciach rzucenie ci wyzwania byłoby głupotą.

– Zamek jest w ruinie – mówię bez sensu.

– Zatem wybuduj nowy. Masz doradców: Nadzieję, Nię, Kirina, Silasa, Stuana. Nie jesteś sama.

– Połowa z nich pochodzi z Tregellanu. To byłaby rewolucja.

– Twyllo... Czy chcesz być królową? – Jego głos jest łagodny, niesugerujący niczego.

Patrzę na złotą opaskę zwisającą z koniuszków jego palców i zastanawiam się, co bym na tym zyskała. Nie tylko ja, lecz wszyscy mieszkańcy Lormere. Mogłabym zrobić tyle dobrego... Nasz kraj stałby się...

– Tak – odpowiadam zdecydowanie. – Chcę.

Kiedy ponownie podaje mi koronę, odbieram ją z jego rąk.

Jest zimna, lżejsza niż oczekiwałam. Z jakiegoś powodu spodziewałam się, że będzie ciężka. Kiedy przyglądam się jej uważniej, dostrzegam zadrapania i wyszczerbienie po boku. Kciukiem pocieram małe wgłębienie i podnoszę wzrok na Mereka.

– A co z tobą?

– Spytałem Errin, czy nie przyjmie mnie na swojego czeladnika – mówi. – Marzę o zgłębianiu tajników sztuki aptekarskiej. Chcę też dowiedzieć się więcej o alchemii, mimo że sam nie mogę jej praktykować. Nauczę się teorii. Chciałbym studiować teksty, które Tregellanie trzymali pod kluczem. Potem wyślę do ciebie prośbę o fundusze na budowę akademii medycznej. Może dwóch. Nie pogardziłbym też stanowiskiem w Radzie. Jeśli mnie zechcesz.

Delikatnie wyjmuję koronę z moich rąk i wkłada mi ją na głowę. Jest zbyt duża i szybko opada, zatrzymując się dopiero na moich uszach.

– Kirin był uczniem kowala – mówi. – Dopasuje ją do kształtu twojej głowy. Może dodatkowo ją udekoruje.

Śmieję się, bo zakrawa to na szaleństwo. On nie może mówić poważnie.

Merek Belmis klęka.

– Ofiaruję ci swoją lojalność, Wasza Wysokość. Przysięgam służyć ci i bronić cię jako twój najlojalniejszy poddany. Aż do dnia mojej śmierci.

– Wstawaj – mówię odrobinę zbyt piskliwym głosem.

Wstaje, bierze moją dłoń i składa na niej pocałunek.

– Kocham cię – mówi bezpretensjonalnie. – Zawsze kochałem. I zawsze

będę. Lecz przede wszystkim pragnę pozostać twoim przyjacielem na całe życie. Bez względu na to, co postanowisz zrobić w przyszłości. Nawet jeśli uznasz, że chcesz rządzić samotnie. Nawet jeśli potajemnie wyjdiesz za Stuana.

Ponownie wybucham śmiechem, który stopniowo przeradza się w szloch.

– Będziesz wspaniałą królową – mówi Merek, ścierając łzę z mojej twarzy. Po raz drugi całuje moją dłoń, po czym wraca do zamku i zostawia mnie samą.

Spoglądam z powrotem na zamek – brudny i osmolony. Cóż za mroczne, straszne miejsce. Smutek przenika nawet przez kamienie. Każę go zrównać z ziemią. Rozpocznę od nowa. Zbuduję wszystko od podstaw.

Trochę to potrwa, uzmysławiam sobie. Zamki buduje się latami. Kraje odradzają się po dekadach. Jest tyle do zrobienia.

Ale mam czas.

Poprawiam koronę, przechylając ją do tyłu, by spoczywała na głowie pod odpowiednim kątem.

Mam czas.

Podziękowania



W pierwszej kolejności pragnę podziękować mojej agentce Claire Wilson. Pisanie bywa synonimem przerażającego osamotnienia. Jeśli człowiek ma szczęście, trafia na swoją Claire, dla której nie ma rzeczy niemożliwych i z którą wszystko staje się ekscytujące i wykonalne. Jestem także pewna, że dobrze byłoby ją mieć u boku w czasie ataku zombie.

Dziękuję również za wsparcie Rosie Price i Samowi Copelandowi z RCW.

Jak zwykle ogromne dzięki dla brygady z brytyjskiego oddziału wydawnictwa Scholastic, a w szczególności mojej redaktorki Genevieve Herr. Bawiłam się jak nigdy wcześniej, współtworząc z Tobą ten wszechświat. Bardzo dziękuję za Twoje rady, cierpliwość i wnikliwość. Oraz za komentarze redaktorskie. Przed rozpoczęciem współpracy z Tobą nie miałam nawet pojęcia, jak zapisać słowo „wieża”, a teraz nie wiem, jak mogłabym się bez tej umiejętności obejść.

Za kolejną piękną okładkę dziękuję Jamiemu Gregory'emu. Mam nadzieję, że pewnego dnia moje opowieści dorównają poziomem jego sztuce. I dziękuję Rachel Phillips za to, że pozostaje niezmiennie genialna.

Dziękuję także Lorraine Keating, Lucy Richardson, Olivii Horrox, Fi Evans, Samowi Selby'emu-Smithowi, Pete'owi Matthewsowi, działowi sprzedaży, działowi praw autorskich oraz wszystkim innym osobom, które ciężko pracowały w moim imieniu na drugim planie podczas powstawania całej serii. Dziękuję Wam.

W ciągu ostatnich trzech lat społeczność młodych czytelników – zarówno w sieci, jak i poza nią – dostarczyła mi najlepszych współpracowników, jakich mogłabym sobie wymarzyć. Nie wiem, co bym zrobiła bez Sary Barnard, Holly Bourne, Alexii Casale czy C.J. Daugherty. To, że w ciągu ostatniego roku udało mi się nie zwariować, jest ich zasługą. Kolejne podziękowania niech przyjmą także: Catherine Doyle, Katie Webber, Samantha Shannon, Laure Eve, Alwyn Hamilton, Kiran Millwood-Hargrave, Anna James, Nina Douglas, Rainbow Rowell, Leigh Bardugo, Lucy Saxon, Jade z działu literatury faktu wydawnictwa Bloomsbury oraz Lucy Lapinski za zapewnienie mi w ciągu ostatniego roku świetnej zabawy, wsparcia i dużej porcji śmiechu. Raz jeszcze dziękuję Emilie, takiej samej jak ja fance filmu *Co robimy w ukryciu*. Przestałam być wampirem. Nie wierz w plotki.

Na kolejne podziękowania zasłużyły również następujące dobre dusze, które nie zawiodły mnie przez cały czas pisania *Jej Wysokości Marionetki*: The Lyons's oraz Allports, Sophie Reynolds, Denise Strauss, Emma Gerrard, Lizzy Evans, Mikey Beddard, Franziska Schmidt, Katja Rammer, Neil Bird, Laura Hughes, Adam Reeve, mój brat Steven, ciocia Penny, wujek Eddie z rodziną, moja siostra Kelly, ciocia Cath i wujek Paul. Bardzo Was wszystkich kocham.

W czasie tworzenia serii zdobyłam niesamowitą grupę czytelników, których tweety, komentarze, sztuka, zdjęcia oraz sam fakt, że istnieją, przynoszą mi radość każdego dnia. Dziękuję Wam wszystkim za to, że kupujecie moje książki, kochacie moje opowieści oraz stale i wyraźnie okazujecie mi swoje cudowne wsparcie. Szczególne podziękowania niech przyjmą: Sofia Saghir, Sally-zar Slytherin, Steph (eenalol), Holly (The_Arts_Shelf), Aimee (Georgie_Aimee), Marian (Witchymomo), Sarah Corrigan, Stacey (book_junkee), Mariyam (ohpandaeyes), Chelley Toy, Lucy Powrie, Kate Ormand oraz Christine (xenatine), którzy tak wielką miłością obdarzyli serię

o zjadaczce grzechów oraz jej autorkę. Mam nadzieję, że do gustu przypadnie wam także *Jej Wysokość Marionetka*. Dziękuję, że wytrwaliście do końca lektury, i mam nadzieję, że nie możecie się doczekać dalszego ciągu.

Ostatnie podziękowania kieruję do mojej babci, Florence May Kiernan. Dziękuję jej za wszystko. Nigdy nie myślała, że kiedyś napiszę książkę, a tym bardziej trylogię. Ale gdyby wiedziała, byłaby naprawdę dumna. Zwłaszcza z tego, że umieściłam w niej rośliny i trucizny.

O Autorce

MELINDA SALISBURY mieszka nad morzem, gdzieś na południu Anglii. Jako dziecko naprawdę myślała, że *Matylda* Roalda Dahla to jej autobiografia, po części dlatego, że jej dziadek często omyłkowo nazywał ją Matyldą, a lokalna biblioteka miała dość nonszalanckie podejście do wypożyczanych książek. Niestety, nigdy nie przejawiała zdolności telekinetycznych. Lubi podróżować i przeżywać przygody. Lubi też średniowieczne zamki, nieśredniowieczne akwaria, Ryszarda III i wszystko co skandynawskie.

Można znaleźć ją na Twitterze pod [@AHintofMystery](#), ale czujcie się ostrzeżeni, bo dużo tweetuje.

